

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1986

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1986

EXCHIBITIONEN FÖR
SVENSKA BOKHÅLLNINGAR
NORDISKA BOKHÅLLNINGAR
STOCKHOLM

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 421

ISBN 2-7168-0086-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KOPPA*

ALFA: — *Panie Mecenasie, od Sierpnia spotykamy się co kilka miesięcy. Tym razem chciałabym zapytać, jak Pan ocenia 16-miesięczny zryw Polaków, co nam zostało z Sierpnia 1980 roku i co z tym jako społeczeństwo możemy zrobić. Jednym słowem, co dalej?*

KOPPA: — Przywiązywałem dużą wagę do odrodzenia narodowego, które rozpoczęło się — już jawnie — w Polsce od Sierpnia '80 roku, do buntu przeciw stosunkom, jakie panowały przez wiele dziesiątek lat. Do wyjścia z marazmu społeczeństwa bezwolnego, osłabionego, oportunistycznego, które na wszystko się godziło dla świętego spokoju i korzystało z okazji bogacenia się, skoro rządząca partia, sama się bogacąc, pozwałała i innym dorabiać się i bogacić. W tym właśnie widziałem niebezpieczeństwo dla sprawy narodowej, bojąc się, że społeczeństwu stanie się obojętny los narodu i jego przyszłość, byle dzisiaj konsumować, byle się bogacić na wzór społeczeństw zachodnich. A polski naród miał zawsze jakieś ideały, jakieś wielkie idee, które go porywały do wielkich rzeczy: walka o niepodległość, walka o utrzymanie

* Maszynopis rozmowy z Koppą przeznaczony był do publikacji łącznie z innymi rozmowami przeprowadzonymi przez mnie w pierwszych miesiącach stanu wojennego, opublikowanymi przez Instytut Literacki w tomie pt. „Rozmowy niekontrolowane” w sierpniu 1983 roku. Rozmowa z Koppą była jedną z pierwszych, ale mój interlokutor mimo autoryzacji tekstu wycofał w ostatniej chwili zgodę na jego druk. Chcąc być w porządku, tekst rozmowy wyłączyłam z przygotowanego tomu. Dziś, kiedy ukryty pod pseudonimem Kopy Stanisław Mierzwa nie żyje — czuję się zwolniona z tej lojalności i przesyłam w nadziei, że przy ewentualnym wznowieniu „Rozmów niekontrolowanych” tekst także tej rozmowy znajdzie się w książce. — ALFA.

języka narodowego, religii katolickiej, o przyszłość, o misję, jaką Polska miała spełnić.

W tym okresie obserwowałem, zwłaszcza wśród inteligencji, chęć dorabiania się i wygodnego urzędowania. Profesorzy wyższych uczelni, adwokaci, lekarze, ci co nabyli auta wcześniej, zaczęli budować wille tam gdzie świeże powietrze, gdzie można na *weekend* jeździć.

ALFA: — *A czy to coś zdrożnego, że ludzie chcieli żyć lepiej?*

KOPPA: — Bałem się, że uśpi to naród, że zaspokoi on się domami, mieszkaniami, autami i zapomni o sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Prasa przypominała i partia przypominała, że spełnia kierowniczą rolę tylko ona, i że wymaga od społeczeństwa, żeby się zajmowało czymkolwiek byle nie losem Polski i narodu, i żeby się godziło nie tylko na kierowniczą rolę jednej partii, ale i na wszystkie układy polityczne i międzynarodowe, jakie ta partia zawiera. Ponieważ rządzeni nie mieli możliwości wypowiedzenia się w sprawach narodowych i państwowych, zajęli się prywatnymi, domowymi sprawami. A Polska szła ku ruinie gospodarczej. Wiemy, że już od wielu lat przed Sierpniem trudności były duże, i na naszym rynku, i w sytuacji międzynarodowej, i że w obozie w którym żyjemy Polska, która była silnym organizmem, zaczęła chorować.

ALFA: — *Po czym Pan tę chorobę rozpoznał?*

KOPPA: — Po tym, że rozpoczęły się trudności gospodarcze i były sygnały zapowiadające kryzys gospodarki narodowej. Na przykład upadek rolnictwa sygnalizowały skargi i żale chłopów, którzy mając tylko płatną reprezentację polityczną w postaci Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, byli nie tylko odsunięci od spraw państwowych i narodowych, ale traktowani jako coś niepotrzebnego już, a kończącego się w organizmie państwowym; skazani zostali na wywłaszczenie, odbierano im ziemię. Tak! Robiła to nie tylko administracja, ale instytucje przeznaczone dla chłopów, jak Spółdzielnie Kółek Rolniczych, które pozbawiły ich bezpośredniego wpływu nawet na rolnictwo.

Obserwowałem więc powszechną ucieczkę od ziemi, od pracy, która była nieopłacalna i gorzej traktowana niż wszystkie inne, w tej Polsce zwanej ludową. Parę milionów gospodarstw chłopskich było w myśl doktryny skazanych na powolne wykańczanie, na śmierć gospodarczą. Dlatego młodzież uciekała do miast.

A w przepelnionych miastach rozbudowa olbrzymich aglomeracji, zabieranie ziemi pod wille, pod przemysł, pod drogi. Wszyst-

ko to kurczyło obszar ziemi uprawnej, a więc i żywienie narodu. A mnie zawsze interesowało, czy spełni się kiedyś zalecenie Kościuszki, że chłopci polscy mają nie tylko bronić, ale także wyżywić naród, bo wtedy dopiero będą spełniali rolę społeczną w tym narodzie.

Tymczasem przy pomocy zboża, nabytego za dolary ciężko zdobyte przez eksport węgla, eksport przemysłu itd., partia usiłowała przekonać chłopca polskiego, że kraj może się bez niego obejść (i władza też), że rola chłopca w Polsce skończyła się, rola historyczna (co znaczy, że mieli oni także prawa, a nie tylko obowiązki). I dlatego symboliczne było wołanie wsi: „dajcie nam węgla, a my wyprodukujemy żywiec dla miasta”. Węgla nie dostawali, cementu nie dostawali. Budowali, owszem, ale przez kradzieże, przez łapówki. Rozpleniła się biurokracja, która żyła doskonale na krzywdzie chłopskiej.

Robotnicy żądali podwyżek i dostawali je. Jeśli nie dostawali odpowiedniego wynagrodzenia materialnego, to dostawali tytuły moralne, polityczne. Karta górnik czy hutnika, odznaczenia, dni kolejarza, handlowca, transportowca, nawet sprzętaczki. Partia umiała brać społeczeństwo na lep hasła. Natomiast chłopcu nic nie obiecywano.

Patrzyłem więc z trwogą na wyludnianie się wsi, które nie byłoby tragiczne, gdyby zostali na niej fachowcy odpowiednio wyposażeni w środki produkcji, a nie starcy, którzy z braku innego zajęcia siedzieli na ziemi i trochę dla siebie, a trochę dla miasta produkowali. Przy takim układzie wyludnienie wsi musiało doprowadzić do katastrofy gospodarczej, do zależności Polski od Zachodu, od państw kapitalistycznych, które nam chętnie dostarczały zboże, ale w zamian za wywożenie tego, co było narodowi potrzebne. A więc węgiel. Woziliśmy go nawet do Japonii, a upokorzony chłopca stał w kolejce całymi dniami i czekał, by mu sprzedano jedną tonę. Otóż ta jawna pogarda dla tego zawodu, dla wsi, dla chłopca mnie obrażała, denerwowała i przewidywałem, że skończy się źle i dla chłopców, i dla Polski. Gdyby chłopca był bardziej związany z państwem, wciągany do spraw narodowych, państwowych, nawet przy swoich trudnych warunkach pracy i życia, byłby jednak zadowolony, że jakąś rolę spełnia. Tymczasem w okresie powojennym zrobiono wszystko, by rozbić tworzone przez lata organizacje chłopskie. Zniknęły kółka rolnicze, zniknął PSL, Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, spółdzielczość rozbito i zniszczono powołując nowe formacje, które miały być pomocą w budowie nowego ustroju — socjalizmu.

ALFA: — *Skoro tak niszczone przez kilka dziesiątków lat, to*

jakim cudem doszło do Sierpnia? A przed Sierpniem było jeszcze parę tego rodzaju zrywów, może nie tak długotrwałych, ale stanowiących wymowny dowód sprzeciwu społecznego?

KOPPA: — Jestem przekonany, że to ożywienie narodowe spowodowała inteligencja, a robotnicy tylko poszli za nią. Według mojej długoletniej obserwacji chłopca i robotnika, bez inteligencji, tak w całym świecie jak i w Polsce, nie byłoby walk o postęp, o wolność, o swobodę myśli, organizowania się i wpływania na losy państwa, na władzę.

ALFA: — A z kogóż rodzi się inteligencja? Czyż nie wywodzi się ona właśnie z chłopów lub z robotników?

KOPPA: — Tak, dlatego też właśnie dopiero oni, inteligenci, przez swoją działalność poruszyli masy robotnicze, a jeśli ruszyli robotników, potężną dzisiaj w Polsce siłę, to wtedy i masy chłopskie się ruszyły. Upomniały się o swoją krzywdę. Były porywy, prawda. Był rok 1956, 1970, był 1968, 1976 Radom i Ursus, ale to były jakieś nerwowe, chorobliwe drgawki organizmu, nie prowadzące do reorganizacji całości. Aż nadszedł wybuch Sierpnia, kiedy dotknięte gospodarczą klęską miliony ujawniły swoją olbrzymią siłę przez masowość. I właśnie ta masowość buntu klasy robotniczej, wywołana wieloletnimi przygotowaniami inteligencji, dała mi podstawy do nadziei, że i chłopci, choć rozproszeni, mogą przy tej okazji upomnieć się o własne sprawy, o miejsce w Polsce dla swego zawodu, dla swej ciężkiej pracy i dla swej przyszłości. Chcą być, chcą przetrwać na własnych gospodarstwach, na skrawkach ziemi polskiej, bo wtedy czują się pewni, że są potrzebni, więc nie zostaną zlikwidowani. Chłopci chcieli przetrwać kryzys polityczny i gospodarczy. Politycznie byli skazani na kolektywizację, przed którą bronili się kilkadziesiąt lat. Włożyli dużo wysiłku, by nie dopuścić do skolektywizowania wsi. Bronili się tylko biernie, nie mając przywódców, którzy by ich poprowadzili do walki przeciw władzy, która chciała im ziemię zabrać, zlikwidować ich, podporządkować, stworzyć z nich pracowników najemnych. Duma chłopska, rozbudzona przez dziesięć lat ruchu politycznego, cierpiała nad tym, że władza polityczna w Polsce Ludowej taką im rolę wyznaczyła. Macie dożyć swych lat, obrabiać tę ziemię, a kiedy już was nie będzie, Polska i tak będzie istniała, będzie socjalizm, oprze się na wielkich obszarach, na wielkich majątkach państwowych, na spółdzielniach. Chłopa ani jako odrębnej warstwy, ani jako czynnika społecznego nie potrzeba do budowy socjalizmu.

Jasna rzecz, że ja, stary działacz głoszący przez całe życie zupełnie odmienne hasła, czułem się źle w tym układzie. Czekałem na pomoc inteligencji, robotników, że uratują wieś od całkowitej likwidacji. Miałem tę nadzieję przed Sierpniem i miałem ją po Sierpniu. Ostrożnie, po chłopsku, nie robiłem wielkiego szumu, nie wysuwałem się na czoło ruchu chłopskiego. Wzywany wielokrotnie przez inteligentów organizujących Solidarność Wiejską, nie brałem w niej przez dłuższy czas udziału, nie wiedząc w czym występują interesie, kim są i czy będą tak oddani sprawie chłopskiej, by można im w pełni zawierzyć i poprzeć tę sprawę swoim nazwiskiem, wypracowanym przez dawne dziesiątki lat w innych zupełnie warunkach.

Dopiero w roku 1981, gdy zobaczyłem, że i chłopi ożywieni są — za przykładem robotników — nadzieją, iż pozwolą im jawnie, formalnie, za zgodą sądu, zarejestrować i prowadzić swój własny niezależny związek, dla ich obrony powołany, wtedy uwierzyłem, że chłopi, choć boją się rewolucji, ale mając własną organizację masowo się do niej zgłaszają. Upewniłem się, że chłopi powinni też się organizować, utworzyć związek i o swoje sprawy upomnieć się samodzielnie, mając do pomocy wzór mas robotniczych i pomoc inteligencji. Dlatego zacząłem publicznie występować, pomagać, doradzać tym, którzy zaczęli na wsi tworzyć tę siłę, ażeby młodszy, niedoświadczeni, nie poprowadzili organizacji drogą, która by chłopom znowu nic nie dała. Żeby nie skończyło się na gadaniu, pięknych słowach, pisaniu w prasie, ale konkretnie, ażeby chłopi upomnieli się o swoje. Upomnieli się nie tylko o ochronę swojej własności prywatnej, ale także — powiedziałbym — narodowej. Niszczono lasy, ziemia leżała odłogiem i nie dawała wyżywienia. Chłopi to widzieli i gorszyli się, że rządząca partia, że dygnitarze lekceważyli w ogóle jakiekolwiek obowiązki wobec społeczeństwa, że odcinali się od tego społeczeństwa, że tworzyli między dołami a górą mur w formie biurokracji. W urzędach rolnicy byli źle traktowani. Mimo pięknych haseł, programów, że wszystko buduje się dla człowieka, że ta nowa „religia” da człowiekowi wszystko bez względu na to, czy jest to chłop, robotnik czy inteligent, wiadomo mi, że chłopi się źle czuli. Nie tylko nic nie dostawali, ale odbierano im to, co im się należało. I dlatego nastąpił po Sierpniu ten wybuch nadziei, wybuch radości i masowe zgłaszanie się do organizacji, która miała im pomóc w odbudowie i zajęciu godnego miejsca w Polsce. Bo chłopi mają poczucie własnej godności i niezależności na własnym podwórku, na własnym kawałku ziemi. Gdyby odebrano im ziemię, straciliby swoją niezależność, swoją godność. Dlatego mieli nadzieję, że Solidarność Wiejska przywróci im hono-

rowe miejsce w narodzie. Ale chłopci, odsunięci od spraw publicznych, mając tylko reprezentację pod nazwą ZSL, która reprezentowała nie ich, a władzę, nie mieli możliwości wysunięcia w okresie wielkiego ożywienia narodowego własnych, doświadczonych przywódców. Stare pokolenie, kierownicza kadra dawnego ruchu wymarła albo tak się zestarzała, że nie mogła kierować tym ruchem. Przyszli młodzi. Naturalna to rzecz, że pokolenie, które porwało się do odnowy wysuwało swoich, młodych przywódców. A inteligenci przychodzący na wieś i mówiący chłopom, że powinni obok robotnika stanąć do walki o swoje prawa byli wsi nieznanymi. Obawiałem się, że będzie dużo zamieszania, będzie dużo kłopotów przez parę lat, zanim się na dole uformują organizacje wiejskie i zanim dogadają się z tymi, co przychodzili na wieś i zachęcali, zanim wieś wysunie i obdarzy zaufaniem własnych przywódców. Bo te grona, te grupy, które znalazły się na placu „zbiórki” nie dawały — moim zdaniem — gwarancji, że poprowadzą robotę we właściwym kierunku i nadadzą jej odpowiednią formę, ponieważ byli to często ludzie przypadkowi. Przyznawali się sami, że nie mieli nic wspólnego z ruchem politycznym i nie byli działaczami, ale w poczuciu krzywdy, mając nieraz jakieś lepsze warunki materialne, ofiarowali część swojego zainteresowania, swojej energii dla podjęcia takiej pracy.

ALFA: — *Myśli Pan o Kułaju?*

KOPPA: — Konkretnie mówię o Kułaju, którego bronię, gdy go ludzie potępiają czy krytykują, że popełnia takie czy inne błędy. Bronię go z obowiązku moralnego. On nie winien, że jest tak młody. Mówiłem to jemu bezpośrednio i mówiłem to tym, co go oskarżają. Czemu mądrzejsi, czemu starsi nie stanęli na czele tego ruchu odnowy, a godzą się dla swojej wygody, żeby młody, 23-letni mężczyzna był przywódcą i żądają, by był mądry, wszystko wiedział, umiał kierować, prowadzić? Potrzeba chwili wyłaniała takich młodych dla młodego ruchu. Bo przecież nie starsi emeryci chłopscy zrobili ruch odnowy, ale młode pokolenie, któremu ciasno było żyć na wsi.

ALFA: — *Opowiedział Pan o genezie Sierpnia wśród chłopów. Może więc teraz zajmie się Pan pytaniem drugim: co nam zostało z Sierpnia 1980 roku?*

KOPPA: — Władza polska jest przekonana, że tylko ona Polskę uratuje, że tylko ona może kierować państwem i narodem, dlatego, że takie są układy międzynarodowe. Ze względu na sytuację geopolityczną i ze względu na zawarte traktaty w interesie

Polski leży jakoby, ażeby rządziła nią partia komunistyczna. Ale Sierpień pokazał, że społeczeństwo pozornie tylko się pogodziło z tym rozumowaniem. Głosowało albo oddawało puste kartki, ale wciąż myślało o tym, że usilnie tworzony komunizm nie ma przyszłości z uwagi na tradycje i postawę narodową Polaków.

Wiadomo, że należałem zawsze do ruchu politycznego, który był przeciwny budowie komunizmu i wyrażałem to czynnie działalnością w PSL. Okupacja, a potem procesy moskiewski i krakowski zakończone wyrokami wykazały, że broniłem zasad, jakie głosiliśmy przed wojną. Owszem: Polska wolna, niezależna, suwerenna, demokratyczna, ale Polacy mają w niej do spełnienia inną rolę aniżeli pomaganie w budowie wielkiego, nowego ustroju komunistycznego, który miałby opanować cały świat. W imię tych nowych ideałów miała Polska poświęcać się, broniąc komunizmu na Kubie czy w Wietnamie, jak kiedyś chrześcijaństwa przed zalewem Turków. Nie było to zgodne z duchem narodu polskiego, bliższego kulturze zachodniej, kulturze łacińskiej, obcego sposobom myślenia i rządzenia na Wschodzie, gdzie posłuszeństwo względem państwa miało być dla człowieka celem samym w sobie.

Otóż Sierpień wykazał, że naszemu społeczeństwu taka ideologia i taka forma bytu narodowego i organizacji narodowej nie odpowiada. Kiedyś szlachta walczyła o swe wybory, chłop o swą gospodarkę. To było cechą narodową Polaków. Dążenie do tego, ażeby naród jednakowo myślał i jednakowo działał według obcej mu doktryny, więcej jeszcze, żeby budował komunizm w skali światowej, to narodowi polskiemu nie odpowiadało.

Chłop i pochodzący z chłopów robotnik w głównej mierze liczyli się przez długie lata tylko z tym, że „sąsiedzi” nie pozwolą im na ujawnianie niechęci do tego ustroju. Dopiero masowy bunt całego prawie społeczeństwa dał rządzącej warstwie i sąsiadom do zrozumienia, że Polacy nie pogodzą się z wyznaczoną im rolą budowania czegoś, co im nie odpowiada. Sądzę, że dużym zyskiem Sierpnia będzie pamiętać, iż 10 milionów zgłosiło swoje veto. To już nie poszczególne veta pojedynczych osób, ale całego pracującego narodu. W Polsce, gdzie rządzi klasa robotnicza (według teorii), okazało się, że ta klasa buntuje się przeciw narzuconej doktrynie i narzuconej władzy. Wobec tego mowy nie ma, żeby ten ustrój był dalej akceptowany i budowany przez tych, którzy ujawnili swoją niechęć do niego. Ja, zwolennik demokracji politycznej, ale także społecznej, byłem zawsze przeciwnikiem przymuszania społeczeństwa do tworzenia i budowy ustroju, który mu nie odpowiada. Nie było możliwości badania opinii publicznej czy takiego ustroju chce, czy nie, bo ciągle nam grożono, że

władza jest nadana, że jest powiązana międzynarodowo z sąsiadami, i tylko ustroj socjalistycznej Polski może być akceptowany przez sąsiadów. I z tym społeczeństwo, chciało czy nie chciało, ale musiało się liczyć.

Stąd też moja wiara, że ożywienie, które nazywam powstaniem, bezkrwawym powstaniem narodowym, na długie lata, może i na dziesiątki lat będzie ostrzeżeniem dla władzy, dla sąsiadów, a zachętą dla pokolenia obecnego i następnego. Ten odruch buntu narodowego nie był na tyle przygotowany, ażeby przyszedł z formami gotowymi i zastąpił instytucje już istniejące. I dlatego ta fala wielkiego zrywu narodowego nie osiągnęła swego celu, choć miała własne koncepcje; owszem, zarzucano jej, że za szybko chciała realizować koncepcje własnego ustroju. Konfrontacja nastąpiła, ponieważ we wszystkich ustrojach dyktatorskich każda władza broni się. Wiemy, że siła policyjna, siła zbrojna zawsze chroni tych, którzy dobrze opłacają te funkcje. A Solidarność robotnicza i wiejska, bezbronna, nie mogła w ciągu kilkunastu miesięcy osiągnąć celu, jaki sobie założyła, zmiany ustroju z dyktatorskiego, jednopartyjnego na system demokratyczny, w którym społeczeństwo mogłoby się samo wypowiedzieć, w jakich warunkach chce żyć i w jakim ustroju. Ale pamięć o tym, tak jak o Październiku, tak jak o 70-tym roku, jak nawet o — na mniejszą skalę — Marcu '68 czy Czerwcu '76, pozostanie w narodzie i będzie zachętą do następnych odruchów. Będzie podtrzymywała nadzieję, że przyjdzie kiedyś moment, tak jak przyszedł w Sierpniu, gdzie cały naród, a nie poszczególne miasta, nie Poznań, nie Gdańsk, nie Radom, ale całe społeczeństwo, cały naród ruszy. Sierpień to było wielkie pospolite ruszenie narodowe.

ALFA: — *Czy to, co się stało w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku przeraziło nas na bardzo długo, czy poraziło tylko na krótko?*

KOPPA: — Mnie się wydaje, że wielu ludzi przesadza w obawie, że junta — jak ją nazywają — wojskowa potrafi zabić ducha narodowego i ten wielki odruch potrafi zlikwidować tak dalece, że się już nigdy nikomu nie zachce walki o odnowę. Władza wisi w powietrzu. Władza nieakceptowana może siłą utrzymać spokój, natomiast nie może wymazać z pamięci narodowej poczucia tej wielkiej siły, jaką społeczeństwo wykazało. Nie może, żeby nawet stan wojenny potrwał nie sześć miesięcy, ale szesnaście miesięcy, nie może cofnąć koła historii. Społeczeństwo poczuło się silne w masie i zdolne do wykazania, że ma zamiar — wcześniej czy później — przeszkodzić w rządzeniu i budowaniu ustroju, który mu nie odpowiada. Mając przykład i opiekę w Kościele

katolickim, który przetrwał w warunkach budowy socjalizmu, zachowując swoją postawę i swój stan posiadania, społeczeństwo jest przekonane, że ma do spełnienia inną misję aniżeli pokornie służyć i słuchać. To Sierpień pozostawi w pamięci narodowej.

Poszczególne jednostki są załamane, poszczególne grupy zdeprymowane, zaskoczone rzekomą nagłością i obracają cały swój wysiłek na roztrząsanie nurtującego je pytania, czy wojskowi mieli prawo zrobić zamach stanu, ogłosić stan wojenny. Nad tym się nigdy nie zastanawiałem. Mimo, że znam prawo, podchodzę do tego zagadnienia od strony politycznej, a nie prawnej. Czy partia miała inne wyjście? Wobec tego, że cały naród był przeciwny sytuacji, jaka wytworzyła się w polityce międzynarodowej, odbijając się na losach Polski, pytanie nie polega na tym, czy pozwalał na to przepis konstytucyjny, albo czy Rada Państwa miała prawo, tylko czy państwo miało siłę do zatrzymania tego wielkiego ruchu. Miało siłę, bo miało pepesze. A społeczeństwo miało tylko gazetki, miało tylko pragnienia. Natomiast na dłuższą metę nie zatrzymają. Ani pałka, ani pepesza nie może utrzymać wielkiego narodu w posłuszeństwie wobec idei, która mu nie odpowiada.

Stąd moja nadzieja, bo przez Sierpień społeczeństwo wykazało, że jest moralnie zwarte, jednakowo myślące i wszyscy, solidarnie wszystkie warstwy, inteligencja, robotnicy i chłopci, zjawiają się w razie potrzeby. Mówiło się przed wojną „staną w potrzebie”. Były takie odznaczenia za 20-ty rok. Otóż Sierpień wykazał, że nie sama inteligencja, nie tylko robotnicy i nie odrębnie chłopci, jak to bywało w historii naszego narodu, ale wszystkie warstwy społeczne miały jeden cel: wielki protest przeciw temu, że Polskę gwałcono, wciskano w ramy ustroju dla niej nieodpowiedniego.

ALFA: — *Czy wobec tego można powiedzieć, że Sierpień jest zwycięstwem Polaków po 37 latach?*

KOPPA: — Patrzę na to po latach wielu doświadczeń właśnie jak na całość narodową. Chłopci nie zyskali za dużo, robotnicy zostali rozbici i pokonani w swoich wielkich pragnieniach stworzenia niezależnych związków, przekształcenia ustroju gospodarczego, nawet politycznego. Przegrała także inteligencja, bo nie spełniła roli przewodnika, kierując tą przebudową. Ale zyskał cały naród. I partia rządząca i władze nadzorcze nad partią zobaczyły, że z Polakami nie można postępować tak jak z każdym innym narodem, wychowanym do bierności, do posłuszeństwa. Polacy byli narodem buntu, ale bunt ten był podziwiany przez świat, bo był to zawsze bunt o jakieś wielkie ideały, o jakieś wielkie sprawy.

Obchodzi się dzisiaj Wiedeń, obchodzi się Monte Cassino, obchodzi się tyle wielkich czynów, które kosztowały naród dużo krwi, dużo wysiłku. Ale właśnie one były narodowi potrzebne do wiary, że jest zdolny do wielkich poświęceń nawet na rzecz ogółu ludzkości. Dlatego też sądzę, że wartości, jakie ujawnił Sierpień trzeba w narodzie podtrzymać, trzeba przypominać, trzeba podkreślać ten wielki zysk. I jeszcze jedno: po 37 latach partia okazała się n a g a. Nie miała nikogo za sobą. Poza płatnym aparatem nie było grupy społecznej, która by stanęła w obronie władzy, reprezentującej rzekomo najbardziej postępową myśl polityczną i społeczną. Otóż jeżeli władza znalazła się w izolacji i pokazała swoją słabość, a naród wykazał swoją siłę, to jest to wielki zysk dla przyszłych pokoleń, bo mogą w każdej chwili grozić narzuconej, ustanowionej w Polsce przez obce siły władzy, że taki odruch narodowy może być znowu po latach ponowiony. I sądzę, że władzy, partii rządzącej, tej grupie, która sama, a nie na polecenie dokonała tego gwałtu na woli narodu 13 grudnia, powinno dać to dużo do myślenia. Sądzę więc, że będą musieli szukać sposobów, ażeby przekonać społeczeństwo, że los narodu zależy dzisiaj od wewnętrznego spokoju, wobec tego, co na świecie się dzieje; że cały świat, nie tylko Polska, przeżywa jakąś niepewność, niepokój, że w innych państwach też społeczeństwa demonstrowują przeciw obawie zagłady. Masy są niespokojne. Polska niezależnie od tego miała swoje powody do niepokojów, ale dzisiaj naród myśląc o swojej obecnej krzywdzie, o niesprawiedliwości, musi brać pod uwagę także sytuację międzynarodową. Wielcy tego świata obawiają się jakiejś olbrzymiej katastrofy globu ziemskiego i my także musimy myśleć o utrzymaniu się przy życiu jako naród, jako państwo. Dlatego nasze oburzenie, nasze odruchy muszą mieć na uwadze sytuację światową.

ALFA: — Co sądzi Pan o wojnie, wypowiedzianej Polakom przez Polaków?

KOPPA: — Wyrażałem nieraz przekonanie, że wolę rozwiązanie wewnętrzne, własne, polskie, że armia polska wystąpiła, aby ubiec sąsiadów. Wtedy, przy tych nastrojach doszłoby do krwawego powstania, bo rozbudzony i podniecony naród w walce o wewnętrzne sprawy nie byłby zniósł obcej interwencji. Bałem się, że w Polsce dojdzie do powstania zbrojnego, krwawego i młode pokolenie zapłaci wielką ofiarę, z góry przegraną wobec sposobów walki z ruchami narodowymi i siły militarnej sąsiadów. Społeczeństwo musiałoby przegrać, mając przeciw sobie nie tylko sąsiadów, ale i armię polską i siły bezpieczeństwa. Dlatego uwa-

zam, że dobrze się stało, że nie doszło do tej próby sił wielonarodowych i do krwawej próby sił z polską władzą wojskową. Stan wojenny przejdzie, wierzę w to. Społeczeństwo jest rozsądne mimo zapału młodego pokolenia, mimo odruchu buntu. Polacy zrozumieli, że narodowy byt państwowy zależy dzisiaj nie od wywołania walki z własną władzą uzbrojoną nie tylko w pałki, ale także i w karabiny, ale od rozsądnego postępowania, przeczekania do momentu, kiedy władza broń odłoży i będzie musiała ze społeczeństwem rozmawiać. Bo społeczeństwo ma jedną, wielką siłę w solidarności międzywarstwowej, a drugą w cierpliwości. Polacy, naród buntowniczy, umieją także czekać, umieją także maskować swoją niechęć, nawet przez długie lata, jak to było w okresie niewoli. Po powstaniach znowu Polacy czekali na moment wielkiego zrywu. I dzisiaj Polacy przeczekają uderzenie siły militarnej, doczekają się momentu, kiedy władza odłoży broń i zacznie rozmawiać. I wierzę, że społeczeństwo podtrzymujące swoją solidarność narodową, a więc inteligencja, robotnicy i chłopci razem będą mogli może już spokojnie, może już w innym klimacie podyktować władzy warunki, na które będzie musiała się zgodzić choćby nie chcąc, ponieważ społeczeństwo ma jedną broń — bierny opór. Chłopi mogą nie dostarczyć towarów na czas, jeżeli nie będą zaspokojone ich zasadnicze żądania. Robotnicy będą pracowali tak, jak dotąd pracowali.

ALFA: — *A co Pan radzi ludziom, którzy pytają, jak powinni zachować się w okresie stanu wojennego?*

KOPPA: — Słowo pozytywizm było deprecjonowane w historii, ale całe moje życie byłem pozytywistą w pracy politycznej i zawodowej. Uważałem, że tylko to, co ja osobiście, co społeczeństwo, co chłopci, z którymi jestem związany, urobią sobie, to pozostanie dla każdego i dla Polski. I dlatego w okresie *prosperity* patrzyłem spokojnie na tych, co zwierzali mi się po cichu: ja buduję willę czy dom. Dobrze, w socjalizmie buduje willę adwokat, inżynier, lekarz, profesor. Cieszyłem się z tego dlatego, że to jest kawałek Polski, to jest budowa Polski. W okresie kiedy nie można się było wyżyć — być posłem, ministrem, a ludzie mieli ambicje i prawo do ich realizacji — niech budują willę. Chłopi też budowali domy, kupowali auta, wyjeżdżali do Ameryki — tam zarabiali i po powrocie do kraju w coś inwestowali. Gorszono się. Tłumaczyłem, że to też jest krajowi potrzebne. Nie można robić rzeczy wielkich, trzeba robić rzeczy małe, wiedząc jednak, że jest to działalność zastępcza.

Otóż sądzę, że jako działacz czynny byłbym tego samego

zdania co przez całe życie. Trzeba z powrotem dźwigać do góry syzyfowy kamień, który spadł, bo to jest obowiązkiem narodowym i osobistym każdego Polaka. Inteligencja popełniła błąd wobec tego wielkiego Syzyfa, wobec narodowego ruchu robotniczego i chłopskiego. Popędzali tego Syzyfa, szybciej, szybciej, bo jest dobra okazja, nastrój dobry, więc ten kamień na górę wtoczmy. Okazało się, że to przyspieszenie nic nie dało. Kamień z powrotem spadł i w tej chwili mamy stan wojenny i pytanie co dalej?

ALFA: — *Czy Pan uważa, że stan wojenny mamy dlatego, że Solidarność popychała zbyt szybko ten kamień?*

KOPPA: — Jestem przekonany. Każdy człowiek, tym bardziej zbiorowość, jeśli jej dobrze sprawy idą, to przeholowuje w pośpiechu. Solidarność poczuła się tak silna, że zaczęła dyktować warunki, które w tej sytuacji narodowej były nie do spełnienia. Powiem więcej, mam żal do Solidarności. Jest światowy kryzys gospodarczy, od dziesięciu lat obserwujemy recesję gospodarczą i rosnące bezrobocie. Na Zachodzie zamykają przedsiębiorstwa, a u nas, w Polsce, która jest po dwu wojnach światowych dopiero na dorobku, dopiero po odbudowie, zafundowaliśmy sobie pięciodniowy tydzień pracy. Nie tylko dla ciężko pracujących, także dzieci uczyły się tylko pięć dni. Wszyscy mamy wolność, nie zastanawiamy się, kto w Polsce będzie dostarczał towarów, kto dawał pożyczki. Zupełnie tak samo, jak robiła grupa Gierka. Lekkomysłnie brała, miliardy nabrała i budowała wizję przyszłości za cudze pieniądze. Otóż uważam, że Solidarność na cudzy koszt budowała przyszły ustrój. Przyspieszając wytaczanie tego kamienia sprawy narodowej na szczyt, gdzie tylko słońce świeci i będzie panować jakaś wielka jasność nad Polską, tym przyspieszeniem wywołaliśmy stan wojenny. Ani jedna ani druga strona nie mogły osiągnąć swojego celu. Partia nie mogła nawoływaniem i przekonywaniem uspokoić odruchu narodowego, tego wielkiego buntu. Powiedzmy sobie wyraźnie, partia nie chciała nic ze swej władzy ustąpić, a Solidarność, jakkolwiek byśmy próbowali to ukryć, chciała podzielać władzy. Bo jest prawem społeczeństwa wpływanie na losy państwa. Solidarność wiedziała, że nie umiejąca rządzić partia prowadzi państwo do ruiny. Chciała więc nie tylko kontroli nad tą partią, ale współrządzenia, wierząc słusznie, że demokratycznie wybrana przez społeczeństwo reprezentacja lepiej będzie służyć Polsce niż cienka w tym narodzie warstwa płatnych najemników, aparatczyków, którzy chcą odpowiadać za losy narodu. Nauczony doświadczeniem sprzed wojny pamiętałem, jak piłsudzycy otwarcie mówili nam, będącym w opozycji czte-

rech stronnictw: „przez krew zdobyliśmy władzę walcząc w legionach, nie oddamy jej bez krwi”. I dlatego strajki, strzelanina do robotników, do chłopów, nie pomogły nic. Władzę do 1939 roku utrzymała ta niewielka grupa. Obawiałem się więc, że partia, mając nakazaną misję rządzenia Polską w myśl interesów jakiejś doktryny światowej — nie ustąpi dobrowolnie, nie podzieli się władzą, bo będzie się bała utracić jej monopol. Wolała więc doprowadzić do katastrofy, wprowadzić stan wojenny, by nie podważyć prawa do rządzenia narodem polskim, tej licencji zagranicznej, na mocy której działa dotychczas. Sądziłem, że niełatwo będzie bez krwawej rozprawy usunąć zleceniobiorcę, który ma za sobą poparcie olbrzymiej siły militarnej.

ALFA: — *Powiedział Pan, że Sierpień był wielkim zwycięstwem. Czy to oznacza, że stan świadomości społeczeństwa polskiego podniósł się na tyle, iż nie chce ono monopolu partii?*

KOPPA: — Uważam, że Sierpień wykazał rządzącej partii, iż nie tylko ona ma prawo do rządzenia, że społeczeństwo ma też do tego swoje prawa. Społeczeństwo upomniało się o nie w formie spokojnej, niekrwawej demonstracji ulicznej, w formie strajku. Tragedią dla mnie jako działacza i Polaka byłoby, gdyby doszło do interwencji, jak już powiedziałem obcej i do skrwawienia się narodu. Widziałem wkroczenie armii niemieckiej w '39 roku, Armii Czerwonej w '45, bałbym się tego powtórzenia. Wiemy, że przeciw Niemcom był opór, przeciw Armii Czerwonej był także opór. Opór krwawy nie całego narodu, bo był on wyczerpany wojną, ale części narodu uzbrojonego wtedy w formacjach AK i innych organizacji. Polityczny opór skończył się tragedią, procesami, skończył się więzzeniami i dlatego też po tym doświadczeniu bałem się, by nie powtórzyła się beznadziejna walka wobec przewagi ościennych sił obcych, które by ten odruch zbrojny — z góry wiadomo — stłumiły.

ALFA: — *Pan uważa, że okupacja przez swoich jest lepsza niż przez obcych?*

KOPPA: — O tak, bo ze swoimi rozprawimy się własną mocą, że się tak wyrażę. Bo oni nie są silni ideą, nie są silni zasługą, a tylko formalnie, mając w rękach państwo. Natomiast społeczeństwo jest przekonane, że ma rację. Stan wojenny tego przekonania nie wymaże, nie stłumi. Nie da rady! Kościół w tak trudnych warunkach nie tylko nic nie stracił, ale przez swoje kłopoty, cierpienia, choćby przez więzienie Wyszyńskiego, zdobył aureolę mę-

czennika za wielką sprawę narodową. W Polsce łączy się religię katolicką z narodową postawą, wobec tego społeczeństwo ma w Kościele wielkiego sojusznika, wielkiego przedstawiciela. Nie tylko sojusznika, bo Kościół uważa się za część narodu, ale wielki wzór i przykład. Wie, że jeżeli utrzyma postawę i wytrzyma kłopoty, prześladowania, stanie się narodowym bohaterem. I sędzę, że społeczeństwo stanie się wielkim, narodowym bohaterem, odrzucając narzuconą mu doktrynę, odrzucając sposób rządzenia przez monopartię i tłumienie poczucia narodowego w imię jakichś ideałów, które temu narodowi nie odpowiadają. Budowa socjalizmu jest tak enigmatyczna, tak niejasna, tak obca Polakom, bo nie jest sprecyzowana. Okazało się, że budowa wielkiego przemysłu za pieniądze kapitalistyczne jest socjalizmem, że rządzenie przez jedną partię, przez ludzi płatnych z kasy państwowej, z pieniędzy, które wypracowuje całe społeczeństwo, też jest socjalizmem. Budowanie willi, budowanie ośrodków na polowania na wzór magnatów też jest socjalizmem. A więc co to jest socjalizm? Społeczeństwo się przekonało, że było oszukiwane, bałamucone, wprowadzane w błąd tylko po to, żeby ta czy inna grupa mogła rządzić jak najdłużej i bogacić się. Sierpień ujawnił, że ludzie rządzący nie nadają się do sprawowania władzy, ponieważ są mali. Zamiast troszczyć się o państwo i o naród, o jego jakąś wielką misję, jego rolę w gronie narodów, myśleli tylko o sobie. Kradli, dorabiali się kosztem społeczeństwa. Miała to być nowa religia oparta na nowej moralności, a doprowadziła do takiej demoralizacji, że gdyby nie groźba obcej siły militarnej, powinni wszyscy odejść i — bo ja wiem — pokutować, prosić społeczeństwo o przebaczenie za błędy, jakie popełnili. Ale na razie ciągle są u steru, aresztują, internują i dają wyroki niewiele mniejsze od wyroków, jakie kiedyś sypały się na przeciwników reżimu.

Społeczeństwo jest jakby odrętwiałe, zaskoczone. Czeką na jakieś rozwiązanie przez kogoś, bo masy niezorganizowane nie mogą zdobyć się z dnia na dzień na działanie stałe i na czynną postawę. W Sierpniu i po Sierpniu, przez te miesiące, kiedy mieliśmy prawo ujawniania swoich przekonań w formie zgromadzeń, w formie strajków, w formie publikacji, społeczeństwo było zorganizowane i stanowiło siłę. Gdy władza odebrała siłę te narzędzia ujawniania postaw, społeczeństwo jest w tej chwili odrętwiałe, ale nie zniechęcone. Jest sterroryzowane, ale nie straciło wiary i przekonania o swej racji. Dają temu od czasu do czasu wyraz oświadczenia jednostek, a nawet i postawa szerszych odłamów społeczeństwa. 1 Maja, 3 Maja, 13 Maja dowiodły, że w dalszym ciągu zamierza ono upominać się o to, o co upominało się po

Sierpniu. I dlatego władza będzie musiała wciąż pilnować własnej pozycji, a nie będzie miała czasu na załatwienie spraw narodowych, ogólnopaństwowych. Uważam to za stan szkodliwy dla jednej i drugiej strony. Dla Solidarności, bo nie może ona osiągnąć swego celu, nie może porwać społeczeństwa do walki zbrojnej, bo tego na pewno z rozsądku nie chce, a samo trwanie i czekanie jest przegraną. Ale i władza nie może nic zrobić. Nie może zniszczyć Solidarności, przekonać pałką, więzieniami ani wyrokami, i dlatego ta nierozegrana gra będzie trwała bardzo długo ze szkodą dla Polski. Niektórzy liczyli, i ja sam liczyłem, że władzy wystarczy parę miesięcy na zatrzymanie tego wielkiego rozpadu Solidarności, tego odruchu narodowego i zacnie rozmawiać przy pośrednictwie Kościoła. Zapowiadało się, że Kościół w interesie własnym, w interesie narodowym będzie pośrednikiem i przekonana jednych i drugich, zachęci do kompromisu. I chyba taką rolę chciał Kościół spełnić, ale żadna władza, gdziekolwiek jest, jeśli nie pochodzi z ludu, ze społeczeństwa, nie myśli o kompromisie. I to jest tragedią tej władzy, ponieważ sama także nie jest jednolita. Bez Kościoła, którego przecież nie lubi, nie może się obejść, a nie chce zawdzięczać spokoju narodowego Kościołowi, bo wtedy straciłaby twarz wobec społeczeństwa.

ALFA: — *A czy oni twarz jeszcze mają?*

KOPPA: — Ten kto jej nie ma, a wierzy, że on tylko ma prawo do odnowy, jest biedny. Socjaliści we Francji czy w Niemczech przyszli do władzy po latach przekonywania i w drodze wyborów. Mają kłopoty, ale ze społeczeństwem rozmawiają i społeczeństwo, choć ma takie czy inne pretensje, nie chce ani ustroju zmieniać, ani ludzi wyrzucać czy też siłą zrzucić ze stolca władzy, bo wie, że za jakiś czas przyjdą znów wybory i nastąpi w sposób naturalny wymiana ekipy rządzącej. Może przyjdą mądrzejsi, może lepsi. Natomiast u nas jedynym sposobem zmiany jest siła, jest przewrót zbrojny. Wobec tego, że władza nie chciała ustąpić dobrowolnie i zasłoniła się pepeszą, naród musi czekać. Nie chcąc użyć pepeszy musi czekać, aż władza dojdzie do przekonania: jesteśmy bezsilni, nadzy. Tak, ideowo nadzy. Okazało się, że partia nie wie, o co szło. Bo jeśli po 37 latach wszyscy wystąpili przeciw niej, to znaczy, że rządziła bez zgody narodu i wbrew jego woli. Jeżeli zasłoniła się tylko siłą zbrojną, płataną, to tym gorzej dla niej. I nie ma nadziei, żeby społeczeństwo chciało takiej władzy pilnowanej przez ZOMO słuchać i wierzyć w nią. A przecież, jeśli między władzą a społeczeństwem jest rozbrat tak wielki, to traci na tym naród, traci kraj, traci państwo. Straciliśmy po-

wagę międzynarodową, staliśmy się żebrakiem całego świata, upokorzonym przez przysyłanie paczek. Skoro władza doprowadziła do upokorzenia swojego narodu, tym bardziej oddzieliła się od niego, wykopując jeszcze większą przepaść między sobą a społeczeństwem. Jeżeli nie mogła dać idei, którą by naród przyjął i nie mogła dać chleba, to można zapytać: po cóż ta władza istnieje? Jaką ona rolę spełnia? Czy jest tylko ekspozyturą jakichś wielkich interesów...

ALFA: — *Może zabezpiecza interesy sąsiada?!*

KOPPA: — Interesy obce, sąsiadów, a więc nie może być przyjęta przez społeczeństwo, przez naród. Wobec tego jest poza narodem mimo, że mówiła tyle lat, iż reprezentuje naród i stworzyła jedność narodową. Okazało się jednak, że to wszystko było nieprawdą. Jeśli ktoś mówił tyle lat nieprawdę i potwierdziła się ta nieprawda w drodze dyskusji i naród wykazał, że to co mówiono było kłamstwem, nikt nie uwierzy następnym oświadczeniom, jakie by składała ta sama grupa, ta sama władza. Zmiana nazwisk nie odgrywa roli. Czy Kania będzie sekretarzem partii czy w Radzie Państwa, gdzie go posłano wbrew woli społeczeństwa, to nie zmieni sytuacji. Nikt tym ludziom nie zawierzy, ponieważ zawiedli naród na przestrzeni dziesiątek lat. Zostało to, co było na początku. Zdobyli władzę przy pomocy więzień i strzelania, i utrzymują władzę przy pomocy więzień i strzelania. Taka władza nie może być akceptowana przez naród polski. Może być tylko tolerowana do czasu.

ALFA: — *Gdyby dowiedział się Pan dzisiaj, że wznawiają działalność Solidarności, także Solidarności Rolników Indywidualnych, czy cieszyłby się Pan z tego? Czy jest Pan za reaktywowaniem związku?*

KOPPA: — W dyskusji i w kontaktach z działaczami nalegałem, żeby nie zapomnieli o tym, że związek zawodowy muszą mieć zarówno robotnicy, jak i chłopci. Bałamucą działacze wynajdywani sztucznie, że owszem, związek potrzebny, ale nie polityczny. Ze potrzebny taki, jaki sobie ta władza wyobraża. I zaczynają zgłaszać się już ochotnicy do budowy związku w porozumieniu z władzą rządzącą, w okresie stanu wojennego. Lojalizm części społeczeństwa — zawsze tacy byli — objawia się akceptowaniem tego, co partii potrzebne. To samo zrobiono z tym młodym, biednym Kułajem, który wyszedł bezpośrednio z internowania, z izolacji. Pod wpływem nastroju wyraził przekonanie, że trzeba bu-

dować jedność na wsi, zwalczać tych, co rozbijają wieś i społeczeństwo, a więc wyciągnięto wniosek: on jest teraz za porozumieniem z władzą i tworzeniem związku lojalnego wobec władzy i ustroju. Musiałem zaprotestować, że tak chyba nie myślał, bo związek ma być niezależny i służyć do obrony nie państwa i aparatu państwowego, ale do obrony interesów społecznych, robotniczych i chłopskich. I dlatego, skoro władza boi się społeczeństwa, będzie się bała także związku niezależnego, Solidarności Robotniczej czy Chłopskiej, bo niezależność to jest właśnie dążenie do współdecydowania o losach narodu.

Dlatego też sądzę, że zadaniem i obowiązkiem działaczy społecznych, dziennikarzy, wszystkich, którzy mają poczucie i świadomości są obowiązków wobec przyszłości narodowej, jest przekonanie, że związek taki, który broniłby człowieka pracy — inteligenta, robotnika czy chłopa — jest potrzebny nie tylko dlatego, że jest stan wojenny, lecz przede wszystkim dlatego, że każda władza stara się skupić wszystkie elementy rządzenia w swoim ręku i nie chce się z nikim dzielić. W ustroju demokratycznym tak samo istnieją związki do obrony tych praw. Tym bardziej więc w ustroju dyktatorskim potrzebny jest związek, a nawet wiele związków, które społeczeństwo powinno tworzyć, ażeby władza nie miała monopolu decydowania o losach poszczególnych jednostek i wszystkich warstw społecznych.

Daniel BEAUVOIS

POLACY NA UKRAINIE*

1831-1863

Najpierw powiedzmy, czym nie jest ta książka. Nie jest zbiorem legend. A więc rozprawmy się bez zwłoki z literackimi obrazami Ukrainy.

*Miła oku a licznym rozzywiona płodem,
Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!*

W taki sposób S. Trembecki, jeden z najznakomitszych poetów polskich okresu Oświecenia, wita Ukrainę we wstępie do znanego poematu *Sofiówka* (1806) poświęconego wspinałemu ogrodowi założonemu pod Humanem przez Szczęsnego Potockiego.

Ton został podany. Nuta idylliczna dominowała w polskim mówieniu o Ukrainie i najlepiej stwierdzić od razu, że było to źródło katastrofalnych najczęściej stosunków między Ukraińcami i Polakami. Niech Ukraińcy się nie obrażają, niniejsze studium, jak wskazuje na to tytuł, dotyczy tylko jednego aspektu historii ich kraju: życia, które Polacy wiedli na Ukrainie. Dotyczy więc ono jednej ze stron, lecz nie chce być przez to pracą stroniczną.

Do dzisiejszego dnia Ukraina stanowi dla Polaków temat drażliwy. Emocje zastępują prawdę. Polska obecność na Ukrainie,

* Zamieszczamy wprowadzenie prof. Daniela Beauvois do jego książki „Polacy na Ukrainie. 1831-1863. Szlachta Polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie”, która ukaże się pod koniec br. w Bibliotece *Kultury* w przekładzie Ewy i Krzysztofa Rutkowskich.

na Litwie. Każde jej przypomnienie wkracza w sferę mitu, przytóra należy już tylko do historii, jest podobna polskiej obecności wołuje czar utraconego świata, w którym ongiś żyło się tak szczęśliwie. Niektórzy Francuzi podobnie mówią o Algierii i zobaczymy, że porównanie to nie jest absurdalne.

Śmierć w roku 1980 polskiego pisarza Iwaszkiewicza, urodzonego w roku 1894 w Kalniku pod Kijowem, gdzie jego ojciec, drobny szlachcic, był księgowym w cukrowni, oznacza wyraźnie przecięcie ostatnich związków między kulturą polską a tymi ziemiami, które podlegają obecnie sowieckiemu panowaniu. Stowarzyszenia polsko-ukraińskie istnieją nadal, rocznik *Pamiętnik kijowski* był przez kilka lat wydawany, około roku 1960, w Londynie przez emigrantów pochodzących z tamtych stron, lecz — prawdę mówiąc — nie jest jasne, dlaczego Ukraina nadal wypełnia duszę przeciętnego Polaka nostalgią i czarem.

Jest oczywiste, że źródłem tej pracy nie było irracjonalne przywiązanie do krainy stepowych jeźdźców, do pseudohistorycznych epopoi H. Sienkiewicza, nieskazitelnych bohaterów *Pana Wołodyjowskiego*. Jednak właśnie do takich stereotypów ogranicza się często polska wiedza o Ukrainie. Zresztą Sienkiewicz kontynuował tylko wizję romantyczną. Jeśli jest prawdą, że Polacy pozostali w wieku XX najbardziej romantycznym narodem świata, to zrozumiałe, że Ukraina, chociaż utracona, pozostała im bliska, bo niewiele innych tematów było w stuleciu poprzednim tak silnie eksploatowanych.

Dyskusyjne wizje literackie

Wiele doniosłych polskich utworów romantycznych rozgrywa się na Ukrainie. Polscy romantycy traktowali Ukrainę tak, jak inni Szkocję lub Bliski Wschód. To obszar mitu historycznego i egzotyki. Mityczne obrazy przeniknęły do polskiej podświadomości w latach 1820-1850 i zakorzeniły się w kulturze tego kraju.

Od XVII wieku wokół Ukrainy, w związku z wojnami tatarskimi i kozackimi oraz dzięki poetom takim jak M. Sęp-Szarzyński i B. Zimorowicz, wytwarza się aura „zniszczonej Arkadii”, „raju utraconego”, nostalgii. Nie przeszkadzało to jednak Polakom — już wtedy — w zgodnym podkreślaniu jedności tych obszarów z Polską centralną, ani w głoszeniu teorii *gente Ruthenus i natione Polonus*. Dobrowolna polonizacja kilku arystokratycznych rodów rusińskich dawała prawo do takich spekulacji.

W polskiej podświadomości Ukraina jeszcze dzisiaj stanowi — zgodnie z określeniem J. Kolbuszewskiego — „metaprzestrzeń przygody”. Pozostała taką mimo, a może właśnie dzięki dramatom, które rozgrywały się na tej ziemi wojowniczych mnichów i nieustraszonych rycerzy. Tę ziemię przygraniczną, to „przedmurze chrześcijaństwa” (*antemurale christianitatis*) Rzeczypospolitej Złotego Wieku nazwano po polsku nacechowanym emocjonalnie słowem „Kresy”; Wincenty Pol np. przedstawił je w sposób wzruszający i tragiczny w *Mohorcie*, a Sienkiewicz pod koniec XIX wieku ze swojej *Trylogii* uczynił rodzaj patriotycznej Biblii, gdzie Ukraina zajmowała pierwsze miejsce. Czy można więc się dziwić, że świeżo uformowane oddziały wojska polskiego parły w latach 1919-1920 pod wodzą Piłsudskiego na Kijów i Ukrainę? Wojna polsko-sowiecka była rodzajem spełnienia niewygasłej fascynacji, tkwiącej od wieków w polskim świecie wyobraźni.

Ciekawe, że tragiczna seria wzajemnych zbrodni, które wpłynęły na stosunki polsko-ukraińskie pomiędzy rokiem 1918 i 1939, zbrodni powtarzanych w okresie 1939-1948, nie naruszyła zdecydowanie euforycznej polskiej wizji Ukrainy. Jeśli pewnego dnia sowieckie imperium się rozleci — a marzenia są przecież dozwolone! — już pojednanie obu *frères ennemis* będzie jednym z ważnych czynników stabilizacji w Europie Wschodniej.

Bardzo wczesnie wizja Ukrainy rycerskiej znalazła swój silny rezonans nie w Polsce, lecz w Anglii — Byron nadał jej europejski rozgłos. Napisał poemat pt. *Mazeppa, a tale of the russian Ukraine* w Rawennie, we wrześniu 1818 roku i opublikował go w roku 1819¹. Dzieje tego bohatera, dawnego pазia króla Jana Kazi-

1. Rozumie się samo przez się, że nasze uwagi nie uwzględniają wszystkich aspektów literackiego mitu Ukrainy; analizy takiej dokonał George F. Grabowicz w nieopublikowanej rozprawie pt. *The History and Myth of the Cossack Ukraine in Polish and Russian Romantic Literature* (Historia i mit kozackiej Ukrainy w polskiej i rosyjskiej literaturze romantycznej), Harvard 1975. Chcieliśmy tylko pokazać, jak dalece powierzchowny i niewystarczający jest ów mit dla poznania rzeczywistości społecznej. Claude Nordmann, *La figure historique de Mazeppa* (Historyczna postać Mazepy), w: *L'Information Historique*, nr 2/1959, str. 59-64 oraz rozprawa tego samego autora *Charles XII et l'Ukraine de Mazeppa* (Karol XII i Mazepa na Ukrainie), Paris 1958. Zob. także artykuł K. Peleńskiej, *Polńska legenda pro Mazepu* (Polska legenda o Mazepie) w: „Widnowa”, Monachium, nr 3/1985, str. 79-86; Mit ukraiński przedstawił również J. Kolbuszewski w doskonałym artykule pt. *Legenda kresów w literaturze XIX wieku*, w: „Odra” nr 12/1982, str. 42-56; J. R. Krzyżanowski, *A Paradise Lost? The Image of Kresy in Contemporary Polish Literature* (Raj utracony? Obraz Kresów we współczesnej literaturze polskiej), w: *American contribution to the 8th International Congress of Slavists*, vol. 2, Slavica Publ., Inc. Columbus, Ohio,

mierza, przywiązanego nago do konia, wygnanego w step przez męża swej kochanki i przygarniętego przez Kozaków, którzy później obrali go sobie hetmanem, opisał już w *Pamiętnikach* J. Ch. Pasek, a tragiczna wielkość jego losu pobudziła również wyobraźnię wielu artystów. Muzeum w Nancy przechowuje dwa obrazy przedstawiające Mazepę: jeden Géricaulta z roku 1823 oraz drugi pędzla H. Poterleta. W roku 1824 Delacroix namalował kolejny. W muzeum w Avignon znajduje się płótno Horacego Verneta z roku 1826, zatytułowane *Mazepa pośród wilków*, a w muzeum w Rouen obraz Louisa Boulangerera zatytułowany *Mazepa*, którym zachwycał się Wiktor Hugo. Widzimy na nim muskularnych „Tatarów” powstrzymujących wędzidło konia, do którego przywiązany jest Mazepa, zazdrosnego męża oglądającego tę scenę i kruki czyhające na swój łup.

Wiktor Hugo napisał pod wrażeniem tego obrazu jeden ze swych najpiękniejszych wierszy z cyklu *Orientales*:

*Un cri part, et soudain voilà que la plaine
Et l'homme et le cheval, emportés, hors d'haleine,
Sur les sables mouvants
Seuls, emplissant de bruit un tourbillon de poudre
Pareils au noir nuage où serpente la foudre
Volent avec les vents!
Ils vont. Dans les vallons, comme un orage, ils passent
Comme ces ouragans qui dans les monts s'entassent
Comme un globe de feu...*

(„Rozległ się krzyk i nagle na bezludnej równinie / [zjawili się] i człowiek, i koń unoszeni bez tchu / Na ruchomych piaskach / Samotni, wypełniając stukotem tumany kurzu / Podobni do czarnej chmury lub gromowego węża / Lecieli wraz z wiatrem! / Lecieli. Przebiegali parowy jak burza / Jak huragany, które gromadzą się w górach / Jak ognista kula!”).

str. 391-421. Sienkiewiczowska idealizacja polskich wpływów na Ukrainie została zanalizowana przez Zb. Wójcika, *Dzikie Pola w ogniu. O kozaczyźnie w dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1968. Rozwój niezależnego obiegu wydawniczego w Polsce umożliwił ostatnio ukazanie się bardzo bolesnego, ale też bardzo trzeźwego bilansu stosunków polsko-ukraińskich w wieku XX, który powinien przyczynić się do przewyciężenia idyllicznego mitu. Por. K. Podlaski (pseud.), *Białorusini, Litwini, Ukraińcy: nasi wrogowie czy bracia?*, wyd. II, „Przedświt”, 1984, str. 49-84.

Ten bieg przekształca się w końcu w triumf geniuszu:

*Il court, il vole, il tombe
Et se relève roi!*

(„Biegnie, leci, pada / I powstaje królem!”).

Popularność tego motywu zwiększała się: odnajdujemy go i w *Pottawie* Puszkina, i na obrazie Chasseriau z roku 1855 pt. *Une jeune fille cosaque trouve Mazeppa évanoui sur le cheval sauvage mort de fatigue* (Młoda Kozaczka odnajduje zemdlonego Mazepę na dzikim koniu padłym ze zmęczenia). Jeszcze w roku 1870 Devilly wyzyskuje go w swoim malarstwie, również muzyka romantyczna czerpie zeń inspirację: Liszt, po powrocie z Kijowa w roku 1847, gdzie spotkał swą Mużę, Karolinę Sayn-Wittgenstein, napisał dedykowany jej poemat symfoniczny pt. *Mazepa*. Pedrotti skomponował operę w roku 1861, także Czajkowski napisał operę pod tym tytułem w roku 1884. W Niemczech Mazepa stał się bohaterem tragedii R. von Gottschalla, napisanej w roku 1859.

Zrozumiałe, że w Polsce ten motyw również zyskał dużą popularność, co więcej Polacy, podobnie jak Rosjanie (Gogol poświęcił Ukrainie bardzo piękne stronic), znający lepiej realia ukraińskie, rozwinęli ten temat w sposób bardziej różnorodny. W roku 1822 poeta B. Zaleski rozpoczął pisanie *Dumkę*, posługując się folklorystyczną stylizacją; napisał m.in. *Dumkę o Mazepie*, *Dumkę o hetmanie Kosińskim*; uderzającym żywiołowością, radością życia i lekkością przypominającą tonacją pastorałki. Nieco później A. Malczewski nadał tematyce kozackiej nowy wymiar. Obraz pędzącego jeźdźca połączył z ideą wolności oraz pamięcią o chwale dawnych Polaków, których kości zalegają w stepie. Swój obszerny poemat w dwóch pieśniach pt. *Maria* (1825) oparł na autentycznej historii z XVIII wieku: dziewczynę pochodzącą ze średniej szlachty topi ojciec jej narzeczonego, potężny magnat, sprzeciwiający się małżeństwu syna. W tym samym czasie bohater poematu dzielnie stawia czoła w wielkiej bitwie z Tatarami.

Inni autorzy, jak np. T. Zaborowski (*Pienia*) pisywali liczne utwory w stylu ludowym, wyzyskując do tego celu język ukraiński, ale dopiero S. Goszczyńskiemu w *Zamku kaniowskim* (1828) udało się przedstawić społeczną rzeczywistość, okrucieństwo konfliktu pomiędzy pańszczyźnianym chłopstwem i szlachtą. W poemacie tym wątek miłosny łączy się w obrazami okrutnej rzezi szlachty urządzonej przez chłopstwo humaniskie w roku 1768

i ujawnia tragizm sytuacji społecznej. Dlatego też historycy literatury nie zawsze pozytywnie oceniają ten utwór, pełny szekspirowskiego piękna. J. Krzyżanowski uważa np., że jest to poemat nie pozbawiony „pewnej” wartości artystycznej, mimo fragmentów słabszych².

Po Powstaniu Listopadowym do literatury wkroczył nowy bohater: „emir” Wacław Rzewuski, znany ze swoich orientalnych zamiłowań i koczowniczego usposobienia. Poległ w bitwie pod Daszowem na czele polskiego oddziału i jego tajemnicza śmierć (ciało nigdy nie zostało odnalezione) stała się źródłem nowej legendy³. Juliusz Słowacki nie wierzył co prawda w jego bohaterską śmierć na polu chwały i w *Dumie o Wacławie Rzewuskim* hetman ginie z rąk zbuntowanego chłopstwa. Słowacki, zadowolony na Ukrainie nie mniej niż bohater jego dumy, jest bez wątpienia poetą, którego wizja tej krainy najsilniej wrosła w polską świadomość.

W latach trzydziestych pojawiał się też często w literaturze inny bohater mityczny: bard Wernyhora, który stał się znany na Ukrainie w czasach Konfederacji Barskiej i odkrywał w serii zadziwiających prorocत्व wielką misję historyczną Polski. Postać Wernyhory odnajdujemy w utworze Siemieńskiego, w powieści rycerskiej M. Czajkowskiego (Sadyka-Paszy) zatytułowanej *Wernyhora* (1838), a przede wszystkim w dramacie *Sen srebrny Salomei*, w którym Słowacki przedstawia Ukrainę w sposób bardzo poetycki: światem duchów rządzi tragizm i groza, pełno tu tajemnych znaków, przepowiedni, wróżb, postaci Kozaków. Jedną z nich, postać Semenki, stała się pierwowzorem sienkiewiczowskiego Bohuna. Wernyhore odnajdujemy na obrazach J. Matejki, pojawia się on również w słynnym *Weselu* S. Wyspiańskiego.

Krytycy bardzo wcześnie zauważyli, że w polskiej poezji istnieje odrębna „szkoła ukraińska”. Terminu tego użył po raz pierwszy Michał Grabowski⁴, a następnie odnosi się on do idealizują-

2. J. Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej*, PWN, Warszawa 1970, str. 261. Opinia Marii Janion o S. Goszczyńskim jest znacznie bardziej wyważona, zob. *Kozacy i górale*, w: *Z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich*, red. S. Kozak, M. Jakubiec, „Ossolineum”, Wrocław 1974, str. 185-171.

3. M. Inglot, *Wacław Rzewuski. W kręgu żołnierskiego mitu*, w: „Ruch Literacki” nr 5-6/1982, str. 265, 272-273.

4. M. Grabowski, *O elemencie poezji ukraińskiej*, w: *Literatura i krytyka*, Wilno 1837, cz. II, str. 106; M. Bielanka-Luftowa, *Znaczenie terytorium w tzw. szkole ukraińskiej*, w: „Pamiętnik Literacki”, R. 33, 1936, zes. 2; S. Kozak, *Dzereła „Ukrajniński szkoły” w polskiej literaturze* (Dzieła „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej), w: „Nasza Kultura”, 1970, nr od 4 do 7, tenże *Michał Grabowski i ukraińska poezja ludowa*, w: *Studia polono-slavica-orientalia*, VII, 1982, str. 161-185.

cych szlachecką przeszłość powieści Czajkowskiego *Owrużanin* (1841) lub *Stefan Czarniecki*. Słowacki powracał w wielu utworach pisanych na emigracji do swego rodzinnego Wołynia: najpierw w *Zmii*, później w *Beniowskim*, w *Wacławie*, w pięcioaktowym dramacie *Mazepa*, dwukrotnie zresztą przerabianym, a przede wszystkim w *Fantazym*, który — choć pisany z oddalenia — jest sztuką łączącą w jedną całość realia życia ukraińskiej arystokracji z fantastyką⁵, dzięki właściwemu Słowackiemu zmysłowi obserwacji. Również język Słowackiego obfituje w ukrainizmy⁶.

Niektórzy polscy emigranci w Paryżu, jak np. J. Czyński, próbowali w roku 1836 lansować modę ukraińską we Francji powieścią pt. *Le Kozak, roman historique* (Kozak, powieść historyczna⁷), później tradycje ukraińskie były kultywowane w małej grupie poetów-emigrantów z okolic Lwowa; członkowie tej grupy o nazwie „Ziewonia” oddalali się od kultury polskiej, poszukując w ludowej kulturze ukraińskiej samoistnej wartości.

Aż do początku XX wieku mamy zatem przez cały czas do czynienia z tym samym emocjonalnym odczuwaniem Ukrainy przez Polaków. Ciągła wylewna czułościowość, oddziaływanie poezji epickiej lub lirycznej. Malarstwo J. Kossaka lub J. Chełmońskiego (1849-1914) nie umożliwiła przekroczenia kręgu mitu. Najbardziej realistyczne są obrazy Wyczółkowskiego, który w roku 1912 przedstawił 12 litografii (*Teka ukraińska*) pokazujących sceny z życia codziennego, jak np. *Orka na Ukrainie* (1893), *Siewcy na Ukrainie* lub *Łowienie raków* (1896). Kasprowicz nawiązał do powstania Chmielnickiego w utworze pt. *Bunt Napierskiego* (1899), ale ogólnie dominował ton nostalgii i tęsknoty, kontynuowany w *Dumach kurhannych* K. Zawistowskiej i w malarstwie Fałata⁸.

Jeśli zaś chodzi o mitologizację Ukrainy w literaturze polskiej wieku XX, to jest ona wręcz zaskakująca. „Ukraińcy — pisał T. Konwicky w powieści *Kalendarz i klepsydra* — obdarzali nas również wycuciem poezji, dojmującą dziką nostalgią i tą stopową metafizyką, co uskrzydla nasz zawsze zły los”. Gdy ziemia

5. M. Inglot, *U źródeł „Fantazego”*, w: „Zeszyty Naukowe UJ”, Filologia, nr 1, Kraków 1955; tenże, *Realia „Fantazego”*, w: „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Wrocławskiego”, seria A, nr 32, 1961, str. 35-90.

6. M. Jurkowski, *Ukrainizmy w języku Słowackiego*, w: *Z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich*, op. cit., str. 105-133.

7. M. Inglot, *Ukraińska piosna nad Sejnoju* (Pieśń ukraińska nad Sekwaną), w: *Ukraińskie słowianoznawstwo* nr 3/1970, str. 71-78.

8. Z. Barański, *Obraz Ukrainy w kulturze polskiej na przełomie XIX i XX wieku*, w: *Z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich*, op. cit., str. 221-239.

ukrainne oddaliły się od Polski jak nigdy przedtem, powstała, w ostatnich dziesięcioleciach, lawina utworów literackich poświęconych dawnym stosunkom. Włodzimierz Odojewski świetnie zrecenzował dziesiątki powieści świadczących o niepokonanej żywotności tematyki ukraińskiej we współczesnej „szkole kresowej”⁹.

Powrót do dokumentów

Czy historyk może zaufać tego rodzaju świadectwom? Jaka rzeczywistość ukrywa się w tych baśniach, pastelowych obrazkach, kolorowanych freskach? Kim byli naprawdę Polacy na Ukrainie w czasach powstawania legend i pięknych malowanek? Jak rzeczywistość wyglądały stosunki między Polakami, Ukraińcami i Rosjanami, którzy przecież po drugim i trzecim rozbiore władali tymi ziemiami? Jacy byli naprawdę Kozacy, tak chętnie opisywani w literaturze?

Ciekawe, że żadna z dotychczasowych syntez historycznych nie podejmowała takich pytań. Tę właśnie lukę będziemy starali się wypełnić. Opuścimy zatem wyżyny mitu, aby zstąpić do rzeczywistości ukrytej w archiwach.

Okres 1831-1863 jest okresem wielkiej zmiany. Przed rokiem 1831, mimo rozbiorów, niewiele się zmieniło i Polacy zamieszkujący Ukrainę mogli zachować swój byt. Polskość stała się dla Rosjan czymś podejrzanym dopiero po Powstaniu Listopadowym i to zasadniczo wyjaśnia, jak zobaczymy, przyczyny nikłych przejawów polskiego patriotyzmu na tych terenach w czasie Powstania Styczniowego.

Obszar badawczy, którym będziemy się zajmować, jest bardziej ograniczony, niż sugeruje to tytuł rozprawy. Nie znajdziemy w niej niczego, co dotyczyłoby Galicji Wschodniej. Stosunki między Polakami i Ukraińcami pod zaborem austriackim ewoluowały w sposób tak szczególny, że ich opisanie wymaga osobnej rozprawy. Nasze studium dotyczy jedynie obszarów Ukrainy anektowanych przez Cesarstwo Rosyjskie w roku 1793 i 1795, to znaczy trzech guberni, kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. Obszar ten został przez Rosjan nazwany „regionem południowo-zachod-

9. W. Odojewski, *Polsko-ukraińska tematyka w sučasnij polskiej prozi* (Tematyka polsko-ukraińska we współczesnej prozie polskiej), „Widnowa” nr 3/1985, str. 63-78. Zob. również: Nina Taylor, *Dziedzictwo kresowe w literaturze emigracyjnej*, w: *Akta Kongresu Kultury Polskiej w Londynie, 14-20 września 1985 r.* (maszynopis).

nim" (*južno-zapadnij kraj*). Przez mieszkańców nazywany był często „prawobrzezną Ukrainą” (chodzi o brzeg Dniepru), w odróżnieniu od Ukrainy wschodniej, która dostała się pod rosyjskie panowanie w wieku XVII. Będziemy wymiennie używać nazw Ruś i Ukraina oraz przymiotników rusiński i ukraiński.

Gdybyśmy szukali śladów obecności Polaków na Ukrainie pomiędzy rokiem 1831 i 1863 w opracowaniach historycznych, opublikowanych przez Ukraińców, nie znaleźlibyśmy ich wiele: kilka nazwisk, kilka drobnych wzmianek, to wszystko¹⁰. W polskich pracach historycznych dotyczących tego okresu informacje są również zadziwiająco niepełne, jak gdyby historycy chcieli do pamięć o tamtejszych Polakach powinna zniknąć na zawsze. Informacje w nich zawarte dotyczą jedynie walk w 1831 roku, organizacji politycznej Szymona Konarskiego, życia literackiego i kontaktów z rewolucjonistami rosyjskimi¹¹. Jedynym poważnym studium jest książka Jana Tabisia pt. *Polacy na Uniwersytecie Kijowskim*, która ukazała się w Krakowie w roku 1974. Liczne książki i artykuły odnotowane poniżej w przypisach, dotyczą spraw szczegółowych, najczęściej życia politycznego lub kulturalnego — Ukraina pojawia się w nich tylko okazjonalnie.

Materiały takie nie wystarczają do napisania studium o nastawieniu socjologicznym, co sobie założyliśmy. Bogata literatura pamiętnikarska i wspomnieniowa (do której również odsyłamy w przypisach) umożliwi w jakimś stopniu takie nastawienie, ale nie rozwiązuje zasadniczych problemów. Specyficzne społeczeństwo wymaga badań szczegółowych, to sprawa trudna do zrozumienia dla czytelników zachodnich, ponieważ cała ludność polska zamieszkująca Ukrainę legitymowała się herbem szlacheckim: należała bądź do *szlachty*, bądź do *magnaterii*. Bardzo liczne prace napisane w latach ostatnich o tej grupie społecznej, która odegrała w dziejach Polski zasadniczą rolę, nie są jednak zbyt pomocne w zrozumieniu społeczności wchłoniętej przez imperium rosyjskie.

10. M. Hruszewsky, *Abrégé de l'histoire de l'Ukraine* (Krótka historia Ukrainy), Paris, Genève, Prague, 1920; F. O. Jastrebow, *Ukraina w perszij połowyni XIX stolittia*, w: *Narysy z istoriji Ukrainy*, Wyp. 8, U.A.N., Kijów, 1938, str. 274. Z prac nowszych zob. *Istorija Ukrainjskoji RSR* (oprac. przez Akademię Nauk Ukrainy), dwa tomy, Kijów 1967; A. H. Szelewel i in., *Istorija Ukrainjskoji RSR w wosmy tomach*, Kijów, wyd. „Naukowa Dumka”, 1978, tom 3.

11. L. Podhorodecki, *Zarys dziejów Ukrainy*, 2 tomy, Warszawa 1976 i W. Serczyk, *Historia Ukrainy*, „Ossolineum”, Wrocław 1979; S. Kieniewicz, *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1820-1870*, w: *Sesja naukowa w trzechsetną rocznicę zjednoczenia Ukrainy z Rosją 1654-1954*, Warszawa 1956, str. 131-157.

Kilka cennych przesłanek badawczych zawiera znakomita książka Jerzego Jedlickiego¹².

Trzeba od razu zaznaczyć, że poszukiwanie analogii między szlachtą polską i szlachtą zachodnioeuropejską byłoby zajęciem raczej bezskutecznym. Integralność szlachty francuskiej, dla przykładu, była zagrożona od XVIII stulecia, podczas gdy w Polsce, pozbawionej praktycznie burżuazji, szlachta odgrywała nadal pierwszoplanową rolę jeszcze w wieku XIX. W okresie, którego dotyczy nasze studium, rząd polski nie istniał, szlachta nie dysponowała również żadnym ośrodkiem narodowej centralizacji, a rozwój przemysłu, prawie zerowy, nie zagrażał żadnym strukturom. Kilku teoretyków, jak Kołłątaj lub Staszic, próbowało, naśladowując Sieyès'a, przezwyciężyć ten zastój w roku 1791, ale ich próby poszły w zapomnienie, a stan szlachecki nadal skupiał prawie wszystkich ludzi wolnych, to znaczy nie podlegających pańszczyźnie. Słownictwo potwierdza tę specyfikę. To samo słowo polskie „naród” oznacza *społeczeństwo* (la nation) i *szlachtę* (la noblesse). To samo słowo „obywatel” oznacza *osobę prawną* (le citoyen) i *szlachcica* (le noble). Ideologia szlacheckiej równości, znana już w wiekach poprzednich, lansowała co prawda hasło: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”, ale — jak zobaczymy później — w omawianym okresie drobną szlachtę i ziemiaństwo dzieliła wielka przepaść.

To, co było dla szlachty francuskiej powodem do dumy: służba rządowi, szczególnie zaś służba wojskowa, polską szlachtę napawało trwogą, ponieważ podlegała ona rządowi zaborcy, w tym przypadku Rosji. Główny więc problem, który trzeba rozstrzygnąć, aby zrozumieć specyfikę tej grupy, dotyczy relacji między szlachtą i rządem zaborczym. W jaki sposób tradycyjna wrogość szlachty, datująca się od wieku XVII, w stosunku do silnej władzy królewskiej i skłonność do warcholstwa mogły współistnieć czterdzieści lat po rozbiorach z rosyjskim absolutyzmem?

Nie można było mieć jasnego obrazu tego społeczeństwa bez dotarcia do jego własnych zwyczajów, to znaczy bez przestudiowania na miejscu, w Związku Sowieckim, dokumentów sejmików szlacheckich, korespondencji marszałków szlachty z ich podwładnymi, właścicielami ziemskimi, administracją carską wreszcie. Równie ważne było spojrzenie na tę grupę społeczną od strony urzędników rosyjskich.

Każdą gubernią zarządzali gubernatorzy cywilni, dublowani

12. J. Jedlicki, *Klejnot i bariery społeczne*, Warszawa 1968, szczególnie strony: 243-275, 298, 325, 352, 366. W obszernych przypisach znajdujemy przydatne informacje dotyczące szlachty.

często przez gubernatorów wojskowych, stacjonujących w trzech stolicach gubernialnych: Kijowie, Żytomierzu i Kamieńcu. Siedzibą generał-gubernatora, któremu podlegali gubernatorowie cywilni, był Kijów. On z kolei podlegał bezpośrednio w Petersburgu *Komitetowi Guberni Zachodnich*. Ta instytucja zarządzała byłymi ziemiami Rzeczypospolitej, czyli dziewięcioma guberniami (trzema na Ukrainie i sześcioma na Litwie i Białorusi).

Do tych rządowych archiwów rosyjskich o doniosłym znaczeniu i polskich dokumentów szlacheckich należało więc dotrzeć i udało się to osiągnąć dzięki umowie naukowej między francuskim ministerstwem spraw zagranicznych i Akademią Nauk ZSSR. Mogłem dzięki temu pracować w Centralnym Archiwum Ukrainińskiej Republiki Sowieckiej w Kijowie (przede wszystkim studiować akta kancelarii kolejnych generał-gubernatorów), w archiwach lokalnych (obwodu kijowskiego), miałem też dostęp do kilku dokumentów z archiwów lokalnych w Winnicy i Żytomierzu; pracowałem również nad aktami *Komitetu Guberni Zachodnich* w Centralnym Archiwum Historycznym ZSSR w Leningradzie. Odpowiednie sygnatury znajdują się w przypisach.

Większa część materiału źródłowego nie była publikowana, musiałem więc dokonać tłumaczeń z rosyjskiego.

Odziedziczone z przeszłości rozwarstwienie szlachty polskiej na Ukrainie jest, jak zobaczymy, zgodne z podziałem A. Zajączkowskiego¹³, to znaczy, że zamieszkiwała tu, podobnie jak na innych ziemiach polskich, *szlachta bezrolna*, znacznie bardziej liczna niż gdzie indziej, niewielka grupa *szlachty brukowej*, przede wszystkim zaś *szlachta czynszowa* (opłacająca czynsz za dzierżawioną ziemię) oraz *szlachta służebna* (sprawująca różne funkcje po dworach). Panowanie rosyjskie przyniosło istotną zmianę polegającą na tym, że tylko warstwy szlachty, które mogły być zaliczone do grupy właścicieli ziemskich, od najmniejszych (*szlachta zagrodowa, cząstkowa*, dysponująca tylko niewielkimi gospodarstwami), do największych (*szlachta folwarczna, magnateria*) zostały potraktowane jako jedna całość posiadająca prawa obywatelskie, przysługujące w Rosji szlachcie rodowej (*dworianstwo, dworianskoje sostowie*).

Nasze studium składa się z czterech części: pierwsza określa miejsce Polaków wśród rdzennej ludności ukraińskiej (rusińskiej), trzy pozostałe dotyczą szlachty jako grupy społecznej. Szlachcie bezrolnej poświęcona jest część druga. Szlachcie posiadającej natomiast — części trzecia i czwarta.

13. A. Zajączkowski, *Główne elementy kultury szlacheckiej w Polsce*, Warszawa 1961.

Wypadnie z pewnością żałować, że na kartach tej książki nieobecna jest ludność żydowska, liczniejsza na Ukrainie niż Polacy. Wspólnocie żydowskiej zamieszkującej te ziemie należy się oddzielne studium, które trzeba będzie w przyszłości napisać¹⁴.

Książkę tę napisał Francuz, z czego wynikają oczywiste konsekwencje. Przedstawione interpretacje chcą — co często nie jest łatwe — pozbyć się narodowych stronniczości; możliwe, iż dystans zmienił perspektywę — stał się przyczyną nieuniknionych pomyłek, ale być może tylko autor francuski mógł dotrzeć do tej martwej planety, dogrzebać się do tego zapomnianego świata. Młyn historii stał skutecznie z powierzchni ziemi sporo różnych kultur. I nie trzeba ich koniecznie szukać aż w cywilizacjach prekolumbijskich. Na obrzeżach Europy powolna lecz przeraźliwie skuteczna biurokracja carska wymazała jedną z nich. Jedna przestarzała doktryna imperialna ustąpiła miejsca innej, całkiem nowej, wprowadzającej odmienny porządek. Byłbym rad, gdyby w jakimś stopniu udało mi się pokazać nieuchronny i pełen czaru schyłek pierwszej, a także zdemontować i zademonstrować bezlistosny mechanizm drugiej.

Daniel BEAUVOIS

14. Kilka prac dotyczących tego bardzo specyficznego tematu jest albo zbyt wąskich, zob. W. Rybickij, *Jewrejski chłiborobski koloniji na Kyjiw-szczyni, Wołyni ta Podolli w połowyni XIX stolittia* (Kolonie żydowskie na Kijowszczyźnie, Wołyniu i Podolu w połowie XIX wieku), w: *Zbirnyk prac jewrejskoji Istoryczno-Archeograficznoji Komisiji U.A.N.* (Zbiór prac Żydowskiej Komisji Historyczno-Archeograficznej), vol. 2, Kijów 1929; bądź zbyt jednostronnych: Mychajło Drahomanow, *Ewreji i Poljaki w Jugo-zapadnom Kraje* (Żydzi i Polacy w guberniach południowo-zachodnich), w: *Politiczeskoje soczinienia (Dziela polityczne)*, tom 1, Moskwa 1908.

WSPOMNIENIA

Stanisław WACHOWIAK

WOJNA I OKUPACJA 1939-1945

Punktualnie o godzinie 5-ej rano zbudziłem się przerażony wybuchami bomb, którymi najwidoczniej Niemcy niszczyli lotnisko katowickie. Było jasne, że wojna się rozpoczęła.

Schrony nasze były starannie przygotowane i już o 6-ej rano urzędnicy znaleźli się w podziemiach naszych gmachów. Rzecz szczególna, Niemcy nie ruszyli miasta, więc powoli zaczęliśmy wychodzić na ulice. Plotka szalała. Wiedziałem, że dużej części urzędników nie było można wierzyć. Tak było na Śląsku: im więcej ktoś krzychał patriotycznie, tym mniej był pewny. Przekonany byłem, że za kilka dni miasto zajęte będzie przez Niemców. Z naszej strony na agresję nie widać było żadnej odpowiedzi, przynajmniej chwilowo. Przygotowałem z radcą prawnym plenipotentje dla kompetentnych urzędników, którzy Katowice nie opuszczali. W południe pojechałem do kancelarii marszałka Sejmu, Konstantego Wolnego, który sporządził odpowiedni akt rejentalny.

Następnie zdecydowałem z żoną wyjechać do Warszawy, a nie do Krakowa, jak była przepisana marszruta województwa. Mieliliśmy stałe mieszkanie w Warszawie przy ulicy Koszykowej 6, z którego jednak już skorzystać nie mogliśmy.

Wyjeżdżaliśmy w piękny wrześniowy dzień na Jędrzejów — Kielce. Niemcy buszowali bezkarnie dziesiątkami maszyn w powietrzu, bo lotnictwo nasze praktycznie prawie nie istniało. Podróż była nieprzyjemna i co chwila zagradzano nam drogę. Stroną przyjemną w tej makabrycznej podróży było, że urzędnicy i policja znali mnie z nazwiska i pomagali jak mogli. Pod wieczór dobrnęliśmy do Jędrzejowa, gdzie w pobliżu czcigodnego klasztoru było nadleśnictwo, i gdzie znaleźliśmy gościnę na noc. Pierwszy raz widziałem nadleśnictwo w dawnej Polsce kongresowej. Piszę o tym, gdyż uderzyła mnie biedota budynków w stosunku do ziem zachodniej Polski. Tam nadleśnictwa były oazami kultury. Ludzie przyjęli nas gościnnie i serdecznie i muszę powiedzieć — byli nieopisanie dobrzy.

Dojechaliśmy w sobotę 2 września do Kielce. Zrozumiałem, że potężne lotnictwo niemieckie w ciągu kilku dni będzie w stanie unieruchomić życie ludności całego kraju: jednego tylko dnia w Kielcach było kilkanaście nalotów. Na razie bombardowane były węzły kolejowe i stacje, na miasto padło kilka bomb dla wywołania paniki i przestraszenia ludności.

Mój nowy Mercedes-Benz przestał mi tego dnia służyć. Okazało się, że zniknęły wszystkie zapasy benzyny. Jechałem więc do Warszawy wozem jednego z mych urzędników. Było nas w tym wehikule dziesięć osób. Jechaliśmy nocą chłodną lecz piękną; po drodze sytuację ratowały posterunki starszych chłopów przy mostach, budynkach, stacjach. Była to jedyna akcja, która została mi w pamięci po tym widocznym braku przygotowania do wojny. Oczywiście mówię o aspekcie technicznym, bo wiadomo, że postawa wojska była wspaniała, jak zawsze w Polsce. Ale to na nic bez pomocy technicznej, co dla każdego laika musiało być jasne, o czym zresztą fachowi znawcy sztuki wojennej napisali biblioteki. Tu ciśnie mi się pod pióro wszystko to, co nas zgubiło.

Warszawa, miasto milionowe, było jak wymarłe. O godzinie 2-iej w nocy zajechaliśmy do Hotelu Bristol. Był to obraz przykry i niezapomniany. Cudowna nasza stolica bez światła elektrycznego, oświetlona blaskiem księżyca, wyglądała jak miasto umarłych.

Nazajutrz, w niedzielę, z żoną i bratem Andrzejem wyjechaliśmy do Podkowy Leśnej, gdzie ulokowała się córka z jednoroczną wnuczką. Umierała ze strachu, bo zięć przyłączył się do jakiejś formacji a o nas nie było wiadomości. Szczęśliwie odkryliśmy ją w jakimś domku przy stacji elektrycznej kolejki

EKD. Zdecydowałem przeniesienie jej do willi położonej w lesie, gdzie nie groziły naloty niemieckie.

Następnie skontaktowałem się w Warszawie z Andrzejem Wierzbickim, A. Falterem i Edwardem Natansonem. Postanowiliśmy, że zostajemy w Warszawie, nawet przysięgając sobie wzajemnie. Nazajutrz na obiedzie w Bristolu spotkałem po raz ostatni w życiu starego przyjaciela, generała Sikorskiego. Z rozgoryczeniem opowiadał mi, że nie ma dotąd żadnego przydziału, zgłosił się z propozycją prowadzenia obrony stolicy lecz nie dostał odpowiedzi.

Z przysięgami różnie bywa. We wtorek miało być zebranie Centralnego Związku Przemysłu Polskiego na Chmielnej. Okazało się, że nie ma kompletu, ale dla dania dobrego przykładu postanowiono, że zebranie odbędzie się. Wybrano mnie przewodniczącym. Około południa padła pierwsza bomba wielkiego kalibru na most Poniatowskiego. Referent niczym nie poruszony mówił dalej, imponujący człowiek. Był to dyrektor Centralnego Związku, Jastrzębowski, który mówił o nowej ustawie o ubezpieczeniach podczas wojny. Dziś wydaje się to groteską, lecz jest to dowód zimnej krwi stolicy.

Tego dnia w Alei Róż nr 2 ostatni raz widziałem się w Polsce z A. Falterem. Daliśmy sobie powtórnie słowo, że kraju nie opuścimy. Nazajutrz dowiedziałem się, że cała nieomal rada Banku Polskiego wyjechała jako *custodia* złota w kierunku na Rumunię. A. Falter na pewno dobrze uczynił, gdyż byłoby mu trudno przeżyć te czasy. Imponował mi Natanson, który, mając wszystkie możliwości, ani słyszeć nie chciał o opuszczeniu Warszawy.

I ja słowa dotrzymać nie mogłem — jeżeli chodzi o Warszawę. Wśród wielu bowiem rozporządzeń radiowych pewnej nocy nakazano ewakuację starszych mężczyzn z Warszawy, *cui bono*, nie wiem. Wyjechałem nocą 6 września w kierunku na Siedlce. Liczyłem, że tam zatrzymam się u mego brata Jana, który był delegowany przez firmę „Polskarob” na Podlasie, dokąd przewiózł z Gdyni kilka wartościowych motorów i maszyn.

Drogi do Siedlec opisać się nie da. Koszmarnie wyglądały te niekończące się szeregi ludzi uciekających nie wiedzieć dokąd i po co, aby jutro przeżyć piekło jeszcze gorsze od dzisiejszego. Sznury samochodów. Po polach i rowach leżały trupy ludzi, zwierząt i setki samochodów, które odmówiły posłuszeństwa. Nikt nie utrzymywał porządku. Wszystko uciekało w popłochu, aby jak najdalej, aby dotrzeć do jakiegos miasteczka, gdzie bez-

pieczeństwo wydawało się większe, no i były możliwości apro wizacji.

Wśród nieopisanych przeżyć dotarliśmy do Siedlec. Odszu kałem brata Jana, posiliłem się w żydowskim hotelu, naradza łem się z bratem co robić. Niemcy, w przeciwieństwie do pierw szych trzech dni, zaczęli teraz z niska ostrzeliwać miasta, a spe cjalnie pociągi, którymi ewakuowano rodziny urzędników, głównie policjantów z zachodniej Polski. Kiedy przyjechaliśmy, właśnie padły bomby na rogatki miasta. Muszę powiedzieć, że postawa ludności miejscowej była imponująca. Widząc nieszczę ście uciekinierów, nikt nie chciał się ruszać ze swych siedzib, i słusznie. Okazało się, że masowe ewakuacje z Poznańskiego i Pomorza były bezrozumne i, co gorsza, bez żadnego przygotowa nia. Było to jedno z dodatkowych nieszczęść i kosztowało życie tysiący kobiet i dzieci.

W Siedlcach był odcinek prawdziwej wojny, którą sam wi działem. Jedno co pocieszało, to obywatelska postawa społeczeń stwa. Cóż to za wspaniały naród, który tak potrafił się zach ować w obliczu bezprzykładnej, żywiołowej klęski, jaką była wojna hitlerowska. Gdyby taki naród miał lepszych wodzów, może nie byłby wojny wygrał, ale nie miałby takich ofiar w ludziach i dobytku.

W tych warunkach nie było co zostawać w Siedlcach. Brat miał siedem kilometrów od miasta znajomych, Stencłów, na wsi, w Zelkowie. Gospodarzyli tam na niewielkim, ale żyz nym, wydzierzawionym folwarku. Pojechaliśmy dorożką, choć Niemcy ostrzeliwali z samolotów szosę i musieliśmy się kryć pod drzewami.

Stary, zaniedbany drewniany dwór w Zelkowie gościł już kilku uciekinierów z Poznańskiego lecz i nas sercem przyjął. Mieliśmy kilka dni odpoczynku. Pan Stencel wysyłał co dzień do miasta umyślnego posłańca na motocyklu po wiadomości, które były coraz groźniejsze. Niemcy kilku klinami posuwali się w głąb kraju a samoloty nie ograniczały się już do obiektów kolejowych lecz rzucały bomby na bezbronne miasta i miasteczka. W Siedlcach około 10 września zginęło 1.300 niewinnej lud ności cywilnej, przeważnie kobiet i dzieci. Ludziom i mnie za częły spadać łuski z oczu, zrozumieliśmy, że to nie będzie jedna ze zwykłych wojen, jakie znaliśmy z historii. Rozpoczął się *furor teutonicus* — nie znany w dziejach.

Podlasie jest piękne, nigdy też nie zapomnę uroczego krajo brazu i dobroci jego ludzi. Stary Żyd, jakby ze sztychu który zdobił ściany starego dworu, zajęty był właśnie zbieraniem

jabłek w sadzie, który dzierżawił. Miał dziewięcioro dzieci i biedę, ale „żyje się dobrze” — opowiadał. Biedny Szmul; gwarzyliśmy sobie i obaj nie przypuszczaliśmy jak to długo potrwa i że on z dziećmi, które kochał nie doczekają końca wojny.

Okrążając łukiem Warszawę oddziały hitlerowskie zbliżały się do Siedlec. Stenclowie zdecydowali wyjechać ze swymi przyrządowymi gośćmi w głąb Podlasia, gdzie nie było szos i gdzie, jak sądzili, można będzie przeczekać rozwój wypadków. Naładowali dwa duże wozy żywnością, przede wszystkim mąką i mięsem i zabrali dużo koców. Zostawili dwór i dobytek, wyruszając do majątku Uniwersytetu Warszawskiego, zdaje się Olszyny.

Nocy takiej, jak na Podlasiu, w życiu nie widziałem. Niemcy zdawali się odpoczywać i wojny nie było słychać. Wszystkie nasze obliczenia strategiczne (Stencel był oficerem kawalerii, inwalidą) zawiodły haniebnie. Żelków nigdy dotąd nawet małej potyczki nie widział, a tu w ciągu trzech dni pobytu znaleźliśmy się w środku krwawej bitwy polskiej kawalerii z niemieckimi jednostkami zmotoryzowanymi. Trwało to razem trzy godziny, które nam wydawały się wiekiem. Skończyło się naszą klęską, machina niemiecka była górą, a męstwo w takich warunkach wagi nie wyrównało. W kartofliskach pełno było trupów naszych żołnierzy.

Już po południu patrole niemieckie obchodziły zagrody szukając żołnierzy, których oczywiście nie znaleźli. Z nami obchodzili się względnie, a nawet jakiś oficer doradzał, aby wrócić do Żelkowa, bo tam już nic nie grozi. Tak też zrobiliśmy, po decyzji szlachetnej pani Stencel. Wspominam o niej, bo był to wzór Polki jak gdyby z powstania styczniowego. Umarła w czasie wojny. Jej mąż odwiedził mnie w Warszawie i przywiózł wieść o jej śmierci. W Żelkowie, mimo że podupadł splendor starego dworu, była znaczna biblioteka, zbierana od stu przeszło lat. Dbała o nią jedna osoba, uzupełniając ją z gustem i kulturą.

W Żelkowie lepiej rozumiałem co znaczyły dla naszej historii i cywilizacji tysiące dworów biednych czy bogatych, możnych magnatów czy biedę klepiących hreczkosiejów. Dworzyszczce, dwór czy dworek to było siedlisko kultury. Było to wielkie, nieocenione dziedzictwo narodowe. Nie pochodziłem z tego środowiska ale włączając się po całej Polsce rozumiałem, że bez nich nie byłoby literatury, którą się chlubimy, ani obyczajów, które są schedą po ojcach i dziadach.

Po tygodniowym pobycie w kotle bitwy na Podlasiu wróciliśmy do Żelkowa. Na szosach ciągnęły się nie kończące sznury wojsk niemieckich, przeważnie zmotoryzowanych. Osobne ko-

lumny porządkowe trzymały w ryzach ten olbrzymi pochód, jakiego nigdy w takich rozmiarach nie widziałem. Porządek panował na kilkunastu kilometrach szosy, którą wracaliśmy z naszej nieudanej eskapady. Toteż bez trudu dojechaliśmy dwoma wozami do Siedlec. Po południu stanęliśmy w Zelkowie.

Dwór stał tak, jak go pozostawiliśmy. Kiedy jednak weszliśmy do wnętrza z panią domu na czele, widok był niesamowity! Przez dom przeszła chyba szarańcza. Zapasy kuchenne wyjedzone doszczętnie, beczka spirytusu wypita, a stoły ta ludzka szarańcza wstrętnie zanieczyściła. Biedna delikatna gospodyni zemdłała i wynieśliśmy ją na ławę do parku. Sami zaś w pięć mioteł zabraliśmy się do oczyszczenia tej stajni Augiasza.

Stary Szmul opowiadał mi, że po naszym wyjeździe kilka samochodów z maruderami w towarzystwie kobiet zaszczycąło dwór, pijąc bez opamiętania. Kiedy Niemcy się zbliżali, rzucali czapki, odrywali emblematy oficerskie i uciekali dalej gdzie się dało.

W pierwszych dwóch czy trzech tygodniach zwróciły moją uwagę liczne samochody wiozące przeważnie oficerów, którzy nie mieli przydziału; zwykle była to jednak hołota uciekająca od ognia. To jest zrozumiałe wobec „Blitzkriegu” jaki Hitler urządził. Niemniej zastanawiałem się nieraz, jak nisko może upaść człowiek. Później, w Warszawie, wielki lekarz Sokołowski dowodził mi, że są to objawy całkiem zwykłe u ludzi słabszych charakterów. Jest to jakby taniec na wulkanie. W tych sytuacjach ginie człowieczeństwo i rozpoczyna się zezwierzęcenie. Na szczęście podobne objawy nie były powszechne, choć z wielu ust słyszałem jeszcze straszniejsze opowiadania.

W kilka dni Niemcy zajęli całe Podlasie. Od jakiegoś kapitana niemieckiego, który urządził sobie biuro ewidencyjne we dworze, miałem co dzień wiadomości, często spóźnione lecz zazwyczaj ściśle. Jakież było moje zdziwienie, kiedy pewnego dnia oświadczył mi, że Moskale już w przyszłym tygodniu zajmą Siedlce. To okazało się prawdą jako jeden ze skutków umowy Mołotow-Ribbentrop.

W magazynach więzienia Niemcy znaleźli olbrzymie zapasy skór i wełny. Dniem i nocą wywozili je do Prus Wschodnich, aby nic nie pozostawić sprzymierzeńcowi.

Jak się wydobyć z tej matni? Porozumieliśmy się z szefem tych transportów i przy odpowiedniej gratyfikacji którą nie gardził, polecił nas zabrać w jednym konwoju. Jazda mogła być znośna, bo furgony motorowe wiozły tylko wełnę do Hawy nie-

mieckiej, gdzie po dwóch dniach i przenocowaniu w Nasielsku szczęśliwie wylądowaliśmy. Ulokowano nas w jakiejś wielkiej szkole i przyjęcie było co się zowie bogate, bo przecież *Partei-genossen*, a reszta *wird umgeschult*, jak mówił komendant Schmitkowsky, zgermanizowany Mazur.

Przeżyłem moment strachu, kiedy po sutej kolacji dwóch dygnitarzy przeglądało papiery przybyłych — Bóg wie jakimi środkami, jakim transportem i jakimi stosunkami. Było tam chyba więcej niż 90% Polaków. Mój paszport badał jakiś młody człowiek, dość inteligentny, a kiedy przeczytał — mrugnął znacząco okiem. Uprzejmie powiedział, że mnie zna z mych odczytów w Łodzi. Byłem zdumiony. Wziął 200 zł. na papierosy, jak mówił. Bogu chwała odprowadził mnie do hotelu, gdzie szczęśliwie noc spędziłem.

Co robić dalej? Upór mój, nie bardzo mądry, jak się w rezultacie okazało, pędził mnie do mego warsztatu w Katowicach. Ale jak to zrobić? Pociągi do Frankfurtu i Berlina jeździły tylko z Bydgoszczy, dokąd Schmitkowsky (znów 200 zł) zorganizował jakiś autobus i wieczorem znaleźliśmy się w hotelu Gellhorn, przed dworcem, gdzie tyle razy mieszkałem. Na moje szczęście nikt tam mnie wtedy już nie znał, gdyż byłbym stracony. Nastrój w Bydgoszczy po masowych mordach Polaków, o czym oczywiście nie wiedziałem, był okropny. Rozmawiałem z bratem przytłumionym głosem po niemiecku, bo jedno polskie słowo mogło oznaczać śmierć od kuli jakiegoś *Parteigenosse*. Mieliśmy firmę w Bydgoszczy „Schlaak i Dąbrowski” z dużymi zabudowaniami, gdzie mieszkał nasz dyrektor, Dąbrowski. Poszliśmy nad Brdę, gdzie były składnice. Zastaliśmy za kratami dwa olbrzymie wilczury, dzwonek nie działał. O 8-mej była godzina policyjna; brakowało tylko 10 minut. Noclegu nie mogliśmy szukać gdyż paszporty by nas zdradziły. Jednakże dobry los kieruje życiem ludzkim.

Na dwie minuty przed godziną ósmą zobaczyliśmy zbliżającą się starszą parę, która nieufnie nas obserwowała. Po chwili okazało się, że to nasz dyrektor Dąbrowski z żoną. Radości nie było końca. Jasne było, że muszę uciekać z Bydgoszczy, gdzie nastrój był jak najgorszy, dziki, sfanatyzowany — jakiego dotąd nie widziałem. Rozstałem się z bratem. On przemycił się na Inowrocław do Poznania, a ja zdecydowałem pojechać do Frankfurtu i dalej do Gliwic, do dyrektora hr. Schaffgotschów, dra Ottona Berve. Był to jeden ze szlachetnych Niemców, jakich znałem.

Z Frankfurtu jechałem sleepingiem. Na całym obszarze

kraju panował spokój, jak u pana Boga za piecem. W Gliwicach poszedłem do łaźni, gdzie po tyłu tarapatach i przejściach trochę uporządkowałem się zewnątrz. Już za godzinę stanąłem w generalnej dyrekcji Schaffgotschów, należącej do naszego koncernu.

Przybycie moje wywołało takie wrażenie, jak pojawienie się ducha zmarłego. Uczucia Niemców były na pewno podzielone. Dr Berve przyjął mnie z niekłamana serdecznością, lecz mówił, że moje zjawienie się pachnie ogromnym ryzykiem. Ratowało sytuację, że jednym z dyrektorów był tam dr Verres, syn dyrektora gimnazjum w Recklinghausen, z którym jako z przywoitym człowiekiem stosunki utrzymywałem do jego śmierci. Ta przyjaźń przeszła z ojca na syna i dr Verres, major lotnictwa, gwarantował moje bezpieczeństwo. Zawieźli mnie do mego mieszkania w Katowicach przy ul. Lompy 16.

Na drzwiach frontowych mieszkania była kartka należycie swastykami oblepiona z obwieszczeniem, że mieszkanie jest zarekwirowane dla dyrekcji hr. Schaffgotschów. I tu widziałem rękę poczciwego dr. Berve, który chciał ratować przede wszystkim zbiory, jakie były w naszym domu. Służba gospodarowała jakby się nic nie stało i radość wszystkich była nieopisana. Ale to się wnet miało zmienić. Poszedłem do biura, gdzie wszystko pozornie było tak samo, tylko stary woźny Klimas wyprostował się po hitlerowsku i ryknął bez potrzeby, gdyż nikogo nie było w portierni: „Heil Hitler, Herr Generaldirektor”. Zrobiło mi się niewymownie przykro i pomyślałem — każdy fagas służyć będzie każdemu panu.

Zatelefonowałem do Berlina i dowiedziałem się że jeden z współwłaścicieli firmy Friedeländer został komisarzem „Roburu”. Był to dobry mój znajomy, niejaki Kraske. Powiedziałem mu, że jestem znów przy swym warsztacie, na co on zauważył, że przyjedzie do Katowic i abym nic przedtem nie zarządził.

Kiedy skończyłem rozmowę telefoniczną z Berlinem zgłosił się do mnie naczelnik wydziału matematycznego naszej firmy, inż. J. Zabystrzan. Był to człowiek niezwykłych zdolności, ryczący dniami i nocą „precz z Niemcami”, ale jeden z największych niekzemników, jakich w życiu spotkałem. Pochodził ze Śląska Cieszyńskiego. Na miesiąc przed wojną napisał do Grażyńskiego denuncjację na mnie, że nie usunąłem jeszcze ostatnich urzędników niemieckiego pochodzenia. To samo napisał do prezesa komandytystów, A. Faltera. Obie denuncjacje miałem w ręku.

Ten przewrotny typ zgłosił się do mnie i tłumaczył, że trzeba się pogodzić z faktami, że on widzi, iż źle grał i — trudno, Hitler będzie panem Europy. Odpowiedziałem sucho, że moje zapatrywania odbiegają od jego i że mam pewną satysfakcję, że przyznaje się do swych błędów miesiąc temu popełnionych. Rzadko w życiu widziałem podobną świnię.

W Katowicach szumiało, lecz wpływ dr. Berve był tak wielki, że przez dwa dni nic mi się nie stało. Pierwszego wieczora odwiedził mnie Berve i w słowach, z których wiała troska i głęboka przyjaźń, tłumaczył mi, abym wyjechał gdzieś na wieś lub do Krakowa, aż to wszystko się uspokoi.

Później okazało się, że Berve już wiedział o mordach w Poznańskim i na Pomorzu. Wiedział, czego przez delikatność nie chciał mi powiedzieć, że już 15 września, a więc zaledwie w 10 dni po zajęciu Katowic, Niemcy wykreślili mnie z rejestru handlowego i że Kraske został mianowany „powiernikiem”. Gdyby ktoś miał wątpliwości jak drobiazgowo system hitlerowski przygotowywał wojnę i jak w szczegółach był opracowany schemat przejścia administracji przemysłowej, ten widzi z tego co opisuję, że akuratność pruska w rabunku była bezkonkurencyjna. W zachowanych dokumentach są oryginały wyciągów z rejestru sądowego, które są rekordowe, jeżeli chodzi o zapis sędziego.

Usłuchałem rady dr. Berve, choć nie tailem mu swego zaskoczenia. Postanowiłem wyjechać do Krakowa, gdzie mieliśmy firmę PTH — Polskie Towarzystwo Handlowe, założone przez J. Steczkowskiego. Na czele towarzystwa stał dawny szef sprzedaży krajowej „Roburu”, Paprocki.

Aby dostać przepustkę graniczną, gdyż Śląsk został przyłączony oficjalnie do Rzeszy, chodziłem pół dnia od Annasa do Kaifasa w gmachu województwa i wreszcie jakiś *Regierungsrat* dał mi papier z ważnością na 24 godziny. Do Krakowa jechałem kilkanaście godzin koleją, gdyż węzły kolejowe podczas krótkich działań wojennych bardzo ucierpiały.

Kraków był pełen soldateski i Gestapo. Po fatalnej atmosferze Katowic, u Paprockich czułem się świetnie. W Katowicach siedział renegat na renegacie i roіło się od tych Klimasów, którzy najwięcej wystugiwali się uprzednim panom.

Owiedziłem mych znajomych a przede wszystkim profesora Adama Krzyżanowskiego. Zwołałem radę PTH, na którą ku mej radości przybyli wszyscy członkowie. Mój samochód z Kielc dobrnął szczęśliwie do Krakowa i otrzymałem od generała glejt, że mogę jechać do Warszawy. Kiedy wszystko było

gotowe do drogi i na ostatnie śniadanie zaprosił mnie do siebie stary mój przyjaciel, dawny c.k. minister, J. Twardowski — przyszło po mnie Gestapo. Przykro mi było, że pocziwym Twardowskim tyle kłopotu narobiłem. Kapitan Gestapo, dr Biermann, zakomunikował mi, że ma mnie przewieźć do Opolą. Muszę powiedzieć, że wszystko odbywało się, jak na początek, dosyć spokojnie. Mieli mnie snąć za grubą rybę, bo przyjechali do Krakowa dwoma samochodami.

Wówczas na pewnych odcinkach panowała jeszcze idylla, nie pozbawiona tragikomizmu. Otóż kapitan siadając obok mnie wyraził życzenie, że przed odjazdem chciałby zobaczyć Wawel i oddać hołd ceniom marszałka Piłsudskiego. Pojechaliśmy więc na Wawel. Przed wejściem do grobowca był postawiony posterunek honorowy co w rzeczywistości jaką czcigodny Wawel musiał oglądać, miało posmak jakiejś mszy szatańskiej. Kapitan był dumny ze swego gestu i to wytworzyło nawet między nami pewną przyjazną atmosferę. Wiedział on o moim mieszkaniu w Katowicach i słyszał, że mam dobre wina.

Przekonałem go wnet, że droga do Opolą za daleka, a mglista noc jest dla dalszej jazdy niebezpieczna. Na to zauważył, że odstawi mnie do więzienia w Katowicach. Odpowiedziałem, że tam nic nie przekąsi, a tym mniej — wypije. Musiałem mu dać słowo honoru i oświadczył, że przyjedzie po mnie za dwa dni.

W domu służba widziała co się święci i gospodyni nie załowała dobrego trunku, który po przeszło miesiąc trwającej okupacji jeszcze w piwnicy był nietknięty. Niemiec wypił dużo i pochlebiał mi, że nigdzie w Niemczech tak kulturalnych mieszkań nie widział. Po dwóch dniach przyjechał i zabrał mnie do Opolą, do więzienia.

W Opolu w sali za kratami przesłuchiwał mnie bez końca jakiś cywilny gestapowiec. Ośłupiałem, kiedy zobaczyłem ogromne tomisko akt mnie dotyczących. Właściwie na gros zapytań on sam sobie z akt odpowiadał! Czas mego urzędowania jako wojewody miał jak w kalendarzu. Dzwonił co chwila do Berlina i z toku rozmów wnosiłem, że głównie chodziło im o okres, w którym byłem wojewodą. Wyraz „wojewoda” działał w tym czasie na Niemców jak czerwona płachta na byka. Rejestr nie musiał mieć większych oskarżeń, bo mnie puszczono, z tym jednak, że muszę jechać do Warszawy. Kapitan pozwolił mi jeszcze wrócić do domu w Katowicach. Przy pomocy dużej firmy samochodowej Grabowskiego wyjechałem około połowy października do Warszawy, a stamtąd do rodziny w Podkowie Leśnej.

Rozejrzałem się w sytuacji i jasne było, że działać mogę tylko

w Warszawie. Nasze mieszkanie przy Koszykowej było zburzone doszczętnie, jakimś cudem uratowały się tylko dwa pekińczyki, które wybiedolone przyjaciele zdołali wyciągnąć z gruzów. Wynajęłam apartament przy Wilczej 69. Tak się złożyło, iż piętro pod nami zajmował Ludwik Solski po zburzeniu przez bombę niemiecką jego mieszkania przy Marszałkowskiej. Z trudem uratowano resztki jego bajecznych zbiorów sztuki. Umieblowaliśmy się jako tako oraz zatrzymaliśmy mieszkanie w Podkowie, które wraz z prześlicznym ogrodem odstąpił nam dr Karol Bertoni, dawny minister i przyjaciel od lat.

Wieczory spędzałem w towarzystwie Solskich na niekończących się pogawędkach, gdyż godzina policyjna była o 8-ej wieczorem. Solski liczył wówczas 85 lat i był pełen życia i werwy. Z pożogi uratował m.in. oryginalną laskę po Fryderyku Wielkim, królu pruskim, którego grał w znanym dziele Adolfa Nowaczyńskiego, grał lepiej niżby to stary Fryc potrafił. Laska była darem samego Hitlera. Solskiemu nigdy nie brakło wyborczego wina, którego dostarczali mu liczni wielbiciele. Był gościnnie ponad wszelkie pojęcie i niczego mu nie brakowało. Gdzież by Warszawa zapomniała o swych wielkich ludziach!

Wkrótce dom nasz zaczynał się zaludniać. Zjawił się niespodzianie prof. Jan Rutkowski, następca Bacciarelliego na Zamku królewskim i konserwator obrazów w zbiorach państwowych, dobry przyjaciel i człowiek jakich mało. Oczywiście oddaliśmy mu pokój. Na skutek masowych wysiedleń z Poznania, w grudniu mieliśmy w domu 30 osób. Biedacy spali na podłogach a koców dostarczali przyjaciele. Co chwila nadchodziły towary żywnościowe, głównie boczek wędzony, mąka i cukier, którego zapasy w Warszawie wydawały się nieograniczone. Nie brakło nam niczego, a najlepsze, że nikt nie chciał zapłaty. To na potem, mawiali! Co za miasto, co za ludzie! Najgorzej było z węglem. Zimy lat 1939-41 były w Warszawie po prostu straszne.

Ogromne zapasy węgla po części spłonęły podczas oblężenia. Handel był całkiem zdeorganizowany i to był główny powód klęski. Przy pomocy naszej firmy „Silemin” i przy życzliwym poparciu niektórych *Treuhänder*ów, zacząłem mobilizować wysyłki węgla i koks do naszych zakładów dobroczynnych. Powoli dostawały i domy prywatne. Tysiące uciekinierów z tego korzystało i ogólnie życie wracało do normy.

Często myślałem o zarzutach jakie czyniono rządowi odnośnie przygotowania do wojny. Jestem laikiem w dziedzinie wojskowej lecz osąd mój jest jasny — przygotowanie było fatalne.

Wojna była techniczna, zmechanizowana, lotnicza. To wszystko — poza żołnierzem — zawiodło.

Jednakże z równym przekonaniem muszę powiedzieć, że aprowizacja, zapasy opału, żywności, medykamentów, bielizny, wełny, skór itd. zorganizowane były dobrze. Przyszłą, iż to przeszło moje najśmielsze oczekiwania. To złagodziłoby cierpienia ludności, gdyby nie okoliczność, że Niemcy z miesiąca na miesiąc w miarę niekończących się zwycięstw, postępowali coraz bardziej dziko i bezwzględnie. Jeżeli chodzi o stolicę, to spryt cwaniaków warszawskich miał zajaśnieć blaskiem przyćmiewającym fantazję ludzką. Było coś wielkiego w tej wspólnocie narodowej, której równej nie przeżyłem, ani też nie znam z historii.

Już pod koniec października zaczęliśmy od nowa montować Centralny Związek Przemysłu Polskiego. Chodziło o ratowanie każdej fabryki, każdego warsztatu, każdej maszyny i surowca. Takie były instrukcje formującego się rządu w Angers, który drogą przez neutralnych dyplomatów jakimś cudem przekazywał wiadomości, rozkazy a często i pieniądze. Zwłaszcza wobec zaprowadzenia odrębnej waluty na terenie zwanym Generalną Gubernią zapasy pieniędzy polskich, jakie rząd zdołał uratować, musiały przepaść.

Pod koniec października 1939 wybrano mnie prezesem C.Z.P.P. (Centralnego Związku Przemysłu Polskiego), które to stanowisko piastował przedtem Henryk Strassburger. W zarządzie był poza tym Edmund Trepka i Józef Zychliński. Tak się złożyło, że na mnie spadła cała zewnętrzna praca i reprezentacja, gdyż moja znajomość języka i obyczajów niemieckich była wówczas nie do zastąpienia — jak się moim przyjaciółom wydawało.

W kilka dni potem dokooptowała mnie rada nadzorcza Banku Handlowego jako urzędującego wiceprezesa w miejsce Adama Koca. Uważam to za nowy dowód nie tylko przyjaznych uczuć ale więcej — za przykład wyjątkowej delikatności warszawian. To stanowisko bowiem było płatne, co miało dla mnie wielkie znaczenie ponieważ Niemcy pozbawili mnie zupełnie mego majątku. Nie miałem żadnych dochodów, gdyż już 15 września 1939 wykreślili mnie z rejestru firmy zarządzeniem władz niemieckich.

Nadzorcze instancje niemieckie ku memu zdumieniu zatwierdziły mój wybór i pozwoliły na pensję 500 zł miesięcznie. Było to możliwe dzięki wyjątkowemu człowiekowi, dr. Paerschowi, dawnemu dyrektorowi Banku Rzeszy, który nadzorował całą

bankowość polską. Czytelnik dostatecznie zna mój osąd o Niemcach jako całości, lecz byłoby niegodnym honoru polskiego, abym nie oddał sprawiedliwości tym, którzy na nią zasługują. Dr Paersch był dużej klasy człowiekiem i będzie o nim jeszcze mowa, jak na to zasługuje.

Trzecią funkcją jaką mnie obdarzyła Warszawa, była wiceprezura Rady Głównej Opiekuńczej na miasto st. Warszawę. Nie brakło więc zajęcia. Miałem nawet za dużo pracy i to podrywało moje siły fizyczne lecz jakoś przebrnąłem przy entuzjazmie i patriotyzmie, gdy o ratowanie narodu, nieśmiertelnej Warszawy chodziło, przy pomocy i poparciu tylu najlepszych przyjaciół, o których będzie mowa na innych miejscach. Wiem, że to małe grudki ziemi rzucone na ich groby, przeważnie nieznanne. Nie mogę naprawić wielkich krzywd jakie im wyrządzono. Niech jednak pamięć o nich będzie choć drobnym dowodem, że przecież nie we wszystkich ludziach zginęło poczucie łączności z tymi co odeszli i wdzięczności, która jest probierzem kultury narodu. Nic nie wart naród, który nie czcí przeszłości. Pomny tego, będę mówił o ludziach mego nieszczęsnego pokolenia, którzy spełnili swój obowiązek wobec narodu — o wielkich czy o małych.

W ostatnich dniach października 1939 r. razem z Andrzejem Wierzbickim byliśmy dwukrotnie u prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego. Raz po to, aby zadeklarować mu całkowitą solidarność i chęć współpracy; drugi raz aby go ostrzec — mając poufne wiadomości — o planach Niemców wobec niego. Prześliśmy, aby się schronił, co wówczas jeszcze było możliwe. Zmordowany przejściami ostatnich siedmiu tygodniu wyglądał mizernie lecz z pewnym zażartym uporem powiedział: „Warszawy nie opuszczę”. Już za dwa dni aresztowało go Gestapo.

Komisarzem Rzeszy (*Reichskomissar*) m.st. Warszawy był dr Sauberzweig, jeden z przyzwoitych ludzi — takie były początki okupacji — co choćby z tego wynikało, że go wnet usunięto z Warszawy. Jak nam poufnie mówiono, został z wyroku Gestapo zastrzelony i nikt o powodach się nie dowiedział.

Tak więc ostatni raz widziałem Stefana Starzyńskiego w październiku 1939 r. Gdzie go Niemcy więzili nie wiedzieliśmy, podobno w jakimś samotnym bunkrze pod Dreznem. Czy tak było tego nie wiem, natomiast wiem, że na rozkaz Himmlera został po blisko pięciu latach mąk rozstrzelany po wybuchu Powstania Warszawskiego w r. 1944. Stefan Starzyński nie był prezydentem z wyboru. Niemniej był to jeden z największych prezydentów w historii naszej stolicy.

C.Z.P.P. po utracie swej siedziby przy Chmielnej, znalazł przytułek w nowym gmachu Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, której prezesem był dawny minister Czesław Klarner. Początkowo szło jako tako, zanim Niemcy się nie zorientowali. Codziennie spotykała się na IV piętrze elita przemysłu, gdzie radziliśmy o wszystkim. Hasłem naczelnym było — ratować co się da. Były informacje — o czym wiedzieliśmy od usługowych Niemców, gdyż i tacy byli — że w Berlinie rozważano projekty wywiezienia niektórych kluczowych fabryk z maszynami i ludźmi do Niemiec. Rzecz jasna, że byłaby to kłeska.

W miarę tego, jak organizowała się administracja niemiecka wydawało nam się, że trzeba przez kontakty z miarodajnymi czynnikami niemieckimi wmówić w nich niepoczytalność takich koncepcji. Tu okazał się nieoceniony wpływ dr. Paerscha, który w rozmowach z generalnym gubernatorem Hansem Frankiem przekonał go, że to byłby koniec całej jego roboty w General-Gouvernement. Sam Paersch obszernie mi o tym opowiadał. Dawał rady, jak i kogo przekonywać o naszych tezach.

Zastępcą dr. Paerscha był Czech rodem, dr Laschtowitschka, który kilka lat był dyrektorem banku w Warszawie. Nie mogło się lepiej składać, bo Laschtowitschka polubił Polskę i nie chciał jej opuszczać. Co do Paerscha to miałem przekonanie, że należał do tajnej grupy opozycjonistów antyhitlerowskich. To miało zaważyć decydująco na losach naszego przemysłu. Prawdą jest, że Niemcy kraj łupili i wywozili najcenniejsze surowce lecz ku chwale naszego przemysłu i Centralnego Związku stwierdzić trzeba, że przemysł jako całość został uratowany. Plejady urzędników od najwyższych dygnitarzy aż do szaraków biurowych żyły w Polsce lepiej niż przy hypersystemie kartkowym w Rzeszy. Oni więc stali się mimowolnymi obrońcami naszej tezy, aby nie wywozić fabryk do Rzeszy.

Początkowo zarząd naszego Związku urzędował głównie dzięki spokojnemu stanowisku komisarza Rzeszy, który wystawił nam listy żelazne. Później w moim wypadku i przy perypetiach Andrzeja Wierzbickiego listy na nic się nie zdały wobec wszechpotężnej Gestapo. Robota podziemna, a przynajmniej jej część, odbywała się na IV piętrze gmachu Izby Przemysłowo-Handlowej.

Regularnymi uczestnikami jej byli ks. Janusz Radziwiłł, Piotr Drzewiecki zaśluzony były prezydent Warszawy, Aleksander Ciszewski były naczelny dyrektor spółki Hohenlohe i od r. 1939 dyrektor firmy Lilpop, Rau, Loewenstein, prof. Edmund Treпка, nieodżałowanej pamięci Antoni Olszewski, były minis-

ter Przemysłu i Handlu stracony przez Niemców wraz z bratem Wojciechem pod Krakowem, Czesław Klarner, Stefan Krasnodębski naczelny dyrektor spółki Giesche, Łempicki zastępca naczelnego dyrektora Związku i Andrzej Wierzbicki, który był duszą całej roboty. Muszę też wspomnieć o wysokich funkcjonariuszach Związku jak: Tadeusz Sławiński, Keller Jastrzębowski.

Bank Handlowy, którego byłem urzędującym wiceprezesem, pod koniec r. 1939 sprawiał mi wiele kłopotów i pochłaniał często kilkanaście godzin pracy dziennie. Rozpoczęło się od tego, że Niemcy nam wmawiali iż August Zaleski zbiegł za granicę, wiceprezes Adam Koc, członek rady Falter, dyrektor Repeczko wyjechali za granicę. Oczywiście, nie mogłem powiedzieć — daj im Boże zdrowie, więc tłumaczyłem, że z tym nie mam nic wspólnego. Rozmowy te początkowo z najeżdżającymi nas gestapowcami nie należały do najprzyjemniejszych. Dodać muszę, że zastępcą Augusta Zaleskiego był Józef Żychliński. Mieszkał w Poznaniu i żyjąc wspomnieniami okupacji niemieckiej z pierwszej wojny wyobrażał sobie, że fakt iż Frank — przejeżdżając do Krakowa jako nowomianowany generalny gubernator — zamieszkał w jego wspaniałym mieszkaniu w Ziemstwie Kredytowym w Poznaniu, będzie dobrym znakiem dla rozwoju stosunków.

Wyobrażam sobie wstrząs moralny jakiego doznał, kiedy po raz pierwszy spotkał się z rzeczywistością hitlerowską. Ten człowiek w czasie pierwszej wojny odegrał przy Beselerze w Warszawie wspaniałą rolę dla Polski. Co za ironia losu, gdy od generalnego gubernatora drugiej wojny miał doznać rzadko spotykanego chamstwa. Piszę o tym, gdyż z Józefem Żychlińskim łączyła mnie niezym nie zamącona przyjaźń i może ja jedyny byłem powiernikiem jego tajemnic. Frank po kilkunastu dniach gościny u Żychlińskich nawet listu z podziękowaniem nie nadesłał, natomiast Gestapo zaczęło go przynaglać, aby wyjechał z Poznania.

Pewnego dnia zjawia się Żychliński w Warszawie w banku. Sala prezesa oczywiście nie była zajęta przez nikogo. Prosił mnie, abym dalej agendy prezesa prowadził, gdyż czuje się źle. Przychodził raz na tydzień do biura, zawsze ze swym nieodstępnym służącym Ignalikiem — jak go zdrobniale nazywał. Rozmawiał ze mną godzinami o Poznaniu, o Niemcach i o tym co będzie. Z goryczą opowiadał o wyczynie Franka, niepojętym na sposób myślenia Żychlińskiego. Pytał się co radzę dalej czynić. Odpowiedziałem — sprowadzić panią i meble, wynająć mieszkanie

w Warszawie i czekać. Tak się też stało. Program mój tylko co do jednego punktu nie ziścił się.

Wynajęliśmy dla niego mieszkanie przy ulicy Filtrowej 69 po ministrze Lubieńskim. Pani Zofia Żychlińska szczęśliwie przyjechała. Meble były zapakowane lecz ich wysyłkę wstrzymano i Żychliński radził się co robić. Ano napisać do Franka. List po niemiecku ułożyłem, pewny, że nie podobna przypuszczać, że ktoś kto nie dziękuje za gościnę, potem zabierze się do srebra stołowego gospodarza. Okazało się, że byłem optymistą. Po sześciu tygodniach nadeszła od „wdzięcznego gościa” odpowiedź już z Krakowa, podpisana przez jakiegoś sekretarza. Otóż meble wydane być nie mogą, gdyż są własnością Zofii Żychlińskiej, która jest pochodzenia żydowskiego, więc to sprzeciwiałoby się ustawom Rzeszy, do której Poznań należy. Dodam, że pani Żychlińska z domu Thiel, pochodziła z rodziny niemieckiej, jednej z wielu od wieków osiadłych w Polsce. W ten sposób uzasadniono bezczelny rabunek!

Muszę przyznać, że i dla mnie był to szok niemały. Ale jaki to wstrząs musiał być dla Józefa Żychlińskiego? Mówił mi często, że już nie „pasuje” do nowych czasów. W roku 1940 zaczął poważnie chorować. Coraz rzadziej się pokazywał i praktycznie zupełnie wycofał się ze skromnego życia towarzyskiego Warszawy czasu wojny. Miał dwóch przyjaciół, którzy go nigdy nie odstąpili, Cyryla Ratajskiego i mnie. Szczyciłem się zawsze zaufaniem i przyjaźnią tego człowieka, który dużą rolę odegrał w Polsce między wojnami, tak na polu gospodarczym jak i politycznym. Pracował dyskretnie i raczej skrycie lecz w gruncie rzeczy był motorem działania o wielkim zasięgu.

Jedną z najcięższych batalii na polu bankowości stoczyłem z Niemcami o Bank Handlowy, który jako rzekomo zupełnie żydowski podlegał konfiskacie Rzeszy. Przy dyskretniej pomocy nieocenionego dr. Paerscha udowodniliśmy, że gros akcji było w ręku Banku Cukrownictwa, którego główną siedzibą był Poznań. Kiedy to zostało szczęśliwie załatwione rozpoczęła się nowa kampania, że większość rady jest żydowska. To również po długich perypetiach załatwiliśmy, dzięki wielkiej mądrości Edwarda Natansona. Przeprowadził rozmowy z członkami żydowskiego pochodzenia, sam mandat złożył i innych do tego skłonił. Naradzał się z nami codziennie, już wówczas poważnie chory. Fakt ten dowodził, że był to człowiek zdolny do wielkich poświęceń i do wielkiego patriotyzmu.

Wspomnieć muszę tu o roli, jaką odegrał również w tej

sprawie dr Dziewulski i jego zięć, zasłużony wydawca wybornego *Ekonomisty*. Dziewulski był nieco starszy ode mnie i wyszedł, jak ja, ze szkoły Lujo Brentano w Monachium. Edward Natanson zmarł przed nim i los w ten sposób zaoszczędził mu straszego końca.

Obronną ręką z tych prześladowań wyszedł baron J. Leopold Kronenberg, którego Niemcy uznali za aryjczyka. Warto, aby pamięć ludzka uczciła tego potomka wielkiego Kronenberga, jego dziada, twórcę kolei wiedeńskiej i założyciela Banku Handlowego w Warszawie. Leopold Kronenberg był człowiekiem cichym, nie narzucającym się i gospodarzył świetnie na swych dobrach ziemskich na Kujawach. Jego majątek Wieniec był wzorowy. Nic go tak nie bolało, jak spalenie przez Niemców kościoła i zniszczenie całego bogatego archiwum rodzinnego we dworze w Wieniu. Miał syna, również Leopolda, i córkę Wandę, niezwyklej urody dziewczynę. Tu los okazał się okrutny. Żona Kronenberga zginęła, chroniąc się do piwnicy w swoim domu, trafiona odłamkiem szrapnela. Syn jako żołnierz Armii Krajowej zginął w walce. Córka Wanda została zastrzelona przez pomyłkę przez jakiegoś żołnierza AK jako szpieg, choć była nieoceniona w naszym wywiadzie, mówiąc świetnie po niemiecku. Był to jeden z najtragiczniejszych wypadków naszego podziemia. Cóż pomogły uroczyste rehabilitacje — biedna Wanda zmarła za Ojczyznę! Wspominam o tym antycypując trochę, aby tym mocniej podkreślić piękną kartę Kronenbergów, skoro mówiłem o starym J. Leopoldzie w związku z Bankiem Handlowym.

W radzie pozostali Zychliński, jego szwagier pułkownik Thiel, dawny dyrektor banku Mieczysław Hofman, J.L. Kronenberg, Wiesław Tuchołka, Nowakowski, Andrzej Wierzbicki i Władysław Pilarski. Cóż kiedy Niemcy nie pozwalali na odbywanie zebrań plenarnych rady. Obeszliśmy to — nie bez cichej rady Laschtowitschka — w ten sposób, że stworzyliśmy komitet wykonawczy, który zbierał się co wtorek.

Naczelnym dyrektorem był Jan Kozieł, którego Niemcy równocześnie zamianowali *Treuhänder*'em. Było nam to na rękę, gdyż Kozieł był po prostu tarczą dla naszej działalności. Dzięki Paerschowi, bankowość była jedną z nielicznych dziedzin życia gospodarczego, gdzie „powiernikami” byli dawni lub obecni polscy dyrektorzy. Trudno dziś ocenić jakie to dało zyski i atuty naszej gospodarce. Trudno powiedzieć, jakie wielkie korzyści ciągnęła z tego praca podziemna. O zasługach bankowości polskiej można by spory tom napisać. Posiadam kilka uratowanych

fascykułów notatek, które rzucają światło na ówczesne życie najęzione tysiącnymi trudnościami, na wspaniałego ducha oporu i na instynkt samozachowawczy narodu.

Nie poszły w zapomnienie nasze czyny żołnierskie, mimo że były przemilczane a często przez 10 lat oplute w bezecny sposób. Kto wie o tych legionach ludzi dziś nikomu nie znanych, o kierownikach, dyrektorach fabryk, majstrach i rzemieślnikach, o inżynierach i mechanikach? Kto wspomni o kupcach i handlarzach i wreszcie o tych żołnierzach w biurach, bankach i sklepach? Im wszystkim, jak dotąd, żaden wybitniejszy pisarz nie oddał sprawiedliwości.

Jako reprezentant największego banku polskiego z woli Związku Banków prowadziłem liczne rozmowy z wszystkimi kompetentnymi instancjami niemieckimi. Obawiając się tak łatwych u Polaków krytyk, nie występowałem w żadnej sprawie gospodarczej bez uprzedniej zgody C.Z.P.P. Tezy które opracowywał przeważnie prof. Tadeusz Sławiński, musiały mieć aprobatę reprezentantów czterech stronnictw, które były surogatem parlamentu podziemnego. W wielu wypadkach zaciągano aprobaty rządu, najprzód w Angers potem w Londynie, drogą, jaka w danej chwili była możliwa.

Tak uzbrojony jeździłem prawie co miesiąc do Krakowa. Pierwszy dzień zużyłem na rozmowy z Młynarskim i metropolitą Sapięgą. Następnie chodziłem do Paerscha, do Laschtowitschki i licznych dygnitarzy administracji cywilnej. Koniec końców miałem pewną satysfakcję, choć raczej negatywnej natury. W Polsce zasłużyć na pochwałę to rzecz całkiem rzadka. Za największą nagrodę uważałem, gdy nikt nie powiedział, że paktowałem, że coś niegodnego uczyniłem, że przekroczyłem ramy danego mi mandatu. To w Polsce także było wyróżnieniem.

Pod koniec 1939 r. był kłopot nielada z Feliksem Młynarskim. Niemcy stworzyli nowy Bank Emisyjny i wbrew wszelkim oczekiwaniom postanowili utrzymać, przynajmniej *de nomine*, walutę złotową. Chcąc, aby ich nowa waluta złotowa posiadała zaufanie jakim się cieszył złoty polski, musieli na banknotach umieścić napis — Bank Emisyjny w Polsce. Jak łatwo domyśleć się można, był to pomysł konserwatywnych kół Banku Rzeszy, do których należał dr Paersch. Teraz chodziło im o to, aby naczelnym dyrektorem był koniecznie znany Polak.

Pierwszą ofertę na to wysokie stanowisko zrobiono dyrektorowi J. Kozielowi. Już wtedy urzędowałem jako wiceprezes banku. Odradziłem Kozielowi stanowczo, bojąc się o losy Banku

Handlowego. Poza tym oświadczyłem mu, że nikt z Polaków nie może przyjąć tej oferty bez zgody rządu legalnego w Angers. Kozieł odmówił.

Wtedy Niemcy zrobili ofertę Feliksowi Młynarskiemu. Polak tego nazwiska i tej przeszłości znalazł się w sytuacji, której nikt mu nie zazdrościł. Radziliśmy bez końca, co zrobić. Po gruntownej rozprawie przyszedł do wniosku, że mając w rękę tak potężny motor, jak Bank Emisyjny, moglibyśmy wpływać na bieg życia gospodarczego i ratować naszą odrębność ekonomiczną.

Jeżeli zasada wydawała się słuszna, to pozostał jeden już tylko szkopuł, zgoda rządu na wygnaniu. Przesiadywałem wówczas u Młynarskiego w jego mieszkaniu warszawskim, jak i on u mnie, lub w C.Z.P.P. Możliwość komunikowania się z rządem była trudna lecz istniała. Rząd mając nieograniczone zaufanie do ludzi, którzy kraju nie opuścili zostawił im wolną rękę z tym, aby ratować każdy warsztat polski metodami zgodnymi z godnością narodową.

Więc zapadła decyzja, aby Młynarski objął Bank Emisyjny w Polsce. W skutkach okazało się to błogosławieństwem. Gdy namiętności ludzkie całkiem się uspokoją, zapewne powołani ludzie będą pisać o tym, gdyż jest o czym. Młynarski musiał się wnet przenieść do Krakowa, bo tam była centralna siedziba okupanta. Niemcy w swej ślepotcie chcieli jak gdyby symbolicznie pokarać Warszawę za jej bohaterski opór. Nie zapomnę tej zimy i wyjazdów w lodowatych tramwajach na ulicę Klonową do Młynarskich, gdzie w przeciwieństwie do naszego apartamentu na Wilczej było ciepło. Bank Polski, do którego należała kooperatywa i mieszkanie Młynarskich, dobrze zaopatrzył się na zimę.

W dużej opozycji do Banku Emisyjnego stał szanowany przez wszystkich ks. Janusz Radziwiłł. Zanim przejdę do wielkiej akcji charytatywnej, jaką prowadzić musiałem poza Centralnym Związkiem i Bankiem Handlowym, chcę powiedzieć kilka słów o Radziwille.

Wojna i jej pierwsze dni zastały go w Ołyce. Mościcki opuścił Warszawę i udał się do Ołyki z całym dworem. To nie trwało długo, bo kiedy sztab otrzymał wiadomości o nadchodzących Moskalach, pewnego poranka cały dwór wyruszył na Rumunię. Jak mi ks. Janusz opowiadał, nawet się z nim pożegnać nie zdołali.

Księżcia, księżną i kilku członków rodziny Moskale wywieźli do Moskwy. Tam osadzili go na Łubiance w „reprezentacyjnym” oddziale więzienia. W jego celi był parkiet, który sam codzien-

nie musiał froterować. Powtarzam to tak, jak spamiętałem z jego długiego i żywego opowiadania.

Pod koniec roku 1939 odebraliśmy wiadomości, że Moskale wszystkich Radziwiłłów z honorami przywieźli pociągiem salonowym na granicę, gdzie go witał w zastępstwie gubernatora — który się za to później ekskuzował — jakiś dygnitarz hitlerowski. Wobec tego, że dach na pałacu Zawiszów przy Bielańskiej 14 był nieco uszkodzony, księstwo zamieszkali w Hotelu Europejskim, gdzie odwiedziłem ich z Januszem Machnickim.

Radziwiłł fascynująco opowiadał swoje przeżycia. Punktem kulminacyjnym — jak dziś pamiętam niesamowite wrażenie — były spotkania księcia z Berią. Moskiewskim obyczajem nocą sprowadzał go na Kreml i robił mu nieprawdopodobne propozycje. Przedtem kazał go przez kilka dni obwozić po Moskwie. Między innymi była propozycja, aby Radziwiłł został w Moskwie, gdzie mógłby odegrać rolę, o jakiej inni tylko marzą. Na tych nocnych pogawędkach, przy dobrych trunkach i bogatym jedzeniu zesła oczywiście mowa na wojnę niemiecko-rosyjską. Beria nie tał swych uczuć, nie mówiąc o Niemcach inaczej jak „swolocz”, a także o tym, że trzeba ich wytepić i że na to przyjdzie dzień i godzina. Trudno nam to było wtedy zrozumieć.

Po czternastu dniach książę przeprowadził się z Hotelu Europejskiego do pałacu na Bielańskiej 14, obok gmachu Banku Polskiego. Piszę o tym, gdyż ten zaciszny kąt tak pięknie urządzony, z biegiem okupacji miał się stać jednym z najmniejbezpieczniejszych miejsc najtajniejszych spotkań politycznych.

Rzecz dziwna, że Niemcy przy bezprzykładnej brutalności, prymitywnym myśleniu oraz kompletnej ignorancji psychiki innych, więcej w kulturze od nich posuniętych narodów, mieli jakiś respekt przed przeszłością. Nazwisko Radziwiłł kojarzyli z Wilhelmem II czy I. Istotnie ostatni Hohenzollern był kuzynem Radziwiłłów. Nigdy do mieszkania warszawskiego nie weszło Gestapo. Wspaniałały zamek po kardynale Radziejowskim, Nieborów pod Łowiczem, zajęty był na parterze przez jakiegoś generała i jego sztab lecz całe piętro było do dyspozycji Radziwiłła. Tego generała, zresztą bardzo wykwintnego, poznałem w przeddzień wkroczenia Hitlera na terytorium wówczas zajęte przez Rosję. Przypomniła mi się rozmowa Radziwiłła z Berią, który wcale nieźle był poinformowany.

Poza pałacem Zawiszów były jeszcze inne względnie bezpieczne miejsca do naszych częstych narad. Była to willa ambasadora Alfreda Wysockiego przy ul. Niegolewskiego 27. O Alfredzie Wysockim wiele pisać nie będę. Ma on już w historii pewną

pozycję a także w literaturze. Nie zapomnę jego opowiadań o Przybyszewskim czy Kasprowiczu, co zresztą sam opisał. Szkoda, że jak dotąd nie poszedł dalej. Książka jego wydana w roku 1956, „Sprzed pięćdziesięciu laty” obejmuje czasy mniej więcej od r. 1890.

Znałem Wysockiego już od r. 1920, kiedy był attaché poselstwa w Berlinie a ja prowadziłem rokowania z Niemcami, czego wobec furii endeków nie przypłaciłem nieomal politycznym upadkiem. Podczas Powszechnej Wystawy Krajowej Wysocki był kilka razy moim gościem. Został ambasadorem przy Hitlerze i później przy Mussolinim. Co za bogate życie, co za żywa historia. To wszystko pomagało nam podczas okupacji. Setki interwencji, o które go prosiliśmy, nie zawsze, ale często opłacały się. Gubernator warszawski dr Fischer czy Frank w Krakowie, nigdy nie odmawiali mu przyjęcia.

Na początku wojny Wysocki obchodził jubileusz małżeński. Tego dnia zgłosiło się do niego czterech oficerów Gestapo. Służąca powiedziała, że państwo są w kościele, więc gestapowcy czekali ich powrotu. Kiedy Wysoccy się zjawili gestapowcy powstali i zwróceni w kierunku ogromnego portretu Hitlera salutowali na swój hitlerowski sposób. Na portrecie był podpis: „Meinem lieben Wysocki Adolf Hitler”. Portret w bogatych srebrnych ramach dostał Wysocki opuszczając Berlin, jadąc do Rzymu. Po co przyszli gestapowcy? Otóż zakomunikowali, że gubernator Fischer chce się z nim rozmówić. Wysocki stale mi powtarzał: „ale czemu do cholery było ich czterech?” Tej zagadki nie zdołaliśmy rozwiązać.

I tak dom przy Niegolewskiego 27 był dobrym przytułkiem. Ież w tym domu zapadło uchwał, jacy ludzie tam radzili pod płaszczem dawnego ambasadora przy dworze Hitlera.

Takim trzecim domem była kanonia zajęta przy św. Janie przez ks. arcybiskupa Galla. Galla znałem dobrze, kiedy był biskupem polowym Wojsk Polskich i stale przyjeżdżał z prezydentem Wojciechowskim na Pomorze. Wówczas wydawał mi się więcej poczciwym proboszczem wiejskim niż biskupem. Lubił kieliszek węgryzna, mało mówił, był jak gdyby czymś przygaszony. Nie było mu do twarzy na polskim dworze.

Podczas wojny poznałem „innego” Galla. Przez przypadek, po śmierci kardynała Krakowskiego został arcybiskupem warszawskim. Nie było siły, która by mogła go przekonać, aby zamieszkał w pałacu arcybiskupim. Wolał skromnie siedzieć wśród kanoników u św. Jana. Pewnego razu siedzimy tam z Januszem Machnickim na pierwszym piętrze po mieszczańsku

i bez wielkiego gustu urządzonego mieszkania. Gospodyni melduje jakąś wizytę — jak prawie co dzień — dwóch oficerów Gestapo. Byliśmy zaambarasowani, bo to ze szkopami nigdy nie można wiedzieć. Gestapowcy oświadczyli, że możemy pozostać i rozpoczęli indagować arcybiskupa o jakieś sprawy seminarium duchownego. Gall zażądał tłumacza. Byłem zdziwiony gdyż wiedziałem, że dostatecznie władał niemieckim. Gestapowcy niewiele się od tego mądrego człowieka dowiedzieli. Gdy odeszli powiedział: „pan doktor lepiej ich zna, po co ja mam Szwabom pomagać? Przeciagam rozmowę przez tłumacza, zyskuję na czasie i głupstwa nie powiem. Taka moja metoda”. Był niezrównany — swym spokojem, swoją flegmą i udawaniem, że nic nie rozumie, mógł zmęczyć najmocniejszego oficera Gestapo.

O dwie kanonie od arcybiskupiej oddalony był dom Stanisława Adamskiego, biskupa śląskiego, deportowanego do Warszawy. Tam dopiero kwitła konspiracja! Mogę coś autentycznego o tym powiedzieć, gdyż ile razy służba nasza z Gestapo donosiła nam o zamierzonych masowych aresztowaniach — a w spisie mnie nigdy nie brakło — pakowałem manatki i buch do ostatniego *refugium* na kanonie. W ten sposób trzy razy uniknąłem aresztowania. Obok kanonii był dom narożny zwany domem sióstr ukrytek, gdzie kilka tygodni mieszkałem, przechodząc na obiady i kolacje do ks. biskupa. Nigdy mnie tam nie wykryto. Przytaczam te przeżycia jako dalszy dokument ciekawego kompleksu niemieckiego jeśli idzie o wielką arystokrację — Radziwiłł, czy wielkich dyplomatów — Wysocki, i dygnitarzy kościelnych — Gall i Adamski.

Często nad tym myślałem i przyszedłem do wniosku, że są siły, które nawet gestapowców zniewalały, onieśmiewały i upokarzały.

Najniebezpieczniejszym miejscem naszych schadzek była „Roma” przy Nowogrodzkiej. Ogromny gmach mieścił kino i setki biur organizacji katolickich, a przede wszystkim „Caritasu”. Chodziłem tam prawie codziennie, bo nędza stolicy, zwłaszcza w pierwszych miesiącach wojny, była wielka. Rząd polski utworzył tuż przed wojną Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej. Na czele tej dużej instytucji stał były premier Artur Sliwiński, czcigodny człowiek o najlepszych tradycjach warszawskich. Obok tego była wielka organizacja Episkopatu „Caritas”, na której czele stał nieoceniony ks. Lewandowicz.

Niemcom to całkiem nie odpowiadało i gnębili prezesa Sliwińskiego dowodząc, że trzeba założyć jednolitą organizację dobroczynną, obejmującą wszystkie narodowości terytorium

polskiego. To był ich ulubiony konik, gdyż chcieli na zewnątrz przedstawić okupowaną Polskę jako zlepek narodowości, co nie odpowiadało prawdzie. Do tego dochodził jeszcze Polski Czerwony Krzyż, na którego czele stała hr. Adamowa Maria Tarnowska. Był międzynarodowo uznany, co Niemcom wcale nie konweniowało. Żądali aby wcielić P.C.K. do mającej się utworzyć jednolitej organizacji polskiej kierowanej przez Polaków, oczywiście pod nadzorem władz niemieckich.

Bóg jeden wie, cośmy na tym tle przeżyli. Kiedy Niemcy postawili ultimatum, że albo zaakceptujemy ich formułkę, albo opieki społecznej nie będzie, zdecydowaliśmy przystąpić do organizacji Rady Głównej Opiekuńczej, na wzór z pierwszej wojny światowej. Tak się złożyło, że Rada pierwszej wojny nie cieszyła się dobrą opinią społeczeństwa. Artur Sliwiński, którego ze strony społeczeństwa proszono, aby objął kierownictwo nowej organizacji odmówił stanowczo. Zastaniał się przy tym nieznaną dla niego języka niemieckiego. Wszystkie naciski na niego z naszej strony były daremne. Niemcy mieli ten atut, że wówczas z Ameryki nadchodziły liczne wagony żywności i odzieży, również ze Szwajcarii i Szwecji. Nadzoru nad tym nie chcieli z rąk wypuścić, co przy metodach rządzenia, które dopiero się rozpoczynały, było normalne.

Stwarzało to coraz większe trudności. Równocześnie zaczęli zabierać się do „Caritasu”, więc jasne było, że S.K.S.S. niedługo zdołamy utrzymać w dawnej formie. W tych warunkach wybrano do prezydium S.K.S.S.-u Sliwińskiego, profesora Rybarskiego, profesora Staniszkisa, ks. Lewandowicza, byłego ministra Janusza Machnickiego i mnie.

Rokowania z Niemcami były trudne. Wreszcie utworzono Polski Wydział Opiekuńczy (*Polnischer Hilfsausschuss*) i proszono mnie o przyjęcie przewodnictwa, czemu stanowczo odmówiłem, mając dosyć zajęć, którym z trudem mogłem podołać. Następnie zbyt mało znałem warszawski teren, a wreszcie bałem się jak ognia zarzutów rodaków na temat ustępliwości wobec okupanta, o co przy polskim temperamentem niestety tak łatwo. Na przyjęcie prezesury na Warszawę zdecydował się Janusz Machnicki, jednomyślnie przez czynniki społeczne desygnowany, a wskazany przez Artura Sliwińskiego. Stawiał jednak warunek, abym ja został jego zastępcą. Złe było, że uchodziłem w Warszawie za najlepiej mówiącego po niemiecku. Tym argumentem operowali w kółko, przymuszając mnie moralnie. Zdawałem sobie sprawę z tego co mnie będzie czekać.

Metody Niemców były coraz gwałtowniejsze. Masowy mord

blisko setki ludzi pod Warszawą, konfiskaty przez Gestapo zapasów tłuszczów „Caritasu” w „Romie” i aresztowanie w związku z tym Machnickiego, co prawda tylko na kilka dni, wszystko to wytwarzało nastrój coraz gorszy.

Do tego dochodziły sprawy Rataja i Niedziałkowskiego, wywiezionych przez Gestapo. Szacunek dla tych wielkich patriotów był tak powszechny, że musiało to wywołać wstrząs w społeczeństwie. Tak kończył się rok klęski naszego narodu na moim małym odcinku.

Jednym z najruchliwszych patriotów i najbardziej obywatelskim człowiekiem Warszawy był wtedy ks. Janusz Radziwiłł. Od początku r. 1940 był wszędzie i wobec trudności komunikacyjnych w mieście do mnie na Wilczą często przyjeżdżał rykszą. Wszyscy błagaliśmy go, aby wobec cięższej sytuacji aprowizacyjnej, niesłychanych gwałtów Gestapo, coraz czarniejszych nastrojów społeczeństwa wykorzystał swoje wpływy, które jeszcze urosły przez świeży fakt odstawienia jego i całej rodziny z takimi honorami do Polski.

Radziwiłł zdecydował się pojechać do Goeringa. Pozwolenie na to dostał z łatwością. Goering często polował u Radziwiłła i u Potockich. Szanował, jak mi mówiono, ks. Janusza, więc przypuszczaliśmy, że ta misja choć pewne ulgi przyniesie. Szczerze powiem, że największym pesymistą był sam książę, który lepiej od nas wszystkich orientował się w sytuacji. Był w Berlinie zdaje się trzy dni i rozmawiał godzinami w ministerstwie lotnictwa. Goering słuchał, notował i ubolewał. Jakie to jest niewymownie charakterystyczne dla obłędu reżymu hitlerowskiego, że pierwsza figura po Hitlerze okazała się zwykłą kukłą tego reżymu. Niepodzielnie rządziło Gestapo i jego szef, najokrutniejszy zbir w dziejach Heinrich Himmler.

Ks. Radziwiłł wrócił i opowiadał o rozmowach z Goeringiem. Najbardziej wstrząsała mną wówczas relacja o wizycie jego u ówczesnego nuncjusza papieskiego w Berlinie, mons. Orseniego. Książę rozmawiał z nim długo, lecz Orseni go słuchał, nie bardzo przejęty ponurym obrazem rzeczywistości pod okupacją niemiecką w Polsce. Wreszcie mówił o trudnościach zamazania przeszłości i dodał: „*mais, vous savez, mon prince, l'affaire Bromberg*”. Więc ten człowiek wierzył tej jedynej w swym rodzaju maszynie propagandowej, jaką Niemcy ogłupiali wówczas całą Europę! Zorganizowane po wielkiej części przez zbirów partyjnych napady, podpalania czy mordy wzięli później jako asumpt do masowych mordów skierowanych przeciw księżom, właścicielom ziemskim, wybitnym mieszczanom i w ogóle przeciw

inteligencji. Pod koniec r. 1939 nie było jednego miasta w Wielkopolsce i na Pomorzu, gdzie przy asyście wysokich urzędników niemieckich nie urządzano publicznych pokazów rozstrzeliwań i torturowania ofiar, jak to miało miejsce w Bydgoszczy, między innymi na osobie zasłużonego prezydenta Leona Barciszewskiego, ongiś polskiego konsula generalnego w Essen w Westfalii.

Orseni wzbudził we mnie najwyższy wstręt swoją ignorancją i tępotą. Nigdy z tym zdaniem się nie tałem.

Na początku stycznia 1940 r. żona moja jakimś cudem zdobyła przepustkę do Katowic, gdzie odwiedziła nasze mieszkanie i wierną służbę. Mieszkanie dzięki sekwestrowi przez dyrekcję hr. Schaffgotschów było nietknięte. Naturalnie nie mogła zabrać nawet ciepłej bielizny, która w Warszawie wobec srogiej zimy tak była nam potrzebna. Pobyt jej przyspieszył rabunek mieszkania przez gestapowców, dokonany 26 stycznia. Rabowali indywidualnie dorobek naszego życia, w tym kilkaset obrazów, wśród których obok zbioru obrazów Wyczółkowskiego, Norblina, Kossaków, Czachorskiego był szereg obrazów malarzy niemieckich jak Guido v. Maffai, Liebermann, Slevogt, Hans Thoma. Rozkradli wszystkie dywany, porcelanę i rzadki zbiór monet. Służbę wypędzili nic złego jej nie czyniąc. Potem na uświęcenie tej *Kulturtat* rozkradli wszystko, co było w bogatej piwnicy.

W styczniu odbywała się wymiana banknotów polskich 100 i 500-złotowych na nową walutę złotową Banku Emisyjnego. Widziałem przykre sceny przed gmachem banku, gdzie ludzie przy trzaskającym mrozie czekali godzinami w ogonkach, gdyż terminy na wymianę były bardzo krótkie. W tłumie kręcili się gestapowcy legitymując ludzi i pytając skąd mają takie sumy pieniężne, jeżeli znaleźli przy „delikwencie” *in spe* większy zapas gotówki. Rabowali przy tym jak kruki. Kto był sprytny załatwiał sprawę szybko wciskając w łapę takiego stróża porządku publicznego odpowiednie smarowidło. Obserwowałem to ponure widowisko przez szereg dni z pierwszego piętra gmachu banku i rozmyślałem, czy system hitlerowski może przetrwać w tej bezprzykładnej demoralizacji zawołowanej szumnymi hasłami o superkulturze niemieckiej.

Rozstrajał mnie widok ulic Traugutta i Czackiego, gdzie przed bankiem rozgrywały się dantejskie sceny! Było to 25 stycznia w południe. Przyszła do mnie żona, gdyż dostała pozew, aby asystować przy otwarciu jej skrytki w Banku. W razie niestawienia się *Sprengkommando* otworzy ją siłą. Bank posiadał

ogromny stary gmach od strony placu Małachowskiego. Drugi gmach zamknięty ulicami Czackiego i Traugutta. Były dwa skarbcze, z których ten wychodzący na plac Małachowskiego, gdzie stał piękny zbór ewangelicki został zasypany bombą zaraz na początku wojny. Drugi ocalał i z tego właściciele, o ile byli w Warszawie, oczywiście wybrali wszystko, zanim Niemcy nie zaczęli „ubezpieczać” (*sicherstellen, Donnerwetter*) majątków prywatnych.

Nieszczęście chciało, że nasza skrytka była od placu Małachowskiego. Na czele tego „komanda” stał niejaki Brohm, *Reichsbankrat*. Radziłem żonie, aby się z nim spróbowała układać. Było tam kilkaset monet złotych wielkiej wartości. W tym piękne, stare polskie sztuki. Żona miała z Brohmem gwałtowną rozmowę, nawet groził jej rewolwerem. Gdyby nie interwencja dyrektora Kozieła mogłoby się wszystko skończyć niedobrze. Niemiec udobruchał się trochę, kiedy się dowiedział, że jestem w kontakcie z Paerschem. To nie uratowało tej resztki naszego majątku. Zrabowali wtedy nieprzebrane skarby klientów banku. Rzecz dziwna, że nie ruszyli ogromnych skarbców otwartych, gdzie były składy dywanów, różnych cennych surowców, obrazów, sreber rodzinnych setek rodzin warszawskich. Tego dokoła Gestapo dopiero pod koniec powstania, o czym później.

Był luty, zimna sroga, jakie pamiętam ostatni raz tylko z roku 1928-29. Pewnego poniedziałku siedzieliśmy jak zwykle w saloniku, kiedy po godzinie 8-ej odezwał się dzwonek. Wiedzieliśmy, że to zły znak, gdyż Niemcy po 8-ej strzelali do ludzi jak do wściekłych psów, więc nikt na ulicy nie odważył się pokazywać. Nie myliliśmy się, przyjechało Gestapo po mnie. Można sobie wyobrazić przerażenie całej rodziny. Zawieźli mnie wozem policyjnym na Pawiak przy ul. Dzielnej.

Cała służba i administracja więzienia były wówczas jeszcze polskie, oczywiście pod rozkazami Gestapo. Dla chluby naszych urzędników z czasów polskich powiedzieć muszę, że ich zachowanie się, delikatność i chęć pomocy w ramach możliwości, były ponad wszelką pochwałę. Naczelnik, któremu oddali mnie gestapowcy cicho mi szepnął — co te dranie chcą od pana wojewody. Był to znak jak był wzburzony tym aresztowaniem. Jak później się dowiedziałem, znał mnie dobrze. Wówczas na Pawiaku więzionych było kilkaset osób, podejrzanych politycznie. Ludzi często wybitnych: masa księży, wielu adwokatów, wysokich urzędników państwowych, pisarzy, redaktorów i wielu członków arystokracji.

Cele zwykłe w których w nieludzkich warunkach siedziało

po 50 osób. Były też cele na siedem osób lecz tak ciasne, że ludzie w nich ledwo mogli oddychać. Na pierwszym piętrze była sala na 50 osób, widocznie dawniej do innych celów przeznaczona, gdyż okna były wielkie choć za mocnymi kratami. Naczelnik rozkazał przodownikowi — pan wojewoda do sali. Było w tym odezwaniu się coś rozczulającego, a co dopiero później, zaznajomiony z więzieniem w całej pełni zrozumiałem.

Kiedy zamknięto za mną ciężkie żelazne drzwi zobaczyłem około 30 osób, z których bodaj połowę znałem. Ku mej radości rzucili się wszyscy ku mnie i bratnio witali. Jakaż była moja radość kiedy zobaczyłem kochanego przyjaciela z „Caritasu” ks. Lewandowicza, ks. prałata Węglewicza proboszcza przy św. Jakubie i również dobrego malarza, hr. Branickiego z Wilanowa, księcia Stanisława Lubomirskiego, byłego ministra Tołłoczkę, znanego profesora Bystronia, kilku znanych adwokatów i dziennikarzy.

Ks. Lewandowicz, który w tej sali był głównym szefem aprowizacyjnym postawił flaszkę wina. W to dziś trudno uwierzyć lecz tak było. Nasza służba przemyciała nam wszystko bez jakiegokolwiek ekwiwalentu. To był początek okupacji. Za miesiąc, dwa wszystko to się skończyło z usunięciem naszej patriotycznej służby więziennej, która odróżniała zbrodniarzy od patriotów.

W więzieniu przesiedziałem na szczęście tylko cztery tygodnie. Te tygodnie do śmierci będą mi pamiętne. W tym więzieniu, tradycyjnym Pawiaku Warszawy, czułem że mimo sporów partyjnych, ideowych, politycznych — Polska w nieszczęściu jest jedna! Te tygodnie na Pawiaku w otoczeniu ludzi najwyższej klasy czyniły mi Polskę droższą jeszcze, niż mi drogą była, kiedy na dalekiej obczyźnie niemieckiej czytałem bez końca biblię polską: „Pana Tadeusza”.

Co wieczór był odczyt. Nie zapomnę wnikliwych uwag ks. Lewandowicza o Chateaubriandzie i jego filozofii. Ks. prałat Węglewicz mówił o stylach i malarstwie. Poczciwa polska służba więzienna poinformowała mnie pewnego dnia, że weszła w kontakt z moją żoną, która w oznaczonej godzinie pewnego dnia pojawiała się pod oknem więzienia. To są rzeczy niezapomniane. Grypsy czyli pisma od rodzin czy działaczy politycznych mieliśmy codziennie. Nawet pisemka tajne, które wydawały stronnictwa polityczne, czy też początkujące wtedy podziemie. Straż więzienna dostarczała książek z bogatej wówczas biblioteki więziennej. Żona przysyłała mi codziennie cygara przez jakiegoś strażnika. Piszę o tym, bo z tym wiąże się piękna postać Bystronia. Palił fajkę i zawsze mu ktoś tytoniu dostarczał, a moje

cygara miały lepszą tabakę. Stanął pakt, że 1/4 niewypalonego cygara oddaje do jego użytku. Łóżek na sali było siedem, reszta „delikwentów” leżała na podłodze. Kierownictwo izby nie pozwoliło dawnym dygnitarzom wykonywać żadnych robót ordynarnych. Musieli to robić młodzi. Tak więc jednej soboty młody wikary czyścił podłogę a Bystron leżał na łóżku i pykał swoją fajkę moim tytoniem naładowaną. Cygara były brazylijskie, gdyż mieliśmy spory ich zapas w domu. Smakowały mu, snił patrząc na niebieski wonny dym. W pewnym momencie mówi do mnie po niemiecku: *Arbeiten ist schön, stundenlang könnte ich zuschauen*, co znaczy: „pracować jest pięknie, godzinami mógłbym się przyglądać”.

Brutalność Niemców była wprost bezgraniczna. Któregoś dnia przyjechał na inspekcję więzienia gestapowiec-major. Objeżdżał dużą salę i ryknął do przybyłych z nim policjantów — *und zu viel Luft hat hier die Saubande* („i za dużo powietrza ma ta trzoda świńska tutaj”).

Pewnego dnia po czterech tygodniach drzwi się otworzyły i jakiś gestapowiec głośno zapowiedział, że jestem wolny i abym się kazał ogolić i ostrzyc, czego gwałtownie potrzebowałem. Popłakali się moi towarzysze niedoli, żegnając się ze mną. Wychoząc po wszystkich formalnościach zauważyłem, że czeka zamknięta karetka z gestapowcami. Przodownik oświadczył mi, że zawiezie mnie na ul. Szucha do głównej komendy Gestapo. To mi się nie podobało. Kiedy wysiadłem przed pięknym gmachem dawnego Ministerstwa Oświecenia Publicznego, posyłano mnie od Iwana do Pogana i wreszcie ulokowano w podziemiach, gdzie dawniej były kuchnie, teraz przerobione na cele. Cele tym się odznaczały, że każda ściana była innego koloru. Cella w której mnie umieszczono miała dwanaście niskich taboretów bez oparcia. Ściana naprzeciw była czarna jak noc. Przygłębiało to okrutnie a mówić z nikim nie było wolno.

W tej pozycji śpiąc kilka godzin, czekałem trzy dni bez jedzenia i picia. Dopiero jakiś strażnik, rudy Bawarczyk znad Tegernsee, zlitował się nade mną i przyniósł mi jakichś ciastek z miasta, wyprowadzając mnie do toalety, bo tam będzie bezpiecznie, jak mówił. To jest ulgą, że i wśród gestapowców czasem były ludzkie serca.

Po trzech dniach dowiedziałem się o co chodzi. Przyjechało po mnie Gestapo z Katowic, które na skutek śniegów nie mogło wcześniej przybyć do Warszawy. Rzecz szczególna, na co już zwracałem uwagę, na Śląsku wszystko było łagodniejsze, od administracji do Gestapo włącznie. Tak znalazłem się w towa-

rzystwie łagodniejszych gestapowców. Powiedziałem, że chciałbym się zobaczyć po tyłu tygodniach aresztu z rodziną i zmienić bieliznę, na co zgodzili się bez przeszkód. W warszawskim Gestapo ze specjalnymi instrukcjami dla *Untermenschen* nie byłoby to do pomyslenia.

Zajechali ze mną dorożką na Wilczą 69. Zostałem tylko służbę, gdyż żona wyruszyła na Dzielną, aby się dowiedzieć, gdzie się od trzech dni podziewam. Można sobie wyobrazić rozpacz rodziny, zginąłem bez śladu. Wielka była radość wszystkich, kiedy się dowiedzieli, że byłem w domu i że mnie poczciwi domownicy widzieli. Z gestapowcami wyruszyłem na dworzec, gdzie w wagonie był zarezerwowany przedział trzeciej klasy z napisem *Spezialhäftling*. Tak dojechaliśmy do Katowic, gdzie mnie odstawiono do więzienia.

Gestapowcy pożegnali się i zostałem sam z głównym dozorcą, który przeliczył moje manatki. Spisał protokół i potem powiada po polsku: „panie, kaj te pierony pierońskie pana tu przywieźli?” Okazało się, że i on mnie znał. Był członkiem N.P.R. Dał mi najprzyzwoitszą celę i o północy przyniósł miskę wybornej grochówki ze szperką, którą sam odgrzął. Był rozczulający. Jeszcze raz czułem się szczęśliwy, że u tych prostych ludzi jest zew krwi najczystszy, najrzetelniejszy.

Więzienie w Katowicach było całkiem nowoczesne, zupełnie inne niż tradycyjny Pawiak warszawski. Na szczęście długo mnie tam nie trzymano, gdyż biegał za moją sprawą nieoceniony dr Otto Berve. Przesłuchiwano mnie w gmachu „Robura”, którego trzy skrzydła zajęte zostały przez Gestapo. W bunkrach, które przeciw nalotom kazałem zbudować na początku roku 1939, były później katownie Gestapo. Miałem szczęście niesamowite. Nowy szef tajnej policji na Śląsku, Nadreńczyk Schaeffer był znajomym dr. Berve i to mnie uratowało. Przesłuchiwali mnie cały dzień i zwolnili wieczorem. Pomógł mi oficer, który mnie przesłuchiwał i dał mi przepustkę graniczną do Warszawy. Mam dotąd poświadczenie z napisem: *Entlassung aus dem Zuchthaus* i list żelazny z *Geheime Staatspolizei Kanzlei 9, Staatspolizeistelle Kattowitz*. Przytaczam to wszystko na dowód, jak ta ogromna sieć policyjna funkcjonowała i jak to wszystko było przygotowane w szczegółach i drobiazgach z niemiecką dokładnością.

Wróciłem bez przeszkód na Wielkanoc do Warszawy. Dobrzy przyjaciele zjawili się prawie bez wyjątku w naszym domu. Ks. Radziwiłł postarał nam się o wyborne mieszkanie w budynku hr. Adama Tarnowskiego. Był tam wolny piękny

apartament po młodych Tarnowskich Andrzejach, którzy wyjechali w dużą podróż i wybuch wojny zastał ich w Brazylii. Z powodu idealnego punktu, mieszkania w centrum miasta, daleko łatwiej mogłem spełniać liczne funkcje, jakimi mnie obdarzyło zaufanie społeczeństwa. Maria Tarnowska, siostra mego starego znajomego z Sejmu, ks. Seweryna Czetwertyńskiego była wówczas prezesem P.C.K. Walczyła, jak tylko tak inteligentna i energiczna Polka potrafi o utrzymanie P.C.K., która to instytucja była Niemcom solą w oku.

Tarnowskich widywałem codziennie, zwłaszcza wieczorami, robiliśmy nasze plany, będąc początkowo dosyć bezpieczni. Chcąc zabezpieczyć swoje mieszkanie przed rekwizycją, Tarnowski oddał parter na rzecz zarządu Rady Głównej Opiekuńczej. Niejedna decyzja zapadła w tym mieszkaniu w sprawach największej wagi. Kto tam nie bywał? Cyryl Ratajski, ostatni delegat rządu Jankowski, minister Jasiukiewicz, ks. Radziwiłł, Czesław Klarner, Andrzej Wierzbicki, Adam Ronikier, Tadeusz Jackowski, Fudakowski, Targowski, senator i zasłużony działacz, stary Solski i tylu innych patriotów, którzy wymieniali wiadomości, nabierali otuchy i radzili co dalej. Ten lokal dla sprawy okazał się błogosławieństwem. Nigdy nie było tam rewizji, choć dwukrotnie aresztowano Marię Tarnowską w prywatnym mieszkaniu Tarnowskich na pierwszym piętrze.

Tymczasem Niemcy w Warszawie się zadomowili. 8 maja był dzień mych imienin i w pięknym salonie mieszkania młodych, nieobecnych Tarnowskich miałem kilkudziesięciu gości. Na szczęście najpierwsi przybyli Adamscy, a więc ks. biskup i jego nieodstępny towarzysz ks. kanonik Zborowski oraz brat biskupa profesor Jan z żoną i córką Krysią. Ku memu zdumieniu nie przyszedł Stefan Krasnodębski, mimo, że dzwonił uprzednio, gdyż telefony w Warszawie działały aż do powstania. Nie przybyło kilku innych, a co nas najbardziej niepokoiło, że nie zjawili się i nasi chłopcy, którzy byli zajęci, lecz o godzinie 5-ej mieli być w domu.

Co się okazało? Była to pierwsza wielka „łapanka” jak mówili w Warszawie, którą urządziło Gestapo na mężczyzn. Zatrzymywali tramwaje grożąc karabinami maszynowymi i łapali każdego mężczyznę. Stefan Krasnodębski przypłacił swoją przyjaźń dla mnie utratą wolności przez cztery tygodnie. Siedział w gmachu Sejmu, gdzie trzymano około 4000 ludzi. Aresztowanych w tym dniu było ponad 10.000 osób. Nasi chłopcy ukryli się w ruinach jakiegoś domu i wrócili wystraszeni około godziny 9-ej to jest po godzinie policyjnej.

Warszawa zaczynała przyzwyczajać się do tych później periodycznie powtarzających się polowań, gdzie często byli ranni i zabici. I tak to miało trwać przez lat pięć. Dobrze, że zasłona nieświadomości ludzkiej wisi nad przyszłością i dobrze, że śmiertelny człowiek jej nie zna. Znając przyszłość jaka przed nami była, któżby bez załamania się moralnego mógł jej iść naprzeciw? Na szczęście człowiek obdarzony jest instynktem samozachowawczym. Tak więc na zimę Warszawa miała hasło: „byłe do wiosny”, a wiosną: „im słońeczko wyżej tym Sikorski bliżej”. Tymczasem dopiero rozpoczynały się kłęski i pierwsze dzieśnięć miesięcy było małym preludium tego, co przyjść miało!

Dla mnie największym przeżyciem pierwszej okupacyjnej wiosny był upadek Francji w czerwcu 1940 r. Nic tak nie przygnębiło Warszawy, jak ten cios na który nikt nie był przygotowany. Następnie te haniebne pertraktacje z Hitlerem. Cóż się stało z liniami Maginota, coś z wielkością naszej pierwszej sojuszniczki i kolebką naszej zachodniej kultury? Uciekłem do Podkowy Leśnej, bo ryki i szłał tłuszczu gestapowskiej i urzędniczej cywilnej były w Warszawie w tych dniach nie do wytrzymania.

Jednakże miasto niezłomne wnet się otrząsnęło z niewiary i rozpacz. Nowa wiara to była Anglia i pewność, że Ameryka Północna długo temu wszystkiemu beczynninie przyglądać się nie będzie i nie może.

Zaledwie wydobyłem się z więzienia, zaaresztowano Andrzeja Wierzbickiego, który był jednym z największych motorów wiary i nadziei. Było to przeżycie straszne. Wykorzystaliśmy cały nasz tajny aparat i wydobyliśmy go szczęśliwie z Pawiaka.

Sytuacja niektórych naszych czołowych ludzi, zwłaszcza tych którzy przybyli z Zachodu, materialnie źle się przedstawiała. Najpierw przyszedł z ogromną pomocą ks. Janusz Radziwiłł, przesyłając jednego dnia do wymiany okrągłe 100 tysięcy zł. Fundusz ten miał służyć na dyskretną pomoc dla naszych zasłużonych ludzi, literatów i artystów. Dr Jan Moszyński przniósł te pieniądze do banku i przy dyskretnej pomocy Młynarskiego zdołaliśmy wszystko zamienić. Korzystali z tego najzasłużeńsi. Nigdy lepiej nie użyto grosza publicznego.

Nie podobna tu nie wymienić Leopolda Kronenberga, który tuż przed wojną otrzymał za sprzedaż pałacu Kronenbergów 2 miliony zł. od Banku Polskiego. Zużył te pieniądze na pożyczki dla wybitnych uciekinierów. Był to czyn obywatelski i dlatego piszę o tym, gdyż nie wolno trzymać światła pod korcem. Mnie

również to pomogło na długi czas, gdyż Leopold Kronenberg za zwykłym kwitem pożyczył mi znaczną wówczas sumę 50 tysięcy zł, którą kilka lat później — niebu chwała — mogłem mu zwrócić w Londynie.

Mimo, że są to sprawy osobiste, dyskretne, o których się nie mówi, czyż byłoby podobieństwem przemilczać takie czyny obywatelskie?

Na początku 1940 roku wielkim problemem było umożliwienie egzystencji tysiącom i dziesiątkom tysięcy uciekinierów i wywiezionych przez Niemców z zachodu Polski, kupcom, przemysłowcom, rzemieślnikom. Wywożenia ludności z Poznańskiego, głównie po wymordowaniu przywódców i inteligencji, odbywały się dosyć *pêle-mêle*. Kryterium było mniej więcej takie — najpierw wybić przywódców, potem usunąć stan średni, a następnie wywieźć ludność z dzielnic miast, gdzie będą potrzebne dobre mieszkania dla Niemców przybywających z Nadbałtyki czy Rzeszy. I tak, na przykład w Poznaniu, dzielnicę Sołacz opróżniono jedynie dla wykorzystania mieszkań tej willowej części miasta.

Warszawa była najofiarniejszym miastem na świecie. Nie każdy uwierzy, że sam ulokowałem kilka tysięcy Poznaniaków i Pomorzan, oczywiście przy pomocy Banku Handlowego, C.Z.P.P. i setek fabryk i warsztatów w nim zjednoczonych. Później dopiero przyszło R.G.O. Moja Warszawo, i wy wspaniali ludzie! Niezrównani w ofiarności i miłości braci, skądkolwiek by przyszli.

W r. 1940 toczyła się najpierw cicha, a potem otwarta wojna, jeżeli chodzi o wewnętrzne stosunki między gubernią generalną a P.C.K., który pod kierownictwem hr. Marii Tarnowskiej i byłego ministra J. Wielowieyskiego walczył o swą suwerenność, mając pewnego rodzaju statut międzynarodowy.

Nieugięty Artur Sliwiński nie ustawał w codziennym wysiłku, aby uratować S.K.S.S. Kościół bronił do upadłego „Caritasu”.

Tu Niemcom nie dawano spokoju. Jeszcze wówczas liczyli się odrobinę z państwami neutralnymi. Co chwila przyjeżdżał do Warszawy jakiś Komitet szwajcarski, czy Mr Mac Donald z komisji Hoovera. Czasem przyjeżdżał delegat Maronitów, to znowu delegaci szwedzcy, co organizował przyjaciel Polski, konsul szwedzki Herslow, który, jak się później okaże, swego poświęcenia niemal życiem nie przypłacił. Niemcy chcieli mieć jedną instytucję opiekuńczą pod swym nadzorem, co z ich punktu widzenia było zrozumiałe. Z początkiem r. 1940 zaczęli przy-

gotowywać statut ogólnokrajowej organizacji dobroczynnej, która miała obejmować Polaków, Żydów i Ukraińców. Projektów robili bez liku i mieli zamiar poprosić na prezydenta ks. Janusza Radziwiłła. Machnicki i ja jeździliśmy z Radziwiłłem często do Krakowa, dokąd nas wzywano, ale rokowania z nim rozbiły się kompletnie. Nikt inny z wybitniejszych Polaków też nie chciał ryzykować. Aczkolwiek społeczeństwo i partie polityczne o wszystkim były poinformowane, jasne było, że nikt, choćby był święty, w tych warunkach nie odpowie oczekiwaniom szerokich warstw, głównie w miastach. Mówię wyraźnie, że nikt, mimo cichej aprobaty naszych ówczesnych politycznych czynników decydujących, tego zadania podjąć się nie chciał.

Zdecydował się na to hr. Adam Ronikier, który z czasów pierwszej wojny nie cieszył się popularnością, uchodząc za germanofila. Czy tak było, nie umiem ocenić, bo Ronikiera poznałem dopiero kilka lat po zakończeniu pierwszej wojny, a stosunki w byłym Królestwie, gdzie głównie działał, obserwowałem z daleka.

Tak więc, *faute de mieux*, Adam Ronikier zaczął organizować Radę Główną Opiekuńczą, instytucję która działając legalnie na zewnątrz, miała w czasie okupacji odegrać olbrzymią, a do dziś niedocenioną, rolę dla fizycznego ratowania narodu. RGO z biegiem czasu miała stać się przykrywką dla organizacji podziemia polskiego. Co bardzo powoli zaczęto podkreślać, w niektórych kompetentnych publikacjach.

Zanim dam pobieżny szkic historyczny tej wielkiej organizacji, pragnę skreślić obraz Ronikiera. Sądzę, że mogę o nim dość obiektywnie pisać choćby dlatego, że należałem stale do grupy ludzi jak najbardziej krytycznie do niego nastawionej — jak ks. Radziwiłł lub metropolita Sapieha — choć ten ostatni lubił „pana Adama” jak zawsze do niego się odzywał. Nie jest paradoksem co wyżej powiedziałem, gdyż mój sąd ogólny po zbadaniu *pro* i *contra* wypadnie pozytywnie. W korespondencji jaką ze mną prowadził, był pełen gorczy dla mnie. Korespondencja ta po części się uratowała. Uważał mnie za swego wroga, choć to było niesłuszne.

Można by o nim powiedzieć, jak Schiller napisał w prologu do „Wallensteina”: „*Von der Parteien Hass und Gunst verwirrt schwankt sein Charakterbild in der Geschichte*”. Istotnie nie było w czasie całej okupacji osoby bardziej zwalczanej przez niektórych, wielbionej przez innych. Moje nieporozumienia z nim były na tle jego zbyt wielkiej łatwowierności wobec Niemców, których w drugiej wojnie mierzył miarą pierwszej okupa-

cji z czasów Beselera. Ten błąd moim zdaniem popełniali wszyscy ludzie starszej generacji, pamiętający czasy cesarzy. Ten błąd popełnił nawet człowiek tej klasy i tego intelektu co Józef Zychliński.

Ronikier był również fizycznie wytrzymałym okazem. Pamiętam jak jechał nocą z Krakowa do Warszawy, stojąc przez dziesięć godzin i nazajutrz od razu był w biurach RGO w Warszawie. Załatwiał niezliczone sprawy, składał wizyty, odbywał rozmowy, aby za 48 godzin znów wracać do Krakowa, stojąc całą drogę. Był dla mnie fenomenem. Był człowiekiem ofiarnym i jako prezes RGO był nie do zastąpienia przez nikogo. Wierzył w sprawę polską, lecz nie pilnowany przez naczelne władze rządu podziemnego, przez zarząd główny RGO w Krakowie, przez ks. Radziwiłła i ks. metropolitę Sapiechę, których wielce respektował, byłby przez swoje zbyt łatwowieczne usposobienie pewnie nieraz piwa nawarzył. Na szczęście, nigdy nic złego się nie stało i to decyduje. Lada wiadomość puszczoną przez Niemców o zmianie kursu przyjmował zbyt często za dobrą monetę. Koniec końców wnet, bo po trzech latach stał się z Szawła — Pawłem. Nigdy nic niegodziwego nie popełnił. Kiedy odmówił zaproszeniu Franka, aby się zjawił na dożynkach, został zaaresztowany i Niemcy zagrozili rozwiązaniem RGO. Wówczas, ze względu na pewną tajną symbiozę RGO z podziemiem, to mogło być stać się fatalne.

Rzecz prosta opinia naszych kół kierujących była jednolita. Czekać rozwoju wypadków i ratować każdą instytucję. Tymczasem wojna przedłużała się, czego nawet żaden pesymista nie mógł przewidzieć. Praktyka okazała, że wojny im są nowocześniejsze, tym dłużej trwają.

Niemcy naciskali coraz bardziej więc musieliśmy zaakceptować tworzenie jednolitej opieki społecznej w postaci RGO. Postanowiliśmy wszelkimi środkami przewlekać ich zamierzony proces unifikacyjny nie unikając nawet sabotażu, jaki w warunkach rzeczywistości okupacyjnej był możliwy. Mówię rzeczywistości okupacyjnej, bo ludzie patrzący z dala, a nieraz także i inteligentni pisarze lat ostatnich, często zdawali się chodzić po księżycu, nie po ziemi. Okupant drugiej wojny światowej prowadził wojnę totalną i bodaj najmniej ucierpiały siły wojskowe. Brzemię wojny dźwigała ludność cywilna. Ona cierpiała bez miary, ona musiała produkować i poniosła fizycznie najwięcej ofiar.

W latach okupacji nie znałem większej goryczy, jak tę łatwość sądów w stosunku do pociągnięć naszych czynników

decydujących, wobec konieczności jakie narzucała każda godzina życia pod okupantem. Okupant skoncentrował w swym żelaznym ręku dosłownie wszystko co do życia należy. A więc żywność, odzież, opał, światło, wodę, komunikację od kolei do poczty i rykszy, mieszkania od pałacu do suterenu, wszystko to nie było w naszym władaniu. Jeżeli z biegiem wojny ludność polska lepiej żyła od tysięcy dysponentów hitlerowskich, to zawdzięczała to niezrównanie większej fantazji polskiej i mądrości kierownictwa, które potrafiło z Niemcami różnymi sposobami dojść w sprawach gospodarczych do pewnego ładu.

Najbardziej chodziło nam o utrzymanie jak najdłużej P.C.K. uznanego międzynarodowo i otoczonego nimbem pewnej aureoli nietykalnej świętości: sprawiał on Niemcom wiele kłopotów, które potęgowaliśmy z naszej strony przy pomocy — Niemców.

Czerwony Krzyż z siedzibą w Genewie był organizacją międzynarodową. Niemcom zależało na tym, aby unikać z nim jakichkolwiek konfliktów a przynajmniej ograniczać je do minimum. Skład niemieckiego C.K. był całkiem arystokratyczny, na jego czele stał wtedy książę von Coburg. W Generalnej Guberni przewodniczącym C.K. był dawny generał Haller. Stwierdzam, że w cichej, trwałej i nieubłaganej walce z Niemcami Haller był nam nieocenioną a zawsze dyskretną pomocą. Bezdzietny, z żoną, osobą jak i on najwyższej kultury, zamieszkał w Krakowie. Był to jedyny podczas okupacji Niemiec, u którego Janusz Machnicki i ja byliśmy dwa razy na obiedzie w jego prywatnym mieszkaniu. Był znawcą i wielbicielem Chopina. Potępiał oczywiście dzikie metody okupacyjne. Zapewne należał do jednej z organizowanych frakcji opozycji przeciw Hitlerowi, którego uważał za nieszczęście i klęskę narodu niemieckiego. Robił wszystko, aby uratować Polski C.K., ostatni widoczny — jak mówił — symbol polskiej suwerenności. Wydawało mu się, że należy koniecznie sprowadzić prezydenta niemieckiego C.K., ks. Coburga, aby się z nami mógł spotkać. Dało się to zrealizować 12 października 1940 r. w gmachu „Romy”, gdzie ks. Coburg złożył wizytę organizacjom polskim. Mnie wyznaczono na referenta. Poszło wszystko gładko.

Po wielu próbach Niemcy wreszcie uzgodnili z nami statut RGO, który został zatwierdzony w pierwszej formie 29 maja 1940 r. Do zarządu RGO miało należeć 5 Polaków, 1 Żyd, 1 Ukrainiec. W tej formie RGO funkcjonowała zaledwie kilka miesięcy. Powodem były plany niemieckie wobec Żydów i radykalna zmiana ich polityki na korzyść Ukraińców.

Nasze podziemne władze stanęły na stanowisku, że wobec

likwidacji wszystkich stowarzyszeń — co nastąpiło dekretem Gen. Guberni z dnia 23 lipca 1940 r. — wobec ataków na P.C.K., wobec licznych nacisków na „Caritas” i wobec decyzji co do likwidacji S.K.S.S., trzeba będzie zgodzić się na surogat w postaci RGO.

Rozpoczęła się nowa walka o desygnację członków Zarządu Głównego w Krakowie, który miał proponować członków Rad Opiekuńczych miejskich, a więc przede wszystkim w Warszawie. Ponieważ Niemcy na żadne wybory zgodzić się nie mogli, a nikt nominacji od nich przyjąć nie chciał, znaleziono formułkę, że dotychczasowe organizacje dobrowolnej opieki społecznej wyznaczają swych reprezentantów, którzy musieli być następnie zatwierdzeni przez gubernię. Warszawa jako największa jednostka opiekuńcza miała dwóch delegatów, to jest członków Zarządu Głównego, Janusza Machnickiego i mnie, wyznaczonych przez nasze organizacje warszawskie. Zarząd Główny w Krakowie składał się pod koniec 1940 r. z Adama Ronikiera — jako prezesa, Janusza Machnickiego — wiceprezesa i członków: profesorów Woltera, W. Krzyżanowskiego, Piotrowicza, ks. Moskałę SJ. i St. Wachowiaka.

Zbędnie mówić, że wszystkie kandydatury miały zgodę istniejących i działających władz podziemnych, które główną uwagę zwróciły na Warszawę. Wyznaczono również do zarządu warszawskiego Janusza Machnickiego i mnie. Machnicki w Warszawie objął prezesurę, ja zastępstwo. Członkami byli z prezentacji P.C.K. — Rau, z prezentacji miasta — dr Starczewski, z prezentacji metropolity warszawskiego — ks. dr Szmigielski, z prezentacji S.K.S.S. — J.S. Jankowski, ze sfer gospodarczych — Czesław Klarner.

Ks. Lewandowicz z „Caritasu”, człowiek wielce inteligentny i ruchliwy, po perypetiach osobistych — był ze mną w więzieniu Gestapo — zapadł na zdrowiu i nie wrócił do czynnego życia publicznego, w którym w Warszawie taką wielką ogrywał rolę.

Pierwsze biuro RGO w Warszawie było w pałacu przy Al. Ujazdowskich róg Piusa XI. Pałac należał do pani Gawrońskiej, Włoszki z pochodzenia, która podróżując względnie swobodnie, niejedną usługę oddała sprawie narodowej. Jednak z pałacu wnet nas usunęło Gestapo, odbierając gmach na siedzibę naczelnego szefa Gestapo. Przenieśliśmy się na ulicę Fredry, gdzie nam przydzielono pierwsze piętro gmachu Banku Zachodniego.

Jak już wspomniałem, Niemcy dobrali się przede wszystkim do licznych stowarzyszeń wydając dekret 23.7.1940 r. Był to

cios nielada. Według § 1 Statutu Polskiej Rady Głównej Opiekuńczej wszystkie organizacje dobrowolnej opieki społecznej miały być połączone. Operowaliśmy tak, aby uratować co było możliwe. Trzeba by dużo pisać, aby przedstawić liczne interwencje, jazdy do Krakowa, dziesiątki memoriałów, którymi, stosownie do wskazówek, zarzucaliśmy gubernatorów Franka i Fischera, wszystko po to, aby przeciągać sprawę w nieskończoność. To po części się udało. Najpierw uzyskaliśmy tymczasowe wstrzymanie rozwiązania właściwych związków opieki. Nie sposób opisać gorączkowej pracy w którą obfitował każdy dzień, przytoczę tylko najbardziej interesujące szczegóły.

Sekretarzem Stanu przy Franku w r. 1940 został Kundt, późniejszy gubernator w Radomiu. Kundt poznał mnie na którejś z konferencji i poprosił na długą rozmowę; było to pod koniec 1940 r. Kundt był typowym Niemcem z Sudetów, dawny obywatel czeski, człowiek bardziej wykształcony niż przeciętni hitlerowcy. Stąd rozmowa z nim była raczej spokojna; uznawał dużą część moich argumentów, że metody stosowane wobec narodu o takiej jak polski starej tradycji i kulturze, są błędne. Prosił mnie, abym napisał memoriał. To zrobiłem przez C.Z. P.P., gdzie pracowali całkiem wyjątkowi i kompetentni ludzie. Memoriał odesłano z podpisem zarządu RGO, nie chcąc na chwilę stwarzać cienia pozorów, że podejmuję jakąkolwiek akcję na własną rękę.

Przedtem poradziłem się ministra Wühlischa, dawnego radcy ambasady niemieckiej w Warszawie. Znał on świetnie stosunki i ludzi w Polsce i nasi najlepsi patrioci odnosili się do niego z szacunkiem. Wühlisch, jako minister pełnomocny, przydzielony był do Generalnej Guberni, jako reprezentant *Auswärtiges Amt* w Berlinie. Wspominam o nim, bo jego rady, dyskretnie nam komunikowane, oddały naszej sprawie nieocenione usługi, przy czym nigdy nie uchybił swym obowiązkom służbowym. Był bardzo przyzwoitym człowiekiem, nienawidzącym systemu hitlerowskiego. Prowadziliśmy wówczas akcję o uwolnienie arcybiskupa Nowowiejskiego, wywiezionego w r. 1940 ze swej diecezji nie wiadomo dokąd.

Wysłano mnie do Wühlischa, który pokazywał mi spory tom swej korespondencji prowadzonej z Gestapo w Berlinie w tej sprawie. Mówił, że ma dokładne informacje z innego źródła, że sędziwy biskup został przez Gestapo zamordowany, ale że dalej musi tę bezcelową pisaninę kontynuować, gdyż morderstwo popełnione na biskupie stwarzało polityce niemieckiej wiele kłopotów. Powiedziałem o tym ks. metropolicie Sapiesze, który

oczywiście nie łudził się co do losu arcybiskupa. Radził, aby Niemców męczyć interwencjami, bo choć umarłych się nie wskrzesi, to może zyska się lepsze szanse dla innych ofiar terroru. Biedny Wühlisch — po jakimś czasie zginął z Krakowa bez wieści. Opowiadano mi, że popełnił samobójstwo. Później słyszałem, że sprzątnęło go Gestapo, co uważam za najbardziej prawdopodobne.

Wracając do Kundta to rozmowa z nim przyczyniła mi wielkiego kłopotu. Dając pobieżną charakterystykę Adama Ronikiera, wspominałem o jego łatwowierności i o przesadnym optymizmie — takie wrażenie wywoływały w społeczeństwie jego referaty z licznych konferencji z Niemcami które musiał odbywać. Stąd utarło się w Warszawie *bon mot*, że RGO równa się Ronikier Góry Obiecuje.

Kundt świetnie się w tym wszystkim orientował. Toteż z okazji dłuższej rozmowy w cztery oczy przekonywał mnie, prosząc o dyskrecję, aby zmienić osobę prezesa, lecz w toku rozmowy wnet się zorientował, że takiego kandydata nie ma.

Istotnie tak było, a powodów zapewne Kundt się domyślał. W naszych oczach Ronikier był *malum necessarium*, choć zapewne był swoistym typem bohatera. Kundt nie taił, że nienawidzi Ronikiera. Sypał epitetami w rodzaju *Topflecker*, czego nie można tłumaczyć słowem lizus.

O mej rozmowie poinformowałem ks. metropolitę, profesora Młynarskiego i Janusza Machnickiego, którzy przyrzekli absolutną dyskrecję. Jednak polskim zwyczajem, coś przesiąkło, bo Ronikier napisał do mnie list uprzejmy lecz pełen goryczy; wywołało to dalszą korespondencję i pozostawiło u niego żal, którego pewnie nigdy się nie wyzbył, aczkolwiek pod koniec życia zdążył mi dać tyle dowodów przyjaźni z dalekiego swego tułactwa.

RGO w Warszawie zaczęło się rozwijać i władze podziemne będące w stałym z nami kontakcie coraz więcej rozumiały, że pod płaszczem tej legalnej na zewnątrz organizacji można tym bezpieczniej pracować. Nic więc dziwnego, że najwięksi działacze delegatury rządu na Kraj i twórcy Armii Krajowej korzystali z tego schronu jakim była RGO. Co tu dużo mówić, nawet żona Bora-Komorowskiego Halina, jedna z najbardziej zasłużonych bohaterek okupacji, pracowała w RGO warszawskiej do godziny 3 popołudniu, a potem, jako łączniczka AK, przy swym mężu. Dostyc wskazać na to, że J.St. Jankowski, późniejszy delegat rządu i wicepremier na Kraj, do czasu swej nominacji po śmierci delegata Cyryla Ratajskiego, był członkiem zarządu

RGO na st. miasto Warszawę. Trudno sobie dziś wyobrazić wielką i najeżoną niebezpieczeństwami robotę, jaka odbywała się pod żelaznym butem okupanta.

Powoli Niemcy też zaczęli się orientować i „wyspy” były coraz częstsze. Postępowanie zarządu RGO musiało być ostrożne do ostatecznych granic. Gdyby mnie dziś zapytano jak mogliśmy uratować organizację liczącą 4000 urzędników bez wstrząsów czy zupełnej likwidacji, co byłoby klęską — odpowiedziałbym, że nie wiem. Sądzę, że najszcześniejszym pociągnięciem w tych latach było rozbitcie początkowej harmonii między Gestapo a administracją cywilną.

Staraliśmy się przez wysokich urzędników administracji cywilnej, do której mieliśmy dostęp, wbić klin między dykasterie hitlerowskie. Po tylu latach mogę powiedzieć, że udało nam się wmówić w dygnitarzy otaczających Franka, że władza jego jest fikcją a władzą faktyczną w G.G. jest Gestapo i Himmler. To docierało licznymi kanałami na zamek krakowski. Frank się miotał, a o to chodziło. Każda sejsja wśród okupantów przynosiła zawsze pewne ulgi.

Z wysokich urzędników w G.G. mieliśmy stale do czynienia z dyrektorem departamentu dr. Weirauchem i radcą Föhlem. Z czasem stali się oni naszymi sprzymierzeńcami. Tu dodam prezesa niemieckiego Czerwonego Krzyża, Hellera, i dyrektora Banku Emisyjnego w Polsce dr. Paerscha. Gubernator warszawski dr. Fischer był słabym, wygodnym człowiekiem i bał się Gestapo więcej niż my. W cztery oczy zawsze nam przyznawał rację, potem na piśmie bał się własnej odwagi. W moich aktach uratowało się kilka na to dokumentów. Jednakże dla naszych spraw był często wygodnym parawanem.

Wlókł się rok 1940. Od czasu do czasu docierały do Warszawy coraz liczniejsze wiadomości z potwornych obozów koncentracyjnych. Ludzie ginęli jak muchy w Oświęcimiu, Mauthausen, Ravensbrück i innych. Tylko w jednym miesiącu sierpniu tegoż roku jeden mój szwagier zginął w Mauthausen i drugi w Wielkopolsce. Uratowany notatnik za rok 1940 rejestruje bez końca ofiary, o których nawet przy szczelnie zamkniętej granicy można się było dowiedzieć. Sytuację naszą w dalszym ciągu wzmacniały częste przyjazdy misji szwajcarskich, szwedzkich i amerykańskich, bo wiadomo, że Ameryka Północna do wojny przystąpiła oficjalnie dopiero w r. 1941.

W r. 1940 był przede wszystkim Mr. Lehman z *American Food Comission*. Był Mr. Muray z którym obok jakichś gestapowców przyjechał jako delegat *Auswärtiges Amt* von Stahl-

berg. Ten ostatni okazał się wielce przyzwoitym człowiekiem, pomagając nam gdzie i jak mógł.

Cyryl Ratajski, który w r. 1940 został delegatem Rządu na Kraj, był co sobotę i niedzielę u nas przy ul. Piusa I b na śniadaniu lub wieczery. Było to niebezpieczne, ale fakt, że cały dom hr. Tarnowskich zajęty był przez nieskazitelnych patriotów — Dziewulskich, Jasiukiewiczów i panią Pappmehl — gwarantował maksymalne bezpieczeństwo. Mój stary sługa, Franciszek Frąckowiak, wielbił Ratajskiego, który od lat w Poznaniu czy w Katowicach był naszym stałym gościem, ba, prawie domownikiem.

Muszę powiedzieć, że najwięcej bałem się przypadkowych a dość częstych odwiedzin Miłaszewskich, Kossak-Szczuckiej, Nowaczyńskiego czy Solskiego. Aczkolwiek kochałem ich wszystkich, to bałem się zwłaszcza literatów. Ratajski widać nie podzielał mej ostrożności. Przychodził obładowany literaturą podziemną, która od jesieni roku 1940 rozrastała się w sposób, moim zdaniem, dla sprawy niebezpieczny.

Wówczas stale powtarzałem decydującym czynnikom politycznym w kraju, że nic tak nie narażało bezpieczeństwa naszego podziemia, jak mnogość pisemek konspiracyjnych. Zdania tego widocznie nie podzielał Ratajski, skoro przychodził co kilka dni i dzielił się tajną literaturą oraz swymi wiadomościami. Usadowiałem go stale przed kominkiem, gdzie buszował ogień, tłumacząc, że w razie jednego dzwonka u drzwi, musi wrzucić cały swój zapas do ognia.

Mieliśmy umówione znaki dzwonek — raz nieznanymi a więc normalnie Gestapo, dwa razy znajomi, trzy razy rodzina. Na szczęście, mimo licznych spotkań w naszym domu nie się stało.

Policja przychodziła po mnie kilka razy, tudzież po mieszkającą pod nami hr. Marię Tarnowską lecz „wsypy” na Piusa I b nie było. Skoro o tym mowa nie mogę pominąć, że odwaga Ratajskiego napawała obecnych zawsze swoistą pewnością siebie. Często ostrzegałem go, aby się miał na ostrożności, zawsze odpowiadał: „mój kochany, mnie się kule nie mają, ja od kuli nie zginę”. Jestem dotąd przekonany, że Ratajski w to święcie wierzył. Czytałem kilka wersji o historii jego płaszcza. W doskonałym artykule Suchecki opisał w *Wiadomościach* londyńskich, jak wielki bohater, generał Rowecki dał mu futro, ściągając z niego biedne paletko, które było powodem jego stałego kaszlu zimą 1940 r. Na chwilę nie wątpię w dokładność tej relacji, bo wówczas wszystko się zmieniało jak w kalejdoskopie. Zresztą ta

relacja była jedną z najdokładniejszych jaką kiedykolwiek czytałem o Ratajskim.

Również miałem całkiem zabawny wypadek na tle okrycia Ratajskiego, kiedy przyjechał na początku zawieruchy do Warszawy, z Poznania, skąd wypuścił go generał Kluge — który po poddaniu się miasta gwarantował Ratajskiemu bezpieczeństwo i słowa dotrzymał. Ratajski był dosłownie bosi i prawie nagi. Odszukał mnie w Warszawie. W zniszczonym mieszkaniu przy Koszykowej dało się uratować znaczny zapas ubrań i bielizny, więc zaopatrzyliśmy go we wszystko. Kłopot rozpoczął się od płaszcza. Futro miałem jedno. Rok przedtem kupiłem w Londynie ciepłe doskonałe „Burberry”, więc go tym obdarzyłem, lecz na czas wojny było ono niebezpieczne z powodu jasnego wielbłądziego koloru. To miało być powodem wielu kłopotów. Kiedy Ratajski został delegatem Rządu, ani mu się śniło zmienić swój wygodny płaszcz, do którego się przyzwyczał. Tworzący się wtedy rząd podziemny nakłaniał go, aby ten jaskrawy płaszcz wielbłądźmi zmienił. Słyszeć o tym nie chciał.

Pewnego popołudnia zimą 1940 r. zjawił się u mnie J.S. Jankowski, późniejszy następca Ratajskiego, błagając mnie, abym skłonił Ratajskiego do zmiany tego niebezpiecznego odzienia. Uznałem to i nazajutrz dowodziłem Ratajskiemu, że żądanie jest słuszne i ja częściowo do winy się przyznaję. Na to Ratajski, przymrużywszy swoim zwyczajem oczy, odpowiedział jak zawsze: „Mój kochany, mnie się kule nie imają”. O nieudanej misji powiadomiłem Jankowskiego.

Niemają się uśmiełem, kiedy kilka dni później Ratajski zjawił się u nas w sobotę w nowym, trochę za obszernym futrze. Odezwał się do mej żony: „Niech pani patrzy, pani Wando, co te łajdaki ze mną zrobiły. Skradli Burberry Stacha i nie mogę mu oddać”. Pocziwe chłopaki zrobiły to zgrabnie. Maszerował Ratajski przez most Poniatowskiego, a nasi żołnierze krok w krok za nim. Kiedy byli w połowie mostu, z dala od posterunków niemieckich, ściągnęli z niego Burberry, nałożyli futro i powiedzieli: „Z rozkazu władzy, panie delegacie”.

W miarę organizacji podziemia, rozrostu Armii Krajowej i coraz większej czujności Gestapo kontakty z Ratajskim musieliśmy coraz bardziej ograniczać. Gestapo zaczęło obserwować nasz dom i mieszkanie hr. Tarnowskich. Ratajski co chwilę zmieniał kryjówki, a także ubrania i okrycia. Stąd ta mnogość wersji, choćby o płaszczach. Natomiast jego mistyczna wiara, że kule się go nie imają, okazała się prawdziwą.

Pewnego dnia zimą siedziałem w Podkowie Leśnej. Idąc

świerkową aleją na skraju osiedla spotykam Ratajskiego. Mieszkał tam w jakimś betonowym brzydkim domku. Mówił, że się przeprowadza do Warszawy, gdyż nocą była jakaś strzelanina ale nie się na szczęście nie stało. I nic się nie stanie, dodał, zobaczysz, że umrę naturalną śmiercią. Tym razem przygłębił mnie niewymownie smutek, jaki wiał od niego. Wiedziałem, że trapiła go choroba nerek, lecz nie było siły, aby go zmusić do zmiany trybu życia, które było szczytem poświęcenia rzadko wśród śmiertelników spotykanego.

Z publicznych stanowisk, jakie czasu wojny z woli społeczeństwa dźwżyłem, najwięcej czasu i trudu pochłaniało RGO. Nieraz żałowałem, że pozwoliłem się obarczyć tą niewdzięczną i niebezpieczną pracą. Nie miałem jednak innego wyboru; posłuszeństwo dla władzy w Londynie i jej legalnej reprezentacji w Kraju uważane było wtedy za dogmat. Ież spokojniejsza była praca w Banku Handlowym lub w C.Z.P.P. Muszę z wdzięcznością podkreślić, że gdyby nie dobór do rządu ludzi mających wpływy w społeczeństwie, Machnicki i ja nie bylibyśmy potrafili sprostać ciężącym na nas zadaniom. Na pewno nie bylibyśmy wyszli cało w opinii tak wymagającego społeczeństwa jak nasze.

Zarząd i prezydium ponosiło całą odpowiedzialność polityczną na zewnątrz. Stały kontakt z partiami politycznymi utrzymywało prezydium, a głównie Janusz Machnicki. Będąc formalnie organizacją legalną, musieliśmy dla bezpieczeństwa pracy ograniczać kontakty do ścisłej konieczności i narady tygodniowe odbywać w jak najmniejszym gronie.

Prezydium ani zarząd nie pobierały ani szeląga poborów. Po zorganizowaniu władz podziemnych rząd narodowy w Londynie dostarczał środków na robotę podziemną. Czynniki rządowe zaciągały języka, czy wobec ciężkiej sytuacji materialnej niektórych działaczy nie należałoby im płacić jakichś subwencji. Odpowiedzieliśmy negatywnie, zdając sobie sprawę z tego, że cała siła moralna wobec społeczeństwa ugruntowana była na zupełnej niezależności zarządu od jakiegokolwiek zapłaty. Co innego był zarząd, a co innego urzędnicy, których liczba dochodziła w Warszawie do 4000. Toteż z dumą i uznaniem myślę do dziś o patriotyzmie, poświęceniu i bezinteresowności tych ludzi, z którymi w codziennej, mozolnej, nerwowej i niewdzięcznej pracy mogłem dzielić radość, którą daje spełnienie obowiązku.

Jak zapomnieć o Januszu Machnickim, który od rana do wieczora siedział przy biurku, prowadził burzliwe nieraz posiedzenia zarządu, jeździł w nieludzkich warunkach przynajmniej raz w miesiącu do Krakowa, gdzie na ogół jako *Untermenschen*

mieszkaliśmy podle i jadali jeszcze podlej? Raz cudem uniknęliśmy załadowania do zielonej ciężarówki policyjnej podczas łapanki, gdzie chwymano wszystkich mężczyzn, aby ich wywieźć wprost do niedalekiego Oświęcimia.

Zawsze starannie ubrany, wytworny, poprawny w każdym celu, niezmiernie gościnnie — choć chata była wtedy uboga — Machnicki doprawdy dawał się kochać. W przeciwieństwie do mnie miał jedną nieocenioną cnotę — był spokojniejszy i częste strzały znieca czy z ubocza przyjmował ze stoicyzmem, ba, często z dyskretnym, jemu właściwym uśmiechem, czego ja nie potrafiłem. Na tym tle nawet między nami doszło raz do nieporozumienia. Było to po śmierci Cyryla Ratajskiego, kiedy Jankowski został wicepremierem na Kraj i zniknął jak kamfora z roboty naziemnej, a był przecież członkiem zarządu RGO od samego początku! Uważałem to pociągnięcie za fałszywe. Gdyby nie to, że wśród Niemców w wysokiej administracji cywilnej i wojskowej zaczęły się pewne ruchy odśrodkowe, fakt ten mógł położyć całą organizację RGO, która była największą ochroną dla roboty podziemia. Nie mogąc dłużej znieść tego napięcia, prosiłem o zwolnienie mnie z wiceprezesury zarządu. Machnicki podał moją petycję kołom rządowym i za kilka dni była odpowiedź z Londynu, że mowy nie ma o moim wycofaniu się. Oczywiście usłuchałem. Długo podejrzewałem, że główną sprężyną całej sprawy był Machnicki, który stale mi powtarzał, że wszystko co czyni jest *pro publico bono*.

Jankowski i Klarner odgrywali w zarządzie najpoważniejszą rolę. Jankowskiego znałem od zarania państwowości polskiej. Był on członkiem mego stronnictwa, w którym odgrywał wielką rolę, aczkolwiek zaliczał się do frakcji radykalniejszej i z tego tytułu był w częstej do mnie opozycji. Był to człowiek twardego charakteru i na moje pojęcia trochę za drobiazgowy, choć i to miało się w przyszłości okazać błogosławieństwem jeżeli chodzi o jego pracę w RGO. Jankowski był z ramienia N.P.R. ministrem Pracy i Opieki Społecznej. W czasie wojny był szefem jednej z sekcji S.K.S.S. Zajmował się również ogrodami działkowymi robotników i drobnym przemysłem. Dobrze się złożyło, bo i na tym polu dokonał wielkich rzeczy. Ponieważ byłem w tym czasie prezesem Banku Handlowego, naciskał mnie stale o kredyty, których mu nie żądałem. Rzadko kiedy pieniądź publiczny został właściwiej ulokowany. Rzecz znamienna jak ten drobny kredyt dla drobnych ludzi, których Jankowski zawsze był gorącym orędownikiem, punktualnie i rzetelnie został bankowi zwrócony. Przekonałem się wtedy, że niesłusznie kryty-

kowałem jego drobiazgowość. W zarządzie RGO zajmował nam tymi sprawami dużo czasu, lecz zawsze pożytecznie.

Ambarasu narobił nam dopiero, kiedy został delegatem Rządu i wicepremierem na Kraj. Było to ukoronowaniem jego wielkiego życia, które tak tragicznie miało się skończyć w Moskwie.

Dużej miary człowiekiem był Czesław Klarner. Dwukrotny minister, wybitny ekonomista, który górował jasnością koncepcji. Mówił kompetentnie zarówno o sprawach walutowych jak o organizacji przemysłu. Jego siła żywotna była bezprzykładna. W r. 1943 uległ ciężkiemu wypadkowi. Kiedy go odwiedziłem w szpitalu po dwóch tygodniach, już dyktował listy, a po niespełna miesiącu o szcudłach przychodził na posiedzenia zarządu RGO lub na czwarte piętro do C.Z.P.P. Miał wówczas 72 lata i był na moje pojęcie fenomenem fizycznym i umysłowym, co przy jego drobnym chuderlawym wyglądzie wydawało się czymś nieprawdopodobnym. Był do okupacji prezesem Izby Przemysłowo-Handlowej, prezesem Związku Izb i przewodniczącym licznych towarzystw.

W RGO mieliśmy w nim wybitnego i nieprzeciętnego doradcę. Był on także niejako ambasadorem w społeczeństwie warszawskim, gdyż miał ogromne wpływy i stosunki.

Reprezentantem polskiego prezydenta miasta, Kulskiego, był dr Starczewski, wybitny ekonomista, człowiek bezkompromisowy, wielki znawca stosunków socjalnych miasta. Polski Czerwony Krzyż reprezentowany był przez Raua.

Metropolita warszawski wydelegował do zarządu ks. kanonika dr. Szmigielskiego. Był to człowiek wyjątkowego wykształcenia i niepospolitej kultury. Ukończył studia w Paryżu i objął jedną z wielkich parafii warszawskich. Posiadał w swym pięknie urządzonym probostwie interesujący zbiór obrazów malarstwa polskiego, w którym nie brakło Gierymskiego, Wyczółkowskiego, Fałata czy Kossaków. Jak mnie później informowano, piękny, we włoskim stylu zbudowany kościół i bogate zbiory kanonika zginęły podczas nalotu niemieckiego w r. 1944.

Ks. dr Szmigielski posiadał pełne zaufanie arcybiskupa Galla, mądrego i przezornego następcy kardynała Kakowskiego. Gall znał swych ludzi i dobierał ich doskonale. Przypominam sobie jego trafne w wielu wypadkach przewidywania, jak na przykład z ks. prałatem Kaczyńskim, dawnym dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej, posłem i dziennikarzem. Kaczyński był człowiekiem inteligentnym lecz typowym reporterem, co Gallowi, zwłaszcza na początku wojny, sprawiało trudności.

Pewnego dnia pod koniec 1939 r. zjawił się u mnie Kaczyński w Banku Handlowym z oznajmieniem, że chce przewieźć jakieś wiadomości dla rządu polskiego we Francji. Przedtem był u arcybiskupa oświadczając mu, że oczywiście za kilka tygodni zamierza wrócić. Po południu tego samego dnia byłem w mieszkaniu arcybiskupa w kanonii przy św. Janie. Gall powiedział mi o zamiarze Kaczyńskiego i pytał o radę. Powiedziałem, że znam ks. prałata i jego upór i uważam za mądre zostawić mu wolną rękę, tym więcej, że przy jego temperamencie Niemcy rychlej czy później niechybnie go zlikwidują. Arcybiskup Gall wziął nazajutrz od niego przyrzeczenie, że wróci po spełnieniu swej misji. Jak wiadomo, czasu wojny ks. Kaczyński był członkiem rządu emigracyjnego i wrócił, lecz znów nie w porę, gdyż w roku 1946, kiedy arcybiskup Gall dawno już spoczywał w swej ukochanej Warszawie. Ks. Kaczyński rozpoczął nowe ruchliwe życie w jakże zmienionych warunkach politycznych. To kosztowało go utratę wolności, gdyż został skazany na długoletnie więzienie, z którego już nie wyszedł. Jak dziś słyszę słowa arcybiskupa Galla: „Czy szelma wróci, co pan myśli?” Wrócił...

Kiedy zawakowało miejsce w zarządzie RGO po J. St. Janzkowskim, jednomyślny wybór padł na inż. Stefana Krasnodębskiego. Był dawnym naczelnym dyrektorem Gieschego w Katowicach, wielkiego koncernu należącego do amerykańskiego towarzystwa „Anaconda”. Znałem go od lat, gdyż spotykaliśmy się w polskiej Konwencji Węglowej dość często. Zarabiał wiele i dom prowadził wielkopański. Wybuch wojny zastał go w Warszawie, gdzie miał piękny dom przy Wiśniowej 1, w którym kontynuował swoje przyjęcia, aż piękny gmach zajęli okupanci i musiał szukać czynszowego przytułku. Humor nigdy go nie opuszczał, co było krzepiące w tych strasznych czasach codziennej udręki, prześladowań, mordów, łapanek ulicznych i ogólnego przygnębienia. Świat się walił, jak się często wydawało, a Stefan Krasnodębski nic się nie zmienił i próbował prowadzić dom, do jakiego dawniej przywykł. Warto o tym wspomnieć, bo była to postać w tych czasach całkiem niezwykła. Niezwykła i pożyteczna. Ci co ważyli w społeczeństwie, tam odbywali swe schadzki polityczne.

Bywał tam ks. biskup Adamski, Janusz ks. Radziwiłł, Alfred Wysocki, A. Wierzbicki, Cz. Klarner, profesor Trepka, Fudakowski, Machnicki, aby wymienić tylko kilka nazwisk. Oczywiście z najwyższymi figurami podziemia spotykaliśmy się w małych kołach, często u ks. Radziwiłła na Bielańskiej, często u hr. Tarnowskich, często u mnie na Piusa lb. U Krasnodęb-

skiego tak się utarło, że *consensus omnium* zwykle wygłaszałem przemówienie. Jako motto służył mi głównie Cyprian Norwid, którego jako prawdziwego wieszczą odkryliśmy dopiero podczas wojny. Ileż bodźca dawały sympozjony pana Stefana, ile nowych myśli tam się zrodziło, w sumie ileż pożytku przyniosły sprawie publicznej.

W tym czasie pan Stefan wysondował grunt warszawski i założył przy udziale kilkunastu przemysłowców i kupców z kapitałem dwóch milionów złotych wielkie towarzystwo importowo-eksportowe. Bank Handlowy dawał gwarancje kredytowe. Upatrzył sobie mnie na prezesa, lecz daremnie przekonywał przez dwa miesiące, iż godność tę powinienem przyjąć, skoro wszyscy akcjonariusze tak zdecydowali. Był to jedyny raz w życiu, że panu Stefanowi czegoś odmówiłem. Zastaniałem się tym, że byłoby dla mnie ambarasujące udzielać znacznych kredytów, skoro siedziałbym na dwóch krzesłach, będąc równocześnie prezesem Banku Handlowego. W gruncie rzeczy powód był całkiem inny. Mieliśmy już wówczas w ręku dość radykalne programy gospodarcze rządu na emigracji, który częściowo pod presją angielską nie chciał ustępować radykalizmowi moskiewskiemu, gdzie system gospodarczy w Polsce przedstawiano jako czarną reakcję, co rzecz prosta wcale nie odpowiadało prawdzie. W miarę klęsk Niemiec zaczęliśmy się lękać, na razie w małych konwentyklach, że wszystko zależeć będzie od tego, jak daleko Rosja dotrze na zachód. Bieg wypadków przyznał nam rację.

To był powód mego nieustępliwego stanowiska. Trudno było przygnębiać jeszcze bardziej nastroje, które na wytrzymałość ludzką nie mogły być czarniejsze niż były. Stąd cichą umową przemilczeliśmy to, o czym wiedziało kilkunastu ludzi z coraz obficiej nadchodzącej poczty z Londynu. Kiedy w domu profesora Edmunda Trepki dyskutowaliśmy nadeszłe z Londynu programy gospodarcze, wiedzieliśmy po czemu łokieć i skąd wiatr wieje.

Zabiegaliśmy od dawna o współpracę Alfreda Wysockiego i to się udało. Wszyscy bez wyjątku w Warszawie z tego się radowali, gdyż i on i my łudziliśmy się wówczas, że jego ogromny prestiż u Niemców pomoże nam rozwiązać wiele spraw. Toteż od początku swej działalności w Radzie interweniował bez końca u gubernatora Warszawy Fischera lub u szefów Gestapo, czy wreszcie wyjeżdżał do Franka do Krakowa. Jego znana rozmowa z gubernatorem Frankiem w dniu 15.12.1941 r. stała się przedmiotem wielkiej nadziei i biedny Wysocki stanął wnet pod ostrzałem przeczulonej opinii publicznej, kiedy nadzieje zawiodły.

Otóż gubernator Frank przyjął Wysockiego z wielkimi hono-

rami i oświadczył, że każe zwolnić na święta kilka tysięcy ludzi z Oświęcimia.

Mało na tym. Po tej audyencji Frank ogłosił komunikat prasowy i nawet najbardziej sceptycznie do Niemców nastawionym — jak ja — wydawało się niepodobieństwem, aby takie uroczyste oświadczenie wobec takiej osobistości polskiej nie zostało dotrzymane. Tu pierwszy raz namacalnie okazało się podwójne oblicze władzy, które charakteryzowało cały system hitlerowski. Formalnie rządy dzierżył generalny gubernator, faktycznie sprawowało je Gestapo *alias* wszechpotężny eks-nauczyciel ludowy, Heinrich Himmler.

Tym niezawinionym niepowodzeniem Wysocki był głęboko dotknięty. Frank tłumaczył się przez licznych pośredników, że przyczyny były od niego niezależne, więc nie jest winien temu niedotrzymaniu obietnicy. Dla nas wszystkich była to nauka, że Niemcy tej wojny były inne niż za czasów Wilhelma II w Rzeszy lub Beselera w okupowanej Warszawie. Dalszy wniosek był, że trzeba intensywnie wbijać klin między administrację cywilną a Gestapo. To się częściowo udawało, tak dalece, że prawie cała wysoka administracja cywilna toczyła cichą wojnę zakulisową z policją Himmlera. Doszło do tego, że Hitler sam zadekretował spotkanie Himmlera z Frankiem w Krakowie.

Po spotkaniu w szumnych deklaracjach propagandowych ogłoszono umowę Himmler-Frank, która szła po linii sloganu: „*Ein Reich, ein Volk, ein Führer*”. To był klajster, pod którym żarzył się ogień nienawiści tych dwóch dykasterii. O wojsku szkoda mówić, gdyż jego rola ograniczała się do ślepego narzędzia tej potężnej maszyny bojowej, którą stworzył Hitler. Były oczywiście wyjątki, zwłaszcza wśród oficerów z arystokracji, którzy odkrywali w sobie dawne tradycje rycerskości i pewnej kultury. Jednakże były to rzadkie wypadki.

Niezrażony niepowodzeniami swych interwencji Wysocki dalej zabiegał, a nawet chodził do Gestapo, co w nim budziło wyraźny wstręt. Jednak gdy chodziło o życie ludzkie, nie odmawiał żadnej prośbie, tak samo jak Janusz Radziwiłł. W Warszawie byli to jedyni ludzie, którzy nawet u gestapowców wymuszali pewien szacunek.

Niedotrzymanie czy raczej niemożność dotrzymania obietnicy danej przez Franka Wysockiemu spowodowała dyskretną interwencję z naszej strony u szefa administracji G.G. Sieberta i później u dr. Losackera. Obaj dość szczerze mówili o rzeczywistej sytuacji tej tak sławnej administracji hitlerowskiej. Najbardziej mnie ubawiło, kiedy Losacker opowiadał nam, że w r. 1937

Wysocki był podczas *Staatsbesuch* Hitlera w Rzymie jedynym dyplomatą, którego *Führer* przyjął. To oczywiście wzmacniało nasze argumenty, a wiedzieliśmy już kilka dni potem, jak się Frank miotał na Himmlera wobec swych najwyższych urzędników. Ten moment psychologicznie przez nas wykorzystany dawał pewne ulgi i ustępstwa na odcinku opieki społecznej, co wtedy miało znaczenie, a czego dziś nawet dobrzy znawcy historii okupacji nie doceniają. Niepowodzenie misji u Franka było niewątpliwie ciosem dla Wysockiego.

Byłem do Wysockiego bardzo przywiązany i stąd szerzej o nim piszę. Życie jego było tak obfite i bujne, że nie można zbyć postaci kilku zdaniem. Znam dziesiątki anegdot o nim i wspomnień od niego zasłyszanych, więc nie mogę choćby małej wzmianki o tym nie uczynić. I tak od Zielonego Balonika poprzez Przybyszewskiego, od początków służby dyplomatycznej doszedł aż do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a stamtąd od Sztokholmu aż do ambasad w Berlinie i Rzymie, czyli od Hitlera do Mussoliniego. To karty całkiem niepospolitego życia, opromienionego pogodną naturą z dodatkiem przyrodzonego dyskretnego humoru, oraz głęboką kulturą, rzadko spotykaną dobrocią serca i wiernością dla przyjaciół. Tyle co do głównych kierowników warszawskiej RGO.

Biura przy Fredry 6 były wtedy siedzibą centrali. Po mieście rozrzucone były biura 12 okręgów, kuchnie, magazyny, schroniska. Po S.K.S.S. i po „Caritasie” przejeżdżaliśmy dwa piętra biur dużego gmachu „Roma”. Centralne biuro zarządu było jedyną komórką kontaktów z podziemiem. Tu odbywały się posiedzenia z reprezentantami stronnictw i wysłannikami delegata rządu.

Z osób, które prawie codziennie odwiedzały Machnickiego i mnie na pierwszym miejscu był Janusz Radziwiłł, który zawsze służył radą i swymi stosunkami. Ilekroć było potrzeba, urządzał spotkania na herbatkach w pałacu przy Bielańskiej 14. Łącznikiem był nieodżałowany dr Jan Moszyński, do wybuchu wojny naczelny redaktor *Czasu*, i aż do bohaterskiej śmierci z rąk Gestapo sekretarz ks. Janusz Radziwiłł.

Nigdzie w Warszawie na tajnych posiedzeniach nie czuliśmy się bardziej bezpieczni jak na Bielańskiej. Było to miejsce jakby nietknięte przez wojnę. Stary sługa, typ wiarusa z obrazka z r. 1863 r., był oczywiście świetnie zorientowany. Szczycił się tym, że żadnego Niemca do pałacu nie wpuścił. Zawsze wychodzili z niczym, taką magię wywierało na nich słowo Radziwiłł. Zdarzył się nawet taki zabawny wypadek. Jacys przybyli z Wiednia umundurowani urzędnicy spisywali dzieła sztuki celem

ich „zabezpieczenia”. Po rozmowie ze starym sługą zasalutowali i odeszli z niczym. Niemcy zostawili księciu samochód osobowy, który często nam służył w naszych wyjazdach z nim do Krakowa, gdzie przy tych okazjach zawsze gościnnie podejmowali nas hr. Franciszkowie Potoccy. Pani Potocka była siostrą ks. Janusza.

W pewną czerwcową sobotę będąc z moją żoną i Machnickim w Nieborowie dowiedzieliśmy się, że nazajutrz Hitler rusza przeciw swemu dotychczasowemu sprzymierzeńcowi Stalinowi. To nas pokrzepiło na jakiś czas, gdyż wojna wlokła się bez końca. Wówczas nikt z nas nie przypuszczał, że to co przeżyliśmy było straszne, ale co nas czekało będzie sto razy gorsze.

Wyjeżdżając do Łowicza, dwa razy byłem w słynnym Złakowie. Siedzą tam od wieków bogaci chłopci księżacy i warto było zobaczyć ten dziarski lud i poznać jego nastroje. Powód był głównie ten, że następcą ks. Lewandowicza w „Caritasie” został ks. Pawlina, którego ojciec mieszkał w Złakowie. Zapraszał oczywiście na kolację. Nigdy nie zapomnę zamożności tego gospodarstwa i gościny, jakiej tam doznałem.

W Nieborowie panowała prawie spartańska skromność, u Pawliny stoły się ugiwały, jak w czasie najgłębszego pokoju. Nasi chłopci nie żalowali ani sobie, ani gościom. Był w tym pewien swoisty patriotyzm. Nic nie oddawać Niemcom, zjeść, rozdać swoim, byle nie sprzedać okupantom.

Powiatowa RGO w Łowiczu, podlegająca naszemu prezydium w Warszawie, miała na czele młodą, piękną Radziwiłłową, z domu także Radziwiłłównę, synową ks. Janusza, powszechnie zwaną Balalą. Wspominam ją z wdzięcznością, bo nie znałem gorętszej patriotki i lepszej organizatorki. Rada powiatowa w Łowiczu była zawsze naszą chlubą.

Pawlinowie byli dumni z syna księdza, który tak pięknie zapisał się na kartach historii naszego męczeństwa okupacyjnego. Jak setki innych oskarżony o niepopelnione zbrodnie, umarł przedwcześnie, skazany na wiele lat więzienia, i nie miał zobaczyć więcej swego ukochanego Złakowa. Ofiara systemu stalinowskiego.

Z setek ludzi wszystkich stanów, którzy służyli nam radą i nigdy nie zawodzącą ofiarnością na cele publiczne, wymienię choć kilku najwybitniejszych. Hr. Adam Tarnowski był czasem szorstki w obejściu, ale miał złote serce, gdy chodziło o sprawy publiczne. Ordynat Zamoyski zgłosił się raz w naszym zarządzie, stawiając cały swój majątek do dyspozycji narodu. Niestety ten

rachunek bez Niemców był niewykonalny. Mimo to młody ordynat oddał sprawie nieocenione usługi. Dalej Fudakowski, Józef Targowski ze Strzyżowa Szlacheckiego, były senator, oraz szlachetny Hłaska. Jego mądre i doświadczone rady pozwoliły nam uniknąć niejednego błędu. Poza tym materialnie wspomagał kuchnię, gdyż sam na szczęście zarządzał swym majątkiem Kociszewo i zawsze stał do dyspozycji. Były prezes wielkiego towarzystwa naftowego nie żałował majątku swego dla ratowania warszawskiej biedy.

Nie trzeba wiele mówić o przemysłowcach jak Franaszek, Wedel, Matuszak, Spiess, Kułakowski, Patzer. Również rzemieślnicy jak Marek, kupcy jak Jabłkowscy, rodzina Hersów lub Pakulskich prześcigali się w pracy społecznej.

Wreszcie należy wspomnieć o bankach, które za zwykłym żyrem pożyczwały pieniądze artystom, literatom i uciekinierom, którzy liczyli się na dziesiątki tysięcy. Sprawy były tak zorganizowane, że żaden z naszych wybitnych ludzi — od byłego prezydenta Wojciechowskiego, byłego marszałka Trąpczyńskiego czy Ludwika Solskiego począwszy, aby wymienić najwybitniejszych — a kończąc na wdowach i rodzinach po znakomitych ludziach, nikt nie był pozbawiony dyskretnej, nie upokarzającej pomocy. To samo dotyczyło legionu wysiedleńców, którzy — często w ciężkich warunkach — znaleźli się w całkiem obcym otoczeniu. Nie cierpiał niedostatku Bernard Chrzanowski, starszek już wówczas i jeden z najzasłużniejszych obywateli Kraju w naszym stuleciu. Dla literatów prowadziliśmy specjalną kuchnię, najlepszą jaką mieliśmy, lecz o tym oni sami pisali, że wspomnę Goetla czy Kossak-Szczucką.

Jeżeli chodzi o polską literaturę, to obok zawsze ruchliwego Ferdynanda Goetla, Ossendowskiego i naczelnego kwatermistrza — proszę wybaczyć to określenie — literatów podczas okupacji — Zyglarskiego, osobiście najwięcej miałem do czynienia z Adolfem Nowaczyńskim. Z całym światem literackim i naukowym spotykał się daleko więcej ode mnie Janusz Machnicki. Co do Nowaczyńskiego, to tak się złożyło, że potrzebował pieniędzy na rozliczne cele społeczne. Na przykład był wielbicielem i protektorem OO. Albertynów. Nie umiem dziś powiedzieć, ile pieniędzy wyciągał z Banku Handlowego przez dyskont weksli, po części przez siebie żyrowanych, co stawiało mnie w ambarasującej sytuacji wobec dyrekcji. Dziś niczego nie żałuję, chyba tego, że nie dostał jeszcze więcej. Ba, gdyby człowiek mógł przewidzieć przyszłość...

Druga okazja, która nas zbliżyła, to był czas, kiedy miesz-

kał w Milanówku, a ja prawie co niedzielę dojeżdżałem do Podkory Leśnej. Wtedy był punktualnie o godzinie 12-ej w południe na „proszonku”, jak mówił, i rezerwował sobie na następną niedzielę nowe „przyjtko”. Cóż to był za dowcip w tym przekręcaniu słów! Władał tym cudnym językiem po mistrzowsku i ugniatał jak glinę tworzywo językowe. Był moim zdaniem fenomenem. Ile razy o nim myślę, widzę na scenie „Fryderyka Wielkiego” lub „Wojna wojnie”, greckie widowisko, jakby drugie wydanie Arystofanesa. Przeszło dwadzieścia lat, jak tę sztukę w Teatrze Polskim widziałem, lecz została mi w pamięci scena, w której „demokracja” przychodzi do rządów w Atenach i rej wodzi sprzedawca kiełbasek Kleon — „weźmie za łeb wszystko, ten co robi kichy”. Tenże trybun oskarża jakiegoś wodza, generała, który dzielnie wojował na wyspie Lesbos. Trybun przedstawivszy jego zbrodnie, ryczy do tłumu: „tam się zlesbił, gminolizus”.

Tak się złożyło, że w życiu politycznym miałem jako lewicowiec owych czasów dużo kłopotów z powodu Nowaczyńskiego. To wrogie nastawienie do mnie załagodził dopiero jego pobyt w Poznaniu, gdzie Roman Leitgeber, wydawca *Kuriera Poznańskiego* i, jak on, jeden z asów Narodowej Demokracji, na jakimś „przyjtku” z okazji zjazdu dziennikarzy na kilka miesięcy przed otwarciem P.W.K. — nas do siebie zbliżył. Nie znaczy to, że potężne pióro Adolfa jedno dobre słowo o mnie napisało. Starczyło, i to był mój największy sukces, że nie napisał ani jednej uszczypliwości. To już było dużo. Jego dowcip, jego kalambury, jego przekręcenia zabijały przez ośmieszenie wielu ludzi z życia publicznego. Co tu dużo gadać. Kiedy z Narodowej Partii Robotniczej wystąpiło dwóch członków, Waszkiewicz i Ciszak — ten ostatni znany ze swych ultraradykalnych przekonań — Nowaczyński napisał w *Gazecie Warszawskiej* artykuł pod tytułem: „Ciwszaki i Wszakiewicz”... Cała Warszawa zaśmiewała się. Ciszak, którego znałem z czasów berlińskich, był wtedy skrajnym socjalistą — dziś byłby wstecznikiem — niedługo przeżył ten epizod, który go strasznie zirytował.

Nowaczyński był namiętym palaczem cygar i wielkim znawcą dobrych tytoniów. Przywiozłem raz z Krakowa pudełko 50 cygar, które dostałem od metropolity krakowskiego. Jak dziś pomnę, nazywały się „Solidicus”. Metropolita, który lubił dobre cygaro, miał zawsze na Franciszkańskiej dostateczny zapas, a dobrzy ludzie stale uzupełniali jego rezerwy. Tym razem ktoś od Niemca nabył kilka pudełek „Solidicusów”. W Warszawie dla „podludzi” cygaro było marzeniem, nawet Niemcy mało ich

mieli. Tedy szlachetny ks. Sapięha, znając moją skłonność do cygar, podarował mi jedno pudełko. W czasie wojny pan Adolf palił z zasady fajkę, łamiąc cygaro na kilka części. Dowodził, że trzeba szęczyć każdy gram tabaki, skoro była takim rarytasem. Nazywał to z niemiecka „sztrekować”. Nie umiem tego przetłumaczyć na język polski. Kto pamięta ruskie powiedzenie o cukrze, który był używany „na przykusku, na przyziku i na przydumku”, ten domyśli się o co chodzi.

Pewnej niedzieli po przyzwoitym obiedzie otwarłem „kistę”, jak mówił Nowaczyński. Zachęcony przeze mnie wyjął pięć cygar i połamał jedno, bo trzeba „sztrekować”. Sam uroczyście też zapaliłem jedno. Ale Nowaczyński coś się skrzywił, a i mnie miało się na wymioty po kilku jak mówił pan Adolf „sztachnięciach”. Zgodnie z jego życzeniem, jedno cygaro rozebraliśmy do naga i okazało się, że „Solidicus” składał się w 100% z brunatnego papieru do pakowania! Szelmy Niemcy dobrą nazwę dali na eksport swemu fabrykatowi. Fałszerstwa towarów na użytek zdobytego *Lebensraumu* były w Niemczech na wielką skalę. Niemało było śmiechu, kiedy miesiąc później opowiadałem ks. Metropolicie o wypadku z „Solidicusem”. Śmiał się do rozpuku i powtarzał „a szelmy, te szwabę”.

Niemcy zapraszali Nowaczyńskiego na konferencje, robiąc mu bez końca propozycje wystawienia w Warszawie którejsz z jego sztuk. Mamili go perspektywami współpracy w jakimś piśmie literackim, co by go finansowo postawiło na nogi. Odpowiedz jego była zawsze ta sama, że od wybuchu wojny opuścił go talent. Dziwnym i dla mnie niezrozumiałym zbiegiem okoliczności Niemcy odnosili się do Nowaczyńskiego z respektem; może za duzo powiedziałem, była to pewna bojaźń, że taki sowizdrzał może narobić im jakichs kłopotów.

Faktycznie Nowaczyński podczas okupacji nic nie pisał. Zarząd RGO abonował dla niego swym sumptem kilka pism niemieckich, inne nie były dopuszczone. Czytał głównie *Reich* Goebbelsa i *Deutsche Allgemeine Zeitung*, poza tym kilka pism literackich.

Co dzień robił wycinki, które nam od czasu do czasu pokazywał. Z lubością gromadził klepsydry z frontu wschodniego i martwił się, że wśród poległych hitlerowców był duży procent Kaczmarków, Matysiaków czy Nowaków.

Nie jest to zupełnie ściśle co powiedziałem, że Nowaczyński nic wówczas nie pisał. Już powalony ciężką chorobą (zdaje mi się że leżał wówczas w domu swej siostry przy ulicy Hortensji)

przyjął Janusza Machnickiego i mnie, aby nam czytać długie ustępy dzieła o Hipolicie Cegielskim. Zależało mu widocznie na mojej opinii, co było zrozumiałe, gdyż znałem stosunki wielkopolskie. O ile sobie dziś przypominam dzieło napisane było z talentem i w tym samym stylu co dwa uprzednie dzieła dotyczące Wielkopolski: „Warta nad Wartą” i „Poznaj Poznań”. Pamiętam doskonale te dwa tomy, gdyż Nowaczyński wpisał w nie rozczulające mnie dedykacje. Kochał Poznań, tak jak miał zapewne niesłuszną awersję do swego rodzinnego miasta Krakowa, które, jak wiadomo, konsekwentnie nazywał „Pokraków”.

Z Nowaczyńskim odwiedzał nas często Solski. Cóż to byli za ludzie! Nie było też tygodnia, aby do mnie do Banku Handlowego nie zaszedł Zeglarski, zwykle w towarzystwie Nowaczyńskiego. Oczywiście chodziło o te źródła nieustającej pomocy, jakimi były RGO i banki, które bez wyjątku pomagały naciąganyymi „dyskontami” niekoniecznie dobrych weksli. Było to wtedy niebezpieczne i gdyby nie dr Laschtowitschka i jego szef dr Paersch, którzy przymykali oczy, byłoby się to skończyło fatalnie. Podkreślam to dla historycznej sprawiedliwości, a również dla pokrzepienia moralnego, że nawet w tak przewrotnym systemie jakim był hitleryzm, przecież nie wszyscy dobrowolni i niedobrowolni adherenci byli całkiem wyprani z ludzkich uczuć.

Tu wspomnę dr. Fribolina, który był nadzorcą finansów miasta. Za czasów prezydenta Kulskiego finansami zarządzał dyrektor Ivanka, dawny dygnitarz Ministerstwa Skarbu, gorący patriota i mądry człowiek. Miał on duży wpływ na Fribolina. Nie zapomnę, jak z okazji jakiejś nowej kontrybucji — zdaje się 100 milionów złotych — nałożonej na miasto, Fribolin zaprosił mnie na rozmowę w cztery oczy. Poddał mi myśl, aby wobec złej sytuacji finansowej aparatu opiekuńczego wystąpić z memoriałem do gubernatora o przeznaczenie części tej ogromnej sumy na RGO. Sam po części nakreślił wniosek w brulionie i musiałem mu dać słowo, że go nie zdradzę. Słowa dotrzymałem, a jeżeli dziś o tym piszę, to z obowiązku sumienia. W pierwszym dniu powstania w r. 1944 Fribolin popełnił samobójstwo, wyskakując z piątego piętra nowego gmachu Magistratu. Szkoda, gdyż nie mu nie groziło. Szef AK tego odcinka miał rozkaz oszczędzenia kilku Niemców, którzy w trudnych dla siebie warunkach zachowali się po ludzku wobec Polaków. W kilka dni po tym wypadku mieliśmy wiadomości od AK, że Fribolin zginął.

Tłó pracy w RGO nie byłoby zupełne, gdyby nie wspomnieć o olbrzymiej i oddanej pracy czynników wykonawczych organi-

zacji, naczelnej dyrekcji, sekcji i wydziałów. Jednym z pierwszych dyrektorów był Mieczysław Jastrzębowski, którego pozyskaliśmy z C.Z.P.P. Nie czuł się szczególnie dobrze na swym stanowisku, gdyż miał jeden handicap — nie znał zupełnie języka niemieckiego. To uniemożliwiało mu kontakt z administracją niemiecką, bez której zgody niczego nie było można załatwić.

Został tedy, zgodnie ze swoim życzeniem, szefem jednej z sekcji, a prezes Ronikier na naszą prośbę zwolnił z centrali w Krakowie Andrzeja Jałowieckiego, który objął stanowisko naczelnego dyrektora w Warszawie. Był to jeden z najzdolniejszych ludzi, jakich znałem. Piękną prezencją, był niezwykle starannie wykształcony, władał wybornie językiem niemieckim. Mówił też doskonale po angielsku i francusku, był idealnym człowiekiem na takie stanowisko. Od r. 1941 prowadził wszystkie rokowania z urzędnikami guberni na średnim i niższym stopniu, pisał memoriały, a po utworzeniu getta żydowskiego dokonywał cudów, aby pomagać ludności żydowskiej, według wskazówek, jakie dawał ówczesny prezes gminy żydowskiej Gepner.

Gepner miał dzięki naszym staraniom stałą przepustkę, odwiedzał mnie też na początku wojny z punktualnością co do minuty nieomal codziennie o godzinie 8-ej rano w Banku Handlowym, gdzie uzgadnialiśmy marszrutę na następne dni.

W tym czasie zaprzyjaźniłem się z Gepnerem, choć często nie podzielałem jego poglądów, zwłaszcza gdy krytykowałem brak większej akcji pomocy ze strony bogatych Żydów na rzecz proletariatu, dzieci i chorych. Miałem relacje od Jałowieckiego, który za pozwoleniem Niemców miał wstęp do getta. W getcie obok ogromnego luksusu była nieopisana nędza, co musiało na Jałowieckim robić wrażenie przygnębiające i co wynikało z jego raportów. Jeden z takich raportów pokazałem Gepnerowi, który go jednak do końca nie przeczytał; mówił mi, że to co czytał jest prawdą, że jednak poglądy nasze na te sprawy są zasadniczo inne. Tak było szczególnie na początku. Później, w miarę dojrzenia diabolicznych planów hitlerowskich, dostęp nasz do getta był coraz trudniejszy. Pod koniec 1942 r. jasne było dla najlepiej zorientowanych, że tu nie będzie kompromisów. Inni, bardziej ode mnie powołani, opisali i opowiedzieli o szmuglowaniu broni do getta. Bóg wie, czy nie trzeba było tego rychlej rozpoznać. W r. 1943 nieszczęśliwi skazańcy okrucieństwa niemieckiego, zamknięci w murach getta chwycili za broń. Szczęśliwi byli ci, co polegli, gdyż pozostałych przy życiu wywieziono do Majdanka.

Zima 1941 r. była ostra. W uratowanym notatniku jest zapisane: — 16 maj 1941 r. śnieg pada przez całe rano. To wymagało coraz większych zabiegów wokół kuchen, trzeba było coraz więcej środków pieniężnych. Jałowiecki wychodził z siebie. Mobilizowaliśmy przemysłowców i z wdzięcznością wspominam takie nazwiska jak Patzerów z browarów Haberbusch und Schiele, Wedłów, których kasa zawsze była dla nas, w ramach możliwości, otwarta, wielkich papierników Franaszków oraz niezliczonych kupców i rzemieślników warszawskich.

Czego nie zapomnę, to sposobu, w jaki się prawie wszyscy bez wyjątku do naszych próśb odnosili. Nikt tego nie robił z jakiegokolwiek przymusu moralnego. Nie było potrzeby karotowania, jak mówili w Warszawie. Dobroczynność na wielką skalę była spontaniczna. Kiedy hitlerowcy wpadli na szatański pomysł wywożenia dzieci z Zamojszczyzny do Niemiec i kiedy rozeszła się po Warszawie pogłoska, że pierwszy taki transport przyszedł do Warszawy, biura nasze były oblegane przez setki pań, które chciały adoptować dzieci. Ofiarność była rozczulająca, postawa społeczeństwa zdecydowana, że naród choćby miał cierpieć jeszcze więcej, do takiej hańby nie dopuści. Niemcy po takiej próbie zaniechali swych projektów. Skutek planów Himmlera był taki, że administracja niemiecka zaczęła pękać. Przytoczę taki obrazek.

Pod presją opinii publicznej zameldowaliśmy się pewnego wieczora, Machnicki i ja, do szefa administracji wewnętrznej Schoena, który miał tytuł *Reichsleiter*, i przedstawiliśmy mu wzburzenie ludności. Niemiec był wstrząśnięty i w telefonicznej rozmowie z gubernatorem powiedział: „*bei solchen Schweinereien mache ich nicht mit*”, czyli „w tych świństwach ja udziału nie wezmę”. Zaś do nas dopowiedział: „jakikolwiek z tego tytułu będą dla mnie konsekwencje”. Niemcy się cofnęli, lecz warto przy tej sposobności coś powiedzieć o psychologii tłumu. Interwencje naszych pań nie ustawały. Doszło do tego, że wysłały delegację do arcybiskupa, nie wahając się twierdzić, że dzieci są w Warszawie i że my ukrywamy to przed społeczeństwem. Stary, poczciwy arcybiskup Gall zbeształ je na swój sposób i sprawa przycichła po kilku dniach. Było kilka podobnych wypadków, które stale mnie bulwersowały.

W tym to mniej więcej czasie miałem w Krakowie rozmowy z Paerschem, który dyskretnie zapowiadał zaostrenie kursu i doradzał ostrożność. Po tej rozmowie, która odbyła się 22 kwietnia 1941 r., miałem jeszcze głębsze przekonanie, że trzeba *wait*

and see, przeczekać, czemu dałem wyraz na zebraniu u ks. metropolity Sapiehy.

Wieczorem tego dnia był obiad u hr. Ronikiera, który mieszkał w pałacu Pusłowskich, gdzie też mieściła się siedziba głównego zarządu RGO. Obiad był z okazji imienin Wojciecha Baranowskiego, dawnego działacza w Moskwie i Petersburgu, literata wcale niezgorszego, przemiłego człowieka, który jednak wierzył w zwycięstwo Niemiec i z najgłębszego przekonania doradzał *modus vivendi* z Niemcami. Rozmowa moja z dr. Paerschem rankiem tegoż dnia była w samą porę. Nic nie mówiłem ze względu na bezpieczeństwo przyzwoitego człowieka Paerscha, który nam oddał nieocenione przysługi, jednakże w odpowiedzi na przemówienie Baranowskiego dałem długą replikę, że Baranowski zupełnie nie zna dzisiejszego trzeciego *Reichu* i że jedyną naszą polityką może być fizyczne ratowanie narodu bez próbowania jakichkolwiek innych działań, co byłoby w mym przekonaniu katastrofą. Robić co należy w interesie narodu, podtrzymać łączność wewnętrzną za każdą cenę, odłożyć do lepszych czasów spory programowe i partyjne. Niemców trzymać w szachu, unikając jakichkolwiek prób porozumienia. Przy tym należy szczerzyć w miarę możliwości każdej kropli krwi własnej. Rozbijając w dalszym ciągu Niemców od wewnątrz, szczerząc o ile możliwości Wehrmacht, która na ogół inaczej się zachowywała niż Gestapo. Zdaje mi się, że skutek osiągnąłem, gdyż poparł mnie nawet Ronikier, który — niesłusznie, jak się okazało — uchodził za germanofila.

Obiad okazał się pożyteczny, bo jednolitość opinii, poza biednym Baranowskim, ustaliła linię postępowania politycznego RGO, która to linia *ani razu nie została przekroczona*. Ronikier doznał tyłu zawodów, iż zrozumiał, że kim innym był Beseler, a kim innym Frank, o czym miał się niebawem boleśnie przekonać. Pragnę dodać, że Baranowski był kimś w rodzaju Wł. Studnickiego: gorący patriota, widział niebezpieczeństwo tylko ze strony Rosji, nie znając Niemiec. Tak jak z drugiej strony szwagier ks. Janusza Radziwiłła, Franciszek Potocki, głosił w Krakowie odwrotne teorie w małych zaufanych kołach. Na szczęście, tego rodzaju tarcia ideologiczne były sporadyczne i opinia całego narodu była jednolita.

Czy Niemcy byli dobrze poinformowani? Wątpię. Przy ich na ogół wielkiej tępcocie w sprawach politycznych, ich prymitywizmie myślenia, ich prostactwie w ocenie psychologii podbitych krajów i przy wdrylowanym przekonaniu o wyższości rasowej, śmiem o tym wątpić. Zapewne były jednak wyjątkowe jednostki,

stojące wyżej od masy niemieckiej, które doskonale zdawały sobie sprawę, że wszystko to musi skończyć się tragiczną klęską.

Wspominając Władysława Studnickiego, muszę mu poświęcić kilka uwag. Byłem jego zdecydowanym przeciwnikiem. Później nabrałem przekonania, że był to jeden z największych charakterów, jakie poznałem. Mógł się mylić i, jak się okazało, mylił się w ocenie kwestii niemieckiej. Studnicki wychodził z założenia, że sojusz polsko-niemiecki automatycznie pognębi Rosję, której nienawdził. Jedną ze swych książek poświęcił Hitlerowi jako „przyszłemu wodzowi Europy”.

Władysław Studnicki znajdował się w ciężkim położeniu materialnym. Korzystał z najlepszej kuchni i zarząd nasz wypłacał mu skromną zapomogę. Nie był to człowiek, który by przyjął jakikolwiek *jurgelt* od Niemców. To wszyscy w Warszawie wiedzieli, choć każdy potępiał jego ideologię. Niektórzy przywiązywali wielką wagę do możliwości jego interwencji u Niemców, gdy chodziło o liczne aresztowania, jakie były na porządku dziennym. Początkowo Niemcy przyjmowali go z pewną atencją, lecz rezultatów namacalnych nie było widać.

Jego bezprzykładna odwaga w rozmowach z Gestapo czy administracją cywilną budziła powszechny podziw. Nie zapomnę sceny, jaką miał Studnicki z okazji widzenia się z jednym z najwyższych oficerów Gestapo. Przedstawił ją nam pod świeżym wrażeniem tego, co zaszło. Studnicki robił gwałtowne uwagi, że polityka niemiecka jest obłąkana. Na to gestapowiec rzucił się na niego z furią, chcąc go czynnie znieważyć. Studnicki zreferował: „wobec tej czynnej agresji przyjąłem pozycję obronną, przy czym zrobił prawą ręką gest, zasłaniający go przed uderzeniem zbira. Był w tym wszystkim głęboki, makabryczny humor. Ten blisko dwumetrowy drwał i to chucherko przeszło 70-letnie... Niemcy jednak nie popuścili: chcieli w jakiś sposób wyzyskać starego profesora i wielkiego wielbiciela Hitlera do czasu wojny. Przewieźli go do Berlina, ulokowali w hotelu i rozpoczęły się rozmowy z Goebbelsem — co on sam obszernie opisał. Na przestrzeni mego życia nie widziałem dużo takich tragedii wewnętrznych jak ta, którą przechodził Władysław Studnicki.

Zbliżała się wojna Niemiec z ich sprzymierzeńcem Rosją sowiecką. W roku 1940 Mołotow przejeżdżał ostatni raz przez Warszawę do Berlina. Warszawa wiedziała wszystko, zresztą było to widoczne z przygotowań niemieckich aby mu zapewnić całkowite bezpieczeństwo. Wzdłuż torów kolejowych była rozstawiona chyba cała załoga wojskowa, która stacjonowała w G.G. W dniu 6 czerwca 1941 r. jechaliśmy na posiedzenie RGO do

Krakowa, gdzie jak zawsze narada odbywała się w pałacu arcybiskupim przy Franciszkańskiej i przyjęcie u Młynarskich. Spóźniliśmy się o kilka godzin, gdyż cała droga zawałona była wojakiem. Mimo, że osobne kolumny zmotoryzowane utrzymywały porządek na szosie, poruszaliśmy się powoli, choć nikt nas nie inkomodował. Ta olbrzymia machina wojskowa funkcjonująca jak zegarek szwajcarski zrobiła na nas niesamowite wrażenie. Mijały nas dywizje na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Żołnierze świetnie wyekwipowani, konie, motory, czołgi błyszczały. Można się było domyśleć, o co chodzi, choć Niemcy potrafili do ostatniej chwili utrzymać tajemnicę o przegrupowaniach.

Po powrocie obserwowałem Warszawę. Było to już po wkroczeniu wojsk niemieckich na terytorium rosyjskie. Starzy Warszawiacy opowiadali o Napoleonie, o okrutnych zimach i z tym wiąźali nowe nadzieje, jak się okazało nie bez słuszności.

W miarę panoszenia się Niemców unikaliliśmy lokali publicznych. Niektóre, jak Hotel Europejski, Bristol, Simon Stecki były *nur für Deutsche*, zaś lokale mieszane, jak Langner — który dawniej miał w Warszawie zasłużoną renomę rzetelności — roiyły się od szpiciłów.

Jeszcze przed rozpoczęciem wojny niemiecko-rosyjskiej zdążył nas odwiedzić komitet Hoovera z Mr. Mac Donaldem na czele. W Jabłonnej hr. Potocki wydał wielkie przyjęcie, zamęczone tylko obecnością dwóch gestapowców z Berlina: obrzydliwe typy, które pilnie obserwowały i słuchały. Siedziałem obok Mac Donalda, a ponieważ Niemcy mocno popijali i po angielsku niewiele rozumieli, mogłem się od Amerykanów dowiedzieć, czego chciałem. Mac Donald mówił mi, że ostatni raz przyjeżdża do Polski. To mnie zasmuciło, gdyż hooverowska pomoc była duża i potem już zostali tylko Szwajcarzy i poczciwi Szwedzi. Ale to już nie była Ameryka.

Na pierwszym piętrze pałacu Moryś Potocki pokazywał nam pokój sypialny Göringa, który był częstym gościem na polowaniach u niego. Nad łóżkiem wisiał dużych rozmiarów portret Reichsmarszałka z ogromną dedykacją. Dwaj hitlerowcy salutowali obraz. Wycofałem się dyskretnie, gdyż było to widowisko przykre. Mac Donald miał taką minę, jakby miał parsknąć śmiechem, gdyż ta scena adoracji trwała blisko dwie minuty. I cóż pomogła ta arystokratyczna przyjaźń? Owszem, Potocki nie miał w Jabłonnej *Treuhändera*, lecz jego wyjazd do Göringa, aby spowodować zmniejszenie mordów i gwałtów okupacyjnych na nie się nie przydał. Göring, owszem, uprzejmie go przy-

jął, lecz *mein lieber Graf* — jak mówił stary sybaryta do Potockiego — wrócił do Warszawy z próżnymi rękami. Dla porządku dodam, że nasza władza uzgodniła z nim ten wyjazd, niemożliwy dla innych śmiertelników. Chodziło przecież o biologiczne ratowanie narodu. Wszystkie trzy próby, a więc J. Radziwiłła, Studnickiego i Potockiego, aby złagodzić szarą niszczenia ludzi nie dały najmniejszego rezultatu. Przy tym nie chcę ani na chwilę stawiać na równej stopie tych trzech interwencji. Radziwiłł swoją powagą, ogólnym i równym w całym społeczeństwie szacunkiem, był naturalnie wyrazem polskiej opinii publicznej. Skoro ciężar tego nazwiska nie pomógł — było jasne, że mniej wybitne i ogólnie nie uznane osoby nic wskórać nie mogły. Na tym próby się skończyły.

Tymczasem wojna trwała dalej, wbrew wszystkim prorocstwom i przewidywaniom. Każdy dzień był straszny, koszmarny, niepodobna tego wszystkiego opisać.

Rok 1941 był rokiem śmierci Józefa Żychlińskiego, jednego z najzasłużniejszych Wielkopolan naszego wieku, o czym kilka razy już wspominałem. Oddaliśmy mu ostatnią przysługę na cmentarzu Powązkowskim w dniu 9 września 1941 r. Był też rokiem śmierci Aleksandra Ciszewskiego, zmarłego wskutek ran odniesionych w swym majątku Popioły. Było to smutne, gdyż zginął przez naszych, przez przypadek.

Tego roku wyjeżdżaliśmy osiem razy na posiedzenia Rady Głównej RGO do Krakowa, zwykle samochodem ks. Janusza Radziwiłła. On ratował naszą przykrą sytuację, jeżeli chodzi o komunikację. Oczywiście, każde posiedzenie Rady Głównej kończyło się skromną kawą z ks. Metropolitą. Podtrzymywał nasze siły duchowe mówiąc stale, że każdy uratowany człowiek to praca dla Polski. Kolacje były zwykle w gościnnym domu Młynarskich w ich obszernym mieszkaniu, w dawnym Banku Gospodarstwa Krajowego, wówczas Banku Emisyjnego. Towarzyszył nam często Andrzej Jałowiecki, aż do swej tragicznej śmierci w Majdanku w r. 1945.

W RGO w Krakowie po odejściu Andrzeja Jałowieckiego do Warszawy naczelnym dyrektorem został E. Seyfried, człowiek wielkiego rozumu i niezwykłego taktu. Wszyscy mieli dla niego głęboki szacunek, tym bardziej, że był przekonany demokratycznych. Mówię o tym, ponieważ zarzucano wtedy Ronikierowi, że całe jego biuro przydziałne składało się z arystokratów i ziemian. Tak w istocie było, gdyż obok jednego księcia było pięciu hrabiów. Byli to najgodniejsi ludzie, ale społeczeństwu to się nie podobało i nie mało byłem o to w Warszawie interpelowany

jako członek zarządu głównego. Nawet wynikały na tym tle nieporozumienia na posiedzeniach zarządu RGO w Warszawie. Interpelacje pod moim adresem dwukrotnie zgłaszali St. J. Janowski i dr Starczewski, którzy kazali mi się tłumaczyć — w moim przekonaniu niesłusznie — jak mogę, jako wybitny „demokrata”, zasiadać w zarządzie głównym RGO w Krakowie, którego administracja składa się z samych arystokratów. To wpłynęło na oziębienie naszych stosunków na dłuższy czas. Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze i obaj adwersarze przekonali się o niesłuszności swych pretensji do mnie. Zjawili się wkrótce po tym jako pierwsi gratulanci w dniu moich imienin, co mi sprawiło niekłamano radość. Widać z tego, że mieliśmy wcale nie tuzinkowych ludzi.

W miarę przeciągającej się wojny Niemcy hitlerowskie stawały się coraz bezwzględniejsze, czego psychologicznie nie mogłem zrozumieć. Wówczas plagą Warszawy były łapanki odbywające się wszędzie, nawet po kościołach podczas nabożeństw. Czarny obraz jaki w dość ponurych barwach już opisałem, w następnych latach miał się stać daleko ciemniejszy, bodaj makabryczny. Warszawa lat 1942-45 była niczym jakieś widowisko w „*Grand Guignol*”. Uprzedzam więc, że będę podawał ścisłe fakty, unikając podmalowywania tła, co musiałoby przygnębiać czytającego.

Tymczasem nasze kierownictwo naziemne i podziemne pracowało dalej. Ubywało nam ludzi w zastraszający sposób. Za ledwie jednak ktoś z posterunku odszedł, już wyznaczano następnego. Szeregi zawsze były wypełnione. Niepodobna wymienić setki znanych mi nazwisk pomordowanych, zaginionych bez śladu i wywiezionych, jeżeli mieli szczęście to do obozów, jeżeli nieszczęście to do komór gazowych.

Robota ani na chwilę nie stanęła. U mnie codziennie to samo — starania o pieniądze, żywność, odzież, buty, otwieranie nowych kuchni, przychodni lekarskich i schronisk. Stałe, comiesięczne wyjazdy do Krakowa, gdzie pobyt dla mnie nigdy nie był przyjemnością. Pomyśleć, że to od tysiąca lat rdzennie polskie miasto miało w ciągu półtora roku rządów okupanta zewnętrzny wygląd niemiecki. Napisy wszędzie niemieckie, ulice przezwane ku czci Hitlera, Göringa, a na okrasę Dürera czy innego Veit Stossa. Warszawa mnie nie przygnębiała i mimo nadludzkich wysiłków *Kulturträger*’ów pozostała i zewnętrznie miastem polskim. Kraków przypominał jakąś Norymbergę i tylko styl pięknych gmachów krakowskich krzyczał, że to jest miasto polskie. W Krakowie prawie całą wojnę panował miesz-

czański spokój. Warszawa przez blisko sześć lat nie miała jednej spokojnej godziny. Dynamizm warszawski był bezprzykładny w dziejach, nie tylko polskich. Podobnego miasta nie było na całym globie i pewnie nie będzie.

W czerwcu 1942 r. całe prezydium Rady Głównej zostało zawezwane do generalnego gubernatora. Pierwszy raz po latach znów oglądałem Wawel, dumę narodu. Obecni byliśmy wszyscy i przyjęcie w Sali Poselskiej odbyło się z wielką pompą. Ronikier z wielkim taktem odpowiadał na pytania Franka. Po tym posłuchaniu byliśmy oczywiście u ks. Metropolity i na mój wniosek sporządzono protokół podpisany przez uczestniczących w audyencji i podpisany przez wszystkich obecnych. Chodziło o to, aby w społeczeństwie nie było obaw czy niepokoju co do tej nie bardzo dobrowolnej audyencji. Jeden oryginalny dokument przechowuję w moich aktach.

Z naszej strony obecni byli prezes Rady Głównej A. Ronikier, wiceprezes J. Machnicki, dr Stanisław Wachowiak, dr Wolter, prof. U.J., dr Piotrowicz, prof. U.J., dr Krzyżanowski, prof. U.J. Ze strony G.G. obecni byli szef sekcji dr Siebert, dr Föhl i szef sekcji Weirauch. W sali poselskiej zastaliśmy dr. Boeple, sekretarza stanu i zastępcę szefa Gestapo na G.G. dr. Schöngarta. Był także prezydent głównego wydziału pracy dr Frauendorfer.

Zaimponowały Frankowi cyfry. W r. 1940/41, per 31.1.41. korzystało z opieki RGO 919.170 osób, w tym 390.573 dzieci. Biliśmy w to, że w r. 1942 cyfry się zmniejszają wskutek ubytku pomocy amerykańskiej i z powodu zmniejszających się dotacji powiatów. Warszawa miała osobny, wyodrębniony budżet, który wynosił miesięcznie trzy miliony złotych. Ta rozmowa miała ten — choć jeden — skutek, że administracja skłonniejsza była do udzielania subwencji i przydziałów żywności, co miało kapitalne znaczenie, gdyż ceny rynkowe były kilkakrotnie wyższe od tzw. cen przydziałowych.

Frank przez swą administrację był świetnie poinformowany, że każda rozmowa o *Arbeitseinsatz*, to jest o ściąganiu ludzi do pracy w Rzeszy, jest beznadziejna. Ronikier niesłuchanie taktownie pominął jego uwagi w tym względzie grobowym milczeniem. Staliśmy na niezłomnym stanowisku, że wszystko uczynimy dla ratowania życia naszego społeczeństwa, natomiast nie dopuścimy do dyskusji na tematy, które z dobroczynną pracą RGO nic nie miały wspólnego. Stanowisko to zrozumieli z czasem co przyzwoitsi urzędnicy G.G. i często odnosiłem wrażenie, że nieugiętość nasza budziła u niektórych szacunek.

Nie łudziliśmy się ani na chwilę, że z taką pompą zaaranżowana audyencja da jakiegokolwiek polityczne rezultaty. Walka Franka z Himmlerem była wtedy w pełnym biegu. Taki drobiaz, że znany kat Krüger wysłał na zamek swego zastępcę, był widocznym znakiem wewnętrznych walk wśród Niemców, o czym wróble na dachu świergotały.

Tymczasem wynik dla RGO znaczył wtedy coś nie coś — poprawa finansów, przydziały i w pewnym stopniu ochrona kilku tysięcy urzędników przed łapankami. To znów było ochroną dla podziemia, gdyż było wiadomo, że lwia część urzędników RGO pracowała w podziemnych komórkach A.K.

Nielada kłopot mieliśmy, kiedy 19.10.1942 r. zmarł delegat rządu Cyryl Ratajski. Wkrótce po nim mianowany został przez Londyn J.S. Jankowski. Tu tylko nadmienię, że nagłe odejście Jankowskiego ze sceny w RGO oczywiście uderzyło widocznie i obudziło czujność niemiecką. Przekonany jestem, że gdy na ten temat interpelował mnie gubernator Fischer, a ja tłumaczyłem, że był to „dziwny” typ człowieka, Fischer w to nie uwierzył i rad byłem, że nigdy do tej sprawy nie wracał.

Na pogrzebie Ratajskiego, mimo iż wiedziałem kiedy i w którym grobowcu na Powązkach będzie chowany, być nie mogłem, jak również nikt z mej rodziny. Był całkiem słuszny nakaz z Londynu, aby nikt nie narażał bezpieczeństwa sprawy i ludzi. Poza żoną Ratajskiego były ponoć dwie osoby. I to przymusowe odmówienie mu ostatniej przysługi było jakby dramatycznym uwypukleniem jego wielkości!

Dziewięć dni przedtem zmarła moja matka. Była ona w mym życiu słońcem co świeci i grzeje! Cokolwiek bym o niej powiedział, nie nie byłoby w stanie oddać mej miłości i wdzięczności. Niemcy wywieźli ją z Poznania i w jakimś zaplombowanym wagonie bydłęcym obwozili przez kilka dni. Odnalazłem ją przez RGO w Lublinie na pół żywą. To przyspieszyło jej śmierć. Operowano ją w jakiejś szkole na Pradze, gdyż lazarety zajęte były przez Niemców. Lekarze zabronili dać jej czegokolwiek do picia i cierpiała straszliwie. Wdzięczny byłem przywołanemu księdzu, który przyniósł trochę wina i dał jej po kryjomu, aby lekarze o tym się nie dowiedzieli. Dobrze zrobił, bo ukrócił jej męczarnie, a myśmy i tak wiedzieli, że ratunku nie było. Strata tej szlachetnej istoty była jednym z najcięższych ciosów mego życia.

Pogrzeb miała wspaniały. Arcybiskup Gall wysłał jako swego zastępcę ks. dr. Szmigielskiego, kanonika kapitulnego, który

prowadził kondukt złożony z kilku księży i wygłosił piękną mowę nad grobem. Ten wielki udział w pogrzebie staruszki, której przecież w Warszawie nikt nie znał, był mi wielką zapłatą za niewdzięczną pracę w stolicy. Chciała spocząć w rodzinnych Smolicach, ale dotąd leży na Bródnie bez winy tych, co ją nad życie kochali. Taki los przypadł nam, że nawet woli zmarłych wypełnić nie było można.

Nadchodził listopad. Niemcy dokonywali masowych aresztowań z pewnym uporem co do dat. A więc były 3 maja i 11 listopada. Jeszcze nie zdołałem przyjść do siebie po śmierci matki, kiedy nadszedł 11 listopada. Jakoś dzień 10 listopada, kiedy dawniej aresztowali, minął spokojnie.

Następnego dnia żona moja była dziwnie niespokojna i pod wieczór zaklinała mnie, abym wyjechał do Podkowy Leśnej. Byłem niezadowolony z tej natarczywości, gdyż było zimno i ogródnik, który domu pilnował, nic o mym przyjeździe nie wiedział. Lecz nasz stary Franciszek już miał przygotowaną walizkę i o szóstej kolejną EKD dla miłego spokoju wyjechałem z domu.

Następnego dnia o godzinie 5-ej rano zbudziło mnie gwałtowne pukanie w okiennicę. Przeraziłem się, będąc pewny, że to Gestapo. Jednakże usłyszałem głos mej żony, która przyjechała z Franciszkiem pierwszą kolejką, aby mnie powiadomić, że dwie godziny po mym wyjeździe gestapowcy przyszli mnie aresztować, zabierając wprawdzie hr. Marię Tarnowską. W domu przy Piusa lb zastali tylko moją rodzinę i Franciszka. Wzięli go za mnie, a jeden z hersztów ryczał: *das bis du, Hund* czyli „toś ty, ty psie”! Na szczęście Franciszek mówiący dobrze po niemiecku sprawę wytłumaczył i oświadczył, że wyjechałem do Krakowa. Oczywiście, trzeba się było z Podkowy co rychlej przenieść.

Zdecydowaliśmy z żoną, że najpewniejsze ukrycie to jednak Warszawa. Wyjechaliśmy do mej siostry, Anny Krzyckiej, która wysiedlona ze Żnina, jako tako w Warszawie zdążyła się urządzić. Cała rodzina była zdania, że to niepewna kryjówka. Więc pojechałem na kanonię przy św. Janie, gdzie miał duże i dyskretne mieszkanie ks. biskup Adamski. Tam przyjęto mnie z otwartym sercem i otwartymi rękami. Rzecz dziwna, Niemcy zajęli w Warszawie tysiące mieszkań, wyrzucając właścicieli, lecz nie tknęli kanonii przy św. Janie. Mieszkałem więc i słołowałem się u Adamskich, gdzie również mieszkali prof. Janowie Adamscy, sędziwy, godny kanonik poznański Zborowski i jego stara siostra, teściowa Jana.

Obok mieściła się wiekowa kamienica zakonna, gdzie Ges-

tapo ani razu nie było i tam dano mi na poddaszu pokoi noclegowy. Iluż naszych najlepszych ludzi uratowały poczciwe i tak sprytnie siostrzyczki! Niech im to potomni pamiętają.

U Adamskich czułem się jak w domu. W salonie ks. biskup zawiesił ogromne mapy kuli ziemskiej i wierząc jak w Boga w końcowe zwycięstwo sprawiedliwości, całymi wieczorami ze mną dyskutował, która kolonia cesarstwa niemieckiego jest najlepsza. Ze schedy niemieckiej należy nam się nie tylko Odra z przyległościami, ale także jedna z kolonii. Po głębokich rozważaniach stanęło na Togo.

Pewnego dnia w czasie gdy byłem u Adamskich przyszło Gestapo z zapytaniem do „ukrytek”, czym się zajmują. Do budynku nie weszli, a siostry opowiadały im o swym dziele dla dzieci ulicy. To był znak, że trzeba się przenieść. Skorzystałem tedy z dawnej oferty Dziewulskich, którzy po Edwardzie Natansonie mieli piękną resztówkę położoną o jakieś 50 mil od Warszawy i tam się przeniósłem.

Była sroga zima, śnieg leżał na pół metra. Czułem się na początku dość bezpieczny. Cóż, kiedy w okolicy ubito kilku Niemców, co zmobilizowało Gestapo, które w okolicy grasowało. Przeszkadzała im tylko ostra zima. Rodzina moja, a zwłaszcza zięć Janek Pindelski, jeden z działaczy AK, mieli dokładne wiadomości i pewnego dnia przyjechali w towarzystwie jakiegoś żołnierza, przebranego oczywiście za prawdziwego gestapowca, aby mnie przewieźć do Warszawy, gdzie tym razem zamieszkałem u dzieci na Saskiej Kępie. Okazało się, że jednak Warszawa była miejscem względnie najbezpieczniejszym.

Tymczasem przyjaciele moi, a głównie Janusz Radziwiłł, Wysocki i Machnicki, mając dostęp do gubernatora, ziemię i niebo poruszyli, aby mi wyrobić jakiś glejt przeciw Gestapo, skoro jako członek Rady Głównej w Krakowie a wiceprezes RGO warszawskiego byłem formalnie pod ochroną administracji cywilnej.

Opowiadał mi później Radziwiłł, że Fischer wychodził z siebie, aby „wyjaśnić” — jak mówił — to nieporozumienie. Wydo był on tymczasem zaaresztowaną dnia 11.11.42 Marię Tarnowską i wtedy wydawało się, że mogę się znów pokazać na widowni. Bodaj nic tak nie ilustruje dualizmu administracji tak ten mój epizod trwający trzy miesiące.

To oczywiście dało nam dalszy asumpt do pogłębiania przepaści między *Zivilverwaltung* a Gestapo. Argumenty nasze były w godność i samopoczucie czynników w G.G., którym formalnie podlegała policja. To była teoria, bo walka mimo późniejszej

ugody zawartej między Frankiem a Himmlerem pod auspicjami Hitlera faktycznie trwała do dnia samobójstwa krwawego Himmlera w r. 1945. Aparat terroru w postaci Gestapo panował nad wszystkim. Z rąk tej szatańskiej organizacji zginęło w mordach kapturowych wielu Niemców, którzy zbyt „miętko” zachowywali się wobec Polaków.

Pod koniec roku znów pokazałem się na swych placówkach. Fischer, który dokładnie znał mój wypadek, nigdy do niego nie wracał, tak jakby nic się nie stało. Świadczy to bodaj na jego korzyść — wstydził się. Wszystko to, jak łatwo się domysleć, miało dobrą stronę dla naszej roboty.

Z początkiem roku 1943 dowiedziałem się całkiem niespodziewanie od mieszkającego u nas oficera, zdecydowanego antyhitlerowca, że 31 grudnia zmarł w Monachium mój serdeczny przyjaciel Stanisław Korzeniowski, wielki malarz i jeszcze większy Polak. Został pochowany na Waldfriedhof, tam, gdzie tylu wybitnych Polaków spoczywa w obcej ziemi.

Był to więc rok koszmaru. Miał przyjść najgorszy, jaki przeżyłem. Pewnego dnia Gestapo zaarrestowało Andrzeja Jałowickiego, który jako naczelny dyrektor RGO w Warszawie był duszą roboty w stolicy. Powód był następujący. Szwedzi, ponieważ mieli wielkie interesy w Polsce — choćby Monopol Zapalczany, który od rządu polskiego dzierżawili — zdołali utrzymać swój generalny konsulat w Warszawie. Na jego czele stał wielki przyjaciel naszego narodu, Herslow. W Szwecji mieliśmy oddanych przyjaciół, co się w pełni okazało w czasie wojny.

Herslow przewoził znaczne środki pieniężne na robotę podziemną. Pewnego poranka zjawił się u mnie Jałowicki z zapytaniem, czy skorzystać z oferty Hersłowa. Odpowiedziałem, że uważam to za niebezpieczne dla organizacji formalnie w oczach Niemców legalnej, jaką było RGO. Tłumaczył mi, że szkoda tak znacznych sum, na co odparłem, że jeżeli chodzi o cele poza RGO, nie zgłaszam sprzeciwu, lecz że on to bierze na swoją odpowiedzialność. Pośredniczyła w tym wszystkim panna Dangieli. Wyznam, że bałem się, iż tylu ludzi o tym wie — lękałem się „wsypy”. Wiem, że Jałowicki skorzystał z oferty i przeznaczył pieniądze na specjalne cele AK.

Herslow miał paszport dyplomatyczny i jeździł często *via* Berlin między Warszawą a Sztokholmem, samoloty na tej linii kursowały. Niemcy musieli coś podejrzewać, gdyż przy jednym wyjeździe z Berlina zrewidowali Hersłowa dokumentnie i znaleźli grzbiet książki czekowej z asygnatami Jałowickiego, który jako człowiek niesłychanie dokładny nie chciał, aby ofiarodawcy

szwedzcy nie wiedzieli, na jakie cele ich pieniądze zostały zużyte. To stało się powodem jego katastrofy życiowej i sytuacja nasza była straszna: wobec dokumentów, jakie wpadły w ręce Niemców nie mogliśmy nic zrobić. Jałowieckiego wywieziono do oślawionego Majdanka pod Lublinem. Mniej więcej w tym samym czasie znalazł się tam poprzednik Jałowieckiego, Mieczysław Jastrzębowski. Gestapo triumfowało, mając nowe atuty wobec administracji cywilnej. Jałowiecki zmarł dnia 5.4.43 r. w Majdanku na tyfus, który wtedy w niektórych okolicach grasował. Ofiarny Lublin nie żałował niczego, aby pomóc. Wysłaliśmy z magazynów najlepsze środki amerykańskie, ale Jałowieckiego nie dało się uratować. To samo dotyczy Jastrzębowskiego. Już powiedziałem, że Jałowiecki był najzdolniejszym człowiekiem, jaki przy mym boku pracował. Strata była prawie nie do zastąpienia.

Następcą jego został Dańczak, człowiek zupełnie apolityczny i nieoceniony pracownik. Za zgodą i wiedzą rządu podziemnego musieliśmy stosować pewne środki ostrożności, jeżeli chodziło o kontakt z podziemiem. Ścisła a szczelnie ukryta symbioza RGO z podziemiem co chwila stwarzała dla zarządu coraz trudniejsze problemy. Zbyt często zdarzały się wypadki, które mogły zachwiać podstawami całej roboty.

Wobec doświadczenia ostatnich srogich zim zaczęliśmy gromadzić duże zapasy koców i zdeponowaliśmy je w jednym z ogromnych magazynów, zdaje się na Woli. Pewnego dnia przed gmach magazynu zajechało kilka ciężarówek z naszymi robotnikami. Wylegitymowali się dyspozycją zarządu, załadowali cały zapas tych drogocennieści i odjechali. Oczywiście, że takich dyspozycji nie było, czym wobec Niemców mogliśmy bez trudu się wykazać. Zrobiono z tego nowy, na wielką skalę rabunek „bandytów” i skończyło się na tym, że nie było dalszych dochodzeń. Oczywiście kierownik magazynu był w zмовie z „bandytami” i sam zniknął bez śladu. Czytający łatwo domyśli się, że wielka część AK zaczęła ukrywać się po lasach i trzeba było chłopców zaopatrzyć. Furgony z kocami poszły do lasów, gdzie na pewno były bardziej potrzebne niż w Warszawie. Ale strachu najedliśmy się niemało. Dziś jest to piękne wspomnienie, lecz wówczas rzeczywistość była mniej dla nas przyjemna.

Kontakty z zagranicą, jeżeli chodzi o pomoc dla społeczeństwa, prawie przestały istnieć po odpadnięciu Stanów Zjednoczonych. Została Szwecja, która z dnia na dzień była coraz ostrożniejsza, no i Czerwony Krzyż szwajcarski.

Wybitny profesor Vyss, który na początku 1943 r. przyje-

chał do Warszawy, był więcej niż ostrożny. W miarę coraz większych okrucieństw Niemców sytuacja w Warszawie stawała się coraz bardziej nieznośna. Nasza akcja podziemna zdecydowała zaostrezenie walki z Gestapo, a także z tymi elementami administracji cywilnej, które dawały nam się we znaki. W 1943 r. co dzień ginęło w Warszawie kilku Niemców. Była to walka nierówna: oko za oko, ząb za ząb. Był w tymże roku dzień, w którym zginęło 78 Niemców w Warszawie — jak nam urzędowo zakomunikował gubernator. Urzędnicy niemieccy uciekali, zgłaszając się ochotniczo do szeregów wojskowych, woleli walczyć na froncie, niż w tych warunkach siedzieć w Warszawie. Samopoczucie Niemców pogarszało się z każdym dniem.

Gubernator Fischer zdecydował się na wiosnę zwołać reprezentację społeczeństwa polskiego, aby szczerze — jak mówił — przedyskutować ten tragiczny stan rzeczy. Z Polaków zaprosił jako reprezentanta przemysłu znanego browarnika Patzera, Marka; w Warszawie powszechnie uznanego za wodza stanu średniego — prezydenta Kulskiego jako reprezentanta miasta oraz mnie. Ze strony niemieckiej zaprosił swego zastępcę dr. Hummela, niemieckiego komisarza Leista i dyrektora urzędu pracy dr. Hoffmanna. Był też obecny szef *Sicherheitsdienstu* dr. Kah. Jakże to charakterystyczne dla podkreślanej już dwoistości władzy, że nie przybył szef Gestapo, osławiony Kutschera, a kazał się zastąpić przez dr. Kaha.

Był piękny dzień wiosenny. Posiedzenie odbywało się na pierwszym piętrze pałacu Brühla. Gubernator wymownie przedstawił grozę codziennych mordów dokonywanych na Niemcach. Znałem dobrze prezydenta Warszawy Kulskiego, ale jego wystąpienie na tym posiedzeniu było dla mnie rewelacją męstwa, godności i odwagi. Nigdy nie posądzałbym o to tego małomównego, cichego i pozornie skromnego człowieka.

Ponieważ nie mówił po niemiecku, przemówienie jego przetłumaczono. Wypowiedział wszystko, co go gnębiło. Nastąpiła grobowa cisza, którą przerwał gubernator prosząc, abym wypowiedział swoje zdanie. Ponieważ wspominał on o „reprezentacji narodowej Polski”, więc zareplikowałem, że nie ma tu żadnej reprezentacji narodowej, a przypadkowi, może wpływowi, ale nikogo nie reprezentujący członkowie polskiego społeczeństwa, po niemiecku *polnische Volksgemeinschaft*. Powiedziałem, że nie kuszę się o to, abym lepiej od prezydenta Kulskiego mógł opisać cierpienia ludności, od tylu lat znoszącej bezprawia i gwałty. W tych warunkach — jak powiedział Kulski — najbardziej szanowani w społeczeństwie ludzie muszą tracić wpływ na masy,

które widzą całą beznadziejność sytuacji i tracą zaufanie do swych wczorajszych wodzów. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem są zmiany, lecz tylko na gorsze.

Jeżeli urząd guberni chce okazać dobrą wolę, o którą prosi nas gubernator, to ma na to różne środki w ręku. Starczyłoby wypuścić z obozów koncentracyjnych kilka tysięcy ofiar, którym niczego nie udowodniono, a już nastąpiłoby odprężenie napięcia, które panuje głównie w Warszawie. Co nas uderzyło to fakt, że dr Kah przytakiwał głową przeważnej części wywodów Kulskiego. Nic absolutnie nie rozumiałem. Później mówiono mi, że dr Kah należał do znanych krytyków obłąkanego systemu Himmlera. Nie wiem.

Zebrańnię skończyło się w niebwywałym napięciu. W przedpokoju powiedział mi Patzer: „boję się, aby panu po tym przemówieniu coś nie groziło, niech pan zamieszka przez kilka dni u mnie”. Odparłem, że nie podzielam tego zdania, bowiem Niemcy zanadto są przestraszeni, a obecność dr. Kaha jest pewną osłoną dla Kulskiego i dla mnie. Nic też się po tym nie stało, tyle iż jeden z wybitnych Niemców obecnych na zebraniu — *Regierungsdirektor* Hoffmann — wkrótce potem został z wyroku sądu podziemnego, zastrzelony w swym gabinecie. Krótko przedtem piękny gmach „Pod czterema wiatrami” przy Długiej 48, gdzie urzędował Urząd Pracy, oddano do użytku RGO, Urząd przeniesiono do innego gmachu. Hoffmann — o czym nikt nie wiedział — oddał nam niejedną przysługę. Uważaliśmy, Machnicki, Wysocki, Radziwiłł i ja, że zabójstwo Hoffmanna było jednym z większych błędów politycznych, jakie popełniło nasze kierownictwo. Czyniłem wyrzuty Jankowskiemu, że to łączy Niemców i pcha nawet dekujących się asekurantów czy wrogów Hitlera do jednolitego frontu. Na to odparł ze zwykłym sobie spokojem — mój kochany, Hoffmann był symbolem, a to wojna totalna. Miałem jednak wrażenie, że i on to zabójstwo zawyrokokowane za zgodą sądów podziemnych, uważał za niedostatecznie rozważone.

Podkreślam, że na ogół wyroki były ostrożne i rzadko kiedy zdarzył się wypadek, aby AK sprzątnęło jakiegoś Niemca na własną rękę. Zastrzelenie Hoffmanna zrobiło w mieście ogromne wrażenie i obawialiśmy się represji. Istotnie wkrótce rozpoczęły się masowe egzekucje publiczne, znacząc tym tragiczny rok 1943.

W parę dni po dramatycznej rozmowie u Fischera wyjechaliśmy do Krakowa, gdzie byłem ostatni raz gościem dyrektora Banku Handlowego, Maksymiliana Kesslera. Krótko po tym, mimo nadludzkiej wysiłków z mej strony i dyskretnej pomocy

Paerscha, całą rodzinę wywieziono, rabując jej mienie. Kesslerowa i córka, niezwykle uzdolniona, zginęły w obozie Stutthof pod Gdańskiem. Maksymilian i syn uratowali się.

W Krakowie zachorowałem niebezpiecznie i przeleżałem dwa tygodnie w domu dr. Bednarków, starych przyjaciół jeszcze z Westfalii. Niezupełnie zdrow wyjechałem w pierwsze święto Wielkanocy do Warszawy, pod opieką wiernego woźnego Brukaluka. Miałem szczęście, gdyż pociąg był prawie pusty; Niemcy masowo powyjeżdżali na święta.

Popołudniu dojeżdżając do Warszawy wydawało mi się, że całe miasto się pali. Był to pierwszy przygotowany na wielką skalę atak na getto warszawskie, gdzie wybuchło powstanie. Samoloty rzucały bomby zapalające. Był to widok wstrząsający i niesamowity, okropny w swej grozie. Przeleżałem cały maj w Podkowie, gdzie było najbezpieczniej. Błogosławiona Podkowa ze swymi starymi lasami. Iluż uchroniła naszych działaczy, iluż Żydów tam się uratowało. Rzecz szczególna, iż Niemcy nie grąsowali bezkarnie tam, gdzie były lasy. Przekonaliśmy się o tym, kiedy wielkie siły AK operowały w borach. W tym czasie był nalot rosyjski na Warszawę i do Podkowy dochodziły najdalsze wiadomości, które na szczęście były mocno przesadzone.

Napięcie w Warszawie wzrastało. Wczesną wiosną wybuchła sprawa Katynia. Machnickiego i mnie zawezwano do gubernatora. Dyskretnie zawiadomił nas, że Niemcy odkryli masowe groby oficerów polskich pomordowanych przez N.K.W.D. mówił o przeszło 10.000 oficerach, których Rosjanie wzięli do niewoli po znanym pakcie Mołotow-Ribbentrop. Ten krew w żyłach mrozący fakt zaskoczył nas i przygnębił. Gubernator mówił, że zależy mu na tym, aby społeczeństwo polskie samo sprawę na miejscu zbadało i że odbierzemy w najbliższych godzinach zaproszenie, aby na miejsce tej niebywałej w dziejach zbrodni wysłać delegację polską. Machnicki odpowiedział, że sprawę się zajmujemy.

Kiedy wyszliśmy od gubernatora, obydwaj nie wierzyliśmy w prawdziwość jego informacji. Porozumieliśmy się niezwłocznie z delegaturą rządu, ta znów z Londynem. Już za kilka godzin mieliśmy wskazówki. A więc delegację wysłać, jednak złożoną wyłącznie z ludzi jak najmniej zaangażowanych, a więc Polski Czerwony Krzyż, wybitnych lekarzy, ewentualnie literatów. Piszę o tym, gdyż z opisu Ferdynanda Goetla („Czasy wojny” Londyn 1955, str. 124) można by wnosić, że poza nim nie było męźnych ludzi w Warszawie. Relacja jego poza tym jest ściśła, czytałem ją z zapartym tchem, jakby raz jeszcze przeżywając czasy wojny. Jednakże nie znał on kulis spraw podziemnych, mimo

niezwykłego daru obserwacji. Więc do Katynia nie pojechał hr. Ronikier, a dr Seyfried. Z warszawskiego RGO nie pojechali Machnicki ani Wachowiak, lecz dr Grodzki, szef służby zdrowia Rady Opiekuńczej.

Do znakomitego opisu F. Goetla dodać by tylko można, że do Warszawy P.C.K. przywiózł mnóstwo dowodów rzeczowych, które były wystawione na widok publiczny i dowodziły ponad *wszelką wątpliwość*, że sprawcą tego okropnego mordu był Stalin. Wśród ofiar katyńskich było kilkudziesięciu moich przyjaciół, a wśród lekarzy kilku mych kolegów uniwersyteckich z Berlina i Monachium — przeważnie pułkowników. Polegli za Polskę! Może kiedyś potworna zbrodnia katyńska zostanie całkowicie wyjaśniona i opublikowana.

Anglia i Ameryka umywały ręce, radziły oględność i pogodzenie się z rzeczywistością w imię zgody między aliantami. Nie znałem w drugiej wojnie światowej większego przykładu utylitaryzmu wypranego z wszelkiej moralności, jak sprawa katyńska! W aktach moich są listy, jakie wymieniłem z jednym z kongresmanów amerykańskich, mianowicie z Tadeuszem Majchrowiczem, rodem z Kobyłina w Wielkopolsce.

Był czas w roku 1950, kiedy Amerykanie mieli interes polityczny w obnażaniu zbrodni przeciw ludzkości. *Human rights* były wówczas sloganem amerykańskim. Kiedy napisałem do Majchrowicza, że mogę świadczyć w sprawach, które on z polecenia Kongresu bada, odebrałem odpowiedź, że komisja będzie przesłuchiwać świadków w Londynie. Zrezygnowałem z tej łaskawości, gdyż Anglia owych czasów zachęcała w dość natarczywy sposób przymusowych i dobrowolnych emigrantów do powrotu do Ojczyzny, rządzonej przez Bezpiekę. Nie skorzystałem więc z tego zaproszenia i czekałem cierpliwie na wizę amerykańską. Trwało to blisko siedem lat, a wobec zbliżającej się siedemdziesiątki zrezygnowałem i z tego wielkiego przywileju. Był to szczyt biurokracji, jaki kiedykolwiek widziałem. W Anglii i w Stanach Zjednoczonych — o czym później — nauczyłem się na zimno dmuchać. Opuścił mnie powoli polski romantyzm i przekonałem się dowodnie, że nie ma się co angażować w obce sprawy, gdyż to w rezultacie zawsze daje rozczarowanie i gorycz.

Gdyby Niemcy byli choć w znikomym stopniu psychologami, Katyń byłby zwrotem w stosunkach polsko-niemieckich. Od czterech lat okupacji społeczeństwo przepojone było nienawiścią do nich, mało, mimo prawie beznadziejnej możliwości zbrojnej rozprawy z nimi zionęło pragnienie zemsty za bezprzykładne w dziejach ludzkości okrucieństwa. Stąd, owszem, Katyń poruszył

całą opinię publiczną, lecz o cal nie zmienić nastawienia do Niemców. To miało się okazać w całej pełni w ciągu tragicznego roku 1943.

Jak już wspomniałem, Niemcy ginęli jak muchy na ulicach Warszawy. Ginęli setkami. Jasne było z licznych rozmów, na które nas wzywano, to do gubernatora, to do szefa propagandy Monzesa lub do Gestapo, że Niemcy planują jakieś szatańskie zarządzenia.

Jak dziś pamiętam niedzielę 17 października 1943 r. Byłem zaproszony z żoną na obiad do Matuszaka, naczelnego dyrektora Monopolu Zapalczanego. Obiad był w Podkowie, gdzie Matuszak miał letnie mieszkanie. Dzień był przepiękny, lecz musieliśmy do Warszawy wracać przed godziną policyjną. Jak zawsze miasto tonęło w ciemnościach, była godzina pół do ósmej wieczorem. Nieodzowne wtedy latarki elektryczne były jedynym ratunkiem. Na rogu Marszałkowskiej i Pięknej zauważyłem, że ulica mimo suchego dnia była cała mokra, czego w żaden sposób nie mogłem sobie wytłumaczyć.

Sprawa wyjaśniła się po kilku minutach. Domownicy opowiedzieli nam, że późnym popołudniem odbyła się pierwsza egzekucja publiczna na ulicy Piusa, w której rozstrzelano 20 ludzi, na chybił trafił złowionych na ulicy, i że zmuszono spędzone tłumy, aby się temu makabrycznemu widowisku przyglądały. Wrażenie w mieście było piorunujące. W notatniku na ten dzień pisałem: „okropne dzieje przyniósł nam czas”.

Nazajutrz poszedłem obejrzeć miejsce egzekucji. Było zasypane kwiatami, a świece jarzyły się na chodniku. Przechodnie modlili się i odkrywali głowy. Taka była Warszawa. To widowisko miało się powtarzać prawie co tydzień aż do zamordowania herszta Gestapo, Kutschery. Unikaliśmy spotkań z Niemcami, zaniedbując nawet najpilniejsze sprawy, jak zaopatrzenie kuchen w kartofle czy węgiel.

Dwa dni później dowiedziałem się o ciężkim położeniu materialnym byłego prezydenta Wojciechowskiego, który miał skromny domek na kolonii Staszica. Odwiedziliśmy go przynosząc kawę, herbatę i papierosy. Była to jedna z najdziwniejszych wizyt, jakie można sobie wyobrazić. Znałem byłego prezydenta z mej służby publicznej. Przez lata, w których się z nim nie spotykałem, jego zamknięty w sobie charakter i mrukliwe usposobienie nabrało cech jeszcze bardziej tajemniczych. Siedział w futrze w tej nieogrzanej rupieciarni i trudno było podtrzymywać rozmowę. Na wszystkie propozycje odpowiadał nie i nie. Była to

niesamowita dusza niepospolitego człowieka, choć, rzecz prosta, uważaliśmy jego stanowisko za niesłuszne. Cóż on, dawny prezydent, który z godnością wypełniał swój najwyższy w kraju urząd był winien temu, że miał taki gorzki koniec swego wzorowego życia?

Zacząłem mu więc przypominać tyle podróży na Pomorze, gdzie tak częstym bywał gościem, i jakoś zaczął się ożywiać. Później przez różne uboczne drogi znaleźliśmy wyjście z tej przykrej sytuacji. Nasze dary przyjął. Dostawaliśmy wówczas setki drobnych przesyłek kawy, herbaty, suszonych owoców i różnych konserw. Zawsze dwóch ludzi było najpierwszych na naszej liście, Stanisław Wojciechowski i Wojciech Trąmpczyński, którym dzięki pomocy nie brakło — mam wrażenie — niczego. Nic nie dawało mi większego zadowolenia jak przeświadczenie, że na takie wypadki najdelikatniejszej natury nigdy nam środków nie zabraknie. To jest jedno z najmilszych wspomnień tej strasznej dziejowej pozogi.

Niemcy pozbawieni byli wszelkiego wyczucia psychiki ludzkiej. Wzburzenie społeczeństwa polskiego na publiczne egzekucje stwarzało taką atmosferę nienawiści, że ludziom każdy środek pomsty wydawał się dobry. Nawet człowiek tak ugodowego charakteru jak hr. Ronikier bez zastrzeżeń podzielał te ogólne uczucia.

Kiedy Frank, który był typowym reprezentantem tej przeciętnej, tepej natury niemieckiej, powziął zamiar urzędzenia dożyneków na Wawelu i zaprosił Ronikiera jako reprezentanta RGO, ten odmówił z całą godnością, uzasadniając to publicznymi mordami dokonywanymi na Polakach. Jak mi później jeden z wysokich urzędników G.G. opowiadał, Frank szalał. Tylko z wielkim trudem przekonali go co rozsądniejsi dygnitarze, że „rozpędzenie całej bandy RGO”, jak mówił Frank, będzie miało fatalne następstwa wewnętrzne. Nie mówiąc o wrażeniu za granicą, która przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż utrzymywała stosunki z Polską. Skończyło się na zaarrestowaniu Ronikiera w roku 1944, po uprzednim usunięciu go z prezesury RGO. To zmusiło nas do reorganizacji zarządu głównego.

Główny szef opieki społecznej G.G. Weirauch, człowiek wyjątkowo rozumny i spokojny, wzywał kolejno Janusza Machnickiego, Alfreda Wysockiego, dr. Seyfrieda, wreszcie mnie tłumacząc, że nie można dopuścić do likwidacji instytucji. To i nam było jasne, a Metropolita zaklinał, aby ktoś z nas zdecydował się objąć prezesurę. Nikt jednak sukcesji po Ronikierze przyjąć nie chciał. To miało jedną dobrą stronę — otrzeźwiło co rozum-

niejszych Niemców, którzy przekonali się, do jakiego stopnia sprawy doszły.

Po licznych naradach, zebraniach i naciskach wysunięto myśl, aby jeden z wysokich urzędników przejął prezesurę jako „fachowiec”, nie jako wyraz polskiej opinii publicznej. Chodziło o ratowanie instytucji, na czym oczywiście zależało także delegatowi rządu. Sekretarz generalny zarządu głównego, Tchórznicki, podjął się tej niewdzięcznej misji. Był on sędzią z zawodu, człowiekiem bardzo poprawnym i znał dokładnie cały aparat organizacyjny.

Frank zamknął Ronikiera na kilka tygodni. Jednakże widząc ogromną popularność Ronikiera, która mimo pozorów wnet się okazała tym większa, że stał się na równi z innymi męczennikiem narodowym, kazał go zwolnić. Był to jeden z niezliczonych błędów reżymu hitlerowskiego. Ronikier, żywotny jak zawsze, wrócił do pałacu Pusłowskich i tam otworzył tak zwane Biuro Studiów. Załatwiał najróżniejsze interwencje i ludzie oblegali jego biuro, które dopiero pod koniec wojny mogło swobodnie działać. Ronikier nawiązał kontakt z tysiącami wysłanych na przymusowe roboty do Niemiec. Były to jedyne chwile jego życia, jak mi później w Londynie opowiadał, które mu dały pewną satysfakcję. Nie czuł się więcej parszywą owcą jak podczas działalności w RGO, gdzie uważano go za kolaboranta, co oczywiście było niczemnym oszczerstwem. Sumarycznie biorąc i jak to wynika z mej uprzedniej relacji, ci którzy z bliska patrzyli na jego pracę oceniali ją pozytywnie i nikt, powtarzam, w warunkach tak nieprawdopodobnych nie mógłby lepiej wypełnić zadania niż Ronikier. Mówię to w imię obrony honoru człowieka, z którym często walczyłem, ale który zasłużył sobie na wdzięczność potomnych.

Gubernator Frank po szoku z Ronikierem rozpoczął nowe umizgi, jeżeli tak można powiedzieć. Wyzaczył na dzień 17 grudnia 1943 r., na Wawelu, wielką naradę z „całym swoim rządem”, co podkreślił. Przewodniczył nam już prezes Tchórznicki, *der lange, trockene Jurist* jak go Niemcy nazywali. Niemcy istotnie zjawili się *in corpore*: był szef rządu Bühler i był po raz pierwszy szef Gestapo generał Koppe.

Pierwszy raz usłyszeliśmy wezwanie Franka, aby mówić zupełnie szczerze. Mówił najprzód Tchórznicki i przemówienie jego było doskonałe w formie i treści. Następnie Frank prosił mnie o referat z Warszawy. Mówiłem długo i jak mi się później wydawało, dosyć gwałtownie, wytykając okropności, zwłaszcza ostatniego roku.

W dyskusji Frank pominął sprawę Ronikiera, która drażniła go niepomiernie. Następnie prosił mnie Koppe, abym mu zostawił listę niewinnie zaaresztowanych w ostatnim czasie i abym listę tę oddał w Warszawie gubernatorowi. Uczyniłem to w wigilię, gdy nasz zarząd został zaproszony do Fischera, który szczegółowo był poinformowany o przebiegu rozmów z Frankiem. Był to ostatni raz, kiedy byliśmy na Wawelu. Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że syn mój i zięć Jan Pindelski zostali zaaresztowani. Nie wiem jakim sposobem to się stało, że w święto jeden i drugi zostali wypuszczeni. Nie mogłem zrozumieć tej bezplanowości, tak niezgodnej z przysłowiowym porządkiem niemieckim. Była to mieszanina okrucieństwa i kompletnego beżładu.

Ton Niemców zaczął się zmieniać w miarę klęsk militarnych. Nie baliśmy się już, jak przez minione przeszło cztery lata, zupełnie przypadkowych aresztowań, według widzimisię Gestapo. To oczywiście nie miało nic wspólnego z posłuchaniami u Franka czy Fischera, a z widmem niechybnej klęski, która w kołach inteligentniejszych Niemców już wtedy uchodziła za pewnik. Niestety, tych mądrych wtedy było jeszcze mało.

Nie myląc się powiedzieć można, że trzeba będzie generacji, aby naród polski mógł zapomnieć o takim roku 1943. Mówię o nim ze szczególnym naciskiem, gdyż był to najokropniejszy rok okupacji niemieckiej. Czytając po wojnie liczne artykuły potępiające w czambuł Powstanie Warszawskie, nie mogłem wyjść z podziwu, jak bezkrytyczne były wnioski zdolnych nieraz pisarzy, którzy nie znali rzeczywistości życia narodu. Siedząc bezpiecznie w Londynie czy gdzie indziej, ferowali wyroki na tych, którzy woleli umrzeć niż żyć w warunkach niegodnych człowieka.

Bilans tych czterech lat, kiedy przeglądałem przypadkowe zapiski, był potworny. Wszystkie cyfry szły w setki tysięcy, ba, w miliony. Niemcy wycięli w pień kwiat narodu. Wertując pozółkłe karty znajduję nazwiska tylu serdecznych przyjaciół, z którymi lata całe współpracowałem na tym czy innym polu. Znajduję tylu ludzi, którzy darzyli mnie swą przyjaźnią — prof. Rybarski, prof. Staniszkis, marszałek Rataj, Niedziałkowski, Bartel, prof. Grek, prof. Weigel, Boy-Żeleński, wojewoda Bniński, dyr. Cz. Peche, prezydent Włodek, prof. Bryła, bracia Olszewscy Antoni i Wojciech, biskup Bursche, St. Miłaszewski, gen. Rowecki, poseł Sacha, prezydent Piotr Drzewiecki, Andrzej Jałowicki, Mieczysław Jastrzębowski, dr Jan Moszyński, R. Geyer, Jerzy Kramsztyk i brat jego Roman, znakomity malarz,

Psarski Władysław, Potworowski, M. Chłapowski, K. Boeing... Wszystko to jaka suma intelektu, co za karta w naszej kulturze! — I pomyśleć, że ludzi tych pozabijano bez sądów, bez wyroków. Nieraz starczyła kartka pijanego gestapowca i mordowano najlepszych i najzasłużeńszych.

Granica między zaanektowaną w pierwszych dniach wojny częścią zachodniej Polski a G.G. była prawie hermetycznie zamknięta, jednakże wiadomości przedostawały się. Często brzmiały nieprawdopodobnie, jak na przykład wieści o wybiciu lub wywiezieniu prawie całego duchowieństwa polskiego na Pomorzu i w Poznaniu. Niestety to wszystko było prawdą. Lista ofiar wśród księży ogłoszona później idzie w tysiące. Ileż szczęśliwsi byli ci kapelani AK, którzy umierali w lasach lub w Warszawie przy boku walczących żołnierzy.

Fasada administracji niemieckiej wydawała się wspaniała. Bogate biura, umeblowane zrabowanymi antykami głównie z mieszkań żydowskich, lśniąca mundury z dekoracjami hitlerowskimi, nienaganna czystość, wszystko to było zewnętrznie imponujące. Ale za tą fasadą kryła się faktyczna, brutalna siła Gestapo. Najwięksi dygnitarze markowali władzę, lecz bali się więcej od nas swych panów życia i śmierci — rzeczywistej władzy Gestapo. Niemcy ginęli nie tylko z naszych rąk. Ginęli z rąk Gestapo urzędnicy najwyższych rang, których dobroć lub kultura — rzeczywista czy pozorna — nie podobały się tej jedynej w swym rodzaju policji.

Stąd niechętnie zgłaszaliśmy interwencje, do których zachęcał nas gubernator, zapewniając, że nie będzie tolerował żadnych gwałtów. Dla przykładu podam: zaaresztowany został dobry patriota i mój wielki przyjaciel Urbański razem z zięciem swoim, Horoszowskim. Poszliśmy do gubernatora. Efekt był taki, że już po trzech dniach otrzymaliśmy negatywną odpowiedź. Ale to mało, ostatni ustęp listu, który posiadam w aktach ostrzegał nas, aby ze względu na własne bezpieczeństwo nie interweniować w sprawie bandytów. Było to, rzecz prosta, odpisane z raportu Gestapo do Fischera.

Kiedy Fischer zawezwał nas w dzień wigilii i był w nastroju gwiazdkowym, wyciągnąłem to jego pismo i powiedziałem, że już więcej interweniować nie będziemy, bo to jest poniżające. Tłumaczył się jak żak, a ja powiedziałem — nasz list miał uzasadnienie i gwarancję osobistą, że nie chodzi o „bandytów”, ale miał jeden błąd, był skierowany nie pod właściwym adresem. Fischer poczerwieniał, lecz wtedy można było już ryzykować śmielsze rozmowy.

Opieka społeczna w Warszawie wymagała ogromnych środków. Ofiarność naszej ludności nie znała granic. Opracowaliśmy program zbiórki ulicznej, nie bez pomocy gubernatora, który trapiiony wewnętrznym wstydem i wyrzutami sumienia chciał w jakiś sposób dać zewnętrzny dowód dobrej woli. Pozwolenie na zbiórkę dostaliśmy, oczywiście, za zgodą czynników bezpieczeństwa. Liczyliśmy na wielki sukces. Kiedy wielka robota przygotowawcza była zakończona — przyszło odwołanie pozwolenia! Gestapo nie tylko chciało uderzyć w RGO, ale co ważniejsze, chciało unaocznic gubernatorowi, kto rządzi. Taki był niesamowity obraz rzeczywistości administracji niemieckiej.

Prawie każdy rok okupacji niemieckiej uderzał w ludność kontrybucjami, dochodzącymi do dziesiątków milionów, a raz nawet do setki. Nie zawsze była zgoda co do taktyki polskiej między magistratem, którego brzemień dźwigał prezydent Kulski, będący pod nadzorem takiego czy innego Leista. Wobec sankcji niemieckich nie było możliwości uchylecia się od tych potwornych ciężarów. Szło o to, aby zło zredukować do możliwego minimum.

A więc najprzód rozpoczynały się targi o zmniejszenie nałożonego ciężaru. Następnie o to, aby wobec nędzy ludności sumę przeznaczyc na cele opieki społecznej. Tu rozpoczynała się rola RGO. Zасыpywaliśmy Niemców dziesiątkami memoriałów, grożąc gremialnym ustąpieniem i strasząc ich rozruchami w mieście. Zwłaszcza pod koniec okupacji, gdy cały świat znał choć częściowe zbrodnie popełnione w Polsce, propagandzie niemieckiej zaczęły dokuczać coraz nowsze rewelacje — zaczęli mięknąć. W ten sposób, głównie dzięki nieocenionym usługom, jakie nam oddawał stale dr Fribolin, uratowaliśmy dużo milionów na cele opieki. Polski pieniądz zrabowany przez Niemców wracał do Polaków. W sumie rachunek nie był dla nas najgorszy. W pamiętnym, największym znanym napadzie na transport pieniężny, genialnie zorganizowanym przez AK, przeszło w ręce podziemia ponad 200 milionów złotych. Z polecenia Paerscha przewożono je ze skarbcza Banku Polskiego w Warszawie do Banku Emisyjnego w Krakowie.

W związku z kontrybucją w r. 1943 nie zapomnę sceny, jak gdyby nie z tej nieszczęsnej planety. Powstał spór o to, jak podzielić kwoty kontrybucji na poszczególne gałęzie gospodarcze, stany i zawody. Machnicki i ja byliśmy członkami tej komisji. Jednogłośnie uznano, że nie można obciążać robotników. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zjawiła się delegacja robotników z protestem, argumentując, że cierpi cały naród, że wszyscy pono-

szą ciężary wojny i okupacji. Wszyscy cierpią, robotnik polski nie chce być wyjątkiem. Zmęczony ponad miarę codziennymi udrękami, beznadziejnością tylu lat, rzadko miałem chwile takiego duchowego zadowolenia, jak wyżej opisaną scenę. Byłem dumny, że jestem synem takiego narodu i pochodzę z tego samego stanu.

Krótko wspomnę o gospodarczej części mej ówczesnej pracy. C.Z.P.P. rozwijał dalej swój jakże suchotniczy żywot, dzięki nigdy nie zawodzącej energii Andrzeja Wierzbickiego, który był opatrnościowym człowiekiem. Nigdzie go nie brakło, gdy chodziło o sprawę. Codzienne życie narodu zależne było w pierwszym rzędzie od zaspokojenia potrzeb gospodarczych. Ważne było, aby każdy komin dymił, aby produkcja rolna stała na wysokości, bo od niej zależało wyżywienie ludności. Tysiące potrzeb każdego żyjącego stworzenia musiały być zaspokojone. Musieliśmy targować się o każdą tonę węgla, aby zakłady użyteczności publicznej nie stanęły, aby był opał, światło i woda.

Centralny Związek P.P. mógł przetrwać dzięki ofiarności kilku pozostałych urzędników na głodowych pensjach, gdyż główni płatnicy — Śląsk, Poznańskie i Łódź — odpadli na skutek aneksji tych dzielnic do Rzeszy. Dawne Królestwo we wszystkich warsztatach miało powierników. Zostało zaledwie kilka wolnych warsztatów, jak zakłady Solvaya, których naczelnym dyrektorem, nieocenionym Kołakowski, zasilał głównie kasę C.Z.P.P., i to dyskretnie, gdyż była to sprawa dość niebezpieczna. Biedny Kołakowski, kiedy w r. 1943 w Gibraltarze zginął generał Władysław Sikorski, zginął z nim i jego adiutant, właśnie syn Kołakowskiego.

Sądzę, że najbardziej do tego powołane pióro Andrzeja Wierzbickiego lepiej ode mnie opíše dzieje C.Z.P.P., którego on był duszą i motorem. Ja mogę tylko zaświadczyć, że setki memoriałów, jakie woziłem do Krakowa, pochodziły ze Związku. Wysoki poziom, jakim się odznaczały budził szacunek u przyzwyczajonych i inteligentnych Niemców, jakimi byli dr Paersch lub dyrektor departamentu Schulte-Wissermann. Paersch zwłaszcza robił z nich użytek i zwykle na odchodnym mówił mi: „Bo widzi pan, tam jest prawda, a ja odbieram tylko propagandę, na której niestety nie można budować realnego życia”.

Przerzedził się sztab „Lewiathana”, jak mówiono w Warszawie, z ubytkiem Piotra Drzewieckiego, Aleksandra Ciszewskiego, Antoniego Olszewskiego, którzy zginęli, o czym już wspominałem. Jednakże robota nie stanęła ani na chwilę. Dotąd nie potrafiłem rozgryźć, jak to uszło uwagi Gestapo. Może dla-

tego, że nie interesowały ich sprawy gospodarcze. Bogu chwała. Gdyby domyślali się, jak tam pracowano dla sprawy narodowej!

Osobna karta należy się bankom polskim, które dzięki mojemu pociągnięciu naszego kierownictwa podziemnego prawie całą wojnę działały, alimentując tysiące warsztatów, fabryk i przedsiębiorstw handlowych. Twierdzę, że gdyby nie fakt odrębnej waluty, Niemcy byłiby wysłali z okupowanej Polski wszystkie soki żywotne. Brzmi to paradoksalnie, ale jest prawdą, że na ogół Polacy w okupacji lepiej żyli od Niemców, przyzwyczajonych do swych systemów kartkowych. System kartkowy Polacy również wykorzystywali do ostateczności, ale i obchodzili go w genialny sposób. Niemcom brakło fantazji, pomysłów, forteli, którymi operował najprostszy chłop polski.

Po likwidacji Żydów jakby spod ziemi zaczął wyrastać polski handel, finansowany przez sieć bankową w Warszawie, a głównie przez Bank Handlowy. Pisałem historię banku i kiedy przeglądam tomy manuskryptu, przekonuję się, że jest to temat ogromny i nie zmieściłby się w ramach tych wspomnień. Ten odcinek musi więc być traktowany oddzielnie. Jeżeli z przyczyn od siebie niezależnych nie zdołam opublikować odpowiednich uwag, dotyczących wielkich osiągnięć gospodarczych w czasie okupacji, zrobią to inni, kiedy czas będzie temu przyjał. Materiały zgromadzone przeze mnie są obfite i dokumentarne.

Bilans roku 1943 był potworny. Gestapo w Warszawie było wtedy w ręku jednego z największych zbrodniarzy po Himmlerze. Nazywał się Kutschera. Z takim nazwiskiem spotykało się czasem w Czechosłowacji. Nigdy tego zbira nie widziałem, choć Fischer dwukrotnie przygotowywał rozmowę z nim dla uspokojenia stosunków.

Oczywiście Kutschera unikał tych kontaktów jak ognia, bo istniał zakaz spotykania się z reprezentantami Polaków, aby zachować „czystość linii” postępowania wobec *Untervolk*’u. Dotyczyło to nawet Wł. Studnickiego, który posiadał nielada legitymację — zaproszenie podpisane przez Hessa na ostatni zjazd partyjny do Norymbergi, o czym Kutschera wiedział. Miał ogromne wpływy na „krwawego Heinricha”, jak nazywali Niemcy Himmlera. Był jego, aby tak powiedzieć, naturalnym szwagrem, gdyż siostra Himmlera była metresą Kutschery.

Ten największy zbrodniarz czasu okupacji miał na sumieniu kilka tysięcy ludzi rozstrzelanych z jego rozkazu. Znane są nazwiska ofiar egzekucji ulicznych z publicznych plakatów, częściowo także ofiar zamęczonych w lochach Gestapo przy Alejach Szucha. Jednakże wiele tysięcy męczenników przejdzie

beziemiennie do historii narodu. Notatki moje o tym są zbyt obszerne, aby je tu przytaczać, zresztą jest wiele dzieł o tym traktujących. Wskażę choćby na znakomite dzieło generała Bora-Komorowskiego, które — jak to potwierdzają moje dokumenty i zapiski — jest bardzo dokładne co do dat i faktów. Mnie chodzi o tło ogólne, ilustrujące warunki, w jakich odbywała się nasza praca naziemna w ścisłej łączności z podziemiem.

Z nastaniem roku 1944 byliśmy w Warszawie pewni, że znajdujemy się na zakręcie dziejowym. Kolos rosyjski zbliżał się. Warszawa była informowana przez rząd w Londynie niedostatecznie lub mylnie. To jest częściowo zrozumiałe, lecz w rezultacie okazało się straszne. Bystrzejsze umysły zaczęły się wnet orientować, że coś się stało, a to z powodu stałych nacisków aliantów na rząd, aby złagodzić Stalina czy Mołotowa. Pewne wieści zaczęły przesiąkać do opinii publicznej, mimo szczernie zamkniętych granic. Zresztą prasa niemiecka i po polsku wydawane gazdiniówki dbały o to, aby informować ludność polską z pewnym udanym współczuciem o perspektywach, jakie Polsce przypadną w udziale.

Nastrój naszych ludzi kierujących machiną podziemną był wtedy ponury i nie do pozazdroszczenia, między Scyllą a Charbdą.

To udzielało się wszystkim. Nikt nie umiał rozwiązać tych dziejowych zagadek, które się przed nami zarysowywały. Po strasznym odkryciu katyńskim stosunki dyplomatyczne między Polską a Rosją zostały zerwane. To stwarzało niesłychanie skomplikowaną sytuację w Londynie, a cóż dopiero mówić o rządzie podziemnym w Warszawie i naczelnym wodzu AK. To była tragiczna sytuacja, którą trudno zrozumieć temu, kto nie patrzył z bliska na Warszawę na przełomie lat 1943-44. Delegat rządu tygodniami musiał czekać na instrukcje z Londynu, który nie odpowiadał, nie dlatego, że nie chciał, lecz dlatego, że nie wiedział, jak wybrnąć z tego zaczarowanego koła, w dodatku naciskany przez rządy sprzymierzone. Nigdy tak nie podziwiałem S. Jankowskiego i Bora jak wtedy.

Tymczasem w Warszawie szalał Kutschera. Miasto dyszało zemstą. To uczucie udzielało się wszystkim, nawet najspokojniejszym elementom. Wszyscy półbogowie Gestapo byli strzeżeni szczególnie troskliwie. W podziemiu dawno zapadły na niego wyroki naszych sądów, lecz wyegzekwowanie ich okazało się daleko trudniejsze, niż wszystkim się wydawało. Nigdy jednak nie brakło bohaterских ochotników gotowych na wszystko.

W dniu 1 lutego 1944 r. byłem z Januszem Machnickim w

Krakowie. Wyjechaliśmy rano z Warszawy pociągiem napchanym jak bydłem i pod wieczór dojechaliśmy do Krakowa. Już kilka godzin później doszły nas głucho szeptane, że w Warszawie panuje niebywały niepokój, podobno ubito Kutschere. Dopiero nazajutrz na posiedzeniu plenarnym potwierdził tę wiadomość dyrektor Seyfried, zwykle świetnie poinformowany, choć szczegółów dowiedzieć się nie było można. Niemcy trzymali to wszystko w najgłębszej tajemnicy. Wszyscy zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że to pociągnie straszne konsekwencje i nastrój był grobowy. W tym samym czasie zaarrestowany został również profesor U.J. Wolter, wybitny członek zarządu RGO.

Podczas zebrania Rady na mój wniosek postanowiono zetknąć się z dyrektorem departamentu opieki społecznej, którego nadzorowi w pierwszej linii podlegała RGO. Miałem duże zaufanie do jego prawdomówności i ludzkiego nastawienia do problemu socjalnego, tak rzadkiego w systemie hitlerowskim. Cieszył się też wielkim szacunkiem Franka, czego powodów nigdy nie zgłębiłem. Chodziło o to, aby zorientować się wśród szalejących plotek. Mówiono, że Himmler zażądał 1000 zakładników, co się później okazało prawdą. Weirauch niesłuchanie przybyty opowiadał nam o zabójstwie Kutschery i dodał, że tego samego dnia zginęło w Warszawie dziewięciu dalszych Niemców. Miał także dokładne wiadomości o zrabowaniu naszych magazynów przy ulicy Zakroczymskiej. Oczywiście dopomagali nasi urzędnicy, którzy mieli nakaz ulotnienia się po opróżnieniu magazynów przez AK na potrzeby „ludzi leśnych”, jak się wtedy nazywały oddziały stacjonowane po lasach.

Oczywiście odpowiedzieliśmy z dobrze udanym oburzeniem, że napady są w Warszawie nagminne i że nie jest to winą ludności, a policji, która nie panuje nad sytuacją. Widziałem, że nie bardzo był wywodami naszymi przekonany, ale to ostatecznie był drobiazg w powodzi wydarzeń. Wielkim wydarzeniem była śmierć Kutschery. Weirauch potwierdził, że Himmler zażądał 1000 ludzi na rozstrzelanie publiczne w Warszawie. Temu, jak mówił, opierał się Frank. Na nasze zapytanie, co zrobić, dał jedną radę — unikać szukania pomocy u Franka, a pertraktować z Gestapo. Ale jak to zrobić? Weirauch podjął się pośrednictwa. W międzyczasie poszliśmy do księcia Metropolity po radę. Był wstrząśnięty wiadomościami kolportowanymi po mieście o strasznej zemście, jaką weźmie na Warszawie Himmler. Zaklinał nas na wszystkich świętych abyśmy, nie zrażając się niczym, ratowali każde życie ludzkie. Oświadczył, że sam jest zdecydowany pójść do Franka czy do Gestapo, o ile go tam

przyjmą. Wzruszał mnie swym męstwem i nieugiętą wolą, zdolną do każdego poświęcenia.

Czekaliśmy na wynik starań Weiraucha, który — zgodnie ze swym przyrzeczeniem — zakomunikował nam telefonicznie, że nie ma sekretarza stanu bezpieczeństwa, generała Gestapo Koppego, który był najwidoczniej w Berlinie u Himmlera, że jednak przyjmie nas *Sturmbannführer* Schindhelm, mający wszelkie plenipotencje do rozmowy z nami. Zaproszeni zostali prezes Tchórznicki, Machnicki, ambasador Wysocki i ja. Rozmowa dotyczyła ostatnich wypadków warszawskich. Była nasamprzód dyskusja o tak zwanej odpowiedzialności zbiorowej, której bronił Schindhelm. Jednakże w końcu dodał, że ta sprawa została rozstrzygnięta na naszą korzyść — jeśli o G.G. chodzi — przez oświadczenie wobec RGO generalnego gubernatora na audiencji 18 grudnia 1943 r., że nie będzie się tej metody stosować ani też brać zakładników. „Nie zabija się niewinnych”. Na to Tchórznicki powiedział, że nie wie, co robią tajne sądy Gestapo — bo takie ponoć istnieją — a jeżeli się nie bierze zakładników, to dzieją się rzeczy sto razy gorsze, bo łapie się ludzi jak dzikie zwierzęta na ulicach, placach publicznych, po kawiarniach a nawet w kościołach i rozstrzeluje się te ofiary publicznie.

Byliśmy wszyscy zdziwieni śmiałością tego oświadczenia. Schindhelm spokojnie odpowiadał, lecz co chwilę wywoływany był do telefonu z Berlinem. Potem spokojnie mówił Wysocki, a ja zapytałem, aby wydobyc jakieś oświadczenie co do zamierzonych represji, od których Kraków cały huczał. Schindhelm tłumaczył, że mord dokonany na Kutscherze jest tak potworny, że zginie za to 1000 ludzi. Dyskusja stała się nerwowa i nie do wytrzymania. Oświadczyliśmy, że jakiegokolwiek będą konsekwencje, uważamy, że w takich warunkach nie możemy pełnić naszych funkcji w jedynej uznawanej przez G.G. instytucji opieki społecznej, jaką jest RGO. Oświadczył wtedy, że będzie dalej rokował z Berlinem i że generalny gubernator na pewno wpłycać będzie łagodząco.

Kiedy wróciłem do Warszawy, cały dom był poruszony. Wszyscy płakali, witając mnie. Tego dnia na rogu ulic Piusa XI i Alei Ujazdowskich rozstrzelano 200 naszych patriotów. Modląc się za poległych dziękowaliśmy Bogu, że nasza interwencja uratowała 800 dalszych, których lista była gotowa.

Zabójstwo Kutschery, kata Warszawy, było jednym z największych wyczynów podczas całej okupacji niemieckiej. Lot

i Cichy to nazwiska dwóch największych bohaterów tego wyczynu. Zginęło naszych sporo, lecz więcej gestapowców.

Odstępując od cyfry 1000 skazanych, Frank nałożył na miasto Warszawę nową kontrybucję 100 milionów złotych. Po długich naradach z polskim komisarzem miasta Kulskim postanowiliśmy znów interweniować u Weiraucha, który nam tyle usług oddał. To nie odniosło pożądanego skutku nie z jego winy. Jednakże ze skutkiem targowało się miasto o terminy rozłożenia tego olbrzymiego ciężaru i wreszcie o przeznaczenie znacznych sum na pomoc dla najuboższej ludności.

Takimi codziennymi troskami, stałymi wyjazdami, nieustannymi naradami z podziemiem co do dalszej taktyki, różnymi plotkami krążącymi po Warszawie, byłem śmiertelnie wyczerpany. Błagałem S. Jankowskiego, aby pozwolił mi się wycofać, jeżeli nie w całości, na co już jesienią zgodzić się nie chciał, to przynajmniej na dwa miesiące. Robiłem także propozycję, abym mógł ustąpić z zarządu, a przejść jako członek prezydium do mniej szarpającej nerwy roboty. Zresztą patrząc na niego, zmieniającego prawie codziennie miejsce ukrycia czy spoczynku, wstydziałem się trochę sam przed sobą, że przecież ani jemu ani J. Machnickiemu w ofiarności nie dorównuję.

Wtedy znalazłem znakomite lekarstwo. Wyjechałem na tydzień do Podkowy Leśnej.

Jest 11 lutego. Na prośbę miasta piszę projekt protestu przeciw wysokości kontrybucji. Zawozi go do Krakowa generalny sekretarz RGO, dr Adam Brzeg. Kij w mrowisko, gdyż unikając jakichkolwiek aluzji politycznych memorandum przedstawia w kolorach „czarno na czarnym” sytuację szerokich warstw społeczeństwa, które niedługo już nie będzie miało co do ust włożyć. Również, że ofiarność społeczeństwa, którego wysiłkiem głównie stoi RGO, spadnie do zera wobec nieludzkiej kontrybucji. W rezultacie warszawski zarząd RGO oświadcza, że woli się wycofać bez względu na konsekwencje, nie mogąc brać odpowiedzialności za to, co przyjąć może.

W ten sposób Niemcy znaleźli się w nowych kłopotach. Wiodocznym było z rozmów, jakie mieliśmy z Föhlem — specjalnie z Berlina wówczas przybyłym — że Niemcy coraz bardziej bali się opinii zagranicy i zależało im *à tout prix* na pozorach, że chcą utrzymać opiekę społeczną na dotychczasowym poziomie.

Ostatecznie dotąd nie wiem, czy Warszawa zapłaciła 50% kontrybucji; tyle wiem, że kilka milionów poszło na kuchnie i zapasy. W miarę niepowodzeń na froncie sytuacja polityczna zaczęła się zmieniać, choć miasto żyło jeszcze grozą egzekucji

ostatnich pięciu miesięcy, kontrybucją i rozwalaniem miasta przez Niemców tam, gdzie było getto.

Nasze poufne i polityczne zebrania odbywały się wtedy w mieszkaniu hr. A. Tarnowskiego i u ks. Radziwiłła, który miał, mimo że siedział w Nieborowie, zawsze świeże wiadomości zagraniczne dzięki sztabowi, który zajął parter pałacu. Te wiadomości nas ponad miarę przygnębiały, bo były beznadziejnie czarne. Było jasne, że po ofiarach, jakich nie poniósł żaden naród, i tym razem sprzedadzą nas sprzymierzeńcy.

Niemcy coraz częściej wzywali nas na konferencje. Dnia 2 marca 1944 r. zjechał do Warszawy nowy szef administracji wewnętrznej G.G., generał von Craushar. Ponieważ J. Machnicki był chory, prosiłem jako świadka rozmowy szefa naszego biura prawnego, Witolda Celichowskiego, byłego wojewodę poznańskiego. Nigdy i z zasady nie rozmawialiśmy z dygnitarzami niemieckimi bez świadków. Jedynym wyjątkiem był dr Paersch, dyrygent Banku Emisyjnego.

Von Craushar, dawny oficer cesarski, oczywiście nie był hitlerowcem, mówił szczerze, potępiając błędy, jakie w G.G. jego zdaniem popełniono. Pomagał też wiele i szkoda, że przyszedł, kiedy już było za późno po tylu okropnościach, jakich Niemcy od blisko 5 lat się dopuszczali. Warszawa to wszystko zniosła. Przytoczę notatkę z kalendarza z wielkiego tygodnia, 2 do 9.IV.1944 r. : „Sprawy zewnętrzne zaczynają się wyjaśniać. Ma się wrażenie, że wojna tak czy siak dobiega końca. Rzecz dziwna, że w związku ze świętami, tak hucznie zawsze przez warszawian obchodzonymi, powiedzieć i stwierdzić trzeba, że sytuacja wyżywienia nie była w żadnym roku wojny tak korzystna jak w r. 1944. Jest także dosyć obuwia. Tragiczna jest jedynie sprawa odzieży. W tym czasie trochę niepokoju było w Lublinie, gdzie zarządzono ewakuację, którą jednak później cofnięto”.

Wielkie wrażenie zrobiło w Warszawie bombardowanie Poznania podczas świąt wielkanocnych. Oczywiście alianci zrobili to nie dla podniesienia ducha, ale celem rozbicia ośrodka produkcji niedoszłej bomby atomowej w Collegium Chemicum, oszczędzając miasto. Co tu gadać, ludność, która tyle przecierpiała dyszała chęcią pomsty i nic nie zrobiło w Warszawie takiego wrażenia, jak wiadomości o strasznym zniszczeniu wielkich miast niemieckich jak Monachium.

Jedną plagą więcej w Warszawie był brak wszelkiego bezpieczeństwa na wiosnę 1944 r. Bandytyzm zaczął się szerzyć w straszający sposób. Czym to wytłumaczyć? Otóż tą prostą oko-

licznością, że zbliżał się front sowiecki. Choć wpływ komunistów w Warszawie był znikomy, mieli oni jednak swoje postępowania, swoje komórki i organizacje. Na tym więc tle dochodziło do osobliwych rozpraw i częstych aktów zemsty. Jak to zawsze bywa, mocny zdobywa przyjaciół. W miarę posuwania się wojsk sowieckich przybywało im adherentów. Pierwszy raz dowiedzieliśmy się, że poza ramami AK istnieje Armia Ludowa, o egzystencji której nikt nic nie wiedział. AK liczyła na początku 1944 r., według informacji najbardziej kompetentnych jakie zebrałem, około 400 tysięcy ludzi. Może lepiej nawet, że istniał oddział czerwony, było to pewnego rodzaju gromochronem.

Nie powiem, że czuliśmy się wtedy dobrze. Nikt nie wiedział, jak się zachowa Stalin. Potężny wówczas Mołotow był wrogiem Polski nr 1, partnerem Ribbentropa z r. 1939. Wszyscy liczyli na jakiś nowy cud, a w najlepszym razie pocieszali się staropolskim „jakoś to będzie”.

Wracając do paradoksów tej wojny, warto zanotować, że obieg pieniędzy na terytorium okupowanej Polski wynosił, jak mnie w drugiej połowie kwietnia informował prof. F. Młynarski, 7,3 miliardy zł. Uwzględniając ówczesne stosunki w Europie, można na podstawie porównań powiedzieć, że waluta złotowa — młynarki — miała względnie najlepszy *standing*. Toteż tak Młynarski jak i ja nie mogliśmy wtedy rozumieć anormalnie wysokiego kursu dolara amerykańskiego. Miękki (papierowy) dolar kosztował 160 zł, a twardy (złoty) 860 zł na czarnej giełdzie.

Wiosną Niemcy musieli ewakuować Brześć nad Bugiem. Napady bandyckie w Warszawie przybrały takie rozmiary, że Niemcy, a głównie *Reichsamtsleiter* Schön, zaczęli się do nas zwracać, czy by nie można utworzyć straży obywatelskiej. Ta propozycja przyszła o pięć lat za późno. Niemcy za swą ślepotę i prostactwo myślenia płacili teraz gruby rachunek. Nigdy nie mogli zrozumieć, że pozbawienie wielkiego narodu szkolnictwa, samorządu i opinii publicznej musi doprowadzić do zupełnego rozstroju społecznego. Niemcy zaczęli trzeźwieć i zrozumieli, otoczeni nienawiścią, gdzie tylko ich noga postąpiła, że natura ludzka jednak jest bardziej skomplikowana, niż się ich wodzowi wydawało.

Wobec słabnącej inwigilacji Niemców chcieliśmy w Warszawie pozyskać dla rozszerzonej Rady kilka wybitnych nazwisk, aby w danej chwili, a ta wydawała się nadchodzić, mieć pewien surogat aparatu społecznego w oparciu o RGO, jedyną wielką

organizację, która swój pełen blasku i nędzy żywot przewlokła blisko pięć lat.

Na życzenie kilku naszych czołowych ludzi i z polecenia zarządu mówiłem z prezesem Sądu Apelacyjnego Rudnickim, z ministrem Hübnerem, z profesorem Trepką i z marszałkiem Osieckim. Rokowałem z głową rzemieślników warszawskich Markiem, człowiekiem niezwykłego wykształcenia. Mówiłem z Lachowiczem, który darzył mnie przyjaźnią. Ale kończyło się zawsze tak: „mamy do panów nieograniczone zaufanie, niech panowie jak dotąd dalej służbę pełnią, bo to obowiązek, ojczyzna, przyszłość, naród” — jak kto chce. Nikt nie chciał ryzykować, tracić, narażać się. Nie mówię tego, aby krytykować, gdyż to było już pięć minut przed 12-tą i dom się palił. Właśnie 13 maja doniósł komunikat sztabu, że inwazja aliantów jest pewna. Przez trzy dni nie pracowały urzędy niemieckie w Warszawie. W tym samym czasie Niemcy ewakuowali Lwów.

To wszystko było w ciągu jednego tygodnia. Ludzkie nerwy, jak wszystko w przyrodzie, mają swoje granice wytrzymałości. Najmędrsi pocieszali się tym, że lepszy koniec ze strachem, niż strach bez końca.

W tym nie dającym się opisać chaosie życie toczyło się dalej. W naturze nie ma próżni. Zaabsorbowany pracą miałem mało czasu, by poświęcać się C.Z.P.P., lecz kiedy tam poszedłem na jakieś posiedzenie na Szkolną, odpocząłem fizycznie. Mój stary kolega uniwersytecki dr Edward Rose spokojnie referował kwestie dostosowania ustawodawstwa do wymogów nowych czasów. Była tam jak gdyby oderwana od rzeczywistości oaza. Podziwiałem niezwykły spokój Edwarda Rosego i ten tak inny od mojego świat, ciszę i równowagę. Były to chyba już ostatnie posiedzenia Związku, który jak wszystko inne przetrwał straszną okupację niemiecką, lecz stał się ofiarą przegranej przez Polskę wojny i zupełnej rewolucji gospodarczej. Rewolucji totalnej po wojnie totalnej.

W Warszawie jedna wiadomość goniła drugą. Jedną z największych była inwazja Anglosasów na „fortecę Europy”, bez końca zapowiadana. Nie pomógł ani *Rummelspargel*, ani spadochroniarze niemieccy. W tym czasie padł Rzym, co znów trochę podniosło Warszawę na duchu. Nadszedł czerwiec. W trzecią rocznicę ataku Niemców na Rosję Sowiety rozpoczęły ofensywę wielkimi siłami. Będąc w guberni, dowiedzieliśmy się od wicegubernatora dr. Gollerta, jednego z przyzwoitszych ludzi administracji, że ludność Warszawy, która zechce miasto opuścić może ciągnąć na Gdańsk, który ma być *Aufnahmegebiet* dla

Warszawy. Podziwiałem z mimowolnym rozbawieniem to niemieckie planowanie, graniczące z rozbijającą naiwnością. Bo pomyśleć, idzie wielka nawała, jakiej nie było, za kilka tygodni linia Wisły będzie zajęta jak amen w pacierzu, a oni oferują Warszawie gościnę w Gdańsku!...

W związku z tymi krzepiącymi wiadomościami spotkaliśmy się z kilkoma reprezentantami świata literackiego. Nie było Adolfa Nowaczyńskiego, który ciężko chorował, lecz doniesiono mu na czas o wszystkim. Na swój sposób ucieszył się tymi wiadomościami, na które tyle lat czekał, milcząc jak zaklęty. Milczała zresztą cała polska literatura. A przecież były w kraju takie wielkoduchy jak L. Staff, Miłaszewski, Ossendowski, Goetel, o Nowaczyńskim Adolfie nie mówiąc.

Podczas jego choroby odwiedzaliśmy go często z J. Machnickim i nigdy mu niczego nie brakowało. Umarł 3 lipca 1944 r. w szpitalu św. Rocha. Pochowano go na Powązkach w kwatery 52, jak w notatniku zapisałem. Zaiste był to dziwny pogrzeb. Któryś z przemysłowców użyczył mi ciężarówkę i mogłem być punktualnie o godzinie 10,30 w kościele św. Boromeusza. Trumna tonęła w amarantowo-białych kolorach — jaka zmiana od roku! — zaś u podnóża leżał ogromny wieniec z zielonej pszenicy. W kościele było zaledwie kilkanaście osób. Przy ołtarzu klęczało trzech księży i dwóch braci Albertynów, dla których zmarły za życia wiele czynił. Dopiero pod koniec nabożeństwa kościół wypełnił się po brzegi. Tajemnica wyjaśniła się po nabożeństwie. Zatrzymano tramwaje dla jakiejś codziennie w innej części miasta powtarzającej się obławy i wielbiciele talentu wielkiego pisarza byli wytłumaczeni. Było coś dziwnego w tym widoku żałobnego zgromadzenia. Strzępy polskiej literatury i sztuki, mozaika wytartych ubrań i postarzałych twarzy. Trumnę nieśli koledzy, literaci i artyści. Na przodzie dźwigał trumnę Solski, wówczas 90-letni, po jego prawej sędziwy Grzymała-Siedlecki, potem Ferdynand Goetel, Olchowicz i Ossendowski. Solski — Fryderyk Wielki — niósł na barkach swego autora!

Pogrzeb nie był smutny, jak zwykle, i nie miał nic wstrząsającego, był raczej na wesoło. Tak jak sobie wyobrażał Adolf. Wszak to on napisał „Rzecz o własnym pogrzebie”.

Mam przed sobą nr 160 wydawanego przez Niemców *Nowego Kuriera Warszawskiego* z dnia 7 lipca 1944 r. Artykuł naczelny „Ex oriente” zaklina Polaków, aby w obronie chrześcijaństwa i Polski stanęli ramię przy ramieniu z Niemcami. Sowiety oddalone są około 300 km od Warszawy. Oczywiście, dawno Warszawa się tak nie śmiała jak wówczas! Pomyśleć, taki prymitywizm

myślenia! Pięć lat eksterminacji żywiołu polskiego i potem klepanie po ramieniu — między nami nic nie było... Straciłem wiarę w ostatnią iskierkę inteligencji politycznej Niemców.

Armia sowiecka posuwa się dalej. Licząc normalnie wiemy, że powinna być około 1 sierpnia pod Warszawą. Czują to wszyscy. Zjeżdża Adam Ronikier, zjeżdża z Wilna Studnicki. Jeden i drugi pełen projektów, których jednak Jankowski *ad notam* nie bierze. Ewakuują się urzędy niemieckie, powoli i w porządku. Fischer zdziwiony, że nikt absolutnie z wybitniejszych ludzi polskich Warszawy nie myśli opuścić.

Dnia 13 lipca przyjeżdża Feliks Młynarski, aby naradzić się z C.Z.P.P. i z bankami, jaką taktykę zachować na najbliższe dni i tygodnie. Stało na tym, że trzymamy się złotego Banku Emisyjnego. Żądamy maksymalnego pogotowia gotówkowego, na nic bowiem pogotowie księgowie bez gotówkowego.

Sytuacja wojenna wywołała istny szal na rynku walutowym. W dniu 14 lipca 1944 r. dolar złoty osiągnął kurs 1300 zł, papierowy 250 zł, a rubel złoty czyli tak zwana świnka przekroczył 800 zł, co w stosunku do dolara było kursem niesłychanie wygórowanym. Papiery wartościowe zyskały znacznie, a szczególnie pożyczki państwowe, z których najbardziej zwykowała dolarówka. Wszystko to razem robiło wrażenie jakiegoś dziękiego tańca, kankana. Każdy na ulicy handlował bez opamiętania.

(D.c.n.)

Stanisław WACHOWIAK

HISTORIA NA GORĄCO

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

NIE WIEM CO SIĘ Z TYM DZIEJE...

ROZMOWA Z PRZEDSTAWICIELEM DYREKCJI HUTY
IM. LENINA

Maria de HERNANDEZ-PALUCH: — *Dyrektorze — Pan jako człowiek z pierwszej linii — może mi odpowie na pytanie: czy po X Zjeździe już będziemy po reformie gospodarczej?*

DYREKCJA: — Sądzę, że władza nie wycofa się z reformy. Nie mogą się wycofać z powodów propagandowych. Zawsze w tym systemie były jakieś słowa-klucze. Gomułka wymyślał jakieś bodźce, była też druga Polska... Teraz mydli się ludziom oczy reformą, która ma uzdrowić gospodarkę. A wszystko idzie w tym kierunku, że nic się nie dzieje. Z reformy zostaną nam ceny, trochę obciążeń dla przedsiębiorstw, różne domiary, które gdzieś wsiąkły i do lepszego gospodarowania nie przyczyniły się. I tak to będzie funkcjonowało, ale propagandowo cały czas będziemy robili wielką reformę. Będzie następna modyfikacja, potem druga, trzecia, piąta... przesunięcie, restrukturalizacja, może manewr... Takie różne podchody...

M.H.-P.: — *Czy Pan wie, dlaczego prositam Pana o rozmowe?*

D.: — ?

M.H.-P.: — *Chodzi mi o pokazanie fragmentu polskiej rzeczywistosci widzianej oczyma przedstawiciela kadry technokratycznej. Pan wystapi jako „dyrekcja” kombinatu im. Lenina, gdzie osiagnal Pan menadzerskie sukcesy.*

D.: — *Czy musimy mowic na moj temat?*

M.H.-P.: — *Tylko o tyle, o ile nie doprowadzi to do identyfikacji Pana... Co to w ogole jest huta im. Lenina? Czy gdyby ja wysadzić w powietrze bylyby jakieś straty?*

D.: — *Jakieś straty bylyby. Huta produkuje ponad 30 % stali w skali Polski.*

M.H.-P.: — *A huta „Katowice”?*

D.: — *Drugie 30 %. Trzecie 30 % wszystkie pozostale huty. Nasza huta jest jedynym w kraju producentem blachy goraco walcowanej, karoseryjnej, transformatorowej itp.*

M.H.-P.: — *Z ktorej z nich robi sie lodowki?*

D.: — *Z zimno walcowanej... Prócz tego produkuje sie w Hucie duze arkusze blachy falistej, blachy ocynkowanej. Obecnie tez jesteśmy jedynym producentem blachy ocynowanej, poniewaz u nas sa takie linie produkcyjne. Druga walcownia goraca miala byc w hucie „Katowice”. To oslawiona historia; walcownie sprowadzono, lezala kilka lat i zostala sprzedana z powrotem do Magnitogorska. *Nota bene* zbudowanego w latach 30-tych od fundamentow po dach wedlug projektow i na sprzecie amerykanskim.*

M.H.-P.: — *Dlaczego walcownie sprzedano z powrotem?*

D.: — *Mowi sie, ze zwiazane to jest z zamrozeniem inwestycji. Po prostu nie stac nas na nia. I zadnego znaczenia nie ma to, ze walcownia blach karoseryjnych w naszej hucie budowana byla z mysla o walcowni w Katowicach. Wszystkie urzadzenia przystosowano pod katem przyjmowania produkcji z Katowic. Gdyby byla walcownia w Katowicach, to te w Nowej Hucie mozna by zlikwidowac albo przestawic na produkcje gatunkow specjalnych. Moglibysmy wreszcie zamiast wyduszonych 2 mln ton robic spo-*

kojnie milion ton specjalnej stali — czyli ilość przewidzianą pierwotnie. A tak robimy masówkę, a to przejąć miała nowa walcownia w Katowicach.

Czy huta jest potrzebna? Oczywiście tak, ale czy o takim profilu produkcji — to inna sprawa. Odpowiedź wymagałaby wcześniejszych badań na temat rzeczywistego zapotrzebowania na stal w kraju. Na dzień dzisiejszy produkujemy powyżej 500 kg stali na głowę mieszkańca. Jesteśmy na drugim czy trzecim miejscu w świecie.

M.H.-P.: — *Po co nam tyle stali na głowę? A co dziwniejsze, jakoś tego nie odczuwamy, przecież nawet gwoździ brakuje.*

D.: — Proszę pani, nie dość tego. My musimy specjalną stal sprowadzać z Zachodu, np. stal dla przemysłu chemicznego. To są dziesiątki tysięcy ton, a powinniśmy sprowadzać ponad 100 tys. ton. Za to płacimy w zielonych. Ale struktura naszego hutnictwa nastawiona jest wyłącznie na blachę podstawową, na tonaż... Istniejące walcownie nie mogą zrobić cieńszej blachy.

M.H.-P.: — *Czy dlatego puszki do konserw robione są z blachy czołgowej?*

D.: — Do tej, która byłaby właściwa np. na te puszki potrzebna jest cyna. Tona cyny kosztuje ponad 10 tys. dolarów. W skali kraju trzeba sto kilkadziesiąt ton cyny, żeby w ogóle coś produkować na potrzeby kraju. Nie mówiąc o eksporcie, który jest konieczny, żeby chociaż na tę cynę zarobić. W świecie coraz bardziej eliminuje się cynę i idzie się w kierunku laminowania. Cynę w produkcji puszek zastępuje się tworzywami kosztującymi grosze, a dopuszczonymi przez służbę zdrowia.

Pytała pani, co to jest huta i czy jest potrzebna? Nie dziwi mnie to pytanie, bo skoro huta produkuje setki tysięcy ton żelaza zbrojeniowego, różnego rodzaju kątowników, produkuje rury o rozmaitych przekrojach, sprawdź (?) spawane i do wszystkiego się nie nadają oraz produkuje blachę zimno i gorąco walcowaną... a kupić tego nie można. Trzeba znajomości, łapówek, żeby sobie coś tam w GS-ie załatwić.

M.H.-P.: — *Gdzie się to wszystko podziewa? Czy wszystko idzie na eksport?*

D.: — Nie wiadomo, gdzie to idzie. Procent eksportu jest tak minimalny, że praktycznie nie istnieje, przynajmniej w takich ilościach, żeby to miało jakieś znaczenie. Powiedzmy, że produkuje

się pięć milionów ton, to na eksport z tego idzie 100-150 tys. ton...

M.H.-P.: — *Co się więc z tym dzieje? Kadra dyrektorska Huty tego nie wie?*

D.: — Nie wiem co się z tym dzieje. Wiem natomiast, że tym żelazem można całą Polskę zabetonować, jeżeli dodać do niego cementu. W ciągu kilku lat cała Polska zniknęłaby pod zbrojnym betonem.

M.H.-P.: — *Brzmi to paradoksalnie, że Pan nie wie, gdzie idzie ta stal. Rozumiem, że nie wie tego robotnik, inżynier, ale dyrekcja?*

D.: — Żeby nie dać się zwariować. Jest totalne marnotrawstwo. Koszt wyrobu tony stali kształtuje się w granicach 40 tys. złotych, czyli cena jest żadna i być może prowokuje to do marnotrawstwa.

M.H.-P.: — *A ile kosztuje tona rudy?*

D.: — Możemy mówić tylko o cenach światowych, czyli jakieś 17 dolarów za tonę. Sądzę, że Wielkiemu Bratu płacimy tyle samo. Z tym, że płaci się nie za rudę, tylko za żelazo w rudzie. Procent żelaza w rudzie, którą przywozimy z Krzywego Rogu spada. My musimy dostać odpowiednią ilość żelaza. To zaś znaczy, że trzeba większą ilość wagonów przytaszczyć tutaj, co kosztuje. Dalej: musimy tę rudę wzbogacić — to też kosztuje. Wielki piec przyjmuje wsad w granicach 51 - 52 % żelaza. Jeżeli więc w dostarczanej rudzie jest coraz mniej żelaza, to tym bardziej trzeba ją wzbogacić, przerobić, tracić energię. Takie to są konsekwencje.

M.H.-P.: — *Czy nie da się zmodernizować pieców na użytek rudy z Krzywego Rogu?*

D.: — Piece są przystosowane do ubogiej rudy krzyworskiej, ale parametry tej rudy w ciągu 20 lat spadły. I to jest ta różnica. Co to oznacza? Trzeba wyprodukować 3 mln ton surówki w wielkich piecach. W rudzie jest 20 % żelaza, no to trzeba przywieźć pięć razy tyle, czyli 15 mln ton, prymitywnie licząc. 15 mln ton to jest 15 tysięcy pociągów każdy po tysiąc ton. I teraz każdy procent żelaza mniej, to jest 150 wagonów dodatkowych. To są trzy pociągi.

M.H.-P.: — *Ile wagonów trzeba na dobę?*

D.: — Policzmy: około 15 tys. pociągów rocznie... każdy tysiąc ton. Czyli dziennie Huta musi przyjąć ponad 40 pociągów samej rudy.

M.H.-P.: — *Są to ilości, o których, przyznam, nie miałam pojęcia.*

D.: — Mówimy na razie o samej rudzie. Do tego trzeba jeszcze przywieźć węgiel, żeby zrobić koks. Wrzucając rudę do pieca równocześnie trzeba wrzucić mniej więcej tyle samo koksu i innych dodatków. Z kolei wyprodukowanie iluś milionów ton koksu znaczy, że trzeba przywieźć dwa razy tyle węgla. Dla przykładu podam, że sama siłownia* w Hucie zużywa milion ton węgla na rok, a to oznacza ponad trzy pociągi węgla dziennie. Jesienią obowiązywało zarządzenie ministra komunikacji, iż wagony przywożące węgiel muszą wracać na Śląsk puste. Nie wolno ich było łądować. To powodowało, że Huta zatykała się własną produkcją. Może dobrym wskaźnikiem świadczącym o skali Huty będzie cyfra około 5 tys. wagonów (ponad 100 pociągów) jakie są w obiegu w ciągu jednej doby.

M.H.-P.: — *Czy zarządzenie ministra, o którym Pan wspominał nie jest sprzeczne z nawoływaniem, by nie było pustych przebiegów?*

D.: — Co to ma za znaczenie? Przychodziła zima i okazywało się, że nie rozwieziono miliona ton węgla przez dwa kwartały normalnej pogody... To, co pani odpowiedziałem miało mniej więcej oddać skalę Huty.

M.H.-P.: — *Czy ma sens budowanie takich monstrualnych hut?*

D.: — Huty takiej wielkości istnieją w świecie. Rosjanie mogą sobie pozwolić na takie monstra, bo im nie zależy na ochronie środowiska, a poza tym blisko mają, a raczej mieli, pokłady surowców. Wtedy to się może opłacać. Natomiast między Nową Hutą a Krzywym Rogiem jest straszliwa odległość... Obecnie Polska ma partycypować w rozbudowie bazy surowcowej w Związku Radzieckim. Nasz udział obliczony jest na 300 mld złotych. My mamy wsadzić w ich bazy 300 mld złotych, żeby oni potem byli uprzejmi dostarczać nam rudę, oczywiście za pieniądze.

* Siłownia — słowo z lat 50-tych, po polsku elektrociepłownia.

W całym świecie stara się budować takie huty nad morzem, bo transport wodny jest najtańszy. Wtedy dowozi się rudę 250-tysięcznikami i zrzuca na hałdę przy hucie. Wystarczy kilka statków a nie tysiące pociągów. A przecież mówiłem tylko o procesie surowcowym. A teraz niech pani pomyśli, że jeszcze trzeba te 5 mln ton stali wywieźć. To jest dodatkowo 5 tys. pociągów po tysiąc ton, a nie wszystkie mają po tysiąc ton. Ruch jest straszliwy. Transport jest w tej chwili punktem newralgicznym w Hucie. Spowodowane to jest sytuacją transportową w kraju oraz i tym, że jest to ciężka praca i brakuje ludzi.

M.H.-P.: — *Czy nie istnieje mechanizacja w pracy transportu?*

D.: — Mechanizacja? Eeee... oczywiście, są wywrotnice i na nich odbywa się wyładowywanie wagonów. Wyobraźmy sobie jednak, że przychodzi pociąg złożony z kilkudziesięciu wagonów z Krzywego Rogu i wszystko jest zamrożone. Najpierw trzeba więc pociąg wsadzić do tunelu ogrzewanego gazem. Zdarza się, że trwa to i 36 godzin. Zdarza się też, że z wierzchu się roztopi, a w środku zostaje zamrożone. I taki kilkudziesięcotonowy kamyczek rudy spadając niszczy wszystko.

M.H.-P.: — *Może to i słuszne, że niszczy, skoro Związek Radziecki musi utrzymać swoje miejsce pierwszej potęgi hutniczej świata, a nuż byśmy mu zagrozili... To niby żart. Ostatnio przeczytałam tekst Alain Besançon, gdzie dowodzi on, że owo pierwsze miejsce Związku Radzieckiego w świecie to jeden z tzw. fałszywych pewników. Faktem jest, że Związek Radziecki produkuje 145 mln ton stali rocznie i dlatego jest „pierwszą potęgą hutniczą świata”. Ale i tutaj Besançon wylicza, że w Związku Radzieckim nie produkuje się więcej samochodów niż w Hiszpanii, że sieć kolejowa w ZSRR nie jest dłuższa niż w Indiach, a drogowa znacznie mniej gęsta niż we Francji. Zaś nawet najbardziej nieumiarkowana produkcja stali nie może pochłonąć więcej niż milion czy dwa miliony ton. Cóż więc może oznaczać liczba 145 mln ton, czyli tyle ile wynosi łączna produkcja Japonii i Niemiec? Otóż w tych 145 milionach ton mieści się: 1) produkcja stali prawdziwej; 2) produkcja stali gorszej jakości; 3) produkcja stali wybrakowanej; 4) produkcja stalowego szmelcu; 5) produkcja pseudostali; 6) pseudoprodukcja stali. Stany Zjednoczone i Kanada, które zajmują kolejne po ZSRR miejsce na liście „potęg hutniczych” nie produkuje pięciu ostatnich kategorii stali, które w takiej obfitości wytopia się w gigantycznych stalowniach ZSRR. A jak jest u nas?*

D.: — Produkuje się około 16 mln ton stali (w 1980 roku produkcja przekroczyła 19 mln ton). To daje nam jeden z najwyższych wskaźników ilości produkowanej stali na głowę mieszkańca. Sytuacja jest niemal identyczna jak ta, którą przytoczyła pani za Alain Besançonem w ocenie produkcji ZSRR. Różnica między ZSRR i nami polega na tym, że jeszcze większy nacisk kładziemy na ilość przy pomijaniu jakości, czy egzekwowaniu otrzymywania parametrów. Wspominałem już o marnotrawstwie, jako jednym z głównym pozeraczy stali. To nie jest gołosłowne, bo coś znaczy 900 tys. ton wiórów rocznie, brak właściwych zabezpieczeń antykorozyjnych, niska cena stali powodująca rozrzutność itd. Niska jakość stali powoduje, że np. w budownictwie ilość stali ładowanej w 1 m³ betonu kilkakrotnie przekracza normy światowe. Konstruktorzy zabezpieczają się w ten sposób przed odpowiedzialnością za budowle, mosty itp. — właściwie zaprojektowane, ale wykonane z byle czego i mogłyby runąć. Wiadomo przecież, że cement mogą wykonawcy ukraść, a stal przewidzianego gatunku może ten gatunek mieć tylko na metce. Nasze normy budowlane z góry przewidują tę sytuację i ładuje się stal w ziemię w nadmiarze i marnuje się ją.

Przyjmuje się, że korozja zżera ok. 10 % produkcji stali rocznie. Znając stan naszej ochrony antykorozyjnej, dodatkowo kiepskiej jakości stali (*vide* karoserie polskich samochodów) procent ten jest na pewno wyższy. A to już daje do 200 tys. ton rocznych strat stali. Poza tym ile produkujemy stalowych bubli, rzeczy niepotrzebnych? A ile musimy oddać na produkcję czołgów, silosów raketowych itp.?

M.H.-P.: — *Czy w Polsce w ogóle potrafi się wyprodukować dobrą stal?*

D.: — Tak. Nasza blacha transformatorowa czy prądnicowa jest dobra. Ocynkowana względnie ocynowana też jest niezła. Ilościowo jest tego mało, powiedzmy. Niezła też jest to, co z podstawowej produkcji wysyłamy do drugiego obszaru płatniczego.

M.H.-P.: — *Czyli do kapitalistów?*

D.: — Tak, z tym, że lepsze parametry jakościowe uzyskuje się dodatkową pracą. Trzeba pilnować technologii produkcji i musi się to jeszcze dobrze zapakować. Jest to w sumie kilka procent produkcji, ale da się zrobić. Wymaga wysiłku, który się musi opłacać. Na kraj idzie reszta. Zapotrzebowanie zaś jest takie, że pójdzie wszystko z pocałowaniem ręki. Po co się więc wysilać?

A teraz tak, powiedzmy, dla podsumowania tego fragmentu rozmowy. Gdybyśmy produkowali tyle stali na głowę, ile w państwach zachodnich, czyli około 300 kg, co w naszym kraju daje około 10 mln ton stali — o ile zyskałoby nasze środowisko? Ileż mniej byłoby ton siarki i pyłów w atmosferze. Ile zostawałoby węgla? Są to oczywiście pytania retoryczne, bo w obecnych warunkach nie da się tego zrealizować.

M.H.-P.: — *Dlaczego?*

D.: — Pieniądze... pieniądze... Trzeba by dokonać zdecydowanej, rzeczywistej zmiany struktury hutnictwa. A do tego potrzeba olbrzymich pieniędzy, ale i woli także. Nie ma ani jednego, ani drugiego.

M.H.-P.: — *Ile osób pracuje w Hucie?*

D.: — W 1981 było zatrudnionych ponad 38 tys. pracowników. Potem zaczął się exodus. Na wcześniejsze emerytury odeszło kilka tysięcy osób.

M.H.-P.: — *Czy nie sądzi Pan, że był to „znakomity” pomysł krzaczastego ministra, by najlepiej wyszkolonych i produkcyjnych ludzi odesłać na emerytury?*

D.: — Sam pomysł oceniam negatywnie. Natomiast nie można oceniać go negatywnie z tego powodu, że ludzie poszli na wcześniejsze emerytury z tak okropnych warunków pracy. Nie sądzę jednak, by przy podejmowaniu tej decyzji kierowano się altruizmem, a tylko strachem przed bezrobociem. Odeszli więc ludzie, którzy kwalifikacje zdobywali w latach 50-tych, bardzo przywiązani, często wbrew logice, do swojej pracy. Znałem ich wielu — to byli tacy, którzy nie usiedzieli, cały czas hakowali. Na ich miejsce przyszli bardzo różni, ale generalnie reprezentujący dużo niższy poziom wykształcenia zawodowego i inny stosunek do pracy.

M.H.-P.: — *Co znaczy „inny stosunek do pracy”?*

D.: — Starzy pracownicy, którzy odeszli, szanowali swoją pracę, swoje miejsce pracy. Byli do niego przywiązani i dbali do tego stopnia, że w chwilach wolnych brali szmatę i wycierali kurze, czyścili... A teraz ich następcy? Sądzi pani, że któryś wzięłby sprzątaczkę do ręki, żeby wytrzeć kurze? Nie — pyta: a od czego sprzątaczkę? Oni nie szanują miejsca pracy, bo o pracę jest łatwiej. Każdy może dostać pracę w Hucie. Pamiętam lata 60-te,

kiedy otrzymanie pracy w Hucie wcale nie było proste i dlatego pracę szanowano. Otrzymanie pracy znaczyło wtedy mieszkanie i najlepsze stawki w całej okolicy, stąd groźba wywalenia z Huty była poważną restrykcją. Dzisiaj nikt się tym nie przejmuje. Fluktuacja jest ogromna. W ciągu roku wymienia się ponad 4 tys. ludzi. I w ten sposób doszliśmy do tego, że dzisiaj w Hucie pracuje około 31 tys. ludzi. To jeszcze zależy jak się liczy, bo tych zasadniczych pracowników jest około 30 tysięcy. W tej chwili nie ma żołnierzy, bo ich wycofano. Latem pracowali na tych najgorszych stanowiskach, czyli na wydziałach surowcowych i również w najgorszych miejscach na walcowniach.

M.H.-P.: — *Wspomniał Pan o ochronie środowiska. Jak te problemy wyglądają w Hucie?*

D.: — Wszystko kończy się na programach, bo do tego potrzebne są duże pieniądze. To po pierwsze, a po drugie musi to mieć kto robić. Same pieniądze też nie wystarczą. Najwyższym osiągnięciem obecnej chwili jest budowa oczyszczalni ścieków, która ma oczyścić sześć ścieków z Huty. Należałoby oczyścić dziesiątki hektarów zalanych szlamem z Huty. Wiadomo, że od kilkunastu lat zbiorniki szlamu są przepełnione i od kilkunastu lat toczy się walka, by uzyskać zezwolenie na ich podwyższenie. Zresztą to i tak niewiele pomoże, bo taki wysychający szlam jest bardzo dobrze roznoszony przez wiatr.

M.H.-P.: — *Jak powinno się rozwiązać sprawę szlamu?*

D.: — Powinna być normalna utylizacja — to powinno wracać do obiegu, bo w szlamie jest dużo żelaza... Podobnie jest z milionami ton odpadów. Rocznie Huta wyrzuca kilka milionów ton odpadów... Wszystko to zatrzuwa środowisko. Nie wiem, czy widziała pani zwałki żużli za cementownią.

M.H.-P.: — *Nie...*

D.: — Mniejsza z tym. Jakieś półtora kilometra od zwałki są studnie. Po kilku latach zwałowania okazało się, że woda w studniach jest zatruta. Studnie do dnia dzisiejszego pracują po to, żeby nie puszczać trucizny dalej. Za nimi dopiero wykopane są następne, z których bierze się wodę. Teraz proszę sobie wyobrazić setki hektarów zwałki wysokiej na trzy piętra i wyżej — jakież świństwo wpuszcza się do ziemi i jakie pyły z tego roznosi wiatr. A do tego dochodzą piece etc., etc. Siarka i fluor. Informacji na temat fluoru, który jest dużo gorszy od siarki, ukrecono łeb.

M.H.-P.: — *Skąd się bierze fluor?*

D.: — Dorzuca się go po prostu do stali w postaci fluorytów... Ponadto w atmosferę wyparowują zanieczyszczenia z wody wiślanej, bo nią gasi się np. rozżarzony koks. Wokół Huty jest kompletna pustynia. Odległość między Hutą a osiedlami powinna wynosić przynajmniej 15 kilometrów i te 15 kilometrów to powinien być pas lasu... Nic się nie zmieni bez dużych pieniędzy. Bez całościowego rozpracowania problemu nie ma sensu mówić o ochronie środowiska przy takich aglomeracjach czy koksowniach i zwłokach odpadów.

M.H.-P.: — *Jak się zostaje kadrą dyrektorską kombinatu — z nomenklatury, czy z zasług osobistych?*

D.: — Z dobrych układów. Powyżej pewnego szczebla nie awansuje się w drodze osobistych zasług. Nie da się, jeżeli się ma np. krechę w organizacji partyjnej, albo nie ma się po prostu gdzieś wyżej kumpla.

M.H.-P.: — *Pan jest w dyrekcji?*

D.: — Tak.

M.H.-P.: — *Znaczy to, że miał Pan chody wyżej.*

D.: — Na całym świecie jest tak, powiedzmy, że gdzieś człowiek zaczyna pracować. I gdzieś ma chody czy kumpla... albo nie ma. Przejścia z wydziałów na kierownicze stanowiska odbywają się zawsze... W Hucie jest siedmiu głównych dyrektorów: od produkcji, od spraw technicznych. I, powiedzmy, jest jeden naczelny.

M.H.-P.: — *Czy dyrektorzy muszą być partyjni?*

D.: — Oczywiście.

M.H.-P.: — *Czy w okresie „Solidarności” ta żelazna zasada zachwiała się?*

D.: — Nie. Właściwie powyżej szczebla kierownika wydziału nie ma bezpartyjnych. Przecież taki branżowy dyrektor Huty, powiedzmy, odpowiada dyrektorowi dużego przedsiębiorstwa w kraju.

M.H.-P.: — *Pan jest partyjny?*

D.: — Czy nie zadaje pani zbyt intymnych, powiedzmy, pytań? Chyba sama sobie pani potrafi odpowiedzieć.

M.H.-P.: — *Czy należał Pan do „Solidarności”?*

D.: — O ile pamiętam należało 94 % pracowników Huty.

M.H.-P.: — *A do nowych związków należy Pan?*

D.: — W Hucie wstąpiło do nowych związków jakieś 30 % pracowników. Z tym, że obecnie są duże naciski na to, żeby wstępować — łącznie z groźbą wyrzucenia z pracy*.

M.H.-P.: — *Przy braku pracowników, o którym Pan mówił, jeszcze jesteście w stanie grozić wyrzuceniem z pracy?*

D.: — Toteż nie grozimy robotnikom. Robotników kupujemy, a grozimy administracji.

M.H.-P.: — *Czy te groźby powodują uległe wpisywanie się?*

D.: — Oczywiście. Ludzie przyzwyczaili się i nie chce im się zmieniać pracy. Chcą mieć święty spokój. Płaczą więc, ale wpisują się.

M.H.-P.: — *Czy działalność nowych związków jest widoczna na terenie kombinatu?*

D.: — Generalnie działalności typowo związkowej nie ma. Coś tam dzielą, rozdają. Przede wszystkim jednak chodzi tym niby-związkowcom o to, żeby się nałapać. To jest główny cel ich działania. Takim dobitnym przykładem na potwierdzenie tego co mówię jest „związkowiec” Książkiewicz. Pijak i awanturник — to delikatne określenie — po prostu ostatnia szumowina. W Hucie nie miał już co robić. Wzięli go do Warszawy, żeby ludzi nie drażnił. I okazuje się, że on z ramienia nowych związków jest szefem do współpracy ze związkami zagranicznymi. Tacy ludzie w nowych związkach w Hucie do tej pory wiodą prym. Oni je trzymają i nimi kierują. Jest to normalne mafijne ugrupowanie... Ale też czym oni się zajmują — dzielą encyklopedie.

M.H.-P.: — *Encyklopedie?*

D.: — Oczywiście. Oni rozdają talony na encyklopedie, programatory do pralek itd. Bez tego ludzie mogą się obejść, ale przecież oni też wypowiadają się na temat podwyżek, stawek, płac,

* Od stycznia 1986 jak ręką odjął — od autorki.

wypoczynku, czy zwrotu kosztów za wypoczynek. To niby wypłacane jest z funduszu socjalnego, ale na nim położyli łapę nowi związkowcy.

M.H.-P.: — *Czy mają realny wpływ na sprawy pracownicze?*

D.: — Owszem, mają. Do tego dołącza się jeszcze partia i to towarzystwo nieźle się bawi.

M.H.-P.: — *Jaki jest stopień upartyjnienia Huty?*

D.: — Do partii należy około 2 tysiące osób, a należało 6 tysięcy.

M.H.-P.: — *Czy to jest spadek po 13 grudnia?*

D.: — Nie tylko. Zasadniczy odływ nastąpił w latach 1980/81. Po 13 grudnia odeszli (rzucili legitymacje) ci ideowi. Ci, którzy do końca wierzyli, że zmiany w partii są możliwe... 13 grudnia przekreślił te ich złudzenia. W czasie strajku, ale również i po, na niektórych wydziałach przepełniły się kosze wyrzuconymi legitymacjami partyjnymi. Część została z partii wydalona; dotyczy to także dozoru.

M.H.-P.: — *A jak wygląda sprawa samorządu pracowniczego w Hucie? Od początku wojny „Solidarność” Nowej Huty stała na stanowisku całkowitego bojkotu.*

D.: — TKRH* zdecydowała, żeby samorząd bojkotować i tak się też stało. I ten stan trwa. Stąd też wybory, które były w październiku '85 były, jakie były. Partia wystawiła swoich ludzi.

M.H.-P.: — *Bojkot samorządu na początku stanu wojennego był odruchem moralnym.*

D.: — Rozumiem, że był to odruch moralny, ale trochę czasu już upłynęło. Mnie się wydaje, że bojkotując samorząd nadal wiele przegrywają. Rozumowanie podziemnych struktur jest takie: albo „Solidarność” przejmuje samorząd, albo w ogóle. To nie jest słuszne. Do organów samorządowych należy wybrać normalnych ludzi a nie zezwalać na to, żeby partia typowała. Rozumiemy się? Ci wystawieni przez partię są po to, żeby nic nie robili a tylko machali rękami w geście przyzwolenia na wszystko, co partia chce przeprowadzić. Z kolei przejęcie samorządu przez „Solidarność”, co też się w kraju zdarzyło, kończyło się awanturą. Ludzie „Solidarności”, którzy przejęli samorządy, czuli się moral-

* Tajna Komisja Robotnicza Hutników.

nie zobowiązani do tego, by ciągle podejmować jakieś uchwały przeciwko temu, czy przeciwko tamtemu. Uchwały strictly polityczne. Rozumiem, że można wyrazić dezaprobatę na forum samorządu przeciwko zamordowaniu księdza Popiełuszki, ale czy od razu potrzebna jest uchwała, którą zaczyna się rozsyłać? Wcale nie jestem przekonany, że to jest konieczne. Moim zdaniem samorząd ma olbrzymie pole do działalności gospodarczej. Działalności w ramach zakładu pracy, polegającej na tępieniu siebie-państwa czerwonych, polegającej na blokowaniu poczynań durnych i wiernych kretyńców, którzy tworzą klikę. Bojkotując samorząd odpuszczają tym cwaniakom wszystko i działają na swoją szkodę. Samorząd składający się z normalnych kompetentnych i uczciwych ludzi byłby jakąś przeciwwagą dla klikowych układów między czerwonymi.

M.H.-P.: — *Nie sądzi Pan, że owe kliki mają sposoby na przyblokowanie takich zamiarów w ogóle?*

D.: — Toteż nie proponuję, powiedzmy, żeby się brali za sprawy ideologiczne, czy polityczne. Ich pole działania jest na tym szczeblu Huty, gdzie mówi się o produkcji a nie tam, gdzie decyduje się o planach. I sądzę, że na procesy produkcji samorząd może mieć duży wpływ. Może też mieć wpływ na podział tych rzeczy, które się załódze należą z samego faktu przynależności do załogi. W tej chwili to wszystko zostało przechwycone przez wroniarzy i czerwonych, ale też do samorządu weszli ludzie wskazani przez partię... Głosząc konsekwentny bojkot samorządu doprowadzono właśnie do tego. Żeby jednak do samorządu mogli wejść normalni ludzie, trzeba by było nad tym trochę popracować, czegoś się nauczyć.

M.H.-P.: — *Załóżmy, że zgadzam się z Panem. Jaki Pan widzi sposób przekonania władz „Solidarności” w Nowej Hucie, by zastanowiły się nad tym, czy zaprzestać bojkotu samorządu pracowniczego?*

D.: — Jeżeli w *Hutniku* napisano, że bojkot — tzn., że nie wolno. To nawet jest wygodne, ale przerażające, bo oddają ważne pole czerwonym ignorantom. Co to za walka, kiedy całkowitym walkowerem oddaje się pole i to przeciwnikowi, który jest durny, powiedzmy. Tego nie wolno robić...

M.H.-P.: — *Wolno, wolno... Wtedy moralnie nieskalani zakładają partię np. „Niepodległość” i już nic nie muszą robić. Jakże*

bowiem ktoś walczący o niepodległość może się zniżyć do walki o mieszkanie dla Zenka, czy cebulę dla Franka. Widzi Pan wyjście?

D.: — Nie widzę, ale nie od tego jestem. Wszak stoję, powiedzmy, po drugiej stronie. Choć wydaje mi się, że podział na takie jednoznaczne strony nie istnieje. Chętniej dzieliłbym na głupich durniów i kompetentnych w miarę uczciwych. Na mój gust czas już chyba, żeby komisje zakładowe „Solidarności” pomyślały, czy przejmować samorządy, czy bojkotować. Niech wejdą do samorządów ludzie, którzy chcą coś robić. Może wreszcie będzie administracja miała jakiegoś partnera. Jeżeli władze stołeczno-partyjne będą chciały rozłożyć samorządy, to postarają się i zrobią to. Ale póki co pracownicy, członkowie podziemnej „Solidarności” sami je rozkładają. Istnieje, powiedzmy, możliwość doprowadzenia do normalnych wyborów, przygotowania kampanii wyborczej. Przecież to „Solidarność” budziła w ludziach poczucie własności. Uczyla, że zakłady pracy nie są państwowe czy partyjne, że zostały zbudowane i są utrzymywane przez ludzi pracy, są ich własnością. Oddawanie pola jest sprzeczne z tą nauką.

Interesy partii i administracji, szczególnie tej najwyższego szczebla, są często rozbieżne z interesami załogi. Partia ma swój interes — władzę; administracja interesy grupowe, związane ze stanowiskami, apanażami i innymi korzyściami płynącymi z własnych układów. Układ partia — administracja jest zmienny. Aktualnie ludzie stojący na czele partii w Hucie nie reprezentują nic. Są bez koncepcji i bez kompetencji. Mają opinię durniów. Koniecznym wydaje się więc, powiedzmy, czynnik trzeci, wyłoniony przez załogę, mogący mieć wpływ na losy Huty, mogący nawet przez umiejętne działanie przeciągnąć jednych lub drugich na swoją stronę i wygrywać ich dla dobra załogi.

M.H.-P.: — *Ale nawet najlepszy samorząd i tak nie uzdrowi gospodarki?*

D.: — A czy w ogóle jest możliwe uzdrowienie tej gospodarki? Nie o tym mówię. Samorząd to taka mała ścieżka, a nie autostrada prowadząca do zdrowej ekonomicznie gospodarki. Samorząd to samoedukacja, pilnowanie interesów załogi, dawanie przeciwwagi kretynizmowi. Samorząd może wpłynąć na zorganizowanie roboty, a wtedy ludziom w Hucie będzie jakiś procent lepiej, wygodniej, zdrowiej. Potrzebna jest ta aktywność choćby i z tego powodu, że czerwoni boją się każdego rodzaju aktywności. Zaś do terroru czasów stalinowskich ze względów propagan-

dowych nie bardzo mogą wrócić. Uważam, że bojkotując samorząd przegrywają aktywność ludzi. Ludzie robią te pieniądze, siedzą na swoich stołkach, czytają bibułę, klną... I co z tego? Przychodzą do pracy i hakują w kółko. Czym ich uaktywnić? Jednak udział w takich organach samorządowych dostarcza kupę informacji o aktualnych mechanizmach. Mówiliśmy na początku o wielkości Huty. Dają głowę, że pracownicy Huty nie mają o tym żadnego pojęcia. Rzeczywiste zaangażowanie w prace samorządu uczy funkcjonowania przedsiębiorstwa.

M.H.-P.: — *A po co się tego uczyć?*

D.: — Zgoda — to jest dziadostwo. Zgoda, ale w tej truciznie żyjemy i nie widzę w najbliższej przyszłości dywizji, które nam zmieniają sytuację.

M.H.-P.: — *Jakie są nastroje wśród robotników?*

D.: — Odpowiem enigmatycznie: kiepskie. Powszechna jest opinia, że to „pieprznie” jutro, pojutrze... Powiedzmy, że „pieprznie” jutro i co będzie pojutrze? Na dzisiaj bohaterstwem jest czytanie bibuły... czy malowanie symboli na ścianach. Niech malują, ale to nie wystarczy.

M.H.-P.: — *Co Pan proponuje, żeby ten stan zmienić? Jak nakłaniać ludzi do aktywności na szczeblu samorządu, samopomocy...?*

D.: — Wydaje mi się, że trzeba na ten temat jak najwięcej pisać. Pokazywać ludziom myślącym, a jest ich sporo, sens i możliwości takiego działania. Podziemne struktury „Solidarności” w Hucie mają inną koncepcję polityczną. Zdają sobie sprawę z tego, że nie są w stanie dostarczyć ze swojego politycznego grona odpowiedniej ilości ludzi, którzy opanowaliby cały samorząd. A tylko taką możliwość przewidują. Natomiast wyrażenie zgody na to, żeby załogi wybrały normalnych ludzi, żeby się rozpatrzyły między sobą: kto by się nadawał, kto ma trochę oleju w głowie i jest uczciwy swój człowiek, zna się na robocie... I wybrać go w normalnych demokratycznych warunkach... Nie, to im nie odpowiada. A przecież twierdzą, albo twierdzili, że w interesie społeczeństwa jest popieranie wszelkich niezależnych inicjatyw.

M.H.-P.: — *Kadencja samorządu trwa dwa lata. Jest więc niby trochę czasu, żeby się przygotować do nowych wyborów.*

D.: — Sądzę, że przy lepszym przemyśleniu sprawy byłoby dużo do wygrania.

M.H.-P.: — *Czy nie przemawia przez Pana rozgoryczenie, że w Hucie nie ma Pan partnerów do powalczenia?*

D.: — Co to ma do rzeczy? Mój stosunek do samorządu i ocenę czym może być, przedstawiłem. Nie zamierzam przekonywać struktur „Solidarności”, żeby podpisywały się pod moim myśleniem. Więcej — widzę po prostu, że samorząd stwarza pewne możliwości i żal, że nie chcą ich wykorzystać. Wielu ludzi myśli podobnie jak ja, nawet bardziej radykalnie... kiedy przyjdą do mnie na herbatkę. Natomiast nie wiem, jakby się zachowali na zebraniu. Niemniej zaprzepaszczenie takiej możliwości z powodów ambicyonalnych uważam za bezsens.

*Rozmowę przeprowadziła
Maria de HERNANDEZ-PALUCH*

RECENZJE

Michał HELLER

„DEKADY” I DZIESIĘCIOLECIA

Dekada — dziesięciodniowy odcinek czasu, czemuś poświęcony. Dekada literatury i sztuki ukraińskiej w Moskwie.

„Słownik języka rosyjskiego”, Moskwa 1981

Siemion Lipkin zatytułował swą książkę „Dekada”. Napisana w Moskwie w latach 1979-1980, książka ukazała się w małym nowojorskim wydawnictwie w roku 1983. Wydrukowana drobnym, gęstym drukiem, niemal nieczytelna, przeszła prawie niezauważona. Starożytni mawiali: *habent sua fata libelli*. Początek losów „Dekady” jest nie do pozazdroszczenia, tym bardziej, że jest to jedna z najciekawszych i najważniejszych książek, napisanych w ostatnich latach w Związku Sowieckim.

Poświęcona jest Kaukazowi, zamieszkującym go góralskim ludom, stosunkom między nimi a Rosjanami, procesowi sowietyzacji muzułmanów, życiu w ZSSR w latach 1940-1970. Autor „Dekady” wie, o czym pisze. Siemion Lipkin (urodzony w 1911 roku) zaczął publikować wiersze pod koniec lat 20-tych, ale od połowy 30-tych poświęcił się przekładom: jego własna poezja okazała się niepotrzebna „socjalizmowi w jednym kraju”. Lipkin wyspecjalizował się w przekładach literatur wschodnich. Spod jego pióra wyszły rosyjskie tłumaczenia kałmuckiego eposu „Dżangar” i kirgiskiego „Manas”, poematów Nawoi i Fidrousi, wierszy współ-

czesnych poetów uzbeckich, tadżyckich i azerbejdżańskich, kabardyjskich opowieści „Psie zaprzęgi”. W 1979 Siemion Lipkin ogłosił swoje własne wiersze z lat 70-tych w literackim almanachu *Metropol*. Ponieważ nie zgodził się złożyć samokrytyki z powodu tego udziału w nieocenzurowanym piśmie, został wykreślony z literatury sowieckiej. Po tym zdarzeniu napisał „Dekadę” — podsumowanie całego życia, rozważania o własnym losie i losie kraju, o kulturze i kulturze sowieckiej.

Ojczyzną Siemiona Lipkina jest przede wszystkim Kaukaz. Tam też dzieje się większość opisywanych przezeń zdarzeń. Ale i Moskwa — ośrodek dyspozycyjny, od którego zależy życie mieszkańców kraju oraz peryferii — Kazachstanu, Kirgizji — gdzie znalazły się ludy kaukaskie, deportowane decyzją Moskwy do Azji Środkowej na śmierć i życie.

Przedmiotem książki jest tragedia małego kaukaskiego narodu w epoce sowietyzmu, a głównym tematem stosunki między narodami imperium sowieckiego. „Dekada” zaczyna się „masową, powszechną deportacją ludzi narodowości tawlarskiej z ich republiki do Kazachstanu”. Jest to pierwsza literacka relacja o deportacji 1944 roku. Lipkin zmienił nazwę deportowanego narodu, chcąc podkreślić symboliczny charakter opisu: jest to w gruncie rzeczy opowieść o wszystkich deportowanych narodach — o Koreańczykach, deportowanych w połowie lat 30-tych, o Niemcach nadwołżańskich, deportowanych w roku 1941, o Czeceńcach i Inguszach, deportowanych w roku 1944, o Kałmukach, krymskich Tatarach, Meschach...

Lipkin dokonał trafnego wyboru, doskonale ilustrującego istotę sowieckiej polityki narodowościowej. Republika Tawlarско-Guszańska, którą opisuje to Autonomiczna Socjalistyczna Republika Kabardino-Bałkarska. W 1939 roku zamieszkiwało ją 349,7 tysięcy ludzi: Kabardyńcy, zamieszkujący płaskogórze, stanowili 43 % ludności, Rosjanie 36,3 %, Bałkarcy, żyjący wysoko w górach, 11,2 %¹. Jesienią 1942 roku Niemcy zdobyli niektóre rejony republiki, w tym jej stolicę, miasto Nalczyk. 11 stycznia 1943 ostatni Niemcy zostali przegnani z Republiki Kabardino-Bałkarskiej. 8 marca 1944 wojska sowieckie otoczyły osiedla Bałkarców, a do wysokogórskich aułów posłano oddziały desantowe. Wszyscy Bałkarcy od sekretarza obkomu do ostatniego pastucha zostali załadowani do bydłych wagonów i deportowani do Azji Środkowej.

Sytuacja w Republice Kabardino-Bałkarskiej tym się różniła od innych, że z dwóch zamieszkujących ją kaukaskich narodów zesłano tylko jeden. Prawdopodobnie ta właśnie okoliczność, oraz z pewnością fakt, że Lipkin przekładał kabardyński epos i znał tę republikę, skłoniły go do wyboru jej właśnie na miejsce akcji.

Dlaczego ukarano Bałkarców (występujących w „Dekadzie”

1. *Vide* Aleksander Niekricz, „Nakazannyje narody”, Nowy Jork 1978, str. 59-63.

jako Tawlarzy) objaśnia Lipkin całą swoją książką: deportacje całych narodów stanowiły jeden z ważnych elementów sowieckiej polityki narodowościowej. Ciekawe jest natomiast wyjaśnienie, dlaczego oszczędzono Kabardyńców (w powieści Guszan). Zważywszy, że Lipkin w całej książce ściśle trzyma się faktów, nie ma powodów wątpić w prawdziwość jego relacji o Kabardyńcach. Brzmi ona tak: sekretarz obkomu republiki (występujący w powieści pod nazwiskiem Pawrizow) dowiaduje się o super-tajnym planie wysiedlenia obu narodów i znajduje sposób, aby przyjechać do Moskwy i spotkać się z Malenkowem. Relacjonując „władczemu centurionowi Stalina” projekt wydawania w republice gazet komsomolskich, sekretarz obkomu wtrąca: okładkę pierwszego numeru chcemy ozdobić słowami towarzysza Stalina: „Naród guszański wszedł na drogę wolności i szczęścia”. Obojętność, z jaką Malenkow przysłuchiwał się sekretarzowi obkomu, „w jednej chwili zniknęła, twarz stała się okrutna, władcza, wręcz młoda. — Skąd ten cytat? — Na to pytanie właśnie czekał Pawrizow, na tym polegał jego rozpaczliwy plan” (str. 26-27). Wystarczył fakt, że w 1921 roku Stalin wysłał depezę na zjazd guszańskich (kabardyńskich) komunistów² (przed zjednoczeniem z Bałkarcami), aby jeden naród był deportowany, a drugi został na ojczyźnej ziemi. Słowo Wodza zgubą lub zbawieniem. Polityka i ideologia zależały od jego woli i zmieniały się na jego skinienie.

Nie zmieniała się natomiast technika wykonywania woli Wodza (w formie uchwał rządu sowieckiego). Siemion Lipkin opisuje ją szczegółowo. Na miejsce operacji zjeżdża generał NKWD, aby rozpracować teren i sporządzić plan akcji. Potem oddziały wojska otaczają teren, każdą osadę, każdą zagrodę. Do wysokogórskiego aułu Kurusza władze posyłają desant, na każdą zagrodę dwóch spadochroniarzy. Lipkin opisuje, że w wojskach desantowych służyli nie tylko mężczyźni, ale i kobiety: „... humanitarny rząd uważał, że operacja jest niecodzienna, wśród deportowanych przeważały kobiety, nie brakło nawet zgrzybiałych staruszek, chorych, może i ciężarnych, tu wąta czekistka lepiej się nadawała niż potężny atleta” (str. 35). Każdej rodzinie dawano godzinę na pakowanie się. Pozwalano zabrać „jeden rodzaj bagażu” (walizkę, plecak, worek). Ludzi ładowano pod ostrym nadzorem do bydłych wagonów i odprawiano w wielomiesięczną podróż po ojczyźnie socjalizmu. Do miejsca przeznaczenia docierała tylko część: starcy, chorzy i ciężarne kobiety umierali w wagonach z głodu, pragnienia, braku lekarstw, ciasnoty.

Technika ta nie była żadną nowością: powszechnie wiedziano, że uciekali się do niej masowo hitlerowcy. Nie było też żadną nowością skazanie całego narodu z powodów narodowych czy rasowych.

2. 12 czerwca 1921 roku Stalin, będąc na wypoczynku w Nalcziku, posłał powitalną depezę na IV Zjazd Rad okręgu kabardyńskiego. *Vide* J. W. Stalin, „Soczinienija”, tom 5, Moskwa 1947, str. 426.

Kolejne fale represji, jakie przetaczały się przez republikę sowiecką od 1917 roku, naznaczały ofiary (z rzadkimi wyjątkami) według klucza społecznego: *bywszych*, kułaków, duchowieństwo. W latach wojny narodziła się w ZSSR nowa forma terroru — rasistowska. „Jak oceniacie uchwałę rządu sowieckiego? — spytał z czekistowską prostotą generał NKWD sekretarza obkomu Pawrizowa”. Sekretarz — Guszanin, a więc nie deportowany, ale tracący część ludności republiki — odpowiada: „Uchwała jest, moim zdaniem, na czasie. Nie ma i nie może być innego wyjścia. Ale żal mi Tawlarów, duża tragedia dla narodu”. Generał NKWD cierpliwie wyjaśnia: „Mówicie o tragedii narodu. Ale czy każdy naród zasługuje na miano socjalistycznego? Znam dokładnie genialne słowa towarzysza Stalina na ten temat. W ludowej sztuce — powiedział Josif Wissarionowicz — śpiewa się: 'Za stołem nikt u nas nie jest zbytyczny'³. Pieśń to ładna, patriotyczna, ale niestety okazaliśmy się zbyt łatwowierni, okazało się, że za naszym stołem ten i ów jest zbytyczny. My ich do stołu, a oni, niewdzięcznicy, nogi — na stół” (str. 25).

Słowa Stalina — a nie ma powodów, by wątpić w ich prawdziwość — potwierdzają czysto rasistowski charakter deportacji, którą uzasadniano „kolaboracją z okupantem”. W drugiej połowie lat 50-tych oficjalnie przyznano, że oskarżenie to było fałszywe, narodom kaukaskim pozwolono wrócić do swych siedzib i na nowo utworzyć zlikwidowane w 1944 roku republiki. Jednak fałsz tego oskarżenia był oczywisty i w 1944 roku, kiedy wysiedlano staruszki i dzieci, które nawet gdyby chciały, nie mogły być współpracować z okupantem. Rasistowski charakter „operacji” wynika jednoznacznie z tekstu uchwały o deportacji: jeśli głową rodziny był Rosjanin, Guszanin albo przedstawiciel jakiejś innej, nie przeznaczonej na zesłanie narodowości, żonie i dzieciom pozwalano zostać; jeśli głową rodziny był kandydat do deportacji, a żona była innej narodowości, całą rodzinę wraz z dziećmi deportowano, natomiast żona mogła — jeśli chciała — zostać na miejscu.

Główna cecha sowieckich deportacji doskonale ilustruje szczególny charakter systemu sowieckiego. W przeddzień wysiedlenia generał NKWD zebrał sekretarzy rajkomów i szefa rządu przeznaczonego do deportacji narodu i wygłosił przemówienie. „Niełatwa operacja, zwłaszcza w terenie górskim, została poruczona pracownikom służb bezpieczeństwa, i wywiążemy się z niej uczciwie i odważnie, ale jak wszędzie w naszym kraju potrzebujemy pomocy *drużynników*-komunistów, a przede wszystkim komunistów narodowości tawlarskiej, w szczególności partyjnych przywódców, to znaczy waszej, towarzysze, pomocy. Musicie pamiętać, że jesteście... przede wszystkim komunistami, a dopiero potem Tawlarami” (str. 21). Z naciskiem podkreślając, że „jesteś-

3. Stalin cytuje „Pieśń o ojczyźnie”, słowa W. Lebediewa-Kumacza, muzyka I. Isakowskiego.

my przede wszystkim komunistami, i słowo partii, każda dyrektywa władz partyjnych są dla nas święte”, generał NKWD nie zapomina i o nagrodzie za posłuszeństwo: „Dla kierownictwa partyjnego oraz wybitnych działaczy nauki, literatury i sztuki zarezerwowano jeden wagon o miękkim obiciu i dwa z przedziałami. Dwa z miejscówkami. Towarzysze ci mogą wziąć ze sobą swój dobytek w nieograniczonej ilości. W drodze będą dostawać wyżywienie wyższej kaloryczności” (str. 22).

W ten sposób pojawia się w powieści jej główny wątek — współpraca z centralną władzą do granic samounicestwienia. Siemion Lipkin pisze o roli lokalnych komunistów, bez zastrzeżeń wykonujących wszelkie polecenia Moskwy. Bez nich rządzenie Kaukazem byłoby nieporównanie trudniejsze. Autora „Dekady” interesuje jednak przede wszystkim kolaboracja elity kulturalnej narodów. Lipkin jak nikt dotychczas w literaturze sowieckiej opisuje zrosnięcie władzy z działaczami kultury i działania dwóch „rąk” władzy komunistycznej — aparatu terroru (NKWD) i aparatu wychowania (związku pisarzy).

Lipkin opisuje równolegle „pisarzy na usługach” w Moskwie i na Kaukazie. Na pierwszym zjeździe pisarzy sowieckich Gorki nazwał tawlarskiego bajkopisarza Musaiba Kagarskiego „Homere XX wieku”⁴, a dziesięć lat później Musaiba, „ludowego poetę narodowego”, wbrzą z całym tawlarskim narodem zesłano do Azji. Przez tych dziesięć lat Musaib zdążył napisać „Pieśń o wodzu”, poemat na cześć władzy sowieckiej, jubileuszu Puszkina i bojowników brygad międzynarodowych w Hiszpanii. Jego wierszy — w przekładzie na rosyjski — uczyły się dzieci w szkołach, deklamowano je na akademiach, pisano o nich prace doktorskie i mówiono na zjeździe partii. Twórczość Musaiba wychowywała jego własny tawlarski naród.

Symbolem przyjaźni narodów sowieckich i sowieckiej polityki narodowościowej są dla Lipkina „dekady” twórczości poszczególnych narodów. Wydział kultury KC postanawia co jakiś czas zorganizować w Moskwie święto któregoś ze stu narodów ZSSR. Po deportacji Tawlarów organizuje np. „dekadę” kultury Republiki Guszańskiej (dawniej Guszańsko-Tawlarskiej). Dziesięć lat później, po śmierci Stalina, rehabilitacji i powrocie Tawlarów na Kaukaz — władze znów organizują „dekadę”, tym razem guszańsko-tawlarską.

Trafnie wybrany symbol — „dekada” — pozwala Lipkinowi pokazać główne rysy systemu: rolę partii, rolę Wodza, rolę kultury sowieckiej. Z inicjatywy Wodza moskiewskie kierownictwo partii postanawia uroczystie obchodzić rozkwit jakiejś kultury. Lokalna ekspozytura partii decyduje, kto i co stanowi lokalną

4. W sierpniu 1934 roku na I Zjeździe Pisarzy Sowieckich Gorkij oświadczył, że lezgiński poeta ludowy Sulejman Stalskij (1869-1937) jest „Homere XX wieku”. Stalskiego mianowano „ludowym poetą Dagiestanu”.

kulturę. Obwodowy (albo republikański) komitet partyjny obdarza odpowiednich ludzi mianem „ludowego poety”, „ludowego artysty”, i oni stają się „ludową kulturą”, narodową w formie, socjalistyczną w treści. Wódz daje sygnał, wyraża chęć obejrzenia w Moskwie, jak cieszą się życiem, tańcząc i śpiewając, sowieckie narody. Inicjatorem pierwszej „dekady” był Stalin.

Stalin, którego oglądamy w Georgijewskiej Sali Kremla na uroczystym bankiecie z okazji „dekady”, dorobił się okazałej galerii portretów „największego myśliciela wszech czasów i narodów” pióra pisarzy sowieckich. Siemion Lipkin dostrzega w postaci Wodza, gospodarza bankietu, „rysy monarchy, korsarza i azjatyckiego prawosławnego duchownego” (str. 129). Opis ten przypomina najlepszy portret Stalina z powieści „Sandro z Czegema” Fazila Iskandera⁵. Obaj pisarze podkreślają „azjatyckość” wodza narodów. Nie wchodząc w spór o znaczenie pochodzenia, warto się zastanowić, dlaczego „azjatycki tyran” stał się modelem komunistycznego przywódcy w Moskwie, Pekinie, Hawanie, Tiranie, Addis-Abebie itd. Siemion Lipkin daje sporo materiału do rozmyślań, kreśląc bezlitosny portret inicjatora drugiej „dekady”, Nikity Chruszczowa.

Spostrzeżenie, że życie tworzy sytuacje, o jakich się nie śniło filozofom, jest tak oklepane, że trudno je przypominać. A przecież jest trafne. Można bez końca szukać symbolu współdziałania dwóch „rąk” władzy komunistycznej — *organów* i kultury — i nie znaleźć lepszego aniżeli fakt, jaki przytacza Lipkin: na kremłowskim bankiecie za każdym stołem (dla ośmiu biesiadników) po obu stronach każdego działacza kultury siedzieli „jednakowi młodzieńcy w niebieskich garniturach” (str. 126). Jeśli działacz kultury musiał wstać, wraz z nim wstawał młodzieniec w niebieskim garniturze. Nawet do toalety odprowadzał działacza „niebieski”.

Główny temat „Dekady” — stosunki między narodami ZSSR — rozpatrywany jest przede wszystkim jako stosunki między kulturami: nie między kulturą rosyjską a kulturami innych narodów, ale między kulturami narodowymi a kulturą sowiecką. Stosunki te wyrażają się przede wszystkim w stosunkach między językami. Siemion Lipkin nie tylko dlatego dał głównemu bohaterowi książki, Stanisławowi Bodorskiemu, zawód tłumacza z języków wschodnich, że sam latami tłumaczył na rosyjski kaukaskich poetów, ale dlatego, że tłumacz jest symbolem: pisarz — tłumacz idei, uchwał partyjnych — przenosi do literatur narodowych (tłumacząc na lokalne języki) dyrektywy centrali. Tłumaczami-przewodnikami decyzji Moskwy są też miejscowi komuniści.

Stosunki między sowieckimi narodami i językami odzwier-

5. Fazil Iskander, „Sandro iz Czegema”, wyd. Ardis, Ann Arbor 1979. W sowieckim wydaniu powieści (Moskwa 1977) brak rozdziału „Uczta Baltazara”, poświęconego Stalinowi.

ciędlu najlepiej bankiet na Kremlu. „Twórczy dworzanie”, rozbici na kategorie, usadzeni są przy niezliczonych stołach, bliżej lub dalej od głównego stołu Stalina, w zależności od pozycji „na dworze”. Im cenniejszy „sługa narodu”, tym bliżej siedzi Państwa, czyli Wodza. Ścisła hierarchia dotyczy też pozycji języka. Język rosyjski jest — jak go określa *narkom* NKWD Guszańsko-Tawlarskiej Republiki, jeden z organizatorów deportacji — „językiem Lenina i Puszkina” (str. 62). Osip Mandelsztam już w 1935 roku zrozumiał, że „puszkinolodzy w szynelach i z naganem u pasa”⁶ chcą usynowić największego rosyjskiego poetę. Puszkina stał się legitymacją Lenina, uzasadnieniem sowieckiej polityki narodowościowej, podstawą do uznania rosyjskich pisarzy za „pierwszych wśród równych”.

„Dekada” traktuje o losie tawlarsko-guszańskich pisarzy. Musaib — największy poeta tawlarski — zostaje deportowany mimo, że wiernie służył władzy sowieckiej. Nieszczęsny Musaib uwierzył, że rewolucja położy kres niesprawiedliwości; Chakim — głęboko wierzący sunnita, mułła, który po zwycięstwie bolszewików został nauczycielem — żyje w trwodze. „CzK ani razu nie tknęła Chakima Azadowa, a mimo to żył w ustawicznym strachu przed władzą, która mu wybaczyła i dobrze go karmiła, i opiewał w wierszach, które weszły do elementarza i wypisów szkolnych, w nowelach i powieściach... tę najlepszą z władz” (str. 103-104). Syn Chakima, Mansur, zostaje już prawdziwym sowieckim pisarzem, „poetą ludowym”, przewodniczącym republikańskiego związku pisarzy, sługą, który nie pamięta czasów, kiedy można było nie służyć. Młody Tawlar Alim, zesłany jako dziecko do Kazachstanu, zaczyna pisać po rosyjsku, na język ojczysty trzeba go tłumaczyć.

Zastanawiając się nad losem swoich bohaterów i losem narodów sowieckich, Siemion Lipkin rozmyśla o historii i Bogu. Tłumacz Bodorski, *alter ego* autora, opowiada młodemu Alimie, że Rosjanie żyli pod panowaniem Złotej Ordy przez trzytęsto lat, dopóki „nie dojrzała w rosyjskim sercu myśl o Bogu”. Bodorski twierdzi: „Tylko człowiek wierzący jest wolny”; na Kulikowym Polu „zwyciężyli nie po prostu Rosjanie: zwyciężyło rosyjskie prawosławie”. Tłumacz dodaje: „Chociaż ucisk był nie do zniesienia, Tatarzy pozostawili Rosjanom ich prawa, obyczaje i język” (str. 94-95).

Porównując sowiecką władzę z jarzmem tatarskim, pisarz podkreśla rasistowski charakter tej pierwszej. „Zwrot maszyny państwowej” w stronę rasizmu sytuuje pod koniec wojny i w pierwszych latach po wojnie. Tłumaczy go dwiema przyczynami. Po pierwsze — pisze — „chcąc skutecznie i w chwale iść naprzód, machina musiała ustawiać na swej drodze i pokonywać zmyślone

6. *Vide* Osip Mandelsztam, *Dzień stojał o piati gołowach...* w „Sobranije sozinienij” w trzech tomach, tom I, Monachium 1967, str. 219.

przeszkody. Były to przeszkody klasowe. Klas zabrakło, a przeszkody wciąż były potrzebne. Pozostawała jedyna możliwość: stworzyć przeszkody rasowe" (str. 98). Druga przyczyna: nie mając Rosjanom nic rzeczywistego do zaproponowania, dano im poczucie wyższości rasowej, uczucie bliskości wobec pana-Państwa".

Pisarz podkreśla specyficzne cechy sowiecko-rosyjskiego rasizmu: wstręt i wrogość wobec nie-Rosjan i w ogóle do małych narodów. Pyta: dlaczego bojarzy rosyjscy, w tej liczbie i oficerowie, którzy podbili Kaukaz, zrozumieli duszę górali, odkryli w góralach ludzi (Lipkin ma na myśli Lermontowa i Tołstoja), a „dzisiejsze rosyjskie dzieci robotników i chłopów gardzą góralskim chłopem, przezywają go ciuńmakiem, wycirusem, a Kałmuków i Kazachów mułami? Dlaczego hrabia, kamerjunker na carskim dworze, porucznik, wnuk bogatej ziemianki mógł zrozumieć tragedię Chadzi-Murata i Tazita, dziki czar Diny i Bety, a dzieci rosyjskiej kasy robotniczej — uważają ich za podludzi?" (str. 134).

Końcowy epizod książki stanowią rozruchy w mieście Groznoje w sierpniu 1958 roku po powrocie Czezeńców i Inguszów. Siemion Lipkin opisuje — po raz pierwszy w beletrystyce — wybuch nienawiści w mieście: nienawiści Rosjan do „Czezeńów” i Czezeńców do Rosjan. Rosyjscy mieszkańcy miasta urządzali „Azjatom” pogromy, zwoływali zebrania, przedstawiali żądania. „Domagamy się — krzyczał nieznany mówca do tłumu — po pierwszej ponownej deportacji Czezeńców i Inguszów, po drugie mianowania przewodniczącym Rady Ministrów ZSSR towarzysza Mołotowa, po trzecie wystawienia w mieście pomnika generałowi Jermołowowi. Są to dobre, sowieckie żądania rosyjskich obywateli” (str. 164).

Lecąc samolotem do Moskwy na kolejne święto przyjaźni narodów sowieckich — „dekadę kultury tawlarsko-guszańskiej”, Stanisław Bodorski podsumowuje: „Nigdy jeszcze nie było u nas takiej nienawiści muzułmańskich narodów do Rosjan, Rosjan — do innych nacji”. Co będzie dalej? — zastanawia się, i odpowiada sobie z nadzieją: „Trudno sobie wyobrazić Rosję bez Kaukazu, bez Azji Środkowej”. Wydaje mu się, że i Kaukaz i Środkową Azję trudno sobie wyobrazić bez Rosji.

Autor „Dekady” stawia pytania i przytacza fakty. Książka jego jest — jak mówił Stendhal o powieści — zwierciadłem wzdłuż drogi. Drogą opisaną w „Dekadzie” brnie w nieznanie ostatnie na świecie imperium...

Michał HELLER

NARODZINY SYSTEMU WŁADZY

Krystyna Kerstenowa, znany specjalista z historii Polski najnowszej, przez wiele lat zajmowała się głównie problematyką społeczną i demograficzną. W ostatnich latach, zafascynowana rozwojem sytuacji w kraju, skoncentrowała się na problemach politycznych, zwłaszcza na okresie tuż po zakończeniu wojny. Ukończeniem tych badań jest ostatnio wydana praca*.

Wybór tematu był ze wszech miar trafny, jako że źródła teraźniejszości tkwią w latach 1943-1948.

Praca oparta jest zarówno na bogatej literaturze przedmiotu jak na wspomnieniach, prasie oraz archiwaliach. Niezwykle cenne dla wyjaśnienia wielu zakamuflowanych spraw były, jak wynika z przedmowy do pracy, wywiady i rozmowy przeprowadzone przez autorkę z wieloma ludźmi aktywnie działającymi w tych latach w życiu politycznym kraju. Ze względów zrozumiałych autorka nie wymienia nazwisk tych osób, ograniczając się do podziękowania wszystkim, którzy pomogli jej w opracowaniu jej dzieła.

Stara zasada L. Rankiego, że zadaniem historyka jest zbadać, *wie es eigentlich gewesen ist*, stosuje się szczególnie do tematu K. Kerstenowej: istotnie należało ustalić, jak w rzeczywistości było w tych latach, odkłamać fałszywe i przywrócić miejsce prawdzie. Czytając pracę, nietrudno czytelnikowi samemu wyciągnąć wnioski.

Autorka zajmuje się centralnym problemem władzy i próbuje odpowiedzieć na pytanie, w jakich okolicznościach wewnętrznych i zewnętrznych stało się możliwe, że garstka ludzi związana z ruchem komunistycznym, nie mająca początkowo prawie żadnej bazy społecznej oraz bardziej niż niepopularna w kraju ustanowiła władzę, utrwaliła ją i przystąpiła do budowy systemu socjalistycznego. Na tym tle pokazany jest wielki dramat narodu opuszczonego przez mocarstwa zachodnie i zdanego na łaskę „wielkiego sąsiada”.

Komuniści w Polsce — podobnie jak i w innych krajach Europy wschodniej i południowo-wschodniej poza Jugosławią — władzy nie zdobyli i jako bezwzględna mniejszość zdobyć nie mogli. Władzę otrzymali dzięki Armii Sowieckiej, a zadaniem ich było w oparciu o wszechstronną pomoc ZSSR władzę przejętą utrwalić, a następnie przystąpić do budowy systemu socjalistycznego we-

* Krystyna Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948*. Li-bella, Paryż, str. 393.

dług scenariusza opracowanego przez Moskwę. Ten proces, dokonywany się prawie równolegle we wszystkich krajach, z których Armia Sowiecka przepędziła Niemców, w każdym z nich przebiegał nieco inaczej, bo inna w nich była i polityczna i społeczno-ekonomiczna sytuacja, związana m.in. z miejscem tych państw w latach 1938-1945 i ich stosunkiem do Niemiec hitlerowskich, ale pewne wspólne cechy wyraziście wystąpiły. Szczegółowa analiza procesu dokonana w pracy jest i przekonująca, i obiektywna. Niewiele można dziś dorzucić szczegółów do tych, które podała autorka. Niewiele też wniosła nowego dyskusja na temat 40-lecia Jałty, której postanowienia mają tak wielkie znaczenie dla zrozumienia polityki wielkich mocarstw wobec Polski.

Namiętna ubiegłoroczna polemika między tzw. neokonserwatywnymi i liberalnymi historykami amerykańskimi oraz historykami i politykami angielskimi, uogólniona przez T. Drapera w *New York Review of Books* z 16 stycznia 1986, jest tylko potwierdzeniem też recenzowanej pracy, że w przypadku Polski ani Churchill ani Roosevelt nie mieli — w przeciwieństwie do Stalina — określonego planu działania i w gruncie rzeczy zależało im tylko, aby wyjść jako tako z twarzą. Nie zamierzali na serio przeciwstawiać się temu, co dokonywał Stalin.

Z pracy Kerstenowej, której punkt wyjściowy sięga roku 1943, nie należy wyprowadzić wniosku, że strategia sowiecka w stosunku do sprawy polskiej zrodziła się w tymże roku. Moim zdaniem w pewnych sprawach należy cofnąć się do sierpnia 1939 roku, tj. do momentu zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow, w innych do strategii i taktyki nakreślonej przez Komintern nazajutrz po napaści hitlerowskiej na Związek Sowiecki. Mam na myśli teorię walki narodowo-wyzwoleńczej obowiązującą odąd cały obóz komunistyczny w krajach okupowanych przez faszystowskie państwa. W przypadku Polski istotny jest początek 1942 roku, gdy Komintern przystąpił do założenia PPR, nadając tej partii organizacyjne i polityczne ramy.

Oczywiście, że „przerwanie stosunków dyplomatycznych między Moskwą a rządem polskim w Londynie było istotnym etapem w rozwoju sowieckiej strategii i na pewno jest racja w twierdzeniu Kerstenowej, że gdyby nie sprawa Katynia, ZSSR znalazłby inny pretekst, aby zerwać z rządem polskim. Wydaje się, że rok 1943 miał przełomowe znaczenie w realizacji planu Stalina. Utworzenie ZPP i I Armii Polskiej w ZSSR było z wielu powodów ważnym etapem na tej drodze. Taktyka Stalina świadczy o tym, że nie zapomniał nauk wypływających z wojny 1920 roku, w której osobiście uczestniczył. Stąd szczególne uczulenie na sprawę narodową w Polsce, czemu dawał wyraz w rozmowach z prezydium ZPP, nawołując do walki z nihilizmem i sekciarstwem komunistów w sprawie narodowej i wypowiadając się przeciw awanturnictwu, zwłaszcza w sprawach dotyczących religii. Co interesujące — jak opowiadał mi uczestnik spotkań ze Stalinem, St. Skrzyszewski — Stalin przestrzegał też prezydium

ZPP przed zbyt radykalnym programem w sprawie chłopskiej i uważał, że należy się liczyć z przywiązaniem chłopów polskiego do ziemi i jego mentalnością. W kilka lat później tenże Stalin domagał się od PZPR przeprowadzenia powszechnej kolektywizacji.

Nie mniej charakterystyczne, co podkreśla autorka pracy, jest działanie przy pomocy faktów dokonanych przy jednoczesnym kamuflowaniu rzeczywistych celów polityki Stalina. W stosunku do Polski ta taktyka była wielokrotnie stosowana, i to z powodzeniem.

Jeśli chodzi o rozdziały dotyczące utrwalania władzy i budowy systemu, napisane z dużym znawstwem przedmiotu, to żałować tylko należy, że autorka ograniczyła się do bardzo krótkiego wymienienia chwytów, stosowanych w tym czasie w innych krajach demokracji ludowej, a nie przeprowadziła analizy porównawczej w zakresie metod walki politycznej w Polsce i innych krajach. Pragnę jedynie zasygnalizować, że taktyka „salami”, jak ją nazwał węgierski dyktator M. Rákosi, polegająca początkowo na zastosowanym przez komunistów podziale na demokratów i reakcjonistów, przy czym do tych pierwszych zaliczano jedynie tych, którzy poparli nowy ustrój, a do drugich tych wszystkich, którzy mieli inne stanowisko wobec przyszłości ich kraju, miała szczególnie drastyczny przebieg w Polsce, ponieważ była wymierzona przeciwko przywódcom antyfaszystowskiej walki w kraju i na emigracji.

K. Kerstenowa pokazała jak przebiegły, wyrafinowany i bezwzględny był arsenał środków, stosowanych przez władzę komunistyczną w Polsce pod osłoną i przy bezpośrednim udziale represyjnych i wojskowych sił „wielkiego sąsiada”. W tym kontekście na podkreślenie zasługuje zwłaszcza stosunek do AK i działaczy politycznych związanych z rządem polskim w Londynie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wiele miejsca poświęcono analizie politycznej wydarzeń związanych z powstaniem warszawskim. W ocenie stosunku ZSSR do powstania autorka zachowała umiar, zwłaszcza ostrożnie wypowiadając się o tzw. możliwościach pomocy ze strony Armii Sowieckiej. Możliwości pomocy wojskowej niewątpliwie istniały, choć przyznać należy, że wymagały od Armii dużego wysiłku, jako że ofensywa Frontu Białoruskiego trwała już od wielu tygodni, a forsowanie barier wodnych w drugiej wojnie światowej wymagało dużej sprawności i z reguły powodowało duże straty w ludziach i sprzęcie. Ale pomoc dla Warszawy ani przez moment nie wchodziła w grę, jako że była zasadniczo sprzeczna ze strategią Stalina, a jak dobrze wiadomo, ZSSR i jego kierownictwo przez cały okres wojny, zwłaszcza od 1943 roku, dawało prymat politycznym celom nad wojskowymi. Nie współpraca z AK, ale bezwzględna walka z AK leżała u podstaw polityki Stalina i to zarówno w sferze wojskowej, jak i politycznej.

Zgadzam się z tezą Kerstenowej, że w Polsce można mówić jedynie o elementach wojny domowej w latach 1944-1947, przy

czym jednym z powodów było stworzenie sytuacji, w której wielu związanych z rządem londyńskim działaczy nie miało innego wyboru, jak nadal trwać w podziemiu lub walczyć.

Chociaż społeczeństwo doskonale wiedziało, że władza w Polsce powojennej została ustanowiona dzięki ZSSR, że komuniści sprawując ją stosowali środki przymusu wobec przeciwników politycznych i domniemyanych wrogów, że zarówno rozprawa z AK jak potem z PSL miała charakter głównie policyjny, i wreszcie że referendum i wyniki wyborów w 1947 roku były sfałszowane, to jednak część społeczeństwa poparła kroki przez ten rząd podejmowane w celu odbudowy i zagospodarowania ziem zachodnich. Rację ma K. Kerstenowa, że wielu spraw nie sposób pokazać dokładniej, na przykład szczegółowych wyników referendum i wyborów, bo po prostu dokumenty zostały zniszczone i naukowcy dysponują tylko sfabrykowanymi przez władze danymi.

Jeśli od strony rządu i jego postępowania w pracy materiałów jest wiele, to od strony procesu jaki dokonywał się w społeczeństwie stosunkowo mniej. Wydaje się, że w ocenie postawy społeczeństwa wobec polskiej rzeczywistości rację ma T. Łepkowski, który w rozprawie pt. „Myśli o historii Polski i Polaków”, przedrukowanej w *Zeszytach Historycznych* nr 67, 1984, wskazał w jaki sposób elementy rewolucji komunistycznej splątały się z narodowo-demokratycznym antyfaszystowskim ruchem i jak naród po latach ciężkiej okupacji, chociaż niechętny nowej władzy, przystąpił do procesu odbudowy, a hasła narodowe głoszone przez komunistów jak i ich zapewnienia, że Polska utworzy system demokratyczny, który nie będzie naśladował ani wschodniego sąsiada, ani parlamentaryzmu zachodniego, okazały się atrakcyjne. Wśród części społeczeństwa powstawało przeświadczenie, że tak w istocie być może. Większa część społeczeństwa nie wiedziała, że jest od początku do końca oszukiwana, nie wiedziała tego i część postępowej inteligencji, nie wiedziała młodzież, która znalazła się na rozdrożu. Nie wiedziała tego przytłaczająca część Polaków, którzy nawet uwierzyli, że PPR nie jest partią komunistyczną, choć są w niej komuniści nawiązujący do tradycji KPP.

Od siebie dodam, że i oficerowie Wojska Polskiego w swej masie nie zdawali sobie w tych latach sprawy, ku czemu zmierza Polska, i że nawet w kierownictwie PPR, rozprawiającym się bezwzględnie z opozycją, istniały iluzje, że jeśli nawet w przyszłości przystąpi się do budowy zrębów socjalizmu, ustrój ten oparty będzie o polskie narodowe tradycje. Świadczy o tym przykład Gomułki.

Łudził się i Benesz, że uda się w Czechosłowacji zbudować system socjalistyczny niepodobny ani do sowieckiego, ani do liberalnego amerykańskiego (przemówienie z 6 maja 1947). Łudził się bułgarski komunistą Kostow, że uda się stworzyć na Bałkanach unię wszystkich południowych Słowian. Praca K. Kerstenowej traktuje o dramatach jednostek i dramacie narodu, który chciał zachować szczyptę suwerenności narodowej i niezależności

w decydowaniu o swych losach. Podobny dramat w obliczu brutalnej presji przeżyły i inne kraje demokracji ludowej.

K. Kerstenowa tylko sygnalizuje, że podobnie jak w Polsce dławiono wszędzie wszelkie próby zachowania resztek samodzielności, a jeśli chodziło o partie komunistyczne, to podobnie jak w Polsce, tak i na Węgrzech, i w Rumunii, i w Bułgarii, i w Czechosłowacji ofiarą czystki stalinowskiej padał każdy, kto tylko nie podporządkowywał się bez reszty dyrektywom Moskwy. Dobrze się stało, że w pracy dokonano dokładnej analizy procesu wchłonięcia i zniszczenia PPS jako siły politycznej w Polsce. Błąd wypadła jednak rola w tym Cyrankiewicza.

Praca K. Kerstenowej nie ma nic wspólnego ze schematycznym ujęciem zjawisk dokonywujących się w ruchu komunistycznym w Polsce. Nie dzieli ona komunistów na tych, którzy w okresie okupacji byli w kraju i w ZSSR. I ma rację. Podział bowiem na „krajową” i „moskiewską” grupę i w oparciu o niego wyjaśnianie reakcji i powodów tego czy innego postępowania zawodzi. Cóż z tego, że Bierut należał do tzw. grupy krajowej? Podział przechodził między tymi, którzy organizacyjnie i politycznie byli bezwzględnie podporządkowani „wielkiemu bratu” i tymi, którzy związani byli przede wszystkim z polską racją stanu i służyć chcieli swojemu narodowi.

Tu i ówdzie znaleźć można w pracy poślizgi. Wydaje się, że autorka nie znała dokładnie niektórych życiorysów, np. Roli-Żymierskiego czy z innej strony J. K. Wendego.

Praca napisana została w sposób odpowiedzialny. Materiał dostępny autorce został krytycznie oceniony i zweryfikowany, a tam gdzie nie było pewności, podano różne wersje i problem postawiono otwartym.

Wydaje mi się, że niepotrzebnie rozwodzi się autorka nad problemem 17-tej Republiki. O ile wiem i jak to wynika ze strategii Stalina, ten wariant nie był ani przez moment brany pod uwagę w latach 1942-1945, ponieważ plany stalinowskie sięgały dalej. Ten wariant mógł tylko utrudnić Stalinowi zrealizowanie jego planów w odniesieniu do krajów europejskich. Wydaje się, że niektóre cyfry wymagają weryfikacji, np. liczba członków AL — 10.000 — jest o wiele wyższa niż w rzeczywistości. Wydaje mi się też, że polityczna rola wojska była większa, niżby wynikało z pracy Kerstenowej. Ale w porównaniu z osiągnięciami są to niewielkie usterki.

Książka K. Kerstenowej pokazuje, jak drobna grupa ludzi, jaką byli komuniści, w oparciu o wszechstronną pomoc ZSSR jest w stanie utrzymać i utwierdzić władzę oraz narzucić społeczeństwu system obcy jego interesom i jego narodowym aspiracjom. Jest ważnym przyczynkiem do problemu „rola przemocy w historii”. Byłoby dobrze, gdyby praca ta, najlepsze dzieło jakie się na ten temat dotąd ukazało, mogła być przetłumaczona na jeden z wielkich europejskich języków.

Emanuel HALICZ

NA WSCHÓD OD BUGU

Książki warszawskiego Wydawnictwa MON rzadko zasługują na uwagę historyków. Większość z nich to opracowania na poziomie lektury popularnej, słabo lub wcale nie udokumentowanej i natarczywie propagandowej, a pompacyjny sposób narracji, wyraźnie wzorowany na podobnych wydawnictwach sowieckich, zniechęca do ich lektury. Na tym ogólnym tle korzystnie wyróżniają się niektóre tytuły opracowań Wojskowego Instytutu Historycznego, jakkolwiek niektóre z nich nie są wolne od tych i podobnych wad. Czasem jednak z całej tej masy książek, przeważnie poświęconych dziejom drugiej wojny światowej i podkreślających wysoce jednostronnie udział w niej wojsk bloku sowieckiego, znaleźć można pozycje rzucające na dzieje te nieco nowego światła lub też próbujące obiektywnie wyważyć proporcje między udziałem sił komunistycznych i wkładem ich ideologicznych przeciwników we wspólną przecież walkę z Niemcami. Do tej ostatniej grupy zaliczyć trzeba nową książkę Mieczysława Juchniewicza *Na wschód od Bugu* (Warszawa 1985), noszącą znamienity podtytuł „Polacy w walce antyhitlerowskiej na ziemiach ZSRR 1941-1945”. Mając do dyspozycji pokaźną ilość książek na ten temat wydanych na Zachodzie, spróbujmy spojrzeć, jak czytelnikowi krajowemu przedstawia się sprawy dotychczas najczęściej pomijane milczeniem, dotyczą one bowiem takich „ziem ZSRR” jak Wilno, Lwów i całe Kresy Wschodnie.

Bibliografia opracowań, na których Juchniewicz oparł swoje studium nie cytując źródeł archiwalnych, do jakich zapewne sięgał, liczy 117 pozycji, przy czym rzuca się w oczy fakt, że większość z nich to tytuły opracowań i pamiętników białoruskich, litewskich, rosyjskich i ukraińskich, rzadko wykorzystywanych przez historyków zachodnich. Ta jednostronność bibliografii staje się jeszcze bardziej widoczna, gdy spróbuje się znaleźć w niej pozycje wydane na Zachodzie. Poza niemiecką pracą A. C. Dixona i O. Heillbruna *Partisanen* (1956) i tłumaczoną na polski książką D. Stafforda *Wielka Brytania i ruch oporu w Europie* (1984) autor uwzględnił trzy pozycje polskie: *Armie Podziemną* T. Bora-Komorowskiego, *Między Londynem i Warszawą* J. Garlińskiego i... *Nie trzeba głośno mówić* J. Mackiewicza! Niewiele lepiej przedstawia się lista opracowań krajowych. Poza wspomnie-

niami komunistycznych partyzantów Juchniewicz podaje cztery pozycje C. Chlebowskiego, kilka pamiętników żołnierzy AK (zapisanych nie bez błędu — powinno być Fedorowski zamiast Fedorowicz) oraz pracę J. Tucholskiego *Cichociemni*. Drobną rekompensatą za to skrzywienie proporcji jest zamieszczenie rzadko w kraju reprodukowanych fotografii gen. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka” i ppłk. Jana Wojciecha Kiwerskiego „Oliwy”, niestety jednak, stałym zwyczajem Wydawnictwa MON, są one tak grubo retuszowane, że prawie nieczytelne. A przecież przykład wydanej przez Pax książki Tucholskiego pokazuje, że na najgorszym, gazetowym niemal papierze drukować można stare fotografie bez zamazywania rysów. Cenną natomiast innowacją, dotychczas niemal nie spotykaną w popularnych książkach Wydawnictwa MON, jest indeks nazwisk i pseudonimów, stanowiący lekturę fascynującą. Pobieżne nawet obliczenie nazwisk zidentyfikowanych przynależnością organizacyjną pokazuje, że podczas gdy z ruchami lewicowymi związanych było ok. 300 z podanych w indeksie osób, do organizacji AK-BCH należało ok. 200 osób, podczas gdy 150 osób to Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy i Litwini. Nie dysponując innymi danymi statystycznymi proporcje te należy przyjąć z uwzględnieniem specjalnej uwagi, jaką autor poświęca organizacjom lewicowym i kierowanemu przez Sowietów ruchowi partyzanckiemu oraz temu, że pracę swą oparł przede wszystkim na bibliografii sowieckiej.

Mieczysław Juchniewicz nie jest debiutantem. Ma on na swoim koncie wydawniczym szereg opracowań podobnych do omawianej tu pracy, m.in. napisaną wraz z Władysławem Górą książkę *Walczyli razem* (Warszawa 1972) „o współdziałaniu polskich i radzieckich oddziałów partyzanckich w latach drugiej wojny światowej”. Sam też, jak podaje, był partyzantem „oddziału rozpoznawczo-dywersyjnego z Centrum Operacyjnego Wywiadu Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej” (str. 86) w okolicach Pińska, zna więc tematykę z autopsji i własnych przeżyć „na ziemiach ZSRR”. Jak zatem na doświadczonego autora przystało, rozpoczyna swą książkę krótkim wstępem na temat ogólnej sytuacji politycznej Europy przed 22 czerwca 1941 roku, przy czym okres dwudziestu dwóch miesięcy panowania „władzy radzieckiej” na Kresach Wschodnich kwituje stwierdzeniem o „popiepszeniu warunków bytu znacznej części ludności” (!) mimo „błędów popełnionych przez centralizację państwową i instytucje partyjne wobec Polaków”. „Błędy te — jak pisze — były konsekwencją 'kultu jednostki' i nieznajomości spraw polskich” (str. 22). Krótko i zgodnie z oficjalną tezą.

Nieco więcej miejsca poświęca Juchniewicz rozwojowi „sto-

sunków polsko-radzieckich” w okresie 1941-1943, nie informuje jednak czytelnika, co spowodowało „brzemienne w skutkach napięcie i zawieszenie 25 kwietnia 1943 roku stosunków dyplomatycznych”, wywołujące „wśród przebywających na terenach ZSRR Polaków rozgoryczenie i przygnębienie” (str. 24). Był bowiem „rząd RP w Londynie uważany przez zdecydowaną większość Polaków za prawowity” (str. 22), toteż mimo iż na terenach na wschód od Bugu — jak twierdzi autor — poza Wilnem i Lwowem ośrodki pracy konspiracyjnej ZWZ w okresie okupacji sowieckiej „zostały zlikwidowane lub same zaprzestały działalności”, gdyż „nie było bazy społecznej i ideowej” (str. 133), to już pod okupacją niemiecką w ruchu partyzanckim „z bronią w rękę walczyło 12-15 tys. Polaków — obywateli polskich, oraz znaczna ilość Polaków — obywateli radzieckich”, a w „organizacjach konspiracyjnych oraz jednostkach partyzanckich podziemia związanego z rządem polskim na emigracji w Londynie — Armia Krajowa oraz inne formacje konspiracyjne i partyzanckie — ogółem kilkadziesiąt tysięcy ludzi” (str. 20). Nie próbując polemizować z definicją obywatelstwa, jak wiadomo odebranego mieszkańcom Kresów już w 1939 roku, przytoczyć jeszcze warto bardziej już konkretną cyfrę z podsumowania pracy Juchniewicza, a mianowicie konkluzję, że „ogółem z bronią w rękę walczyło w radzieckim ruchu partyzanckim oraz w oddzielnych polskich formacjach ruchu oporu (Armii Krajowej, Batalionach Chłopskich, oddziałach zbrojnych samoobrony) ponad 50 tys. Polaków” (str. 211). Próbując wyplątać się z niekonsekwencji własnego rozumowania — tam, gdzie „nie było bazy społecznej i ideowej” już w rok później powstają szczegółowo wyliczone polskie oddziały, pułki, brygady i dywizje — Juchniewicz znajduje zgodne z marksistowską dialektyką i oficjalną wersją historii wyjaśnienie: „Tak więc reakcyjna postawa dowództwa AK odróżnia się wyraźnie od podstawowej masy członków tej organizacji, którymi kierowało dobro sprawy i chęć bezkompromisowej walki z najeźdźcą hitlerowskim” (str. 214). Szkoda, że autor zapomniał, jak to żołnierze wileńskich brygad masowo odmawiali wstąpienia do armii Berlinga, upominając się o uwolnienie swoich „reakcyjnych dowódców”... Ale oficjalna wersja obowiązuje, wystarczy zajrzeć do wznovionych niedawno przez to samo Wydawnictwo MON pamiętników Stanisława Popławskiego, sowieckiego dowódcy 45 Korpusu Armii Czerwonej, który twierdzi, że „okręgi AK Wilno i Nowogródek wystawiły 1, 19 i 20 dywizje piechoty AK”, ale „na rozkaz polskiego rządu emigracyjnego wojska te nie angażowały się do walki” (*Towarzysze frontowych dróg*, Warszawa 1984, str. 136).

Z przytoczonych wyżej fragmentów wnioskować by można, że w zasadzie książka Juchniewicza niewiele różni się od dzieła poprzedzających ją wydawnictw, uważniejsze jednak spojrzenie potwierdza, iż podaje ona znacznie więcej i bardziej obiektywnych informacji o partyzantce niekomunistycznej za Bugiem i że stanowi ogromny krok naprzód w porównaniu do wcześniejszej o dwanaście lat pracy Góry i Juchniewicza: podczas gdy w poprzedniej dominowały fotografie różnych Matewosjanów, Andriejewów i Paramonowych, nowa publikacja poświęca prawie sto stronice „ruchowi oporu podporządkowanemu rządowi RP w Londynie” (str. 129-209). Pozostawiając na boku materiały omawiające działalność Polaków związanych z ruchem komunistycznym, której autor poświęcił dostateczną ilość miejsca, przyjrzyjmy się bliżej pewnym sprawom dotychczas albo całkowicie pomijanym przez polskich historyków AK na Zachodzie, albo też wspomnianym tylko marginesowo. Idzie m.in. o organizację lokalnej samoobrony oraz organizację powstającą spontanicznie i dopiero w trakcie rozwoju wypadków kształtującą swoje oblicze ideowo-polityczne czy też podporządkowanie jednej z dwóch działających na Kresach organizacji, które umownie nazwać możemy orientacją londyńską i orientacją moskiewską, do tego bowiem w ostatecznym rezultacie sprowadzała się kwestia podporządkowania.

Czynnikiem zgoła zasadniczym w stopniowym wypieraniu wpływów „londyńskich” była wzmagająca się od 1943 roku penetracja emisariuszy i partyzantki sowieckiej, coraz mocniejszą stopą wkraczających na tereny zabużańskie w miarę zbliżania się frontu po zakończeniu rosyjskiej operacji stalingradzkiej. Jako przykład podać tu można historię oddziału Roberta Satanowskiego, zorganizowanego na Wołyniu w 1942 roku w ramach lokalnej samoobrony. Warto też przy okazji przypomnieć, że zbeletryzowane dzieje tego oddziału opisała Zofia Drózdź-Satanowska w książce *Niewydeptane ścieżki*, wydanej zaraz po wojnie, w 1947 roku, przy czym książka jej, szczerą i uczciwą, pisana była swojego rodzaju szyfrem, mającym na celu ukrycie pewnych powiązań właśnie politycznych: twórca i komendant oddziału ani razu nie został tam wymieniony po nazwisku i występował jako anonimowy „dowódca”. Z książki Juchniewicza dowiadujemy się o powodach tej anonimowości. Zaraz po wkroczeniu na Wołyn osławionego gen. Begmy, skierowanego tam z zadaniem podporządkowania sowieckim władzom lokalnego ruchu partyzanckiego, „na początku maja [1943 r.]... Robert Satanowski wraz z Zofią Drózdź-Satanowską na zaproszenie KC KP Ukrainy i Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego odleciał samolotem do Moskwy”, a oddział podporządkowany został bezpośrednio Begmie i do-

wódcy drugiego zgrupowania płk. Iwanowi Fiodorowowi (str. 41), co oznaczało zlikwidowanie samodzielności polskiej partyzantki. Nie było to bynajmniej ostatnie „zaproszenie” do Moskwy — rok później, już na Lubelszczyźnie, gdy Satanowski znalazł się tam jako dowódca Zgrupowania Partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła”, a Zymierski powierzył mu zorganizowanie 8 Dywizji Piechoty zbudowanej na kadrze partyzantki AK, Satanowskiego „zaproszono” powtórnie, a dywizję objął niejaki płk Iwanczura... Tereny zabużańskie stanowiły też wygodną odeskoczną do dalszej infiltracji terenów Polski centralnej — z pracy Juchniewicza dowiadujemy się na przykład, jak to latem 1943 roku przybyli do operującego na Polesiu oddziału partyzanckiego „działacze polityczni przygotowani do walki konspiracyjnej na tyłach wroga w podmoskiewskiej miejscowości Kunczewo” (str. 95). Oddział ten przyjął m.in. grupę Leona Kasmana, późniejszego redaktora *Trybuny Ludu*, która wysłana została przez Dymitrowa i Manuilskiego z zadaniem przedostania się za Bug „i zdobycia informacji o sytuacji na ziemiach polskich. Do Moskwy dotarły bowiem niepokojące wieści o wyspie w PPR i aresztowaniu jej kierownictwa” (str. 96). Wykorzystanie a następnie likwidacja polskiej partyzantki pozwalały Rosjanom na coraz łatwiejsze dotarcie na tereny przyszłych operacji politycznych.

Całkowite jednak opanowanie terenów na wschód od Bugu nie było bynajmniej zadaniem łatwym, krzepła tam bowiem i rozwijała się coraz bardziej siatka AK, toteż Rosjanie nie szczędzili wysiłków, żeby rozbić ją, atakując najsłabsze ogniwa, tj. pojedynczych ludzi, wykorzystując takie czy inne motywy ich postępowania. Juchniewicz podaje dość rewelacyjną historię niejakiego kapitana Adama Bernarda Świętorzęckiego, „b. oficera francuskiej Legii Cudzoziemskiej i Wojska Polskiego”, od 1941 roku inspektora AK na powiat nieświeski. „Szukając możliwości aktywnej walki z wrogiem, 55-letni wówczas b. kapitan Legii Cudzoziemskiej jesienią 1942 roku nawiązał kontakt z radzieckim oddziałem partyzanckim”, a potem objął funkcję zastępcy dowódcy polskiej 20-osobowej grupy wywiadowczo-operacyjnej w brygadzie partyzanckiej im. Czkałowa. Operując na terenach Nowogródzczyzny, a później Puszczy Iwieniecko-Nalibockiej, grupa ta „była traktowana przez dowódcę brygady im. Czkałowa jako polski oddział partyzancki im. Jarosława Dąbrowskiego”, potem zaś, wskutek braku zatwierdzenia jej samodzielności przez Białoruski Sztab Ruchu Partyzanckiego, została wcielona do sowieckiej brygady, sam zaś Świętorzęcki „zginął w początkach 1944 roku w niewyjaśnionych okolicznościach” (str. 101-102). Jego nazwiska ani śladów całej historii nie można znaleźć u żadnego z historyków

działalności AK tamtejszego terenu, być może dlatego tylko, że należy ona do rzędu spraw niesławnych, takich jak np. sprawa grupy AK kpt. Wacława Alchimowicza „Ireny” spod Grodna, która w sierpniu 1942 roku „przeszła do ludowej partyzantki” (?) i „w tajemnicy przed dowództwem AK dokonywała akcji sabotażowych i mniejszych dywersji”, aby potem, na przełomie lat 1943-1944, podporządkować się brygadzie im. Lenińskiego Komsomołu i wraz z nią, po zajęciu terenu baranowickiego przez Rosjan, zostać „włączoną w skład batalionu NKWD do działań specjalnych (walki z dywersantami i maruderami)” (str. 104-105). Z książki Jana Erdmana *Droga do Ostrej Bramy* (Londyn 1984) dobrze znamy „działania specjalne” tych batalionów — ich to przecież ofiarą padł m.in. Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, *nota bene* w pracy Juchniewicza w ogóle nie wspomniany, jeden z trzech cichociemnych zabitych czy dobitych przez NKWD w walce pod Surkontami. Ale życie dopisuje ironiczne epilogi nawet do historii zdrady. W pracy Janusza Prawdzic-Szlaskiego *Nowogródzczyzna w walce 1940-1945* czytamy o dalszych losach Alchimowicza:

„W roku 1944 po przyjeździe Armii Czerwonej został mianowany komendantem MO w centralnej Polsce. Niezadowolony z nowych stosunków zrywa z nimi i zaczyna prowadzić robotę konspiracyjno-partyzancką przeciw nowej władzy Polski Ludowej na własną rękę. W krótkim czasie oddział jego został rozbity, a on sam dostał się do więzienia i w niedługim czasie, tj. w 1947 roku w czerwcu został rozstrzelany” (str. 73).

Otwarcie pisze Juchniewicz o „desantowych grupach rozpoznawczo-dywersyjnych” zrzuconych na tereny zabużańskie i identyfikuje je jako grupy „organów wywiadu Armii Radzieckiej oraz organów bezpieczeństwa (NKWD)” (str. 109-110), które „chętnie werbowwały Polaków ze względu na znajomość terenów i często języka niemieckiego”. I mimo że wśród nazwisk „paraszytystów” spotkać można niektóre znane z powojennej historii PRL, jak np. późniejszego generała lotnictwa Jana Frey-Bieleckiego, nieodparcie powraca na pamięć złowroga postać Raczenki-Nikitina z powieści Mackiewicza, który na stałe do literatury polskiej wprowadził takiego właśnie przedstawiciela „grupy desantowej”. Juchniewicz na szczęście unika przesady i nie posuwa się tak daleko, jak wileńska komunistka Anna Jędrychowska, która w swoich wspomnieniach *Zygzakiem i po prostu* (Warszawa 1965) pisze, że „partyzantka radziecka na Litwie i Białorusi, zasilona przez spadochroniarzy ze Związku Radzieckiego, była bardzo silna.

W Puszczy Rudnickiej stacjonowały kolumny wojsk desantowych” (str. 340). Działalność jednostek była dostatecznie destrukcyjna.

Ale nie tylko jednostek. Mimo, że trudno było znaleźć wokół Wilna sowieckie „kolumny wojsk desantowych”, coraz liczniejsze oddziały ich partyzantki wywierały fizyczną presję na oddziały polskie, niekiedy liczebnie słabsze i gorzej zaopatrzone w uzbrojenie i amunicję. Juchniewicz sprawy te omawia znaną metodą niedopowiedzeń lub zamazywania ostrych konturów krwawych nieraz konfliktów. Piszę więc m.in. o „oddzielnym polskim oddziale partyzanckim im. Bartosza Głowackiego”, sformowanym jesienią 1943 roku nad jeziorem Narocz z b. partyzantów oddziału AK „Kmicica” (rtm. Antoni Burzyński), rozbrojonego 26 sierpnia 1943 roku przez sowiecką i 1 Wilejską Brygadę Partyzancką im. K. Woroszyłowa. „Partyzanci wyrazili zgodę na działanie w radzieckim ruchu partyzanckim”. Oddział ten, dodaje autor, działał krótko, „gdyż w wyniku odwetu został rozbity przez brygadę AK „Łupaszki”, a dowódca rozstrzelany” (str. 118). Mając w pamięci sławetny rozkaz generała-lejtnanta Ponomarenko, nakazujący w dniu 1 grudnia 1943 roku „przystąpić do osobistego rozbrajania wszystkich polskich legionistów [partyzantów]”, cytowany w pracy Prawdzic-Szlaskiego na str. 111, a także losy rozbrajanych, tak wymownie opisane w *Losach cichociemnych* (Londyn 1972), trudno zaiste dziwić się „wyrażeniu zgody”... W tym jednak przypadku — jak się dowiadujemy z książki Bronisława Krzyżanowskiego *Wileński matecznik 1939-1944* (Paryż 1979) — „ostatecznie większość tych ludzi uciekła i zasilła polski oddział kawalerski Łupaszki — późniejszą 5-tą Brygadę” (str. 238).

Sprawie rozwoju konspiracji ZWZ-AK na Wileńszczyźnie poświęca Juchniewicz sporo miejsca, dochodzi jednak do wniosku, że po przyłączeniu terenów tych do Związku Sowieckiego w 1940 roku „tolerowana dotychczas przez Litwinów działalność konspiracyjna Polaków w Wilnie i okolicy w nowej sytuacji nie miała warunków rozwoju” (str. 132). Nie wdając się też w wyjaśnienia przyczyn przechodzi do okresu okupacji niemieckiej i omawia dość obszernie strukturę sieci organizacyjnej AK na całych Kresach, pisze pozytywnie o „Wachlarzu” i sieci wywiadu strategicznego WW-72, pisząc zaś o działaniach partyzantki AK nie waha się wspomnieć o rozbrajaniu Polaków przez oddziały sowieckie, jak to np. miało miejsce w przypadku 1 batalionu 78 pp. AK w Puszczy Iwieniecko-Nalibockiej. Pisząc o innych organizacjach i grupach konspiracyjnych podporządkowanych rządowi RP, obiektywnie wspomina o Uderzeniowych Batalionach Kadrowych pod dowództwem Bolesława Piaseckiego, działających za Bugiem.

Pełne uznania słowa o organizacji i działalności AK znajdujemy w rozdziałach dotyczących Lwowa, z tym przecież, że zabrakło krajowemu historykowi odwagi, żeby po omówieniu roli kolejnych komendantów tego obszaru, Karaszewicza-Tokarzewskiego i Rudnickiego, wymienić nazwisko ich następcy, Okulickiego, który przecież do Lwowa dotarł już w październiku 1940 roku i prowadził tam robotę organizacyjną aż do momentu aresztowania go przez NKWD w styczniu 1941 roku. Pisząc o Obszarze AK Lwów pod okupacją niemiecką Juchniewicz określa go jako należący „do najlepiej zorganizowanych i najaktywniejszych ogniw konspiracji podporządkowanej rządowi RP w Londynie” (str. 168). Warto przypomnieć, że historia tego terenu, w przekazach krajowych pokrywana przez czterdzieści lat całkowitym milczeniem, nagle doczekała się zupełnie rewelacyjnych wspomnień wydrukowanych latem 1983 roku w krakowskim *Życiu Literackim*, co z kolei spowodowało istną lawinę uzupełnień i listów, z których Juchniewicz obficie korzysta, powołując się na poszczególnych autorów (str. 144). „Funkcjonująca we Lwowie tajna Szkoła Podchorążych — pisze np. Juchniewicz — wyszkoliła około 7 tys. dowódców” (str. 171). Dla czytelnika krajowego, przywykłego do spisywania terenów kresowych na straty, są to wiadomości niemal sensacyjne, tym bardziej gdy firmuje je nazwisko autora i prestiż wojskowego wydawnictwa.

Ostatnim akcentem działań polskiej partyzantki za Bugiem była próba przeprowadzenia na Lubelszczyznę partyzantów, ocalałych z ciężkich bojów i prób rozbrajania oddziałów, toteż Juchniewicz sprawie tej poświęca krótki rozdział, niestety jak zwykle nie doprowadziany do końca. Raz więc jeszcze warto sięgnąć do innego źródła, tym razem krajowego, które otwarcie opisuje przedostatni dzień partyzanckiej epopei już na zachód od Bugu. Opisując dzień 24 lipca 1944 roku w Dubartowie Michał Fijałka pisze w swojej pracy *27 Wotyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej* (Lublin 1981):

„Tam już byli obecni płk Korczyński, członek Wojewódzkiej Rady Narodowej Kuszyk, szef sztabu III Korpusu Radzieckiego, generał i dwóch jego pułkowników. Rozmowa od pierwszej chwili była burzliwa. Ze strony płk. Korczyńskiego padały zarzuty pod adresem 27 dywizji: burżuje, reakcjoniści, kapitaliści itp. Strona radziecka wyraziła zdziwienie z racji braku jedności wśród Polaków, kiedy należy walczyć z Niemcami” (str. 135).

Długoplanowa akcja za Bugiem przyniosła teraz spodziewane rezultaty: rękami polskich komunistów Rosjanie mogli rozbra-

jać oddziały Armii Krajowej, podobnie jak w ciągu następnych miesięcy tępić je mieli przy pomocy jednostek UB i milicji. I tym też chyba akcentem zakończyć należy omówienie książki Juchniewicza, tak bowiem w rzeczywistości zakończyły się dzieje polskiej partyzantki na wschód od Bugu.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Wybór kilku pozycji spośród wielu książek dotyczących najnowszej historii Polski jest w jakimś stopniu arbitralny, a uzasadnienie wyboru nie zawsze łatwe. Ale moje uwagi nie претенdują do wyczerpującego przeglądu. Po prostu chciałbym się podzielić z czytelnikami *Zeszytów* impresjami odnośnie kilku tytułów, które zasługują na szczególną uwagę. Na terenie USA ukazał się okazały tom pt. *Forgotten Holocaust: The Poles under German Occupation 1939-1944* (Lexington, Ky., 1986), którego autorem jest Richard C. Lukas, znany z dwóch poprzednich prac dotyczących stosunków polsko-amerykańskich w czasie i po drugiej wojnie światowej. Książka potrzebna i dająca systematyczny przegląd martyrologii polskiej podczas drugiej wojny. Nie chodzi tutaj oczywiście o jakieś „konkurowanie” z wydawnictwami o zagładzie Żydów, ale dobrze jest przypomnieć na Zachodzie i o stratach ludności polskiej. Czytelnikom zainteresowanym wydawnictwami bardziej specjalistycznymi polecam długi artykuł pióra Kay Lundgreen-Nielsena, „Sprawa bezpieczeństwa Polski pomiędzy wielkimi mocarstwami 1919-1934: przegląd literatury historycznej”, *Niepodległość*, tom XIX (1986), str. 91-115.

Skoro mowa o historii dyplomatycznej, pragnę zwrócić uwagę na pozycję, która oficjalnie weszła na rynek w czerwcu br. Jest to wydana w Anglii i USA praca zbiorowa pod redakcją kanadyjskiego historyka Gordona Martela, pt. *The Origins of the Second World War Reconsidered: The A. J. P. Taylor Debate after Twenty-Five Years* (wydawca Allen & Unwin). Dwunastu historyków, nawiązując do wydanej przed ćwierćwieczem znanej i kontrowersyjnej książki Taylora — której tezy odnośnie Hitlera wywołały ostrą polemikę — zastanawia się, do jakiego stopnia interpretacja Taylora wytrzymała próbę czasu. Poszczególne rozdziały są tematyczne i autorzy ustosunkowują się w nich do interpretacji i

ujęć Taylora w świetle obecnych badań. Tytuły rozdziałów (w przekładzie) brzmią następująco: „Rewizjonista jako moralizator” (Martel); „Rok 1918 i później” (Sally Marks); „Koniec Wersalu” (S. Schuker); „Zmiana partnerów... Włochy” (A. Cassels); „Taylor a zagadnienie Francji” (R. Young); „Polityka zagraniczna Hitlera” (N. Rich); „*Appeasement*” (P. Kennedy); „Taylor a Rosjanie” (T. Uldricks); „Polska między wschodem a zachodem” (P. Wandycz); „Izolacjonizm i *appeasement*” (L. Gardner); „Czynnik azjatycki” (Akira Iriye) oraz epilog (E. Ingram). Całość, pobudzająca do refleksji i dyskusji, powinna zainteresować polskiego czytelnika. Bibliografia najważniejszych opracowań stanowi pożyteczne uzupełnienie tomu.

W Niemczech zachodnich Kurt Doss opublikował niedużą pracę pt. *Zwischen Weimar und Warschau: Ulrich Rauscher, deutscher Gesandter in Polen 1922-1930, eine politische Biographie* (Düsseldorf 1984). Opracowanie to stanowi przyczynek do historii stosunków polsko-niemieckich, a więc będzie interesujące dla historyka dyplomacji, a równocześnie daje dobry szkic biograficzny człowieka, który spędził osiem lat w Warszawie jako poseł niemiecki, a był przy tym dość barwną i niecodzienną postacią. Książka nie zawiera rewelacji, ale czyta się dobrze. Autor wykrzystał literaturę zachodnią, ale widocznie nie zna polskiego i nie mógł korzystać z opracowań w tym języku. Być może się myłę, ale chyba polskie wydawnictwa emigracyjne zbyt rzadko odnotowują opracowania z historii Polski wydane w Niemczech. Na przykład zwięzły zarys historii Polski pióra Jörg K. Hoenscha, *Geschichte Polens* (Stuttgart 1983) został bardzo pozytywnie oceniony przez specjalistów w Kraju. Jeśli pamiętamy o wydanej w latach 1960-tych historii Polski Gottholda Rhode, to trzeba przyznać, iż Niemcy górują nad innymi krajami zachodu w syntetycznych opracowaniach tego typu.

We Francji ukazała się w serii „Historia i terażniejszość”, wydawanej przez Libellę, książka Krystyny Kersten *Narodziny systemu władzy: Polska 1943-1948* (Paryż 1986). Przyznam się, że dzieło to na razie tylko przejrzałem, dlatego też ograniczę się jedynie do zasygnalizowania tej pozycji. Wnosząc z bazy źródłowej, jest to najlepiej udokumentowana praca, jaką posiadamy. Z przedmowy widać, że jest to rzecz napisana przez fachowca. Jeśli uważna lektura nie wpłynie na zmianę pierwszego wrażenia, to gotów jestem sądzić, iż jest to najpoważniejsza, a w pewnym sensie unikalna książka o dużej wartości. W powyższej serii ukazują się opracowania pisarzy krajowych; z poprzednich pozycji warto wymienić Jacka M. Majchrowskiego *Genezę politycznych ugrupowań katolickich* (1984) i pobudzające do refleksji, jak wszystkie prace tego autora, *Style politycznego myślenia Marcina Króla*.

Z wydawnictw krajowych chciałbym zwrócić uwagę na trzy pozycje. Pierwsza z nich, Marka Baumgarta *Wielka Brytania a*

odrodzona Polska 1918-1933 (Szczecin 1985) dotarła do mnie za ledwie przed kilku dniami. Praca robi wrażenie solidnej i naukowej. Baza źródłowa pokaźna, choć ograniczona — o co autora winić nie można — do archiwaliów krajowych. Trudno wyrokować o zaletach książki z lektury krótkiego zakończenia, ale można powiedzieć, iż konkluzja jest wyważona i świadczy dobrze o naukowym podejściu autora. Gdy przypominają się udające historię „agitki” z okresu stalinowskiego, oddycha się mimo wszystko z ulgą, czytając prace nawet z historii najnowszej. W tym sensie nie jest zawodem drugi tom pracy zbiorowej pt. *Życie polityczne w Polsce 1918-1939*, wydawnictwa Wszechnicy Polskiej Akademii Nauk, seria „Najnowsze osiągnięcia nauki” (Ossolineum 1985). Poprzedni tom nosił nazwę *Polska niepodległa* (1984) i obejmował rozdziały takich autorów jak Żarnowski, Łossowski, Landau, Ajnenkiel i Tomaszewski na temat spraw zagranicznych, konstytucyjnych, narodowościowych i społeczno-gospodarczych. Tom drugi (Wapiński, Czubiński, Żarnowski, Szaflik, Władyka, Nałęcz, Tomicki, Hildebrandt, Bender) koncentruje się na kierunkach i partiach politycznych, młodzieży i Kościele katolickim.

Mówiąc o Kościele, zdumiewa mnie cisza wokół książki Bohdana Cywińskiego, która ukazała się przed czterema laty. Mam na myśli *Ogień próbowane, Korzenie tożsamości: Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej* (Rzym, Papieski Instytut Studiów Kościelnych). Książka nie figuruje w katalogach polskich księgarń w Londynie, Paryżu czy Chicago i uzyskanie jej nie jest wcale proste. A jest to rzecz cenna i chyba jedyna w swoim rodzaju. Rozdział wstępny stanowi szczególnie interesującą próbę rozważań na temat metodologii tematu, bo Cywińskiego interesuje coś więcej niż historia struktur kościelnych czy chronologia wydarzeń związanych z tematyką religijną. Praca jego dotyczy doświadczeń, „jakie Kościołowi katolickiemu w krajach Europy środkowo-wschodniej przyniosła historia najnowsza”, w szczególności to, co nazywa on „zderzeniem Kościoła z systemem komunistycznym” (str. 8). Cywiński pokrótce charakteryzuje próby możliwych interpretacji — światopoglądowej, socjologicznej, politycznej — aby wypowiedzieć się za studium porównawczym, w różnych krajach, „relacji zachodzących między trzema podmiotami: Kościołem, władzą państwową i społeczeństwem” (str. 27). Albo, ujmując to nieco inaczej, pisze: „Celem tej pracy było zbadanie historycznie ukształtowanego miejsca wiary i Kościoła katolickiego w życiu dziesięciu sąsiadujących ze sobą społeczeństw narodowych”.

Autor zdaje sobie dobrze sprawę ze złożoności tematu i podkreśla próbny charakter swej syntezy. Traktuje też swą książkę raczej jako esej niż jako dzieło naukowe *sensu stricto*, jakkolwiek znajdujemy w tej pracy sporo materiału faktograficznego (prawie podręcznikowego). Ale rozdział wstępny pobudza szczególnie do rozważań: dobrze byłoby, aby mógł się ukazać w formie przedruku w którymś piśmie polskim w kraju czy na Zachodzie.

Wreszcie ostatnia pozycja, *last but not least*, nad którą chciałbym się zatrzymać trochę dłużej, bo łączy wielkie walory dzielnopisarskie z talentami literackimi, to *Popioły i korzenie* Emanuela Mateusza Rostworowskiego (wyd. Znak, Kraków 1985). Jest to książka, którą smakuje się jak stare i wytrawne wino, rzecz pod wielu względami nietypowa. Na pierwszą jej część pt. „Rzeczpospolita” składają się artykuły i eseje (większość drukowana w *Tygodniku Powszechnym*), traktujące o wieku XVIII. Rostworowski jest najwybitniejszym specjalistą z tej dziedziny w Polsce i jego sformułowania i osądy, nawet w sprawach, o których zdawałoby się nie można nic nowego powiedzieć, są ważne i cenne. Wśród wielu tego typu uwag uderzyła mnie trafność zdania na temat rozbiorów Polski. Określając je jako „kolosalny przewrót w 'systemie europejskim'”, Rostworowski zauważa, iż „odzyskanie przez Polaków niepodległości mogło się dokonać jedynie w ramach przewrotu europejskiego na podobną, a nawet jeszcze większą skalę”. Przechodząc do części drugiej, autor pisze, iż „mijając maciejowicki słup graniczny zdejmuję cechowy fartuszek” jako ekspert, ale nie ma zamiaru stosować uników w rodzaju „wprawdzie nie jestem specjalistą, ale wydaje mi się, iż...”. Wprost przeciwnie, Rostworowski zagłębia się w tematykę wieku XIX, a w ostatnich częściach i XX bez oporów i zahamowań. Robi to jednak w sposób oryginalny, a mianowicie poprzez studium czterech rodzin, pradziadków autora. „Album rodzinny”, który Rostworowski tu prezentuje, mógłby u kogoś innego zamienić się w pokaz snobistyczno-genealogiczny. Rostworowskiemu to nie grozi, znajduje on nawet pewne upodobanie w uwagach na temat „hrabiów kopertowych”, do których zalicza i swych przodków po mieczu.

Trzeba przyznać, iż te cztery rodziny (Rostworowscy, Moszyńscy, Popielowie i Dunin-Borkowscy) świetnie się nadają do *genre'u*, który można by określić jako studium elit. Postacie takie jak Piotr Moszyński, Paweł Popiel czy Leszek Borkowski, a wreszcie ojciec autora Karol Hubert są fascynujące same przez się. Pod piórem Rostworowskiego stają się jeszcze bliższe czytelnikowi, gdyż autor ma duży dar charakterystyki osób, nie mówiąc już o umiejętności narracyjnej. Książka jako całość należy do tych, do których wraca się wielokrotnie, podziwiając erudycję i kulturę jej twórcy i doceniając nutkę ironii i swoiste poczucie humoru, z jakim Rostworowski odnosi się do swych bohaterów-antenatów. Książka starannie wydana z dobrymi odbitkami zdjęć, za co winniśmy wdzięczność wydawnictwu.

Piotr WANDYCZ

POLACY I UKRAIŃCY

Jeden z naszych przyjaciół otrzymał od swego korespondenta z Kraju dwa listy, napisane pod wrażeniem nowej książki Edwarda Prusa „Herosi spod znaku tryzuba” (Warszawa 1985):

5 marca 1986 (...) Dziś książkę tę kupiłem, więc nie zapoznałem się z nią bliżej. Mam jednak wrażenie, że wiem, jakiego rodzaju to publikacja. Uważam wszakże, iż zasługuje na przeczytanie. Mimo zastrzeżeń do pewnego swoistego tonu nie mogę zbyt ostro krytykować autora. Pamiętam bowiem, jak opuszczaliśmy Podhajce w styczniu 1944 roku. Ostatnią noc przeżyliśmy z jeszcze dwiema innymi polskimi rodzinami w jednym mieszkaniu, znajdującym się na piętrze budynku, którego parter zajmowało wojsko niemieckie. Miało to, w przekonaniu moich rodziców, zabezpieczyć nas przed wtargnięciem Ukraińców. Tej nocy wiele innych polskich rodzin nocowało w kościele. Później dowiedziałem się, że na tym nie zakończył się dramat Polaków w Podhajcach. Proboszcz, który chrzczył mnie i moją siostrę, został zabity na progu plebanii. Zachował się list mojego ojca pisany do babci na krótko przed wyjazdem do Lwowa. List utrzymany jest w dramatycznym tonie. Znam też wiele wstrząsających relacji o tym, co działo się na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Tymczasem w „Pidhajeckiej Ziemi” („Pidhaisi i Pidhaiechyna”, Toronto 1980) brak o tych tragicznych wydarzeniach słowa. Wiele natomiast rozwodzą się autorzy o bohaterskich czynach UPA. Jest tam m.in. wzmianka o „sławnym kureniu — Siromanci”, który odznaczył się w walkach z AK i „innymi polskimi grupami podziemnymi”, niszczącymi ukraińską Chełmszczyznę „woh-nem i meczem”.

Rozumiem i doceniam potrzebę spokojnego spojrzenia na przeszłość polsko-ukraińską. Znam i nie bagatelizuję przyczyn nienawiści do Polaków. Wiele złego wyrządziliśmy narodowi ukraińskiemu. Jednak metody stosowane przez OUN nie mogą być usprawiedliwiane. Brakuje mi zresztą czegoś innego. Brakuje wyraźnego stwierdzenia przez współczesnych historyków Ukraińców, że to czego dopuszczała się UPA wobec bezbronnej ludności polskiej było zbrodnią.

W 1981 roku widziałem na dworcu plakat — poświęcony zresztą innej sprawie — na którym umieszczono zdanie: „Przebaczamy tym, którzy zrozumieli”. To samo chciałoby się powiedzieć w tej kwestii. Droga do przebaczenia, porozumienia, a w przyszłości do współdziałania musi prowadzić przez otwarte przyzna-

nie się do popełnionych win. W naszej historiografii zrobiono chyba jednak więcej na tej drodze.

Niedawno przeczytałem artykuł o Metropolicie Szeptyckim, którego nieznaną autor kryjący się pod kryptonimem „P.L.” wskazuje, ile złego wyrządzają dziś jeszcze Polacy Ukraincom. Z wieloma faktami trzeba się zgodzić. Oczekiwać trzeba jednak rewanżu w samokrytycyzmie. (...)

12 kwietnia 1986. Nie czekając na odpowiedź piszę do Pana ponownie, chcąc podzielić się z Panem uwagami o książce Prusa.

Autor „Herosów spod znaku tryzuba” poruszył w swej pracy zagadnienie, któremu poświęcono w krajowej literaturze historycznej mało uwagi. Poza książkami R. Torzeckiego „Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy” i A. B. Szcześniaka, W. Z. Szoty „Droga do nikąd” nie było właściwie innych poruszających tę tematykę prac. Tymczasem zagadnienia stosunków polsko-ukraińskich w okresie od listopada 1918 roku do pierwszych lat po drugiej wojnie światowej są nie tylko interesujące poznawczo, ale posiadają znaczenie polityczne. Ten ostatni aspekt zaciążył również nad stosunkiem E. Prusa do badanego problemu. Książka bowiem z jednej strony ma ambicje naukowe, opiera się na bogatej literaturze przedmiotu i na archiwaliach, a z drugiej strony pozbawiona jest aparatu naukowego w formie przypisów i operuje stylem bardziej właściwym dla polemisty polityka, aniżeli dla historyka.

Są dwie sprawy, które narzucają się czytelnikowi tej publikacji. Pierwszą z nich jest tragiczny w swej wymowie rezultat działalności terrorystów ukraińskich i ich organizacji wojskowych — szczególnie w końcowym okresie drugiej wojny. Drugą — problem ukraińskich aspiracji narodowych, określanych przez autora wyłącznie mianem nacjonalizmu.

Pierwsza sprawa jest dla Polaka tak bolesna, iż trudno o obiektywizm. Uderza mnie jednak, iż w książce swojej Prus nie usiłuje w najmniejszym stopniu dociec przyczyn tragedii ludności polskiej, jednostronnie szukając winnych wyłącznie po przeciwnej stronie. Tymczasem problem, jak sądzę, nie jest tak prosty. Warto przypomnieć sobie, że w dziejach naszych narodów nie pierwszy to wypadek, gdy Ukraińcy dokonywali potwornych rzezi Polaków i Żydów. Wystarczy przypomnieć czasy wojny wyzwoleniczej ludu ukraińskiego w XVII wieku czy koliwsczyzny w XVIII wieku. Historycy nasi, m.in. autorzy „Historii Polski” PAN: Kazimierz Piwarski (w tomie I, części 2, wyd. 1957) oraz Emanuel Rostworowski (w tomie II, części 1, wyd. 1958) znajdują całkowite zrozumienie dla form walki ówczesnych Ukraińców, mimo, iż jest rzeczą oczywistą, iż ofiarami rzezi wojsk kozackich i „czerni” Krzywonosy w Pohrebyszczach czy Gonty w Humanii padali nie tylko szlacheccy wyzyskiwacze i krwio pijcy, ale także niewinna ludność, w tym kobiety i dzieci, ginące wśród wyrafinowanych mąk. Ciekawe jest też to, iż nawet szlacheccy potom-

kowie mordowanych braci znaleźli z czasem zrozumienie dla wal-ki chłopów ukraińskich, przyjmując na emigracji po Powstaniu Listopadowym nazwę „Humań” dla jednej z Gromad Ludu Pol-skiego — założonej w St. Hélier — „jako pokorną ekspiację za winy ojców”.

Przyczyny radykalizmu i gwałtowności oraz brutalności w walce Ukraińców już na początku XX wieku wyjaśniał znakomity historyk Franciszek Bujak. W wydanej w 1908 roku pracy „Galicja”, tom I, pisał:

„Naród ruski jest dotąd jeszcze społeczeństwem chłopskim, kierowanym i organizowanym przez nieliczną stosunkowo inteligencję, a zwłaszcza duchowieństwo, spod strzechy wiejskiej w pierwszym lub drugim pokoleniu pochodzące. Tym się objaśnia ogromna przewaga radykalizmu w politycznych dążnościach Rusinów, tudzież gwałtowność i wielka brutalność w walkach wew-nętrzných. (...) Społeczeństwo, dobijające się praw i stanowiska, społeczeństwo, złożone z jednolitej niemal masy niedostatecznie pod względem gospodarczym uposażonej, musi hołdować polityce radykalnej. Trudno się spodziewać, aby kierownicy polityczni takiego społeczeństwa, nie mający z reguły ani szkoły, ani tradycji politycznej, słowem ludzie nowi pod względem kulturalnym i po-lytycznym tak, jak sam naród, umieli się obywać bez gwałtu i brutalności w walce o swą świętą sprawę (podkr. moje). Trzeba także przyznać, że ten stan sprawy ruskiej wywoływał z polskiej strony również ujemne i przeciwne kulturze objawy terroryzmu i nadużyć władzy, do których ucieka się zwykle szczu-ple warstwa panująca celem utrzymania swej władzy wobec ciem-nej i znacznie niżej stojącej masy poddanej, jeżeli ta masa po-śluszeństwa odmawia”.

Ten dłuższy cytat wydał mi się konieczny. Nie zdajemy sobie bowiem często sprawy z ogromu upokorzenia, które znosili Ukraińcy ze strony Polaków, a w okresie rządów polskich w auto-nomicznej Galicji oraz w państwie polskim (1918-1939). Trakto-wanie pogardliwe nie było też rzadkością.

W jubileuszowej księdze „Stulecie gimnazjum brzeżańskiego” wydanej w 1907 roku znajduje się fragment kroniki zakładu, pióra Antoniego Lischki, dyrektora gimnazjum w Brzeżanach w latach 1848-1862. Wspominając trudności z jakimi borykano się wpro-wadzając do szkoły język polski, a następnie ukraiński, pisze on: „Także ruski nauczyciel miał do przewyciężenia wielkie trudności i przykrości (...) z powodu niechęci wielu uczniów przeciw jego przedmiotowi. Polska młodzież szkolna, tak samo jak cała lud-ność polska, nie mogła się przy marzeniu o utworzeniu królestwa polskiego oswoić z myślą, że także Rusinom należy się prawo wyjść z ich głębokiego zapomnienia, osiągnąć pewne imię i stanąć w rzędzie europejskiej rodziny narodów. Dlatego to spoglądano na początek ich odrodzenia przy zaprowadzeniu ich języka do nauki szkolnej n i e n a w i s t n y m (podkr. moje) okiem i dązo-

no do zgniecenia tych pierwszych zarodków egzystencji politycznej. Obrzucano ten język wszelkiego rodzaju szyderstwem i pogardą, zowiąc go nieokrzesanym językiem chłopów, który jakoby nie postąpił powyżej abecadła i wpajano w młodzież wstręt do niego". Dodam, że robili to nawet sami nauczyciele, wśród których trafiali się i tacy, którzy na radach pedagogicznych pozwalali sobie na „nienawistne i pogardliwe wycieczki” przeciwko językowi ukraińskiemu.

Obserwator przebiegu wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919 w Brzeżanach, członek ZWC, burmistrz miasta, a w latach 1922-1928 poseł na sejm RP, tak charakteryzował po latach chłopów ukraińskich: „Lud ten ruski, z natury potulny i pokorny, przyzwyczajony do skrajnej nędzy i umiejący ją znosić do niemożliwych zda się granic — jednak raz wyprowadzony z równowagi, mógł stać się potężnym żywiołem niszczycielskim bez opamiętania”. Gotowość do bezwzględności cechowała wyrosłych z tego ludu działaczy politycznych. Tenże Stanisław Wiszniewski wspomina lekarza, a zarazem oficera ukraińskiego, syna ubogiego księdza, Osypa Kowszewycza, człowieka oddanego zresztą chorym i leczącego nawet bezpłatnie również Polaków, który w czasie wojny z Polską wyraził się pewnego razu do niego: „Nie daj Boże, aby tu (do Brzeżan) przyszły wojska polskie, gdyż my w takim razie przed tym będziemy musieli was bezwarunkowo wyrznać” (S. Wiszniewski, „Brzeżany i kresy południowo-wschodnie RP w wojnie ukraińsko-polskiej 1918-1919”, Lwów 1935, str. 91-93).

Okres rządów polskich po klęsce Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej nie sprzyjał wygaszaniu wzajemnych animozji i nie samo UNDO czy nawet OUN były siewcami nienawiści do Polaków. Dość przypomnieć tu słowa Jerzego Tomaszewskiego z jego „Rzeczypospolitej wielu narodów”, napisane w kontekście oceniania skutków pacyfikacji w 1930 roku: „Państwo polskie wychowywało sobie zastępy zaciekłych wrogów, którzy wprawdzie zostali zmuszeni do spokoju w obawie przed represjami, lecz z tym większą niecierpliwością wyczekiwali momentu odwetu”.

W książce E. Prusa brak mi właśnie zrozumienia tej skomplikowanej problematyki, a bodaj próby jej wyjaśnienia.

W ścisłym związku z takim traktowaniem stosunków ukraińsko-polskich, pozostaje podejście autora do kwestii ukraińskich aspiracji narodowych. Odniosłem wrażenie, iż generalnie neguje on ich prawo do posiadania niezależnego państwa, a za jedyne zaspokojenie potrzeb w tym zakresie uznaje URSR, o której Ukraińska Radjańska Encyklopedia pisze, że jest to „suwerenna... derżawa, szczo dobrowilno, na zasadach riwnoprawnosti wchodyt' do SRSR”. Wszelkie więc działania na rzecz niepodległości zdaniem E. Prusa to poczynania nacjonalistyczne. Z tego też punktu widzenia ocenia on intencje i czyny poszczególnych ludzi.

Myślę, iż żadna z postaci, którym poświęcił autor „Herosów”

część swojej książki, nie może budzić sympatii u polskiego czytelnika. Nie powinno to wszakże zwalniać go od próby obiektywnego ukazania ich roli.

Prus szermuje mianem nacjonalistów. Zapomina jednak, iż w nauce marksistowskiej istnieje pojęcie nacjonalizmu jako obronnej ideologii narodów uciskanych i zagrożonych w swym suwerennym bycie politycznym, że wyróżnia się nacjonalizm mniejszości narodowych upośledzonych w danym państwie — nacjonalizm uciskanych. Pomijanie tego rodzaju pojmowania nacjonalizmu prowadzi do daleko idących uproszczeń i wręcz do fałszywego przedstawiania rzeczywistości. Zwraca przy tym uwagę ta okoliczność, że autor „Herosów” jest po prostu niekonsekwentny. Raz za główne kryterium oceny działania uznaje interes klasowy (rozumiany zresztą wąsko: interes klasy robotniczej wyrażają komuniści), innym razem kryterium tym jest interes narodowy.

Takie stanowisko prowadzić musiało do błędnego interpretowania szeregu faktów. Na przykład potępia Siczowych Strzelców Konowalca za stłumienie powstania w kijowskim „Arsenale”, przedstawiając to jako akcję kontrrewolucyjną, zapomina jednak wyjaśnić, iż wielkoprzemysłowy proletariat w ówczesnej Ukrainie był rosyjski lub zruszczony i kwestią ukraińską zupełnie się nie interesował. A takie wyjaśnienie tłumaczyłoby akcję Ukraińców jako obronną, wobec zagrożenia ich rodzącej się państwowości. Wiadomo zresztą, iż wśród bolszewików byli i tacy, którzy uznanie samodzielności narodowej Ukraińców traktowali jako oportunistyczne ustępstwo na rzecz wiejskiej burżuazji — jak to podkreślił J. Tomaszewski. Tenże badacz, jak też wcześniej Janusz Radziejowski w ciekawej pracy: *Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy 1919-1929. Węzłowe problemy ideologiczne*, Kraków 1976, ukazali jak sędzę dostatecznie przyczyny, które wyjaśniają — gdy ktoś szuka obiektywnych wyjaśnień — podłoże wrogości zwolenników niepodległej Ukrainy wobec komunistów.

Wracając do interpretowania pojęcia nacjonalizmu przez E. Prusa trzeba przypomnieć zdanie Lenina, który na XII Zjeździe RKP(b) w 1923 roku ostrzegał przed nacjonalizmem wielkorusyjskim, jako niebezpieczeństwem dla budowy „dobrowolnego związku republik”. A przy okazji wzmianki o Leninie. Ciekawe czy Prus, bolejący nad bezlitosnymi metodami postępowania „herosów” i ich okrutnymi rozkazami rozprawiania się z polską ludnością zna treść telegramu Lenina do W. P. Zatońskiego z 19 sierpnia 1920, w którym czytamy: „Bezlitośnie rozprawiajcie się z jaśniej panami i kułakami”? A może uważa, że parobcy i chłopi, do których wezwanie to było skierowane mieli oszczędzać kobiety i dzieci?

Innym problemem, który w książce Prusa budzi zastrzeżenie jest ocena orientacji patriotów ukraińskich na Austro-Węgry i Niemcy (tak w pierwszej jak w wypadku Niemiec i w drugiej wojnie). Prus sugeruje, iż szukanie sprzymierzeńców w tych pań-

stwach oznaczało w praktyce wyrzeczenie się niepodległości. Jest to teza, z którą trudno się zgodzić. Ukraińcy, naród „niehistoryczny” według O. Bauera, pod względem socjalnym składający się prawie wyłącznie z warstw niższych (głównie chłopstwa), odradzali się narodowo życzliwie traktowani przez Habsburgów. W tym wypadku nie jest istotne jakimi motywami kierowali się Austriacy (przeciwstawianie Ukraińców Polakom w Galicji). Ważne, iż polityka ta diametralnie różniła się od polityki Romanowych, odmawiających im prawa do uważania się za odrębny naród. W ramach Austro-Węgier Ukraińcy znaleźli możliwość swobodnego rozwoju swej kultury, a mieli też realne szanse na uzyskanie autonomii przez podział Galicji (zob. M. Kukiel, „Dzieje Polski porzobiorowe”, str. 632). Na Niemcy liczyli na zasadzie doświadczeń z pierwszej wojny i zgodnie ze starą maksymą „wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi”. Nawet w świetle późniejszych doświadczeń trudno odmawiać im prawa do takiej orientacji. Chcąc zyskać maksimum, nie mieli chyba wówczas innych potencjalnych sojuszników. Na tym polegała raczej tragedia Ukraińców.

Lektura książki Prusa nasuwa jeszcze wiele innych uwag. Na koniec przykład, który autorowi szafującemu zarzutem nacjonalizmu wobec Ukraińców, nie wystawia dobrego świadectwa jako obiektywnemu ponoć historykowi. Na str. 276 relacjonując rozmowy prowadzone przez przedstawicieli AK i UPA, pisze: „partnerzy rozmów to dwaj absolwenci Politechniki Lwowskiej, ale w czasie „rozhovorów” mówili wyłącznie po ukraińsku” (podkr. moje). W tym miejscu przypomina mi się moja krewna, która 56 lat temu była na ślubie moich rodziców i do dziś, mimo upływu tak długiego czasu i tylu przeżyć, wspomina z oburzeniem, że obecny na weselu mąż siostry mojej Mamy, Ukrainiec, sędzia St., niezyczący już od wielu lat, mówił przy weselnym stole tylko po ukraińsku!*. Tego nie może mu zapomnieć, ani darować. Myślę, że ogromny wpływ na mentalność tej mojej krewnej wywarła narodowa demokracja. Co jednak można zrozumieć u osoby w podeszłym wieku, bez wykształcenia, z natury nietolerancyjnej, musi budzić zdumienie w pracy autora, który werbalnie uznaje prawo narodów do swobodnego rozwoju.

Rozpisałem się szerzej na temat swoich refleksji po przeczytaniu książki Prusa. Chętnie podjąłbym z autorem publiczną polemikę, ale niestety, tych moich uwag nikt nie opublikuje. (...)

* Przypomina to inne jeszcze, podobne reakcje: wojewoda Bociński w czasie inspekcji województwa wileńskiego w latach 30-tych odmówił rozmowy i zwymyślał starego chłopca, który zgłosił mu ustnie skargę po białorusku: „Cóż to, nie nauczyliście się jeszcze mówić po polsku?”.

W niedawnej rozmowie dwojga Polaków z Małopolski Wschodniej, obojga z rodzin ziemiańskich: on: „Mój wuj rozmawiał z chłopami wsi, której był wójtem, po ukraińsku”. Ona, z akcentem dezaprobaty: „O nie, u nas mówilo się do chłopów tylko po polsku!” (Red.).

PRZEWODNIK PO ARCHIWACH INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IMIENIA GENERAŁA SIKORSKIEGO

Dla każdego kraju archiwa są jednym z najbardziej wiarygodnych świadków jego historii, zwłaszcza gdy chodzi o zbiory dokumentów i materiałów, które zachowały się w pierwotnej formie — uchwycone na gorąco, bez późniejszych upiększeń — i świadczą o tym, co się w danym momencie działo.

Na Zachodzie, w krajach gdzie wojna nie dokonała większych spustoszeń, dużo łatwiej było zebrać i zabezpieczyć archiwa z ostatnich dziesiątek lat, ale nawet tam skompletowanie źródeł archiwalnych nastroczało niejednokrotnie wiele trudności. We Francji na przykład, wskutek ofensywy niemieckiej w maju 1940 i popłochu, jaki ona wywołała wśród urzędników francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, część akt tego ministerstwa została zniszczona i dopiero po wojnie kompletowano niektóre dokumenty na podstawie kopii, które dawniej otrzymały do wiadomości różne ambasady francuskie.

Dzieje zbiorów archiwalnych, które znajdują się w Instytucie generała Sikorskiego w Londynie, ich pochodzenie i stopniowe gromadzenie rozproszonych po świecie materiałów, stanowią same w sobie istotny przyczynek do historii wojennej diaspory Polaków. Jednocześnie świadczą o tym, co można było zrobić i co osiągnięto dzięki przedsiębiorczości i wytrwałości kilku zaledwie osób.

Do marca 1940 roku nie było za granicą żadnego ośrodka, który miałby za zadanie gromadzenie i zabezpieczenie materiałów historycznych, związanych z działalnością Polaków w obozie sojuszniczym. Zadanie to miało spełniać Wojskowe Biuro Historyczne, utworzone w Paryżu 1 marca 1940. Zanim jednak wspomniane Biuro zorganizowało swoją pracę, przyszła klęska Francji. Na temat rządu polskiego w Angers też zachowało się niewiele dokumentów. Po ewakuacji rządu i sił zbrojnych do Wielkiej Brytanii powstało w Anglii Archiwum Wojskowe. Z zagrożonego bombardowaniem Londynu wywieziono akta w kwietniu 1941 do Szkocji, a trudności przesyłania akt sprawiły, że przy jednostkach wojska polskiego tworzono komórki archiwalne.

Inicjatywę zgromadzenia i zabezpieczenia na emigracji zasobów dokumentarnych podjęto w lutym 1945, po konferencji jałtańskiej, kiedy zaczęto zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa cofnięcia uznania przez mocarstwa legalnym władzom polskim w Londynie. Dnia 2 maja 1945 roku został założony Instytut Histo-

ryczny imienia Generała Sikorskiego „jako instytucja o charakterze naukowym, mająca objąć fachową opiekę nad zbiorami archiwalnymi i muzealnymi”. Projektodawcą i pierwszym dyrektorem Instytutu został pułkownik Zygmunt Borkowski, człowiek o dużym talencie organizacyjnym. Jego zasługą jest zakupienie ładnego budynku w jednej z najlepszych dzielnic Londynu, który stanowi do dzisiaj siedzibę Instytutu¹.

Według uchwały Rady Ministrów z czerwca 1945 roku, zbiory komórek archiwalnych znajdujące się przy jednostkach wojska polskiego oraz akta urzędów administracji państwowej miały być przekazane na własność Instytutu. Wykonanie tej uchwały napotkało niestety na trudności. Wskutek tego — jak pisali później pracownicy Instytutu — „akta uległy dużemu rozproszeniu. Starania Instytutu o ściągnięcie ich do Archiwum trwały latami. Odnajdywano je na poddaszach kościołów, w pracowniach rzemieślniczych, w domach prywatnych. Gromadzenie i scalanie posuwało się powoli”². Pomimo, że z czasem zgromadzono dużą ilość dokumentów, to jednak początkowy zwłaszcza upór w zatrzymaniu akt i zaniedbania w ich konserwacji ze strony różnych organizacji, instytucji i osób prywatnych spowodowały straty, które są już nie do odrobienia.

Załączkiem zbiorów archiwalnych w Instytucie był „Dziennik czynności generała Sikorskiego”, który, zinwentaryzowany w 47 teczkach przez Reginę Oppmanową, stanowi dzisiaj punkt wyjścia do studiów nad okresem od września 1939 do 4 lipca 1943 roku. Stopniowo rosło zaufanie do Instytutu i obecnie stanowi on centralną instytucję archiwalną na emigracji. Zbiory, które się tam teraz znajdują liczą około 700 metrów długości i chronologicznie dzielą się na cztery podstawowe grupy: 1) materiały sprzed drugiej wojny światowej, grupa najmniej liczna; 2) akta kampanii wrześniowej, w których wartościowa jest zwłaszcza kolekcja relacji; 3) grupa akt, najliczniejsza, obejmująca działalność rządu polskiego za granicą oraz odrodzenie i walki polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Sporo też zachowało się relacji i sprawozdań z lat 1939-1945 na temat Polaków w różnych krajach; 4) fragmenty z życia emigracji po 1945 roku.



Zbiory archiwalne w Instytucie Sikorskiego, pieczętowane zbierane przez przeszło czterdzieści lat, podzielone są na poszczególne działy i posiadają starannie opracowane inwentarze. Pierwszym kierownikiem Archiwum, który jednocześnie zapoczątkował gromadzenie akt był Edmund Oppman, a po jego śmierci stanowisko to objęła w 1951 roku jego żona Regina Oppmanowa, któ-

1. *Vide: Zeszyty Historyczne* Nr 33, str. 146-147.

2. *Vide: „Instytut Polski i Muzeum imienia generała Sikorskiego”, Londyn 1970, str. 19.*

rej następcą został Wacław Milewski, pełniący tę funkcję do dnia dzisiejszego, a jego zastępcą — i zapewne przyszłym kierownikiem — jest Andrzej Suchcitz. Kierownictwo Archiwum zachowało ciągłość fachowych sił, dzięki którym akta są uporządkowane i korzystanie ze źródeł w dużym stopniu ułatwione. Z rotmistrzem Milewskim skończy się kiedyś prowadzenie Archiwum przez emigrację wojenną i przejęcie ich przez mgr. Suchcitz, historyka z młodego pokolenia, zapoczątkuje nowy etap w Instytucie.

W 1985 roku minęło czterdziestolecie założenia Instytutu i archiwum, które kierownictwo uczciło bardzo pożyteczną inicjatywą: wydaniem I tomu „Przewodnika” po tych archiwach³. „Przewodnik” jest wydany w języku angielskim, poprzedzony słowem wstępnym Ryszarda Dembińskiego, prezesa Instytutu, i zakończony posłowiem Normana Daviesa. Jego publikację umożliwiła dotacja z Funduszu Mateusza B. Grabowskiego. Autorzy „Przewodnika”, W. Milewski, A. Suchcitz i A. Gorczycki, piszą w przedmowie, iż jest to pierwsza z czterotomowej publikacji, która będzie zawierać inwentarz wszystkich źródeł archiwalnych, jakie znajdują się w Instytucie. Prace nad I tomem trwały kilka lat i długa jest lista osób, którym Autorzy dziękują w przedmowie za pomoc. Przygotowania do II tomu są już podobno poważnie zaawansowane, co też napawa nadzieją, że w niedalekiej przyszłości ukaże się dalszy ciąg „Przewodnika”.

Omówienie „Przewodnika” o tak różnorodnych źródłach archiwalnych nie jest łatwe i błędy lub usterki w układzie będą dostrzegane stopniowo, przy korzystaniu z inwentarzy przez poszczególne osoby zainteresowane historią drugiej wojny światowej. „Przewodnik” wydany jest bardzo przejrzysto w ładnej szacie graficznej, co tym większe ma znaczenie, gdyż przygotowany w języku angielskim — przeznaczony jest również dla cudzoziemców, przyzwyczajonych na ogół do uporządkowanych inwentarzy.

Autorzy „Przewodnika” podzielili materiał na trzy części: a) urzędy administracji państwowej; b) kolekcje prywatne; c) kolekcje rzeczowe (o różnych tematach). Wszystkiego jest 323 pozycji. Każda pozycja jest poprzedzona — gdy chodzi o akta urzędów — wyszczególnieniem osób, które i kiedy dany urząd piastowały. Podobnie jest przy aktach instytucji, gdzie podane są ich składy osobowe, przeważnie od lat 1918/1919. Do każdej kolekcji prywatnej — a znajduje się ich w Instytucie coraz więcej — jest zrobione wprowadzenie, w formie noty biograficznej, odnośnie osoby, do której ta kolekcja należała i co również stanowi cenne źródło informacyjne. Następnie, streszczona jest w punktach treść kolekcji, krótka nota objaśniająca do jakich prac

3. „*Guide to the Archives of the Polish Institute and Sikorski Museum*”, Volume I, Compiled and edited by: Capt. Wacław Milewski, Andrzej Suchcitz M.A., Andrzej Gorczycki M.A. Orbis Books for The Polish Institute and Sikorski Museum, Londyn 1985.

naukowych mogą służyć zawarte w niej materiały, oraz odesłanie — wtedy, kiedy jest to możliwe — do innych instytucji, gdzie znajduje się również dokumentacja na dany temat.

Dla pokoleń urodzonych po wojnie, a cóż dopiero dla tych w przyszłości, wiele nazwisk związanych z kolekcjami prywatnymi nie będzie miało żadnego wydźwięku, mimo że mogą zawierać cenny dla badacza materiał, który — żeby dowiedzieć się co jest w kolekcjach — winien właściwie przeczytać podane w „Przewodniku” streszczenie zawartości wszystkich kolekcji. Byłoby wskazane, ażeby w ostatnim tomie „Przewodnika” zrobić dokładniejszy indeks rzeczowy, wskazujący co i gdzie się znajduje. Sporządzenie indeksu rzeczowego jest zawsze trudne i nigdy wszystkich nie zadowolili, ale fachowo zrobiony zawsze bardzo ułatwia znalezienie materiału.

Trudno się zorientować, jakim kryterium kierowali się Autorzy w doborze kolekcji do III części wydanego „Przewodnika”, z wyjątkiem tego, że przeważają tam dokumenty z okresu po 1945 roku. Część tę otwiera kolekcja numer 281 z materiałem dotyczącym żołnierzy 1 Dywizji Grenadierów, utworzonej we Francji w latach 1939-1940, temat który jest zapowiedziany do następnego tomu „Przewodnika”, a więc byłoby lepiej połączyć to razem. Nie jest to jedyny tego rodzaju wypadek. Nadto zostały pominięte w indeksie kolekcje z III części: 281, 282, 283, 285, 286, 287, 290. W drugiej natomiast części „Przewodnika” kolekcja płk. Szternala jest pod numerem 245, a w indeksie podany jest numer 244. Podobnych uchybień jest zapewne więcej, łatwych w przyszłości do uniknięcia, jak np. i tych, gdzie przeoczony jest porządek alfabetyczny w indeksie: Szerer, Szewalski, Szendzielarz, Szeptycki. Dobrze byłoby też, żeby nazwy kolekcji z I i II części „Przewodnika” były w indeksie również po polsku, a nie tylko w tłumaczeniu angielskim, jak obecnie.

Uwagi nad I tomem „Przewodnika”, których zapewne sporo się nabiera, ułatwią Autorom zorientowanie się w tym, co można i co należy ulepszyć w następnych tomach. Aby tylko jak najszybciej zostały przygotowane i opublikowane. Rola, jaka przypada „Przewodnikowi” po archiwach Instytutu Sikorskiego jest nie tylko natury praktycznej. Spełniać on bowiem będzie jednocześnie rolę wymownego symbolu emigracji wojskowej z lat 1939-1945, która u schyłku swojego życia, dzięki nielicznemu zespołowi ludzi, zinwentaryzowała swoją wojenną działalność i zabezpieczyła ją w tekach archiwalnych, przygotowanych na osąd przyszłych pokoleń.

Tadeusz WYRWA

OKRUCHY HISTORII

Hugh GIBSON

POWRÓT DO WARSZAWY

Zamieszczamy poniżej tłumaczenie fragmentów z dziennika Hugh Gibsona, zawodowego dyplomaty amerykańskiego, który w 1946 roku przyjechał do Polski z Herbertem Hooverem. Tekst ten udostępnił nam syn dyplomaty, Michael Gibson, który opatrzył tekst ojca swoimi komentarzami — podajemy je w nawiasach.

Nowy Jork, 5 marca 1946

Co za dzień! Tego ranka zostałem ściągnięty z łóżka telefonem do Szefa w Waszyngtonie. Powiedział mi Szef, że prezydent [Truman] wysłał właśnie do niego sekretarza rolnictwa, aby go zapytać, czy podejmie się podróży samolotowej po całej Europie i przygotuje raport na temat sytuacji żywnościowej. Szef zgodził się natychmiast. Oczywiście, wyjazd powinien się być odbyć kiedy Szef po raz pierwszy złożył ów projekt, w maju zeszłego roku, ale nie dołożył wówczas starań, aby przekonać innych. Powiedział mi, że szczególnie mu zależy, bym pojechał z nim. Bez wahania odparłem, że jestem gotów do drogi.

(Autorem powyższych uwag był mój ojciec, Hugh Gibson. Ojciec był emerytowanym dyplomatą zawodowym, a Szefem dla niego był Herbert Hoover, z którym był związany działalnością na rzecz pomocy zagranicznej od 1914 roku. W tym czasie mój ojciec był sekretarzem Poselstwa Stanów Zjednoczonych w Belgii i brał udział w organizowaniu Komisji Hoovera d/s Pomocy Belgii).

(Hoover udał się do Europy w połowie marca 1946 roku, zabierając grupę ekspertów oraz współpracowników, którzy działali już z nim w dziedzinie pomocy zagranicznej. Na koniec wszyscy oni odwiedzili nie tylko Europę, ale objeżdżali cały świat. Ojciec prowadził szczegółowy dziennik podróży, opisując miejsca i ludzi w spontaniczny, żywy sposób — na ogół z sarkazmem, będącym częścią składową jego charakteru. Oto fragment dotyczący wizyty złożonej prezydentowi Filipin 29 kwietnia 1946 roku).

Osmeña czekał u progu, aby nas powitać i przeprowadził nas przez salon, a następnie usadowił w wielkich fotelach. Wtedy dopiero sam zasiadł, przybrał odpowiednią postawę i zamilkł jednocześnie w wielu językach. Po odczekaniu, aż wyda z siebie jakiś dźwięk, Szef poczynił parę uwag na temat tego, jaki jest szczęśliwy z powodu pewnego pomysłu, który właśnie mu przyszedł do głowy i który dotyczy sposobów zaspokojenia potrzeb żywnościowych Filipin. Osmeña kiwnął głową nie mrugnawszy nawet powieką. Nie zapytał, jakie mianowicie rozwiązanie miał na myśli Hoover, ale potakiwał, a następnie znieruchomiał, jakby wyłączony z kontaktu. Szef podjął kolejny wysiłek i uzyskał następne potaknięcie za całą odpowiedź. McNutt włączył się gwałtownie do akcji, i za swój wkład otrzymał dwa kiwnięcia głową. Gdy sprawy toczyły się w takim oto tempie, weszła służba z szampanem. Osmeña wznosił kielich i wydukał dwa słowa: „Na zdrowie”. Po tym wybuchu gadulstwa ponownie popadł w milczenie i po pewnym czasie Szef doszedł do wniosku, że nie będzie mu już dłużej zawracał głowy. Najwyraźniej Osmeña zgodził się na wszystko, ponieważ nie oponował, i szedł z nami schodami, aby pozować fotografom, którzy już czekali.

(Ojciec lubił opowiadać historie i umiał to robić dobrze. Słuchały one jako przykrywka jego nieśmiałości. Opowiadał je, i zwykle udoskonalał, aż do momentu, gdy dane wydarzenie stawało się baletem absurdu i doczesnych ambicji, jako jego własna wersja Koheleta: „Marność nad marnościami i wszystko marność”. Owe słowa podsumowywały dlań cały ten pokaz próżności oraz wielki dar ludzki komplikowania najprostszyczych rzeczy.

Miał umiejętność szybkiej riposty, ale zazwyczaj odwoływał się do niej z umiarem. I choć miał wiele radości w życiu, oraz do końca był przywiązany do swego koniaku, mimo ostrzeżeń, że poważnie szkodzi jego zdrowiu, to w głębi był w nim rodzaj

purytańskiego wyrzeczenia się *ego*, *de facto* rzymskie pojęcie służby Republice, co było przypuszczalnie charakterystyczne dla pewnego typu Amerykanów w owych latach. Jego ojciec był kierownikiem towarzystwa ubezpieczeniowego w Los Angeles, a następnie kasjerem w banku, a dziad, o ile wiem, był pastorem presbiteriańskim oraz prowadził handel z Indianami. Ojciec, będąc Kalifornijczykiem, urodził się w cywilizacji pogranicza. Ale kiedy miał dwadzieścia lat zmarł jego ojciec, a matka, energiczna i władczą kobieta, zawiozła go do Europy na studia i wizję lokalną. W 1908 roku wstąpił do służby zagranicznej i żył w czasach wielkich przemian, które uczyniły z Ameryki czołową potęgę.

Powaga i rezerwa stanowiły podstawę jego poczucia humoru. I tak intymnie były ze sobą powiązane, że na koniec swe najsilniejsze stany emocjonalne ojciec wyrażał poprzez ów humor, który stał się naturalną formą czułości i sympatii, albo szyderstwa i białej furii. Miał wstręt do patosu.

Zmierzam jednak do tego, co stanowi fragment jego dzienników dotyczących podróży do Warszawy z misją Hoovera. To, co ujrzał tam w 1946 roku było kompletną ruiną miasta, które kiedyś znał.

Ojciec przebywał w Warszawie od 1919 do 1923 roku. Był pierwszym posłem Stanów Zjednoczonych w odrodzonej po wojnie Rzeczypospolitej. Przybył tam w przychylniej aurze, u progu Wersalu, jako przyjaciel Paderewskiego, ówczesnego premiera RP, i, mając wówczas 36 lat, był bardzo młodym człowiekiem jak na tak poważne stanowisko.

Właśnie w czasie pobytu w Polsce poślubił moją matkę, która siedem lat przedtem, w Belgii, odrzuciła jego oświadczyzny na całkowicie wiarygodnej podstawie — jeśli ktoś znał moją matkę: że nigdy nie wyjdzie za mąż za Amerykanina. To, że uczyniła to siedem lat później wcale nie świadczy, że zmieniła zdanie o Amerykanach. Moja matka nigdy nie zmieniała zdania. Ale myślę, że po siedmiu latach znajomości zmieniła opinię o ojcu. Poznała go lepiej w latach napięć, w czasie okupacji Belgii przez Niemców i jej wcześniejsze obiekcje zaczęły ustępować, gdy go pokochała.

Wszystko to więc — nominacja mojego ojca i jego małżeństwo musiało opromieniać jego lata warszawskie wielkim szczęściem i sukcesem zawodowym.

Wówczas to Hoover złożył wizytę w Polsce. Jako administrator Stanów Zjednoczonych d/s żywności zorganizował pomoc dla Polski i powitanie, jakie mu zgotowano, było miarą wdzięczności Polaków. W liście do swojej matki ojciec opisał ten epizod).

Poselstwo amerykańskie, Warszawa
14 sierpnia 1919

... Z Hotelu Bristol udaliśmy się na tor wyścigów konnych,

mając na przedzie i z tyłu wiele ciężarówek zapchanych dziećmi. Ktoś zgłosił projekt pochodu dzieci z ubogich rodzin, ze szkół i zakładów wychowawczych, aby Hoover mógł zobaczyć, jak jego podopieczni wyglądają. Program ten w ciągu 48 godzin rozrósł się do zastraszających proporcji: dzieci przywożono ze wszystkich części Polski, bez uprzedniego powiadomienia, i władze w Warszawie miały trudności ze znalezieniem noclegu i zapewnienia im wyżywienia. Tego ranka 15 tysięcy dzieci było gotowych do wzięcia udziału w pochodzie. Wczesnym popołudniem było ich już 20 tysięcy, a gdy dotarliśmy na Służewiec, stracono wszelką rachubę na liczbie 32 tysięcy.

Zaprowadzono nas do łoży honorowej i wówczas, jak to bywa przy takich okazjach, wszedł za nami cały tłum, który tak szczerze wypełnił całą przestrzeń, że byliśmy rozpląszczeni na poręczy.

Tor wyścigów wypełniał zbity tłum złożony w większości z małych dzieci, a ich okrzyki omal co nie zdmuchnęły dachu. Na miejsku zgromadzono też liczne orkiestry i pochod ruszył niemal natychmiast po naszym przybyciu. Dzieci liczyły od pięciu do dwunastu lat i większość z nich maszerowała jak weterani, a sposób w jaki wznoszono okrzyki na cześć Hoovera był wart przyjazdu aż z tak daleka. Fala dzieci waliła tak przez dwie godziny i przez cały niemal czas biedak miał oczy czerwone jak królik. Adam Zamoyski, niegdyś mistrz ceremonii na dworze carskim, stał za mną ze łzami płynącymi po policzkach i gdy tylko nań zerkałem, pośpiesznie spychał kogoś ze schodów, wydając przy tym kilka warknięć, by pokazać jakim jest brutalem, gdy tylko zechce.

Średnio co minutę pojedyncze dziecko lub mała grupka podchodziła do łoża, aby wręczyć Hooverowi bukiet lub kilka kwiatków, aż do chwili, gdy cała łoża była zasłana kwiatami.

Grupa smarkaczy wyszła na pole znajdujące się pośrodku toru i złapała królika, którego delegacja przyniosła i złożyła w darze gościowi.

Myszę, że większość zgromadzonych na Służewcu pojęła znaczenie tego wydarzenia. Jeśli by Hoover nie udzielił tym dzieciom pomocy, znacznie mniej by ich przeżyło. Nawet one same były tego świadome. Niemal każdy marszałek polny może się udać na przegląd wojsk kiedy tylko ma ochotę, ale nie oznacza to nic szczególnego i bez względu na to, co osiągnął w dziedzinie sukcesów militarnych nie wierzę, aby mógł mieć taką samą satysfakcję...

(Tyle więc zamiast prologu. 27 marca 1946 roku misja Hoovera przyleciała z Paryża do Pragi. Następnego dnia udała się do Warszawy).

*Praga i Warszawa,
czwartek, 28 marca 1946*

... Jan Masaryk zabrał Szefa z lotniska razem ze swoją siostrą Alicją, aby Szef mógł z nią porozmawiać. Jechałem w aucie z ambasadorem i sądzę, że po pełnej sukcesów służbie dyplomatycznej w Szwecji, Peru, Rosji, Turcji i Czechosłowacji jest on przekonany, iż dyplomacja nie jest wyłącznie romanssem. Kiedy dojechalśmy na miejsce, podszedłem do Alicji Masaryk, żeby z nią zamienić parę słów i okazało się, że ma zaawansowaną sklerozę.

Wkrótce po starcie wlecieliśmy w chmury i nie mogliśmy niczego dostrzec w czasie lotu nad Wrocławiem i Łodzią. Gdy zbliżaliśmy się do Warszawy, chmury gęstniały i nasilała się gęsta mżawka. Wylądowaliśmy w takiej mniej więcej pogodzie i dostrzegliśmy zбитy tłum oficjłów czekających na nas na płycie lotniska. Nie znałem ani jednej osoby prócz Arthura Lane i Corneli [ambasador Stanów Zjednoczonych i jego żona]. Reszta przypawiła mnie o dreszcze. Ci ludzie po jednym zdołali się wśliznąć do naszych samochodów, więc przez całą drogę z lotniska wszelkie rozmowy były wykluczone. Jechałem z Cornelią Lane i mętnikiem, szefem protokołu, który zajął miejsce z przodu i zabawił nas rozmową przez całą drogę. Objechalśmy Warszawę wokół przedmieść, rzekomo dlatego, że jezdnie były tam lepsze, więc niewiele dostrzegliśmy z ogromnych zniszczeń. Jedyń zachowaną częścią miasta był końcowy odcinek Alej Ujazdowskich w pobliżu Belwederu. Budynki zamieszkiwali Niemcy, którzy nie zdążyli wysadzić ich w powietrze.

Brama do Łazienek była zamknięta i uzbrojony strażnik pilnował, aby nikt tam nie wszedł. Dlaczego tak było, nie mogłem pojąć, bo w parku nie było niczego, co wymagało straży. Zawieziono nas do Pałacu Myśliwieckiego, który znajduje się za Pałacem Łazienkowskim. Mogliśmy wówczas zauważyć, jak bardzo jest zdewastowany. Wszystkie okna na parterze były zamurowane, a ściany zorane dziurami, wywierconymi w celu umieszczenia w nich lasek dynamitu — dzieła nie ukończono na czas aby zrównać z ziemią cały pałac. Scena na wyspie została wysadzona, ale amfiteatr zdołał przetrwać bez poważniejszych strat.

Musiałem ostrzec całe towarzystwo, że pałacyk w którym nas umieszczono ma bez wątpienia zainstalowany podsłuch, żeby rejestrować wszystkie nasze rozmowy. Gdy tylko weszliśmy Arthur pokazał nam przy pomocy pantomimy, że we wszystkich żyrandolach umieszczono mikrofony i dał do zrozumienia, abym poinformował pozostałych. Nużące jest pamiętać przez cały czas, że jest się szpiegowanym.

O szóstej po południu Arthur przyjechał po nas, aby zabrać nas do Belwederu do prezydenta Bieruta. Nie jest to oczywiście jego nazwisko i wydaje się, że nikt nie wie, jak się on naprawdę nazywa. Jego przeszłość jest nieprzenikniona prócz faktu, że siedział w więzieniu za przestępczy syndykalizm pod innym nazwiskiem — przypuszczalnie też nie własnym. Po szeregu niezbyt fortunnych doświadczeń z policją wyjechał do Rosji, która odnosi się z większą sympatią do ludzi tego pokroju, i został obywatelem sowieckim. Nikt nie wie, czy teraz jest obywatelem polskim.

Pamiętam Belweder jako miejsce nieskazatelnie schludne i pełne godności. Teraz wygląda jak brudny urząd pocztowy. Uzbrojeni żołnierze włączają się po hallu wejściowym, choć dwu z nich pełni straż u podnóża schodów. Dywany są brudne; niechlujni mężczyźni w cywilnych ubraniach wzięli nasze płaszcze. Zapędzono nas do sali, w której kiedyś składałem listy uwierzytelniające. Zauważyłem, że Arthur stanowczo przy czymś się upierał i dowiedziałem się później, że ludzie z protokołu usiłowali zaprowadzić Szefa samego na spotkanie z prezydentem, ministrem spraw zagranicznych i ich tłumaczem. Arthur nie ustąpił i weszliśmy z naszym tłumaczem, który nie dopuścił do żadnych krętaństw.

Bierut jest uderzająco podobny do nieboszczyka Hitlera, prócz loczka. Ma taki sam plebejski wygląd i takie same pucołowate, rumiane policzki, taki sam wąsik. Gdy ściska ci rękę, patrzy ci z otwartością w czubek buta, przypuszczalnie z tego powodu, że jest to rzecz, od której najbardziej ucierpiał w przeszłości.

Wygłosił do nas niekończące się przemówienie, w całości oparte na założeniu, że Ameryka musi wziąć na siebie rozwiązanie problemów Polski. Kiedy już wyczerpał temat w kwestii żywnościowej, dodał, że istnieje wiele innych problemów, włączysz odbudowę Warszawy. Szef uśmiechnął się i odparł sucho, że jest wiele spraw wymagających omówienia, ale nie można ich wszystkich rozważyć dziś lub jutro. Cała atmosfera była prześląknięta ignoracją i zaczepnym tonem naszych gospodarzy.

Zauważyłem, że na trasie naszego przejazdu nigdzie nie było ludzi i gdy o to zapytałem, dowiedziałem się, że mieszkańcy nic nie wiedzą o przybyciu Szefa i o jego rozkładzie dnia. Wyglądało na to, że nasi gospodarze nie są zbyt pewni swojej pozycji.

Kiedy wyszliśmy z gabinetu prezydenta, spotkaliśmy się z tymi członkami partii, którzy musieli zostać przed drzwiami, i przedstawiliśmy się wzajemnie. Byli już fotografowie z silniejszymi lampami błyskowymi, niż kiedykolwiek przedtem widziałem. Zrobiono nam wiele zdjęć i sądzę, że będzie się je trzymać w rezerwie, póki rząd nie zdecyduje co z nimi zrobić.

Pojechaliśmy stamtąd do Hotelu Polonia, gdzie Arthur zajmu-

je dwa pokoje. Przed drzwiami trzyma strażnika. Drzwi wejściowe na parterze są zamknięte, ale nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie będzie chciał wejść z sali restauracyjnej i narobić kłopotów. Było już ciemno i niewiele zauważyliśmy prócz tego, że rozmiary zniszczeń są ogromne. Gdy skręciliśmy w Marszałkowską, powiedziałem do kierowcy, że nie mogę rozpoznać miejsca, w którym się znajdujemy, ani też nie mogę przypomnieć sobie parku po drugiej stronie jezdnii. Odparł na to, że to nie park lecz ogromny lej w miejscu, gdzie był kiedyś Dworzec Główny.

Arthur zwołał pracowników ambasady, którzy mogli nam pomóc w zebraniu wiadomości na temat sytuacji żywnościowej, także dla generała Drury, dyrektora UNRRA. Kiedy wyszliśmy z saloniku, Arthur starannie zamknął drzwi na klucz i nakazał strażnikowi pozostać póki nie wrócimy. Mówi, że nigdy nie wychodzi nawet na pięć minut bez zamykania drzwi na klucz i nigdy nie opuszcza miejsca bez zostawienia kogoś na straży. Mimo to musi wzywać naszych ludzi z attachatu wojskowego na inspekcje raz na dwa tygodnie, żeby wyrwali wszelkie kable od podłuchu, na jakie natrafiają.

Zjedliśmy skromną kolację i przeprowadziliśmy rozsądną rozmowę. O 22.30 odjechaliśmy do siebie ciemnymi ulicami. Nasz pałacyk był morzem światła i Stefan Zagórski czekał na progu, aby zaprowadzić nas do naszych sypialń.

Ten uroczy pałacyk został odrestaurowany i pomalowany jaskrawą farbą olejną oraz umeblowany zbieraniną mebli, które wyglądały jakby zostały ściągnięte na naszą cześć. Ma wiele łazienek, z których część funkcjonuje. Do mojej sypialni dochodzi się przez amfiladę czterech salonów. Skierowałem się do łazienki i po otworzeniu — jak mi się wydawało — właściwych drzwi — omal nie spadłem ze schodów. Odkryłem później, że droga do łazienki wiodła przez całą amfiladę. Było to nieco mylące. Odkryłem kran z gorącą wodą i wróciłem do mego pokoju po gąbkę. Kiedy wróciłem, wanna była napełniona lodowatą wodą. Spuściłem wodę i zacząłem wszystko od nowa. I znów najpierw zaczęła lecieć gorąca woda, która prawie natychmiast przemieniła się w zimną. Poddałem się w końcu i myłem zimną wodą przy pomocy gąbki.

*Pałac Myśliwski, Warszawa,
piątek, 29 marca 1946*

Po pobieżnym obejrzeniu Warszawy miałem wczorajszej nocy dygotki. Na dodatek uzbrojeni strażnicy pod naszym oknem bez

przerwy gadali i niewiele pomogło, gdy ktoś wstał, aby ich uci-
szyć. Od czasu do czasu słychać było strzały karabinowe, raz
nawet tuż koło nas. Dochodziły też odgłosy eksplozji, przypusz-
czalnie wysadzano mury. Nie ma się tu żadnego poważania dla
pory dnia i nocy; hałas trwa bez przerwy.

Eksperci poszli rano z Szeferem do Rady Ministrów na spotka-
nie z przedstawicielami władz polskich. Ja zacząłem dzień bez
pośpiechu, czekając na spotkanie z Cornelią. Aby zabić czas, a
ranek był pogodny, wyszedłem bez płaszcza i kapelusza na spacer
po parku. Wydawał się pełen uzbrojonych żołnierzy; niektórzy
mieli pistolety automatyczne. Byli także milicjanci, inaczej okre-
slani mianem bandziorów, z biało-czerwonymi opaskami na ramie-
niu, również z bronią. Wkrótce potem zauważyłem kątem oka,
że jestem obserwowany. Silnie zbudowany i niewątpliwie wy-
glądający na tajniaka osobnik postępował za mną w odległości ok.
15 metrów. Gdy przystawałem i rozglądałem się, on też studio-
wał drzewa i ptaszki. Następnym razem podniósł kamyk i wpa-
trywał się weń w upojeniu. Były to jedyne tricki jakich go nau-
czono i zmusiłem niedorajdę, żeby ich stale używał. Po tym spa-
cerze który ściał go z nóg, wróciłem do siebie, wziąłem aparat
fotograficzny i w towarzystwie Franka Masona ruszyłem na po-
ranną wyprawę.

Najpierw pojechaliśmy do Hotelu Polonia, żeby wziąć Cor-
nelię. Jazda samochodem była nowym wstrząsem, ponieważ mo-
głem dojrzeć znacznie więcej niż wieczorem poprzedniego dnia.
Nie ma praktycznie domu w tym mieście, który nie jest zdewasto-
wany albo bardzo poważnie uszkodzony. W tej dzielnicy wiele
murów ciągle stoi, ale większość z nich znajduje się w niebez-
piecznym stanie i trzeba je będzie rozebrać. W wielu domach
parter albo przynajmniej część parteru jest odgruzowana; wznie-
siono też przybudówki służące za lokale sklepowe. Przygnębia-
jący to widok patrzeć na te rudery służące za sklepy, byle jak
wzniesione, ze szczybami ruin nad nimi.

Jest kilka starych londyńskich piętrusów, ale można je zliczyć
na palcach. Na ogół rolę autobusów przejęły ciężarówki albo sta-
roświeckie furmanki. Większość tych wozów konnych została
wyposażona przez UNRRA w opony, z powodu, którego nie zdo-
łałem wyjaśnić. Ludzie stoją w nich stłoczeni jak za dawnych
czasów. Przejazd wozem kosztuje dziesięć złotych, a ciężarówką
— dwadzieścia. Ci ludzie, jak się zdaje, znajdują się ciągle w
ruchu, jak kiedyś. Są również taksówki — riksze, składające się
z siedzenia zamocowanego z przodu roweru, a kierowca pedałuje
z tyłu.

Prócz odgruzowywania parterów odbudowuje się bardzo niewiele domów, ponieważ właściciele obawiają się, że gdy je wyremontują, rząd je skonfiskuje. Dziwne, ale w wielu odbudowanych sklepach mieszczą się kwaciarnie. Skąd pochodzą kwiaty — nikt nie wie. Kto je kupuje — też nikt nie wie, ponieważ wszyscy znajdują się w opłakanych warunkach materialnych.

Wyruszyliśmy na przejażdżkę z Cornelią i zatrzymaliśmy się przed jakimś domem. Nie była to kamienica, w której mieszkała pani Znanięcka, bo samochód zaparkowany przed bramą jej domu mógłby wzbudzić niepotrzebne podejrzania i prowadzić do wizyty tajnej policji. Wyszliśmy na zapuszczone podwórko i po kłuczeniu przez pewien czas zadzwoniliśmy do drzwi na parterze. Pani Z., mało zmieniona od czasów, kiedy znałiśmy się, gdy była gospodynią w Poselstwie Stanów Zjednoczonych w Warszawie, podeszła do drzwi. Była może odrobinę mniejsza, ale miała takie same rumiane policzki i błyszczące oczy. Była bardzo wzruszona i stale mi dziękowała za odwiedziny. Chciała się dowiedzieć wszystkiego na temat Inés i Michaela i zadawała docieklive pytania.

Nie skarżyła się na los, ale w trakcie rozmowy zorientowałem się, że całą okupację spędziła z synem na wsi, a gdy wróciła, jej mieszkanie zostało skonfiskowane przez nowy rząd polski. Teraz zajmuje z córką jednoizbową kłitkę, a córka zarabia na życie sprzedając papierosy wystawione na stoliczku przed kamienicą. Liczy, że niedługo stać ją będzie na kiosk. Zapytałem panią Z., czy mogę jej w czymś pomóc, ale odparła z zapałem, że wszystko jakoś idzie i że niczego nie potrzebuje. Po pewnym czasie zacząłem szykować się do wyjścia, ale pani Z. złapała mnie za rękaw i poprosiła, żebym poczekał na powrót jej córki. Wkrótce musiałem jednak ją opuścić i moja gospodyni była niepokieszona. Wspięła się na palce, objęła mnie za szyję i mocno ucałowała w oba policzki, tłumacząc się z tego gestu serdeczności słowami: „*Toute affection d'une mère*”. Dzielna kobieta w wieku 88 lat. Na odchodnym Cornelia przypomniała jej, aby natychmiast zamknęła się na klucz i czekaliśmy pod drzwiami, aż usłyszymy szcęk zasuw. Cornelia wytłumaczyła mi, że nie można ryzykować. Samotna stara kobieta jest zbyt łatwym łupem dla milicjanta albo łobuza, który szuka dla kogoś pomieszczenia. Wyrzucono by ją na ulicę i wprowadzono kogoś innego w gnieniu oka. Zeszłej zimy w ten sposób wyrzucono panią Z. z jej kłitki razem z córką, która dochodziła do siebie po zapaleniu płuc. Na szczęście dowiedział się o tym Arthur, który wrząc gniewem natychmiast zaprotestował w MSZ-ie. Fakt, że staruszka była gospodynią w Poselstwie USA stanowił jej formę ochrony, a to że amba-

sador amerykański osobiście interweniował w jej sprawie spowodowało szybką akcję. Nowych lokatorów wyrzucono na ulicę, a pani Z. wprowadziła się z powrotem. Ale jej sytuacja jest ciągle niebezpieczna i stałe czuwanie stanowi niezbędny środek ostrożności. Cornelia, która jest prawdziwym dobrym duchem, często odwiedza staruszkę, ażeby podtrzymać wiedzę czynników oficjalnych na temat zainteresowania losem pani Z. i jak dotychczas nic się jej nie zdarzyło.

Stamtąd ruszyliśmy na objazd po mieście, co budziło coraz większy szok. Widziałem zdjęcia zbombardowanej Warszawy, czytałem reportaże, słuchałem relacji naczynych świadków. Ale nie przygotowało mnie to do wyobrażenia sobie, do jakiego stopnia jest to straszliwe zniszczenie i jak beznadziejna jest obecna sytuacja. Podjechaliśmy pod Pałac Błękitny (dawna siedziba Poselstwa amerykańskiego) ulicami, z których każda przedstawiała kompletną ruinę; niekiedy całe przecznice były kupą gruzów zrównanych z ziemią. Czasem sterczała samotna ściana, ale cała reszta domu była zbombardowana, więc nie można było niczego uratować. Czasami posuwaliśmy się wąskimi drózkami, które powstały wskutek odgruzowania pasa szerokiej niegdyś jezdni. Tu i ówdzie Cornelia musiała mi mówić gdzie się znajdujemy, bo większość zabytkowych budynków legła w gruzach. Kiedy dotarliśmy do Senatorskiej, zrobiło mi się niedobrze. Wielka brama kuta w żelazie i sztachety ciągle tkwiły na starym miejscu, choć mocno uszkodzone. Natomiast uroczy pałacyk był już tylko skorupą, a bibliotekę zrównano z ziemią. Zrobiłem kilka zdjęć — na jednym z nich widać numer 37 na bramie.

Wolno objechaliśmy sąsiednie ulice. Kościół, który znajdował się obok nie miał dachu i wszystkie niemal mury były zbombardowane. Plebania przemieniła się w kupę gruzów. Wieża ratusza przetrwała, a sam budynek zachował ślad dawnej formy, choć wyglądał jak pogryziony przez ogromne szczury. Wszystko to trzeba będzie wyburzyć. Teatr Wielki nieopodal robił jeszcze najlepsze wrażenie, z tego powodu, że zachowała się fasada i to w takim stanie, że przypuszczalnie można ją będzie odrestaurować.

Pojechaliśmy stamtąd na Plac Zamkowy. Kilkakrotnie zatrzymywały nas milicjantki — albo dlatego, że ulice były nieprzejezdne, albo właśnie rozbierano mury lub wysadzano je przy pomocy dynamitu. Te milicjantki wyglądają na kompetentne dziewczyny, przeszkolone przez Rosjan, posługujące się pełnymi namaszczania gestami, jakich używa sowiecka służba drogowa. Nie wdają się w głupstwa i mają na podorędziu automaty, na wypadek jeśli ktoś z ociąganiem wypełniałby ich rozkazy.

Plac Zamkowy był nowym horrorem. Wspaniały zamek, potężny jak piramida, był zdmuchniętym przez burzę zwałiskiem gruzów, z resztką murów tu i ówdzie. Było to dzieło ogromnego i systematycznego zniszczenia. Miny umieszczono w całym zamku — w murach wydrążono setki, jeśli nie tysiące dziur na laski dynamitu. Wyszadzono go w powietrze w serii eksplozji sterowanych przy pulpicie znajdującym się w innej części miasta.

Szczątki kolumny Zygmunta były rozrzucone po całym placu. Na ulicach dochodzących do Placu fasady domów zachowały się, ale ludzie żyli w ruinach, piorąc i gotując posiłki na ulicy. Co robią kiedy pada śnieg albo deszcz — trudno sobie wyobrazić.

Aby dotrzeć do Starego Miasta, musieliśmy obejść katedrę, wspinając się przez cały czas na zwały gruzów. Po prawej mineliśmy łuki, które zachowały się. Przechodząc na ich wysokości popatrzyliśmy przez Wisłę na Pragę. Artur przyprowadził w to miejsce Eisenhowera, który stwierdził kategorycznie, że Rosjanie mogli przekroczyć rzekę w pół godziny, jeśli by chcieli przyjść z pomocą generałowi Borowi.

Katedra została całkowicie zniszczona, prócz kilku murów, które robotnicy usiłowali wzmocnić, aby zapobiec ostatecznej dezintegracji. Grupa zabytkowych kamieniczek na tyłach katedry, mój ulubiony fragment Starego Miasta, legła w gruzach; zostały po nich szczątki.

Od tego miejsca coraz ciężiej było iść. Ani śladu ulicy lub choćby ścieżki. Wspinaczka na góry cegieł i kamieni pozwoliła na dotarcie do granicy Starego Miasta. Popatrzyłem w dół na rynek i już nawet nie miałem ochoty ruszyć w tym kierunku. Na przeciwległej pierzei ocalało kilka fasad, ale domy były tak zbombardowane, że nie było co liczyć na rekonstrukcję. Reszta wokół przedstawiała obraz kompletnego zniszczenia. Dom Fukiera wyglądał jak wodospad cegieł spływających na rynek, którego nie odgruzowano na tyle, aby mógł tam istnieć jakikolwiek ruch — pieszy lub kołowy. Z domów znajdujących się po naszej stronie Bór kierował akcją zbrojną podczas jednej z faz powstania. Nie widziałem równie tragicznego widoku — całe piękno zniszczone wskutek zwykłego bestialstwa.

Musiałem stąd szybko odejść, ale znalazłem się w jeszcze straszniejszej okolicy. Jadąc Bielańską mineliśmy zgłiszczą Pałacu Radziwiłłowskiego; zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, aby spojrzeć na zwały gruzów w miejscu, gdzie stała kiedyś wspaniała synagoga, a stamtąd dotarliśmy Nalewkami, których nie rozpoznałem, na teren getta, gdzie doszło do największego horroru. Getto zostało przez hitlerowców zrównane z ziemią i było terenem najstraszliwszych czynów. Mniej więcej sześć kilometrów

kwadratowych jest kompletnie zniszczonych. Nie ocalała żadna ściana. Pośrodku tych ruin stoi kościół z czerwonej cegły z wysoką wieżą, niemal nienaruszony. Nie jest to zbyt solidna budowla i nie wytrzymałaby bombardowania, co stanowi wskazówkę, że niszczone okoliczne domy z zimną kalkulacją i wielką precyzją. Wśród ruin są ścieżki, którymi posuwają się nieliczni ludzie z wózkami ręcznymi lub furmankami, starannie wybierając całe cegły do budowy domostw gdzie indziej. W tej części miasta nie ma żadnego sklepu, żadnego śladu zamieszkania. W ciągu całodziennej wycieczki po mieście nie dostrzegłem ani jednego buldożera, żadnej maszyny do odgruzowywania. Wszystko robią ręcznie małe grupki ludzi. W tym tempie zajmie tysiąc lat przygotowanie miasta do odbudowy. Owszem, były jakieś maszyny, ale wszystko wywieziono na wschód.

Pojechaliśmy złożyć wizytę Marysi Tarnowskiej, która mieszka przy Alejach Ujazdowskich na bocznej uliczce wychodzącej na pałac Karola Radziwiłła. I ta część miasta jest zdewastowana jak wszystko wokół ale uniknęła totalnej destrukcji, bo znajdowała się na skraju dzielnicy zamieszkałej przez dygnitarzy hitlerowskich. W tym miejscu panował pewien ruch i w ogrodzie wzniesiono małe domki. Była tam studnia i patrzyłem, jak chłopiec nabierał wodę wiadrami, kręcąc kołowrotem.

Tarnowscy mieszkali w zniszczonej kamienicy z zaimprovizowanymi drzwiami wejściowymi, pomalowanymi na zielono i napisem powiadającym, że w domu nie ma min. We wnętrzu panowała kompletna ciemność, ale Cornelia znała drogę i dreptała obok mówiąc mi, gdzie są stopnie i gdzie należy skręcić. Gdy dotarliśmy do ciemnego korytarza z oknami zabitymi deskami zawołała głośno i zza drzwi doszedł głos Tarnowskiego, pytającego „Kto tam?”, zanim drzwi otworzyły się.

Tarnowscy zajmują jedną izbę — to wszystko co im przydzielono w obecnych warunkach. Tu żyją, jedzą i śpią, ale zdołali przy pomocy niewielu drobiazgów jakie udało im się ocalić uczynić to miejsce możliwym do zniesienia, przynajmniej w czasie krótkiej wizyty. Musi tu się okropnie żyć całymi miesiącami.

Adam Tarnowski ma 85 lat i stał się jeszcze trudniejszy we współżyciu. Zezłościł się, kiedy nie od razu zrozumiałem o co mu chodzi i zaczął na mnie krzyżeć. Marysia przeżyła piekło, ale nie skarży się ani słowem. Była u boku Bora w czasie powstania, przeszła przez całą grozę kanałów i wchodziła w skład grupy wysłanej z misją kapitulacji do Niemców. Kiedy wyraziłem pod jej adresem słowa współczucia i uznania w związku z tym co przecierpiała, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: „Nie,

kiedy patrzę na to wszystko z dystansu, to uważam, że był to najpiękniejszy i najszcześniejszy okres mojego życia. Byliśmy wolni i walczyliśmy o nasz kraj. I wszyscy Polacy byli zjednoczeni. To jest najszcześniejsze dla mnie wydarzenie". I kiedy próbowałem się tłumaczyć, dodała: „Przecież rozumiesz to Hugh, prawda?”.

Trudno przewidzieć, co się stanie z takimi ludźmi. Wszystko co mieli zostało skonfiskowane, muszą więc teraz żyć ze sprzedaży resztek tego, co udało się im uchronić. Marysia jest energiczna — gdyby taką nie była, nigdy by nie włączyła się do tego, co robiła. Znajduje się na czarnej liście rządu i ciągle grozi jej aresztowanie oraz zesłanie na Syberię. Nie jest to wcale figura retoryczna, ponieważ Sowieci chętnie zajmują się podejrzanymi Polakami, wyręczając w tym niepodległy rząd polski. Ich ulubioną metodą jest zsyłka na Syberię, skąd już o zesłańcach nie słyszy się. Nigdy nie wiedziałem u siebie w kraju, że rząd polski korzysta z urządzeń na Syberii dla swoich obywateli, których chce się pozbyć.

O ósmej wieczorem przyszedł Arthur aby nas zawieźć do Belwederu na bankiet do prezydenta. Całe to przyjęcie było uczną gangsterów. Te same podejrzone typy wzięły od nas płaszcz. Spędzono nas do jednego z salonów wypełnionego oficjałami, z których większość wyglądała jak kryminaliści, i była nimi. Kiedy już wszyscy zebrali się, wkroczył Wielki Bierut i obszedł wszystkich w monarszym stylu. Następnie udaliśmy się do sali jadalnej, gdzie stał wielki stół ustawiony w podkowę. Szef usiadł obok Bieruta, z drugiej strony mając swego tłumacza, aby obaj mogli rozkoszować się rozmową. Prezydent uparł się, aby wygłosić mowę, choć domagaliśmy się, aby bankiet miał nieformalny charakter. Aż do ostatniej chwili nie otrzymaliśmy obiecane go tekstu przemówienia, ale szybki rzut oka wystarczył, aby się zorientować, że wiele uwag w nim zawartych wymaga reakcji Szefa.

Ledwie zasiedliśmy do stołu, Bierut powstał i wygłosił z pamięci długą mowę, pomijając te punkty, które wywołały nasze obiekcje. Nie jest to jednak gwarancja, że nie znajdą się one w wersji ogłoszonej drukiem, jeżeli cokolwiek w ogóle się opublikuje. Gdy tylko Bierut usiadł, wstał Szef i powiedział co miał do powiedzenia z godną podziwu prostotą i zwięzłością. Arthur i pozostali dyplomaci amerykańscy z trudem powstrzymywali uśmiech zadowolenia.

Przystąpiliśmy do jedzenia. Stół był zastawiony zakąskami na skalę szokującą w kraju tylu wygłodzonych mieszkańców. Ale zbóje pałaszowały z ogromnym apetytem, choć reszta z nas straciła ochotę do jedzenia. Kiedy pochłonięto zakąski, zbiry w codziennych garniturach uprzątnęły półmiski i zaczęły wносить danie

za daniem — wyszukanie złych potraw. Siedziałem naprzeciwko prezydenta, obok premiera Osóbki-Morawskiego, niesłuchanego ponuraka, pogrążonego w milczeniu przez cały bankiet. Zrezygnowałem z próby konwersacji i wdałem się w rozmowę z jego sąsiadem, marszałkiem Rola-Żymierskim, który przynajmniej starał się odpowiadać po francusku, najlepiej jak potrafił. Za moich czasów warszawskich był on urzędnikiem w Ministerstwie Wojny. Wytoczono mu proces i skazano na karę więzienia za sprzedawanie nadwyżek produkcji dla wojska dla własnego zysku oraz za przyjmowanie łapówek od francuskiej misji wojskowej. Za te przekroczenia dobrego smaku skazano go na siedem lat. Gdy wyszedł na wolność, wyjechał do Rosji, przyjął obywatelstwo sowieckie i czekał na swoją chwilę. Teraz dowodzi polskimi siłami zbrojnymi — lub przynajmniej wydaje rozkazy na rozkaz oficera sowieckiego, który mu dyktuje co i jak ma zrobić.

Nie przypominam sobie kartoteki przestępczej premiera, ale po wieczorze z nim spędzonym doszedłem do wniosku, że wypuszczono go za szybko.

Z drugiej strony obok mnie siedział Mikołajczyk, przywódca partii ludowców i wicepremier, jedyna godna szacunku postać w tym zbiorowisku. Mówi całkiem dobrze po angielsku i wdaliśmy się w dłuższą pogawędkę, ku wyraźnemu zaniepokojeniu chłopców, którzy nie mogli niczego zrozumieć. Mocno na Mikołajczyka napierają i on zdaje sobie sprawę, że szybko się go pozbędą, ale jest uparty i robi swoje bez względu na wszystko. Próby unieszkodliwienia jego i innych zdarzają się często. Obowiązuje pewna delikatność, bo typy robią tak, aby przynajmniej wyglądało na wypadek. Terry Allena, naszego korespondenta agencji Associated Press, usiłowano kilka razy przejechać samochodem. Raz, kiedy szedł ulicą, auto wjechało na chodnik i chciało go rozpląszyć na murze. Ocalił go skok w otwarte drzwi. Zdumiewające, jak często kierowcy tracą tu kontrolę nad pojazdami.

Większość rozmów przy stole była okropnie nudna. Marszałek wygłosił długą tyradę przeciw generałowi Andersowi i jego „faszystowskiemu gangowi”. Chłopcy grają tę płytę tak często, że najwyraźniej wierzą każdemu słowu i Rola-Żymierski długo rozprawił z najgłębszym przekonaniem o zasługującym na napiętnowanie zachowaniu aliantów, którzy nie pozwalają żołnierzom polskim na powrót do ojczyzny. Oświadczył, że ci ludzie *mają prawo* do powrotu ze swymi sztandarami, itp., itd. Gdy tak mówił, Bierut instruował Szefa w kwestiach sytuacji w świecie, który znał z obserwacji zza krat najlepszych polskich więźniń. Przy-

pomniała mi się notatka, jaką podsunął mi Robert Cecil w czasie obrad w Genewie, gdy Litwinow wystąpił z jednym ze swych niekończących się popisów: „Czy to nie dziwne, że wszyscy ci rewolucjoniści są takimi strasznymi nudziarzami? Czytałem kiedyś, że Danton usypiał słuchaczy swymi oracjami”. Tu było tak samo.

Pięć minut po wstaniu od stołu pożegnano nas. Z radością udaliśmy się do naszego dobrze okablowanego pałacu, gdzie przed udaniem się na spoczynek omówiliśmy przebieg bankietu.

Warszawa, sobota 30 marca 1946

Niemal całe rano spędziłem na oprowadzaniu po mieście Galpina i Hugh Meyera [członkowie misji Hoovera] tą samą mniej więcej trasą co poprzedniego dnia. Drugim razem widok wydawał mi się jeszcze straszniejszy. Po zwiedzeniu miasta coraz większą zagadką jest dla mnie fakt jak trzysta do czterystu tysięcy ludzi znajduje tu jakiś dach nad głową. Gdy mówiliśmy o tym na Placu Zamkowym, na rumowisku pojawiła się siedmio-ośmioletnia dziewczynka i pędem zbiegła na ulicę, a za nią piętnastoro czy dwadzieścioro dzieci z podręcznikami szkolnymi pod pachą. Gdzieś z czeluści tej masy ruin spieszyły się do szkoły.

Jest ogromna różnica między ostatnią wizytą Szefa w Warszawie a obecną. Wtedy wzdłuż trasy przejazdu stały wiwatujące tłumy, a tysiące dzieci śpiewały powiewając chorągiewkami amerykańskimi. Tym razem mieszkańców Warszawy nie poinformowano o naszym przyjeździe, a ci, którzy nas dostrzegli na ulicy są pogrążeni w kompletnej apatii. Żadnych uśmiechów powitalnych. Większość przechodniów szybko spuszcza wzrok i zajmuje się swoimi sprawami. Generalnie panuje atmosfera podejrzliwości i wkrótce udziela się ona wszystkim. Żadnego klimatu dawnej Polski: atmosfera znacznie bardziej azjatycka. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że jesteśmy nie w Polsce, lecz w Rosji. Wszędzie widać oznaki państwa policyjnego. Wzdłuż alejek w Łazienkach stoją w równych odstępach uzbrojeni żołnierze. Wszystkie bramy są zamknięte i strzeżone przez wojsko jakby w celu odparcia ataku. Ci żołnierze lubią trzymać palec na cynglu i dzień i noc słysząc strzały przy najmniejszych pozorach prowokacji. Ludzi wyciągają z łóżek w środku nocy — znikają potem jak zaginione rzeczy. Nie tylko ważne figury, ale i robotnicy, piekarze, konduktorzy tramwajów, niemal każdy, kogo zadenuncjują. Jednocześnie trwają kontrakcje terrorystyczne, nie wiadomo przeciw komu obrócone. Ludzie z rządu są głęboko oburzeni tym, że

prócz nich ktoś jeszcze stosuje takie same metody. Zwalają wszystko na złowrogi gang faszystowski rządu londyńskiego, na wszystkich tych strasznych posiadaczy ziemskich, którzy tak długo prześladowali ubogie masy. Rozmawiając poprzedniego dnia z marszałkiem nie wytrzymałem i powiedziałem, że w rządzie londyńskim nie ma ani jednego ziemianina, więc dlaczego ciągle nazywa się go rządem feudalnych reakcjonistów. Nie wiedział co odpowiedzieć, więc zmienił temat: zaledwie wczoraj — mówił — parę kilometrów od Warszawy zatrzymano pociąg, wyciągnięto z wagonów jedenastu Rosjan i rozstrzelano, po czym pozwolono, aby pociąg ruszył w dalszą drogę.

Zabawne, z jakim głębokim poczuciem prawości oburzają się te zbiry będące u władzy, gdy dochodzi do aktów bezprawia ze strony innych. Arthur rozmawiał kilka dni temu z jednym z ludzi z rządu i zakwestionował jego prawo do mówienia w imieniu całego narodu, twierdząc, że gdyby doszło do wolnych wyborów, rząd nie otrzymałby więcej niż 10 % głosów. Odpowiedź była rozbrajająca: „Prawie z pewnością dostalibyśmy dwadzieścia procent”. Facet nie miał pojęcia, jak się odśłaniał.

O czwartej po południu wróciłem do Hotelu Polonia, żeby spotkać się z kilkorgiem Polaków, których — zdaniem Arthura — mogłem przyjąć bez obaw. To znaczy bez obaw o nich.

Pierwsza złożyła mi wizytę córka A.B., uroczą dziewczyna w wieku osiemnastu-dziewiętnastu lat. Mówi trochę po angielsku z dobrym akcentem, ale nie czuje się zbyt pewnie w tym języku. Jej francuski jest dużo lepszy, odbyliśmy więc po francusku dłuższą rozmowę. Chciała się wszystkiego dowiedzieć o swoim ojcu i kiedy opowiedziałem jej wszystko co wiem, zaskoczyła mnie pytaniem: „Proszę mi opowiedzieć o moim ojcu”. Powiedziałem, że to naprawdę wszystko co mam o nim do opowiedzenia. Odparła na to: „Pan mnie nie zrozumiał. Proszę mi o nim opowiedzieć — jak wygląda. Widzi pan, byłam dziewczynką gdy odjechał i właściwie go nie znam”. Zacząłem więc opowieść od początku i przedstawiłem go w możliwie najlepszym świetle. Na moją sugestię poszła do domu, aby napisać do ojca list, który przyniosła mi przed kolacją. Skorzystałem z okazji i przedstawiłem ją Cornelii, którą poprosiłem, aby się nią zajęła. Trudność polega na tym, że w Warszawie nie ma wydziału wizowego i jedyny sposób, aby dostać się do Ameryki to udać się najpierw do Zurychu albo Sztokholmu i tam czekać na zezwolenie. Dziewczyna jest zbyt ładna i zbyt młoda, aby pozostawić ją losowi, ale nie wiem, jak można jej będzie pomóc.

Gdy szedłem chodnikiem w kierunku samochodu, usłyszałem, że ktoś krzyknął głośno: „Excellenz!”. Odwróciłem się i spotka-

łem oko w oko z Michałem, naszym dawnym szoferem. Był w łachmanach, wychudzony, ale miał tę samą zawadiacką minę. Zapytałem, co mogę dla niego zrobić, na co odparł po niemiecku: „Nic, dziękuję bardzo, zupełnie dobrze mi się żyje”. Wszyscy oni są wspaniałymi ludźmi. Staremu zatwardziałcowi kręciły się łzy w oczach, ale były to łzy radości z powodu naszego spotkania.

Gdy wychodziliśmy na kolację, gad z protokołu zatrzymał Arthura mówiąc, że jeden z zaproszonych wicepremierów chce przyprowadzić swojego tłumacza. Arthur zeszywniał i powiedział, że zatroszczył się o tłumacza, który równie dobrze poradzi sobie z obowiązkami. Gad zaczął kręcić głową i odparł, że jeśli premier nie będzie mógł wziąć swego tłumacza, to nie wykluczone, że w ogóle nie będzie mógł wziąć udziału w kolacji. Arthur odpowiedział spokojnie, że premier sam musi dokonać wyboru, ale że on, Arthur, zastrzega sobie prawo decydowania o tym, kogo zaprasza do swego stołu.

Kiedy nadszedł czas kolacji, wróciliśmy do Polonii, gdzie jeden z komunistycznych wicepremierów pojawił się w asyście dwóch uzbrojonych żołnierzy, którzy chcieli wejść razem z nim do saloniku, ale zostali zmuszeni do zostania na korytarzu. Przyszła też Mikołajczyk, więc siedzieliśmy, czekając na trzeciego gościa. O pół do dziewiątej przekazano nam telefonicznie, że facet nie przyjdzie — żadnych usprawiedliwień, żadnych kłamstw o nawale pracy, jedynie suche zakomunikowanie nam, że nie przyjdzie. To naprawdę łobuzy. Ruszyliśmy zatem w procesji do jadalni udostępnionej nam przez hotel. Arthur starannie zamknął za sobą drzwi swego mieszkania. Dwóch żołnierzy podążyło za nami i usiłowało wejść do jadalni. Do tego nie dopuszczono, ale obaj trzymali półotwarte drzwi, aby mieć nas na oku i baczyć, aby nic się nie stało ich pupilkowi, albo może czuwać, aby pupilek nie dostał z naszych rąk zagranicznego złota.

Przeprowadziliśmy całkiem sensowną rozmowę z komunistą. Gdy nikt go nie kontrolował, mówił z pewną swobodą o sytuacji w kraju. Mikołajczyk ciągnął rozmowę po angielsku i był całkiem szczerzy, mimo obecności kolegi. Rzecz jasna, gra on niebezpieczną grę i wie, że może z niej nie wyjść żywcem.

Kiedy zeszliliśmy do hallu i pożegnaliśmy się, pomaszzerowaliśmy chodnikiem do swoich samochodów. Natomiast ludzie z obstawy komunisty podjechali autem tak, aby mógł się on wśliznąć zza zamkniętych drzwi wejściowych do limuzyny. Natychmiast ci z obstawy wskoczyli na stopnie po obu stronach auta, oddali kilka strzałów w ciemności i ruszyli gazem. Mikołajczyk poszedł do domu pieszo. Dzielný człowiek.

*Warszawa i Helsinki,
niedziela, 31 marca 1946*

Arthur przyszedł wcześniej, żeby wziąć szefa na pożegnalną wizytę do prezydenta. Ci faceci są specami od protokołu i domagają się jego drobiazgowego przestrzegania. Nikt z pozostałych członków misji nie wziął udziału w tym cyrku. Pojechaliliśmy wszyscy na lotnisko, aby gdy tylko Szeff dołączy, szybko odlecieć.

Biedna Cornelia miała łzy w oczach kiedy odjeżdżaliśmy. Jest dzielną dziewczyną — wszyscy jesteśmy z niej dumni.

Szybko wznieśliśmy się ponad chmury, które zniknęły w momencie, gdy samolot znajdował się nad Gdańskiem, Sopotem, Gdynią. Mówiono nam, że Gdańsk jest bardzo mocno zniszczony, ale nie mogliśmy tego stwierdzić z okien samolotu.

Stamtąd zatoczyliśmy duży łuk, co pozwoliło na zachowanie pełnego szacunku dystansu od posiadłości Wujka Józefa. Żaden pilot nie zbliżył się do terytorium rosyjskiego. Kra na Bałtyku sygnalizowała, że lecimy na północ i zanim dotarliśmy do wybrzeża Finlandii, zatoka była zamarznięta.

(Była to ostatnia wizyta mojego ojca i Herberta Hoovera w Polsce. Trasa ich misji wiodła do innych krajów europejskich, a następnie przez Azję, Pacyfik, po 12-dniowej przerwie, do Ameryki Łacińskiej, gdzie członkowie misji spędzili cały miesiąc. W lutym delegacja udała się ponownie do Europy, ale tym razem odwiedziła tylko Niemcy, Austrię i Włochy. Ciągłe podróże trwały sześć miesięcy i skutecznie przyczyniły się do opanowania głodu, który groził wielu częściom świata).

Hugh GIBSON

(Z angielskiego przełożyła Renata GORCZYŃSKA)

LISTY DO REDAKCJI

Cooma, 17 maja 1986.

Drogi Panie Redaktorze!

W swoim esej w *Zeszytach Historycznych* nr 75 (1986) Andrzej Sulima Kamiński pisze że „wciąż jednak Polacy porywem serca stają przy Traugutcie, Piłsudskim, Popiełuszcze (...)”.

Wymienienie jednym tchem tych trzech nazwisk wzbudza refleksje: historyczna rola Marszałka nie ulega wątpliwości, natomiast znaczenie dziejowe księdza Popiełuszki opiera się w pierwszym rzędzie na faksie, że został bestialsko zamordowany, co jednak nie stawia go automatycznie na poziomie Józefa Piłsudskiego (lub Romualda Traugutta).

Wiemy, że takich księży jak śp. Popiełuszko jest w obecnej Polsce wielu — nie mniej odważnych i gotowych do poświęceń. Ksiądz Jerzy przyplącił życiem swą odwagę, ale on sam, w swej kapłańskiej skromności, byłby chyba zdumiony postawieniem go na piedestale tuż obok wielkiego Marszałka.

W historii, obok obiektywizmu, obowiązują też wymogi zachowania harmonijnej proporcji.

Łączę pozdrowienia

Adam NASIELSKI



Paryż, 13 czerwca 1986.

Drogi Panie Redaktorze!

W interesującym artykule p. Domana Rogoyskiego, jaki ukazał się na łamach *Zeszytów Historycznych* Nr 76, mowa jest również o Alfredzie Ponińskim, radcy Ambasady R.P. w Bukareszcie a od jesieni 1940 przydzielonym do Ambasady w Ankarze. Dla częściowego uzupełnienia danych o roli, jaką Poniński odegrał w informowaniu rządu generała Sikorskiego odnośnie ministra Becka, internowanego w Rumunii, warto podać do wiadomości to, co pisał na jego temat w liście do Stanisława Kota. Dnia 21 sierpnia 1941 Poniński wysłał ze Stambułu list — który znajduje się w archiwach Instytutu generała Sikorskiego w Londynie — gdzie czytamy:

„Dla P. Min. Prof. Kota z prośbą o zakomunikowanie P. Premierowi.
Ścisłe tajne.

Wielce Szanowny i Kochany Panie Ministrze!

Okolo 12 b.m. wysłałem przez *attaché* wojskowego R.P. w Ankarze depeszę z zupełnie pewnymi wiadomościami o sytuacji b. Min. Becka i jego kolegów w Rumunii (depeszy tej w archiwach nie znalazłem — T.W.). Otrzymałem po wyjeździe Ambasadora R. Raczyńskiego mandat obserwatora spraw rumuńskich i bałkańskich, staram się być zorientowanym, co się w tych krajach dzieje i prywatnymi drogami otrzymywać wiadomości, którym poświęcam periodyczne raporty dla M.S.Z. Staram się o materiał aktualny z punktu widzenia rozwoju obecnej wojny i sprawy przyszłego pokoju, abyśmy wiedzieli, jakie w tych stronach dokonały się przeobrażenia faktyczne. Na te tematy prześlę reasumujący raport z chwilą nominacji nowego Ministra spraw zagranicznych. Dzisiaj pragnę tylko powtórzyć i uzupełnić treść powołanej powyżej depeszy. Mój informator *Attaché* Poselstwa chińskiego Yu z Bukaresztu znał Becka jako członka tego Poselstwa w Warszawie, a w Rumunii odwiedzał go często. Stwierdza on kategorycznie, że w traktowaniu b. członków Rządu nastąpiła już od dłuższego czasu znaczna poprawa i że, co wydaje się rzeczą najważniejszą, zainteresowanie nimi Niemców jest nikłe. Nie ma więc tam, poza sprawą pozbawienia wolności i możliwości cyrkulowania, żadnej nowej karty martyrologii, jakby to chciały widzieć pewne nasze sfery emigracyjne. Chińczyk mówił mi, że to jest życie „w złotej klatce” z możliwością przyjmowania wszelkich odwiedzin, druków, radia etc. Beck był w wyjątkowo dobrej formie i zadowolony, iż Yu przybył w towarzystwie amerykańskiego wybitnego dziennikarza. Rozmowa miała miejsce w przededniu podpisania naszego układu z Sowietami. Niespodzianką dla Chińczyka było, iż Beck z wielkim optymizmem mówił o potrzebie i ewentualnych rezultatach takiego układu, wysuwając tezę, iż załatwienie spraw spornych będzie można łatwiej Rosji narzucić gdy walką z Niemcami będzie osłabiona, a Niemcy już w trakcie załamywania. Oczywiście przewidywał, że Niemcy będą odnosili szereg zwycięstw w Rosji ale, że nie będą miały tam ostatecznego sukcesu”.

Z tego co jest mi wiadome nie zachowały się na emigracji żadne raporty A. Ponińskiego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Tadeusz WYRWA



Woodside, CA., USA, 30 czerwca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Cytuję część zdania „Listu z Polski” Adama Wrzeszcza, opublikowanego w czerwcowym zeszycie *Kultury*: „... sięga się po czyn niesławnej pamięci Doboszyńskiego”. Mam nadzieję, że odezwie się ktoś, kto dobrze zna historię Doboszyńskiego, względnie należał do jego kręgu politycznego. Gdyby jednak tak nie było, to choć nie należę do żadnej z wymienionych kategorii, wierzę, że pamięć Doboszyńskiego na określenie p. Wrzeszcza nie zasłużyła.

Wkrótce po zakończeniu wojny, w Monachium, poprosił mnie przyjaciel o udzielenie w naszym domu gościny młodej osobie, która jako łączniczka miała czekać na możliwość przerwienia jej do Polski. Osoba ta, która

miała, względnie miała na tę okazję, imię Wiesia, była już parokrotnie w Polsce, a w czasie okupacji była łączniczką AK. Zresztą w czasie pobytu u nas częściowo się zdradziła: widząc na stole tomik ostatnio wydanych wierszy, zawołała „to mego narzeczonego”. Już po pierwszej z nią rozmowie zorientowałem się, że odwołanie jej od tej niebezpiecznej misji nie da najmniejszego rezultatu i wszelkie argumenty, których musiałbym użyć, sprawiłyby jej tylko przykrość.

Miałem natomiast ostrą rozmowę z moim przyjacielem, pytając go, jakim prawem, zwłaszcza w obecnej beznadziejnej sytuacji, można narażać na takie niebezpieczeństwo młodą dziewczynę. Oświadczył, że o Wiesię nie ma najmniejszych obaw, wypłynęło natomiast nazwisko Doboszyńskiego. Okazało się, że przerzucony miał być również Doboszyński, co do którego były obawy, że w tych sprawach nie ma najmniejszego doświadczenia i jest antytezą kamuflażu. Ale i tu również, dodał mój przyjaciel, nic się nie da zrobić; Doboszyńskiego miano usilnie odmawiać, ale oświadczył, że jego miejsce jest w Polsce i jak nie otrzyma pomocy, to wyruszy sam.

Głośno było o Adamie Doboszyńskim w Polsce przed wojną. Na czele uzbrojonej grupy napadł na posterunek policji w Myślenicach, gdzie został ktoś zabity. Po nadejściu posiłków policyjnych grupa Doboszyńskiego wycofała się i schroniła w Czechosłowacji. Sam Doboszyński granicy nie przekroczył, wrócił, gdyż jeden z jego podkomendnych został w tyle. Tu jest mój pierwszy argument: ludzie, którzy tak postępują niezmiernie rzadko, lub nigdy, na pośmiertny epitet, przytoczony wyżej, zasłużyć sobie nie mogą. Dalszy argument: aresztowany Doboszyński znajduje się przed ławą przysięgłych w Krakowie i zostaje uniewinniony. Prokurator apeluje i znowu ława przysięgłych, tym razem we Lwowie, skazuje go tylko za „zakłócenie pokoju publicznego”. Coś w tym Doboszyńskim musiało być, że w obu wypadkach oczywiste fakty zostały zlekceważone.

Po Wrześniu Doboszyński przedostał się do Francji, a następnie do Anglii. W Londynie, nie tak jak poprzednio w Polsce, ludzie o poglądach bliskich Doboszyńskiemu odgrywali znaczną rolę. Mimo to porucznik rezerwy Doboszyński za warcholstwo został osadzony w obozie odosobnienia. Po zakończeniu wojny Monachium, przekroczenie granicy polskiej, aresztowanie i sąd wojskowy w Warszawie. Znów, jak po Myślenicach, głośno jest w prasie o oskarżonym. Zarzuty nie były jakie: w czasie wojny agent niemieckiej Abwehry; po wojnie zwerbowany do amerykańskiej sieci szpiegowskiej. Ten ostatni werbunek łączy się z nazwiskiem rezydującego w Monachium „majora Alexandra”. Jednym z pośrednich „dowodów” jest znaleziona przy oskarżonym suma 111 (stu jedenastu) dolarów. Suma ta, podchwycona przez sprawodawców z procesu i podana wielokrotnie w prasie, miała przekonać czytelników (którzy szybko przeliczyli ją sobie po cenie czarnorynkowej) o jak znacznego amerykańskiego szpiega chodzi. Doboszyński został stracony w 1949 roku.

Gdyby Doboszyńskiego nazwano chorym fantastą, fanatykiem, warchołem czy podobnie — listu tego by nie było. Jest, gdyż przytoczone słowa p. Adama Wrzeszcza przypominają echo ówczesnego procesu, czy sprawozdań prasowych z tego wyjątkowo tragicznego okresu naszego Kraju. P. Wrzeszcz powinien wskazać źródła, na których oparł swą opinię o Doboszyńskim. Jeżeli tymi źródłami będą jedynie protokoły sądu wojskowego, sprawozdania prasowe, czy wówczas wydana w Polsce książka o Doboszyńskim i jego procesie — to dalsze wyjaśnienia w tej sprawie wydają się zbyteczne.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję

Jerzy SZWEDE

DOKUMENTY

WYWIAD Z WŁADYSŁAWEM FRASYNIUKIEM

PYTANIE: — *O której właściwie skończyły się obrady w Gdańsku nocą z 12 na 13 grudnia 1981?*

WŁADYSŁAW FRASYNIUK: — Około 24-tej. Wszystkie uchwały zostały już podjęte, trwała jeszcze tylko swobodna dyskusja. Jeden z warszawskich działaczy zaproponował, żeby ogłosić amnestię dla władzy: jeśli społeczeństwo daruje jej winy, przestępstwa i wszystkie zbrodnie, jakie popełniła, to może władza bardziej mu zaufa.

Opuszczałem już salę, koledzy poszli kupić bilety, bo postanowiliśmy wracać jak najszybciej do Wrocławia. Wiedzieliśmy, że dzieją się dziwne rzeczy z przemieszczaniem wojska i ZOMO po całej Polsce, oraz że są kłopoty z połączeniami telefonicznymi. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski zatrzymali mnie i powiedzieli, że właśnie zostały zerwane połączenia telefoniczne na terenie całego Gdańska. Wywiązała się między nami krótka dyskusja, co robić. Moim zdaniem należało wracać do zakładów pracy. Oni uważali, że chyba lepiej zostać w Gdańsku i zastanowić się, jak reagować w razie czego — to „czego” było bliżej nieokreślone. Tak się rozstaliśmy. Cała delegacja wrocławska oprócz Karola Modzelewskiego wyjechała do Wrocławia.

P.: — *O czym myślałeś?*

W.F.: — Ze wszystkie te historie z przemieszczaniem wojsk i

ZOMO to... społeczeństwo akurat znajdowało się w dołku psychicznym, wszystko widziało na czarno — więc traktowałem te informacje jako taktyczne zagrywki psychologiczne, próby zastraszenia.

P.: — *I... wsiedliście do pociągu.*

W.F.: — Poszliśmy na dworzec. Zauważyliśmy, że teren stoczni był kontrolowany przez obserwatorów w cywilu, milicji jednak na mieście nie było widać, nic nie było obstawione. Na dworcu spotkaliśmy kilka delegacji — z Górnego Śląska, Leszna, Opola. Poinformowałem je o całkowitym zerwaniu połączeń na terenie Trójmiasta. Nastąpiła krótka dyskusja, co robić. Uważałem, że jeżeli coś się szykuje, to trzeba być przede wszystkim w zakładach pracy, a nie czekać w stoczni. W stoczni jest przecież Wałęsa i prezydium Komisji Krajowej, natomiast my jesteśmy potrzebni w regionach.

Do Wrocławia wracaliśmy z trzema przesiadkami. W drugim już chyba pociągu pasażerowie rozmawiali o stanie wojennym. Potraktowaliśmy to znowu, tak trochę...

P.: — *Jak czarnowidztwo?*

W.F.: — Troszkę. Strasznie dużo się przecież mówiło wtedy o nadzwyczajnych kompetencjach dla wojska, o *quasi* stanie wyjątkowym. Uznaliśmy więc, że reakcja pasażerów jest skutkiem propagandy, że ludzie zaczynają w nią wierzyć.

W Poznaniu postanowiliśmy sprawdzić, co się naprawdę dzieje. Poszedłem na pocztę i spytałem panią w okienku o numer telefonu zarządu regionu. Ta pani zbladła i konspiracyjnym szeptem zaczęła mówić: — Proszę pana, przecież jest wojna, wszystko jest zerwane. — Ja jeszcze pytałem: — Jaka wojna, nie bardzo rozumiem. — A ona: — Jak to jaka wojna, no, wojna.

Postanowiliśmy poszukać komisji zakładowej „Solidarności” na dworcu. Była zamknięta. Podzieliliśmy się więc na małe grupki, żeby nikt nie zostawał sam, i poszliśmy szukać jakichś pracowników komisji. Przecież gdzieś tam siedzą, muszą mieć radio. Wyszedłem z którymś z kolegów przed dworzec sprawdzić, czy życie toczy się normalnie. Było gdzieś między piątą a szóstą rano. Komunikacja miejska chodziła normalnie, taksówki jeździły i w zasadzie nie było widać żadnego zdenerwowania, żadnej milicji, żadnych uzbrojonych patroli. Wróciliśmy znowu na dworzec. Cały czas w przekonaniu, że to po prostu wpływ propagandy.

Usiedliśmy w kawiarni przy stoliku i wtedy odebraliśmy pierw-

szy poważniejszy sygnał. Jacyś pijackowie podeszli do nas i powiedzieli: — Panowie, zdejmijcie te odznaki, jest wojna.

Nas to rozbawiło. Zaczęliśmy się z nich trochę nabijać, ale potem podeszła kelnerka i też zwróciła nam uwagę, że lepiej, byśmy ściągnęli te znaczki, bo milicja chodzi i takich ze znaczkami zatrzymuje. Nic sobie z tego nie robiliśmy. Nagle do kawiarni wszedł milicjant i zaczął krążyć między stolikami. Zapytałem go, czy mu coś wiadomo na temat wojny i kto komu ją wypowiedział. On zatrzymał się, zmierzył nas i nasze znaczki i powiedział: — Robimy porządek. — Spojrzał na nas jeszcze raz i wyszedł. Wtedy wszyscy z okolicznych stolików, pijackowie, kelnerki rzucili się na nas: — Panowie, uciekajcie stąd, rzeczywistość jest wojna, aresztują ludzi. Nie wierzycie, ale tak jest, naprawdę.

P.: — *Nie wierzyliście? Przecież w Radomiu sami mówiliście o konfrontacji...*

W.F.: — To, co się działo w Radomiu wynikało z dużej bezradności Związku. Było już po wyborach, po opracowaniu programu i Związek nie mógł już improwizować, trzeba było przejść do konkretów: reformy gospodarczej, reformy praworządności, szczerze mówiąc reformy wszystkiego, od oświaty do więziennictwa łącznie.

Mieliśmy zresztą od samego początku świadomość, że władza będzie próbowała Związek zniszczyć i że wybierze do tego najdogodniejszy okres, to znaczy zimę, a także że poczeka z tym, aż pogorszą się gwałtownie warunki bytowe społeczeństwa. Straszono przecież tragicznymi skutkami zimy, chociaż nikt nie wiedział jeszcze, jaka ona będzie, zapowiadano podwyżkę cen bez uzgodnienia ze Związkiem i bez rekompensat. Na rok '82 zapowiadało się prowizorium gospodarcze, które zupełnie miało zaprzepaścić to, co do tej pory robił Związek, tzn. przekreślić samorząd i reformę gospodarczą, a koszta przerzucić na barki społeczeństwa. Nastąpił rzeczywiście bardzo trudny okres. Władza z jednej strony bała się — nie tyle dziesięciomilionowego Związku, niezbyt jeszcze zorganizowanego, ile jego programu. Bała się, że ludzie w zakładach pracy przycisną ostro działaczy szczebla regionalnego czy krajowego, by przestali wreszcie mówić o jakichś mitycznych reformach, natomiast zaproponowali konkretne posunięcia. Z drugiej strony władza rzucała Związkowi kłody pod nogi. Właściwie proponowała mu dwie rzeczy: kompromitację i konfrontację. Kompromitacją nazywam Front Porozumienia Narodowego, stary chwyt, stosowany przez komunistów od chwili zdobycia władzy

w kraju (wystarczy przeczytać historię Mikołajczyka, by zrozumieć, w co chciano nas wmanewrować). Do konfrontacji zaś prowadziły nadzwyczajne pełnomocnictwa — zdaje się, że dla rządu Jaruzelskiego — zawarte w tajnym dokumencie, o którym się wprawdzie mówiło, ale którego nikt nie znał. Musieliśmy więc przeciwdziałać konfrontacji. Stąd to posiedzenie w Radomiu, bardzo nerwowe i szczerze.

P.: — *Jak wyobrażaliście sobie konfrontację z inicjatywy władzy, a jaki jej model chcieliście zaproponować wy?*

W.F.: — Co do konfrontacji narzuconej przez władzę nie mieliśmy złudzeń. Jej celem było zniszczenie Związku i rozbicie wszelkich niezależnych struktur w kraju. Związek zaś przedmiotem konfliktu chciał uczynić sprawę kolejnych reform systemu, tak aby konfrontacja — która musiała nastąpić — była starciem kolejnych pomysłów i innowacji.

P.: — *A więc rewolucją bez rewolucji...*

W.F.: — Właśnie, i to był problem numer jeden na obradach przewodniczących regionów w Radomiu, ale nie Komisji Krajowej, gdyż uznano, że KK, która liczyła ponad sto osób, nie jest ciałem na tyle sprawnym, by mogła wypracować koncepcję działań na dziś, na już. Trzeba pamiętać, że propaganda trąbiła cały czas o wielkiej sile Związku i jego przygotowaniach do konfrontacji niemalże zbrojnej, i wielu działaczy w to uwierzyło. Ba, niektórym wydawało się nawet, że władza leży już na ulicy, wystarczy ją podnieść i wybrać spośród nas ludzi, zdolnych do jej sprawowania. Moim zdaniem Związek wtedy podobny był do licznej i bojowej armii, która jest cały czas w ataku, natomiast brak jej zaplecza technicznego, czyli nie może prowadzić działań na dłuższą metę, bo pierwsza przegrana potyczka mogłaby spowodować straszne skutki. Wałęsa wtedy m.in. wypowiedział swe sławne zdanie, że nie wolno nam przeciw konfrontacji ani dawać władzy argumentów za nią, musimy okopać się w zakładach pracy i tam trwać, bo jeżeli nie zdążymy tego zrobić, zostaniemy zdmuchnięci.

Miał rację. Rzeczywiście brakowało nam twierdzących. Powinny były nimi być zakłady pracy, tymczasem działalność Związku w różnych regionach i zakładach przedstawiała się bardzo, bardzo różnie. Toteż w Radomiu ujawniły się dwa stanowiska: jedno, że poprzez samo istnienie dziesięciomilionowego Związku, zdolnego do ogłoszenia strajku generalnego, trzeba zmusić władzę do — na przykład — zgody na powstanie Rządu Ocalenia Narodo-

wego, i drugie, akceptowane chyba przez większość działaczy, o wiele bardziej wyważone, że trzeba wprawdzie władzę zmusić przynajmniej do zgody na powołanie społecznej rady gospodarczej, niezależnej od „Solidarności” i od władzy, która opiniowała wszystkie decyzje gospodarcze i miała wpływ na posunięcia dotyczące reform gospodarczych, ale jednak należy unikać z nią konfliktów, nie dawać jej argumentów do konfrontacji zbrojnej oraz po prostu przetrwać zimę, skupić się na działalności w zakładach pracy, dążyć do polepszenia warunków bytowych i socjalnych pracowników i czekać na dogodniejszy moment dla pokazania naszej siły.

P.: — *To wtedy mówiłeś o zmęczeniu końca kolejki, o ludziach, których nie zadowala negocjacyjne stanowisko Związku, którzy uważają, że Związek się po prostu certoli i niczego nie potrafi załatwić, jeśli chodzi o potrzeby bieżące, a bawi się — ich zdaniem — w dość abstrakcyjne spory polityczne.*

W.F.: — Tak, tak.

P.: — *Karol [Modzelewski] zaś powiedział, że ludzie są albo bardzo zadowoleni, albo bardzo przerażeni, bo uważają, że „Solidarność” przejdzie do konfliktu, który skończy się dla niej tragicznie. Jeszcze inni twierdzą, że albo należy zacząć rozmawiać z władzą, albo przestać rozmawiać i w ogóle skończyć z komuną. Każda więc decyzja Związku miałaby przeciwników i zwolenników. Czy możliwy był jakiś kompromis?*

W.F.: — Sytuacja była rzeczywiście bardzo trudna. Związek mimo swej siły nie miał przecież wpływu na decyzje władzy. Miał też świeże doświadczenia w walce o podwyżki płac, która szła bardzo opornie. Chyba od lipca '81 roku Związek dojrzał już do tego, by przestać się szarpać o sprawy drobne — choć dla ludzi ważne — o te gumki, rękawice czy fartuchy, a zacząć się bić o całościową reformę gospodarczą. O wszystkich pozostałych sprawach, nawet tak niepopularnych jak podwyżki cen, postanowił dyskutować przez pryzmat reformy. W Radomiu podjęliśmy uchwałę, z której moim zdaniem ludzie byli zadowoleni, bo uważali, że nie prowokuje ona władzy. Bodaj tylko eksperci zarzucali nam, że jej końcowe sformułowanie, że od reformy gospodarczej związek nie odstąpi, nawet gdyby miał się uciec do strajku generalnego, posłużył władzy jako argument, że Związek dąży do konfrontacji i przy pomocy strajku generalnego chce obalić ustrój. Pozostali ludzie byli z tej uchwały zadowoleni, bo pozostawiała otwartą furtkę: jeśli władza wprowadzi „nadzwyczajne kome-

tencje” dla rządu, odpowiemy tylko 24-godzinnym strajkiem, natomiast jeśli zdecyduje się na użycie siły, to zgodnie ze statutem Związek zgłosi strajk generalny.

P.: — *Kiedy wreszcie uwierzyłeś w stan wojenny?*

W.F.: — Kiedy wychodziliśmy z tej kawiarni dworcowej w Poznaniu, jakiś człowiek kazał nam iść na dół i posłuchać, co w telewizji mówi Jaruzelski. Trafiłem na ostatnie jego słowa, ale potem odegrano hymn. Jak usłyszałem ten hymn — uwierzyłem. Ale ciągle miałem nadzieję, że to może Rosjanie grożą interwencją, a Jaruzelski odwraca uwagę, ale w końcu zachowa się jednak trochę porządniej niż się zachował.

Znaleźliśmy paru ludzi, którzy słuchali radia, ale i oni nie potrafili nam niczego wyjaśnić. Wszyscy byli zdezorientowani. Pozostawał ten hymn, który nas zmroził i postawił na nogi. Pierwszym lepszym pociągiem postanowiliśmy wracać do Wrocławia. Wsiadliśmy do pierwszej klasy, bo byliśmy trochę zmęczeni. Wszedł konduktor. Ja wstałem i zacząłem mu tłumaczyć, że chcemy dopłacić. On mnie nie słuchał, tylko patrzył na nas. I nagle mówi: — Panowie, to wszystko jest nieważne, dzisiaj bilety są nieważne, siedzcie. — Zamknął drzwi i poszedł. Zbaranieliśmy. W okolicach Leszna wrócił: — Panowie, ja wiem, kim jesteście, we Wrocławiu czeka na was policja, musicie wysiąść przed Wrocławiem, inaczej was aresztują. — Spytałem go, skąd to wie. On na to, że po jakichś łączach telekolejowych przyszła informacja, iż delegacja wrocławska ma wracać do Wrocławia, więc trzeba obstawić dworzec. Zaproponował nam, byśmy wysiedli w Obornikach Śląskich. Powiedziałem mu, że w Obornikach Śląskich nie wysiądziemy, bo skoro został wprowadzony stan wojenny, a nie wiemy na czym on polega, musimy się jak najszybciej dostać do Wrocławia, do zakładów pracy. Spytał jeszcze, jak sobie wyobrażamy wyjście z pociągu we Wrocławiu, więc mu odpowiedziałem, że najprawdopodobniej będziemy próbowali wyskoczyć z pociągu na przedmieściu lub w samym mieście. Jeszcze raz pokiwał głową i poszedł. Przed Wrocławiem zaproponowałem kolegom, żeby obstawić drzwi i kiedy pociąg zwolni przed jakimś semaforem, po prostu wyskakiwać. W okolicach Lipy Piotrowskiej, Świniar pociąg nagle zaczął zwalniać. Wyskoczyłem pierwszy, za mną jeszcze ze dwóch kolegów i pociąg się zatrzymał. Byłem przekonany, że jakiś czerwony semafor się ukazał i dlatego maszynista zatrzymał pociąg. Kiedy jednak wyszliśmy na drogę, zobaczyłem dwóch kolejarzy do połowy wychylnych, którzy bacznie obserwowali, czy wszyscy wysiedli. Pod-

niosłem rękę, że wszystko OK i podziękowałem. Oni nam też pomachali i pociąg natychmiast ruszył.

Wracaliśmy przez ulicę Obornicką, zastanawiając się, czy czekać na autobus, czy iść piechotą. Doszedłem do wniosku, że lepiej piechotą, bo jeśli cokolwiek się dzieje, to komunikacja miejska na pewno stoi, a jak jest wszystko w porządku, każdy autobus zabierze nas po drodze. Szliśmy bardzo długo. Po drodze mijaliśmy jednostkę wojskową. Tam zobaczyliśmy pierwsze uzbrojone patrole. Poprzednie, które widzieliśmy w Poznaniu, sześćoosobowe, nie miały broni. Podeszliśmy do jednego, pytając, czy coś więcej wiedzą na temat stanu wojennego, ale nie wiedzieli nic.

Doszliśmy do Karłowic, do pętli (tramwajowej?). W punkcie kontrolnym jedna pani widząc mnie najpierw osłupiała, a później się strasznie ucieszyła: — Panie Władku — powiedziała — my już stoimy, niech pan szybko idzie na zajezdnię, wszyscy na pana czekają. — Dostaliśmy się na pierwszą, przy ul. Słowiańskiej. Tam wyliczono nam już — o ile dobrze pamiętam — ze trzysta nazwisk ludzi internowanych, opisywano jak brano ludzi z mieszkań itd. Nikt jednak nie potrafił nic powiedzieć na temat samego stanu wojennego, jakimi konsekwencjami grozi, przeciwko komu właściwie został wprowadzony. Poproszono nas, byśmy jak najszybciej udali się na zajezdnię siódmą, do dawnego centrum strajkowego z sierpnia '80 roku, gdyż tam gromadzą się działacze z poszczególnych zakładów i albo już założyli, albo próbują zorganizować centrum strajkowe. Ze względu na bezpieczeństwo mnie wzięto do osobnego samochodu, a pozostali wsiedli do Nysy.

P.: — *Czyje to były samochody?*

W.F.: — Służbowe MPK, dyżurne.

Aha, na zajezdni odbyła się jeszcze krótka dyskusja o tym, co właściwie zdarzyło się w Gdańsku. Wszyscy bowiem byli właściwie przekonani, że stan wojenny wprowadzono tylko i wyłącznie z powodu decyzji, które zapadły w Gdańsku. Że myśmy w Gdańsku czymś sprowokowali władzę, jakimś nowym oświadczeniem, jakąś nową uchwałą, jakąś nową koncepcją.

Odbyła się jeszcze między mną a kolegami dyskusja, którą jechać. Koledzy postanowili zobaczyć MKZ, uważałem to za zbyt ryzykowne i udałem się na teren zajezdni siódmej. Tam funkcjonował już RKS, były wydane chyba ze dwa komunikaty, spotkałem wszystkich prawie działaczy zarządu Regionu, którzy ocaleli oraz przedstawicieli z poszczególnych komisji zakładowych, często

drugie garnitury, czyli tych, którzy zostali upoważnieni do podjęcia działalności na wypadek aresztowań.

(...) Zapadła decyzja, że musi powstać regionalny komitet strajkowy, jak w Sierpniu; ustaliliśmy, że MPK będzie strajkować całą niedzielę, a w poniedziałek ruszy do pracy, aby dowieźć ludzi do zakładów. Na czym polega stan wojenny, już wiedzieliśmy. Wysłuchaliśmy wszystkich komunikatów z telewizji i doszliśmy do wniosku, że komunikacja miejska zapewni nam swobodny kontakt między zakładami pracy. Muszę powiedzieć, że kierowcy pracy przyjęli to niechętnie, ale ze zrozumieniem. Troszkę się boczyli, że będą musieli jeździć cały dzień, gdyż woleliby wyjechać i o dziesiątej zjechać z powrotem, ale później dotarło do nich, że rzeczywiście to jest jedyny bezpieczny środek lokomocji. Wtedy też postanowiliśmy zwrócić się do wszystkich przedstawicieli zakładów pracy, aby już w niedzielę podjęli przygotowania do generalnego strajku okupacyjnego. Tak się stało. Docierały do nas miłe informacje. W niedzielę masa ludzi, bezpośrednio po wysłuchaniu komunikatów o wprowadzeniu stanu wojennego, udała się ze śpiworami do zakładów pracy i około południa oprócz MPK strajkowało paręnaście zakładów z tych, które akurat nie pracują w niedzielę. Postanowiliśmy uratować wszystko co się da z zarządu regionu i zorganizować grupy, które zabezpieczą sprzęt radiowy i poligraficzny na terenach innych zakładów. Następnie zdecydowaliśmy się rozstać, podzielić dla bezpieczeństwa na kilkanaście grupek i przetrwać noc w miejscu bezpieczniejszym niż zajezdnia MPK. Już wtedy mieliśmy informacje, że ZOMO jest mobilizowane do pacyfikacji poszczególnych zajezdni. Nie wiem nawet, kto te informacje przynosił, ale były one pewne i sprawdzone, bo natychmiast po opuszczeniu przez nas zajezdni MPK wtargnęło tam ZOMO. Umówiliśmy się, że następnego dnia wejdziemy do któregoś z zakładów przy ulicy Grabiszyńskiej lub Pstrowskiego. W pierwszym rzędzie wchodziły w rachubę FADROMA, FAT, PaFaWag i DOLMEL, a ponadto HUTMEN. Nie wiedzieliśmy jak będzie wyglądał ranek 14 grudnia i dlatego wyznaczaliśmy sobie kilka punktów spotkań.

P.: — *Gdzie spałeś?*

W.F.: — Nie chciałem zdradzać kryjówek, bo może się jeszcze przydać. Powiem tylko, że spałem w instytucji państwowej, bo postanowiłem być między ludźmi, a jednocześnie żeby ludzie nie wiedzieli, że jestem — o, tak bym to nazwał. Byłem razem z Piotrkim Bednarzem. W poniedziałek rano ludzie, którzy nas tam ulokowali, powiedzieli co się dzieje na mieście. Zdecydo-

waliśmy więc z Piotrkim, że wchodzimy do PaFaWagu, gdyż tam wejście było bezpieczniejsze niż gdzie indziej. Można było próbować od strony torów i wiaduktu, a FAT-a baliśmy się. (...) Baliśmy się, że FAT może być obstawiony. Rzeczywiście oba zakłady były obstawione, przeszliśmy więc teren od przychodni i później przez okratowane okna, po kratkach na dach i stamtąd na przybudówki do PaFaWagu. Kiedy zeskakiwaliśmy z dachu jakiegoś chyba garażu, wśród załogi wybuchła mała panika. Ludzie się natychmiast odsunęli, nie bardzo wiedząc, kto zeskoczył. Wyraźnie widzieliśmy, że się cofnęli, mimo że nas było tylko dwóch. W następnym jednak momencie, kiedy nas rozpoznali, radość była ogromna. W pięć minut zlecieli się ludzie i z DOLMEL-u i z PaFaWagu i znowu zaczęły się niekończące się rozmowy o tym, co to było w tym Gdańsku, dlaczego wprowadzono stan wojenny. Wszyscy myśleli, że potrafimy uzasadnić konieczność wprowadzenia stanu wojennego, że w Gdańsku daliśmy do tego powód, czy argument. W PaFaWagu powstał szybciućko i już formalnie, z nazwiskami, międzyzakładowy komitet strajkowy, tradycyjnie zostali do niego dokooptowani przedstawiciele zakładów, w których znajdował się regionalny komitet strajkowy, a więc PaFaWagu i DOLMEL-u, no i wszyscy pracownicy poszczególnych agend. Zaczęło się normalne organizowanie zarządu regionu. Sekcja radiowa usiłowała naprawić uszkodzone radiowęzły zakładowe, które zdemolowała służba bezpieczeństwa. W DOLMEL-u apartura została porozbijana jakimś łomem, a w PaFaWagu w sposób bardzo inteligentny przecięto przewód, a następnie złączono i zaizolowano. Wskutek tego koledzy szukali kilka godzin przyczyny awarii i dopiero około 23-ej radiowęzeł się odezwał. Powiedziałem parę słów, puszczono piosenki. Po raz drugi radiowęzeł odezwał się, gdy ZOMO zaatakowało zakład od strony torów. Koledzy z radia ostrzegli wtedy załogę, że właśnie wdarło się ZOMO i rozpoczęło pacyfikację zakładów, potem puścili taśmę z piosenkami i opuścili radiowęzeł.

W związku z tym, że bardzo dużo ludzi interesowało się tym, gdzie mieści się siedziba RKS-u, a nigdy nie było wiadomo kto jest kto, postanowiłem dla bezpieczeństwa przenieść się na tę noc dyskretnie wraz z Piotrem Bednarzem, Józkiem Piniorem i kilku innym działaczami naszego regionu w inne miejsce, żeby utrudnić służbom specjalnym określenie miejsca naszego noclegu.

Po naszym wyjściu wszyscy byli przekonani, że jedyną formą protestu może być strajk generalny, zgodnie ze statutem i zgodnie zresztą z wolą ludzi. Uważali, że stan wojenny został wprowadzony przeciwko niezależnej strukturze związkowej, przeciwko „Solidarności”, przeciwko całemu ruchowi odnowy kraju i że w zwią-

ku z tym jedyną odpowiedzią może być strajk generalny. Jednak po upływie kilku godzin ten duch powoli zaczął słabnąć i już 14-go masa ludzi z PaFaWagu i DOLMEL-u zaczęła opuszczać zakład pracy. Doszło do szarpaniny w wartowni PaFaWagu. Straż pracownicza postanowiła ostro przywołać swoich kolegów do porządku, to znaczy nie wypuszczać ich z zakładu, zwłaszcza młodych mężczyzn, uważając że to jest dezercja. Interweniowałem osobiście i w końcu przekonałem ich, że ponieważ konsekwencje tego protestu nie są znane, może dojść do użycia broni i przemocy, mogą być ofiary, więc każdy musi sam we własnym sumieniu zdecydować, jak ma postąpić. Właściwie między godziną 16-tą a 18-tą panowało przynębnienie. Przedstawiciele poszczególnych hal prosili nas, abyśmy chodzili po zakładzie i podnosili ludzi na duchu. Ludzie martwili się, że tak mało ich zostało. Po godzinie 18-tej sytuacja zmieniła się, ludzie zaczęli wracać z domów z prowiantem, z kocami i wielu mówiło, że kiedy żony dowiedziały się, co się dzieje, to powiedziały, że ktoś z rodziny musi wziąć udział w proteście, z którym się wszyscy identyfikują. Krażyły nawet później dowcipy, że mężowie zostali wygonieni przez żony z domu i musieli wrócić do zakładu, aby godnie reprezentować rodzinę. Nastąpił wtedy czas euforii, bardzo sympatyczny i miły, bo wracających było naprawdę bardzo dużo.

Różnie kształtowały się postawy, jeśli chodzi o samą formę protestu: czy należy bronić zakładu pracy w przypadku interwencji, czy też stosować bierny opór, to znaczy pozwolić na wtargnięcie stawiając opór, ale nie taki, który mógłby spowodować użycie siły. Niewielu młodych ludzi uważało, że powinniśmy stawiać czynny opór, natomiast większość — zwłaszcza starsi robotnicy — twierdziła, że do czynnego oporu trzeba być przygotowanym i mieć pewne zabezpieczenie i że my ani taktycznie, ani psychicznie nie jesteśmy do tego przygotowani. Myślę, że mieli rację. Mnie także najbardziej odpowiadał bierny opór. Uważałem, że jest to jedyna forma protestu. Obawiałem się, że gdyby został przeforsowany opór czynny, to nastąpiłaby masakra, która spacyfikowałaby społeczeństwo nie tylko w naszym mieście, ale w całym regionie, a może i kraju. Około trzeciej nad ranem został zaatakowany PaFaWag, gdyż ZOMO zlokalizowało go jako miejsce, w którym mógł znajdować się RKS. Otoczono szczerlnie gmach, w którym przebywaliśmy w czasie przygotowań do strajku marcowego i zaczęto stamtąd wygarniać ludzi. My zaś znajdowaliśmy się wtedy na terenie DOLMEL-u i mogliśmy obserwować pacyfikację. Później zaatakowano DOLMEL. Wtedy zdecydowaliśmy, że go opuszczamy. Chyba najdzielniej spisała się wówczas jedna z działaczek naszego regionu, która w chwili, gdy dość

chaotycznie zaczęliśmy wychodzić, zachowała spokój i najpierw wróciła na halę, aby podziękować ludziom za opiekę i za ich postawę, a dopiero potem opuściła zakład.

Podzieliliśmy się na dwie grupy, ja z jedną szliśmy do zakładów pracy, a naszych współpracowników i pozostałych działaczy prosiliśmy, by poszli do miasta przygotowywać inne już formy działania, między innymi pomoc dla zakładów pracy i RKS-ów, ale już z zewnątrz.

Była noc, z wielkimi przygodami dotarliśmy do HUTMEN-u. Pokonywanie kolejnych płotów stanowiło dla każdego z nas inny problem, zależnie od sprawności fizycznej. Józef Pinior był najniższy — więc jeden z nas siedział na płocie, a drugi podawał mu Józka. W ten sposób pokonując płoty dotarliśmy do HUTMEN-u i tu zaskoczenie: było cichuteńko, pracowała hala z piecami odlewniczymi, a gdy powiedzieliśmy, kim jesteśmy i spytaliśmy, gdzie załoga — ludzie przerazili się. Wiedzieli już, że są pacyfikacje; po terenie zakładu chodzili strażnicy z bronią, ale pokojowo do nas nastawieni. Woleli raczej nas nie widzieć. Z HUTMEN-u, który okazał się jakiś zimny i nieprzyjazny, udaliśmy się na teren FAT-u. W FAT-cie osuszaliśmy się, gdyż w międzyczasie wpadliśmy do wody. Tymczasem przyszła komisja zakładowa. Zrobiliśmy wiec i przedstawiliśmy sytuację w PaFa-Wagu. Ludzi najbardziej interesowało, jak zachowuje się ZOMO w chwili pacyfikowania zakładu. Tu też ludzie byli zdania, że powinno się stawiać bierny opór i chcieli tylko znać taktykę ZOMO. (...) Jak się potem przekonaliśmy, FAT wyciągnął z naszego opisu fantastyczne wnioski. Potem odwiedziliśmy FADROM-ę — znowu wiec i spotkanie z ludźmi; stamtąd wróciliśmy do FAT-a. Postanowiliśmy z nimi zostać w czasie pacyfikacji, gdyż wydawało nam się, że są najbardziej sprawni i najbardziej zdecydowani. Obok, w ELWRO, w tym czasie trwało ogromne oblężenie. ZOMO po raz kolejny próbowało się dostać na jego teren i po raz kolejny kobiety — bo to zakład typowo kobiecy — skutecznie broniły bramy. Własnymi ciałami zagrażdzały drogę skotom, które forsując bramę musiałyby przejechać po nich. Kiedy otrzymaliśmy informację, jak fantastycznie zachowują się te kobiety, postanowiliśmy wejść na teren ELWRO. Niestety z braku rozeznania terenu i zbyt dużego ryzyka zrezygnowaliśmy z tego i właściwie do tej pory mamy kaca, ponieważ kobiety w stanie wojennym — mówię to z perspektywy podziemia — spisały się fantastycznie. Mamy wobec nich wielki dług wdzięczności — okazały się najodważniejsze, najbardziej bezinteresowne we wszystkim co robiły, skromne, zdecydowane — takie właśnie załogi jak ELWRO, CHEMITEX czy POLAR, za-

łogi typowo kobiece, niejednokrotnie pokazywały, jak należy walczyć o sprawę Solidarności.

Na teren ELWRO nie dotarliśmy i postanowiliśmy czekać razem z załogą FAT-a na pacyfikację. W chwili kiedy zaczęto atakować FAT, bramy były zastawione samochodami. Stały — pamiętam — dwa autobusy i samochody ciężarowe. Kiedy skot zakręcił i celując w bramę nabierał rozpędu, kierowcy wsiedli do aut i odjechali, a robotnicy otworzyli bramę, tłumacząc tym bardzo zdenerwowanym panom — bo oni wtedy wyhamowali natychmiast skota — że jeśli chcą wejść na teren zakładu pracy, to oni bardzo proszą — tylko żeby nie niszczyli ich warsztatów pracy. Oni weszli, zrobili spęd ludzi, mieli przygotowane listy, zabrali iluś tam, a reszcie nakazali rozejść się i poszli. Wtedy ci, co pozostali, zamknęli bramę, zatknęli z powrotem sztandary, auta postawili na tym samym miejscu pod bramą i dalej trwali w strajku. Chyba ze trzy razy szturmowano ten zakład i za każdym razem robotnicy otwierali bramę. W końcu zdecydowano się na rozwiązanie zarówno FAT-a jak i FADROM-y. Później się okazało, że również i POLAR-u.

My zostaliśmy z załogą FAT-u do trzeciego ataku. Ludzie uważali, że powinniśmy wyjść na zewnątrz i z ukrycia prowadzić działalność związkową już w innej formie. Pożegnaliśmy się z załogą i postanowiliśmy pójść jeszcze na teren DOLMELU-u i PaFaWagu, żeby i tam powiedzieć załogom, iż jesteśmy i zamierzamy kontynuować działalność i przekazać, jak zachowuje się FAT i w jaki sposób kontynuuje swój protest. Na teren zakładu weszliśmy bez problemu od tyłu, przez płot, który był obstawiony tylko przez strażników zakładowych. Z ich strony jednak nie spodziewaliśmy się żadnego zagrożenia. Po wejściu do pierwszej hali, a była to akurat hala Piotra Bednarza — W-2 — natychmiast, zupełnie spontanicznie, w błyskawicznym tempie zwołano wiec. Przylecieli niemal wszyscy pracownicy z pozostałych hal. Zaczęliśmy rozmawiać o sytuacji, o tym co się dzieje na mieście, co się dzieje w kraju, o tym jakie są propozycje dalszego działania, o potrzebie utrzymania kontaktów z komisjami zakładowymi, o potrzebie kontynuowania działalności związkowej i — co charakterystyczne — ton temu protestowi i wiecowi nadawali przede wszystkim pracownicy starsi, najbardziej doświadczeni — tacy 40-to, 50-cioletni.

Z DOLMEL-u, gdzie było nam bardzo przyjemnie widząc, że protest trwa, że ludzie się nie załamują, a wręcz przeciwnie — uważają, że dalej trzeba prowadzić walkę, udaliśmy się na teren PaFaWagu i tu zastaliśmy sytuację zupełnie inną. Rygorystycznie

wprowadzono tam zakaz wychodzenia i przechodzenia z hali do hali i to pod karą natychmiastowego zwolnienia z pracy i ludzie byli rzeczywiście oklapnięci. Kiedy weszliśmy do jednej z hal — otoczyli nas właściwie wszyscy jej pracownicy, ale kiedy poprosiłem, aby powiadomiono inne hale, ludzie rozbiegli się i wrócili ze spuszczoneymi głowami, mówiąc, że z powodu zakazu ludzie się boją. Niemniej jednak zaproponowano nam pomoc. Z obydwu zakładów ludzie umówili się z nami, że będą naszymi łącznikami, a my mówiliśmy oczywiście o komisjach zakładowych, które muszą nadal działać. Tamci zgodzili się, natychmiast zostali wydelegowani łącznicy i wróciliśmy do DOLMEL-u. Spodziewaliśmy się, że służba bezpieczeństwa zostanie powiadomiona, że jesteśmy w tych zakładach. DOLMEL, który był nieprawdopodobnie sprawny, wytypował ludzi do zorganizowania nam bezpiecznego przerzutu na teren miasta. Wydelegowano do tego jedną załogę. Wychodziliśmy już w ostatnim niemalże momencie. Kiedy Piotrek był już na płocie, zobaczyłem sygnał z jednego z bloków. Ktoś przez okno machał ręką, żeby nie wchodzić na ten płot. Ściągnąłem szybko Piotra, podciągnąłem się i zobaczyłem, że dookoła, co cztery metry, stoją od strony jezdni fiaty z włączonymi silnikami i z kompletem pasażerów. Nie mieliśmy wątpliwości, że jest to służba bezpieczeństwa. Wszyscy zaczęli kombinować co robić, wymyślali różne skrytki, żeby nas przechować. Sytuacja była właściwie beznadziejna, a ludzie byli przybici nie tylko niepowodzeniem, ale i odpowiedzialnością. Zakład wydelegował ich do wyprowadzenia nas bezpiecznie z terenu i czując ciężar tej odpowiedzialności, zaczęli się potwornie denerwować. Padały nawet takie argumenty: Matko Boska, jak wy wpadniecie, to nam tego zakład nie daruje i już nie dyrektor będzie nas musiał zwalniać, ale my sami będziemy musieli odejść. Tak się denerwowali, że postanowiłem zrezygnować z ich pomocy. Poprosiłem tylko, aby nas doprowadzili do najbardziej odległego miejsca w zakładzie, a dalej pójdziemy sami — po prostu przebijemy się. Wyprowadzili nas od strony torów w miejsce najbardziej obstawione, gdzie nie mogły zjechać samochody i gdzie zorganizowano prowizoryczną straż. Konkretnie stało tam w tyralierze pod płotem kilku żołnierzy z bronią, strażnicy i jacyś ludzie — trudno powiedzieć z jakiej formacji, coś podobnego do ORMO. Zdecydowałem, że nie ma innej szansy jak biec niemalże prosto na nich w najdalszy róg i jeśli kogoś z nas będą próbowali zatrzymać, to po prostu nie dać się złapać i beczelnie uciekać. Liczyłem na to, że wśród nich nie ma zawodowców, więc żaden nie będzie chciał stać się bohaterem i otrzymać nagrody z komendy wojewódzkiej za złapanie Bednarza i Frasyniuka, zwłaszcza Bedna-

rza i to na terenie DOLMEL-u, bo ta straż składała się jeszcze z pracowników DOLMEL-u. Rzeczywiście, kiedy zaczęliśmy biec, to pierwszy, który nas zobaczył, najpierw zrobił ruch, jakby chciał nas pokazać ręką, ale zrezygnował z tego, odwrócił się do nas plecami i udawał, że nie widzi. W tym samym momencie spojrział w naszym kierunku następny — chyba żołnierz, bo z długą bronią. Ten też najpierw zaczął się nam przyglądać, a kiedy się zorientował, kim jesteśmy, po prostu się odwrócił tyłem. Udał się do miasta. Nie będę opisywał kłopotów z noclegiem, bo oczywiście nie mieliśmy żadnych mieszkań, żadnych adresów, nie wiedzieliśmy co jest bezpieczne, a co nie. Sypialiśmy właściwie w piwnicach, na betonowej podłodze, ale to nas nie przerażało. W tym czasie RKS wydał masę oświadczeń z zaleceniami co powinniśmy robić, spotykaliśmy się z łącznikami z zakładów pracy, zastanawialiśmy się nad formami działania i nad sprawami typowo organizacyjnymi, jak zdobywanie mieszkań, albo przy najmniej lokali, gdzie można by się umyć itp.

P.: — (...) *Jak utrzymywaliście łączność?*

W.F.: — Jest kilka charakterystycznych miejsc we Wrocławiu, gdzie można było się umówić. Poza tym miałem grupę działaczy, która już pierwszego dnia wyszła z PAFaWagu do miasta i przygotowała dla nas pewne rzeczy, między innymi przejęła na siebie kontakty z przedstawicielami zakładów pracy. Te kontakty z zakładami trwały niemalże do samej Wigilii. Dopiero na dzień przed wigilią ludzie z zakładów bardzo uczciwie i szczerze powiedzieli, że właściwie boją się kontaktować z nami, że są zmęczeni, że jest taka beznadziejna sytuacja w mieście — to wieczne wojsko, legitymowanie, milicja, patrole na każdym kroku — że oni po prostu, no niestety, wycofują się z pracy. Przed samą Wigilią straciliśmy kontakt z ostatnim zakładem pracy. W dzień wigilijny spotkaliśmy się z Piotrkim i Józkiem i gdy rozeszliśmy się, to w tym mieszkaniu, w którym odbyło się spotkanie, zostałem jako ostatni i właściwie bez mieszkania. Po prostu Józek i Piotr mieli zorganizowane locum, natomiast z mieszkaniem dla mnie był problem. Pora zaczynała być późna, więc zdecydowałem wraz z koleżanką — działaczką naszego regionu — że sami będziemy szukać noclegu — to jest po prostu pójdziemy do jakichś znajomych. Bardzo długo krążyliśmy po zupełnie pustym Wrocławiu, po którym przemykali się tylko pojedynczy ludzie, gdzie pełno było patroli grzejących się przy koksownikach a jedynym znakiem, że „Solidarność” jeszcze istnieje był gmach przy Odrze koło Mazowieckiej, gdzie nie zdążono zamalować napisu „Zejdziemy

z muru, gdy wejdziemy na ekrany". Ten napis zresztą bardzo długo jeszcze tam był i pamiętam, że wielu ludzi później mi mówiło, że kiedy przechodzili przez most grunwaldzki, to właśnie ten napis oglądali jako symbol walki „Solidarności”. Dotarliśmy wreszcie do mieszkania znajomej naszej działaczki. Stałam w cieniu, żeby nikt mnie nie mógł rozpoznać, a ona zadzwoniła i gdy otworzyły się drzwi, powiedziała: — Słuchaj, czy mogłabym przyjść do ciebie na wigilię, bo widzisz, jestem już w podziemiu. — Ależ oczywiście, wchodź, bardzo mi przyjemnie. — Wtedy moja koleżanka dodała: — Ale wiesz, nie jestem sama. — To poproś. — Wyszedłem z cienia i właścicielka mieszkania zawołała: — O Boże! Przecież to Władek! — Zleciała się cała rodzina, a gospodyni powiedziała: — No, ta wspólna wigilia to jest największy zaszczyt dla naszego domu. Chociaż tak naprawdę to zupełnie nie byli przygotowani do wigilii, bo uważali że sytuacja jest tak tragiczna, tak czarna i smutna, że nikt nie miał siły stać w ogonku po karpie, czy ubierać choinkę. Uważali, że nie ma już żadnej radości, a tylko sama rozpacz. Ale kiedy weszliśmy, to w tym mieszkaniu zrobiło się jakoś różnie, cieplej. Natychmiast zaczęliśmy ubierać choinkę i żeby jednak ta wigilia była, gospodyni pobiegła do sąsiadów, żeby choć kawałek ryby przynieść. To była nasza pierwsza wojenna wigilia — smutna, ale tak bardzo rodzinna, bo było wiadomo, że mimo przygnębienia i załamania można na ludzi liczyć. Rzeczywiście nie zawiedliśmy się na nich — przez cały czas, do dnia dzisiejszego włącznie.

P.: — (...) *Znacząca sprawdziła się koncepcja drugiego, trzeciego garnituru?*

W.F.: — Sprawdziła się. W wielu zakładach w chwili aresztowania pierwszych komisji zakładowych pojawiły się natychmiast drugie, a później trzecie garnitury. W związku z tym opowiem bardzo charakterystyczny wypadek, który pokazuje właśnie kłopoty tych drugich garniturów. Mianowicie, kiedy byłem na terenie FAT-u, o godzinie 13.40 przybiega do mnie jakiś człowiek i mówi, że jest z FADROMY-y i że — na wypadek aresztowań, czy innych nieoczekiwanych okoliczności — został wyznaczony przez Jurka Tolcińskiego, przewodniczącego komisji zakładowej, przewodniczącym drugiego garnituru komisji zakładowej. Przyleciał do mnie, prosząc żebym z nim poszedł do FAT-u, bo ludzie doszli do wniosku, że ze względu na bezpieczeństwo i porę roku rozejdą się do domów, żeby ubrać się ciepło, ale nazajutrz wrócą i nie będą podejmowali pracy. Ja — mówił dalej — uważam, że to jest skandal, bo kobiety w ELWRO tak wspaniale strajkują

i nie pozwalają ZOMO wejść na teren zakładu. Więc ty musisz coś zrobić, żeby tych ludzi zatrzymać, bo jak ja spojrzę Jurkowi w oczy, jak ten zakład nie zastrajkuje.

Cóż miałem robić — włożyłem fufajkę i beret, upodobiłem się to typowego pracownika i przez tory, na łeb na szyję, poleciliśmy do FADROM-y, aby się spotkać z ludźmi, których ja sam do strajku przedtem nie przekonywałem. Teraz przypomniałem im działania komisji zakładowej w FADROM-ie, które były bardzo znane nie tylko we Wrocławiu; był to jeden z najprężniejszych zakładów pracy, który przeprowadził referendum na temat wiarygodności polityki i rządu generała Jaruzelskiego. To referendum odbiło się głośnym echem nie tylko we Wrocławiu. Przedstawiłem im sytuację w ELWRO i poprosiłem, żeby wychodząc z tego zakładu poszli zobaczyć, jak wygląda sytuacja w ELWRO. W sumie właściwie nikt z zakładu nie wyszedł. Zakład później rozwiązano, ale w nim sprawdziły się komisje zakładowe i te drugie garnitury. Były to komisje głęboko utajnione, wiedziała o nich tylko komisja zakładowa, a bez niej nikt tych ludzi nie mógł uwiarygodnić. W zasadzie sprawa byłaby dość prosta, gdybym ja mógł tych ludzi uwiarygodnić. Ale ja w FADROM-ie pracowałem już chyba z ósmą komisją zakładową. W sierpniu 1982 roku, kiedy były przygotowania do demonstracji pokojowej wyznaczonej na dzień 31 sierpnia, to była już chyba ósma komisja zakładowa reprezentowana w RKS-ie. Przewinęło się przez nią bardzo wiele osób nie dlatego, że ludzie rezygnowali z działania, ale dlatego że tyłu ludzi poszło siedzieć. Mimo licznych aresztowań, mimo dużych represji — bo aktywność zakładu była wielka — ludzie się tam nie załamywali i po kolejnej wpadce komisji natychmiast zawiązywała się następna i kontynuowała działalność. Myślę, że nie warto się zastanawiać, czy obecni członkowie komisji zostali upoważnieni przez poprzednie komisje zakładowe, ponieważ dziś ci ludzie posiadają niekwestionowany mandat swojej działalności i my, którzy wyszliśmy z więzień i ośrodków internowania, powinniśmy swoim autorytetem wesprzeć ich i podporządkować się tym ciałom decyzyjnym. To oni są w tej chwili kierownictwem związku, to oni posiadają nasz mandat, a my powinniśmy zrobić wszystko, żeby budować i umacniać autorytet tych, często nieznanych — nowych ludzi.

SPRAWOZDANIE*

J. KOZUCHOWSKIEGO — Wiceprezesa Banku Gospodarstwa Krajowego od listopada 1935 do listopada 1938 i Wiceministra Skarbu od listopada 1938 r. do października 1939 r.

I. OGÓLNE TŁO SYTUACJI FINANSOWEJ PO OKRESIE POLITYKI DEFLACYJNEJ 1932-1935 R.

Walka z kryzysem

W roku 1932 naczelnym przeżyciem kraju był kryzys gospodarczy. W tym czasie ustalono w kołach rządowych zasadnicze tezy zwalczania kryzysu i sformułowane niedługo po wprowadzeniu ich w życie na zjeździe działaczy gospodarczych w maju 1933 r. Głównym gerentem tego programu miał zostać Minister Skarbu, w którego rękach skupiono wpływy na zagadnienie oddłużenia kredytu oraz na miarodajną pomoc w procesie kształtowania się cen rolnych i przemysłowych.

Straty i długi

W okresie tym zwiększyły się wydatki na zaopatrzenie emerytalne ze Skarbu Państwa oraz funduszy przedsiębiorstw publicznych, powiększyła się liczba stanowisk w administracji cywilnej, pomniejszyła się liczba etatów nauczycielskich oraz między innymi poważnie zmniejszyła się wysokość budżetów Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz Oświecenia Publicznego. Pomimo tendencji i zarządzeń oszczędnościowych, Minister Skarbu dla wyrównania swoich zobowiązań widział się zmuszony do zaciągania kredytu, który osiągnął w omawianym okresie kwotę 950 milionów złotych.

* Dziękujemy Instytutowi Polskiemu i Muzeum im. gen. Sikorskiego za udostępnienie nam zeznań wicemin. Józefa Kozuchowskiego (sygnatura B. I 123a) i zgodę na przedruk w *Zeszytach Historycznych* — *R e d a k c j a*.

Izolowany program

Nadzieje na doprowadzenie gospodarki narodowej do samorzutnego reagowania na procesy likwidacyjne zawiodły w poważnej mierze. Pomimo nacisku administracyjnego, ataków prasy i pomocy finansowej ze strony Skarbu, nie osiągnięto harmonii pomiędzy cenami rolniczymi i przetwórczymi. Ujawniła się wybitna zależność rynku polskiego od światowych cen i światowej koniunktury. Rynek polski okazał się za słaby dla utrzymania życia gospodarczego i gospodarki publicznej pomimo wysiłków zachowania zasad polityki finansowo-gospodarczej inaugurowanej przed paru laty. Wzrastająca liczba bezrobotnych, przyrost ludności spauperyzowanej na wsi i chroniczna potrzeba pomocy dla bezrobotnych wskazywała, że program deflacyjny, izolowany od współpracy międzynarodowej, budzi coraz silniejsze opory ze strony ludności i potrzeby nowych zarządzeń reglamentacyjnych sprzecznych z zasadami liberalizmu i automatyzmu gospodarczego.

Polska się cofa

W całej pełni ujawniła się destrukcyjna pedagogia polityki deflacyjnej w czasie, kiedy widoczne stawało się, że Polska się cofa, pauperyzuje, że świat, a zwłaszcza sąsiedzi idą naprzód, a my stanęliśmy przed zagadnieniem, którego nie możemy rozwiązać sami. Błędem w polityce 1932-35 było przypuszczenie, że uzdrowienie gospodarki polskiej nastąpi przez jednostronne dostosowywanie polskich elementów gospodarczych do tego, co się działo na rynkach międzynarodowych.

Paradoksy

W rezultacie wytworzyła się skomplikowana i paradoksalna sytuacja:

- a) polityka deflacyjna nie zmniejszyła wydatków wegetacyjnych budżetu publicznego, lecz je powiększyła, natomiast ograniczyła wydatki inwestycyjne;
- b) przez fałszywą politykę cen i ciężarów publicznych zapobiegła wprawdzie zachwianiu się waluty, którego oczekiwano — niesłusznie zresztą — lecz ograniczyła do minimum wydatki inwestycyjne prywatnej gospodarki;
- c) biorąc za podstawę uzupełniającą walkę z kryzysem, zwiększenie zatrudnienia, obciążono produkcję polską

dodatkowymi opłatami na rzecz organizacji handlu i związków kupieckich ;

- d) ponadto wytoczono walkę przeciw kapitałowi zagranicznemu, biorąc za podstawę i powód pojedyncze wypadki nadużyć ze strony poszczególnych firm, przez co utrudniono i tak trudne stosunki kredytowe z zagranicznymi kontrahentami.

Układy o nieagresji

Zawarcie układów o nieagresji ze wschodnim i zachodnim sąsiadem wytworzyło w sferach administracyjnych fałszywe poczucie bezpieczeństwa i stało się dodatkową podstawą do wiązania naszego programu obrony z programem deflacyjnym Ministra Skarbu oraz do przypuszczenia, że kiedy powiększy się budżet Państwa, powstaną naturalne warunki dla podwyższenia budżetu Ministerstwa Spraw Wojskowych. Bierność na odcinku polityki zagranicznej, może uzasadniona ówczesną sytuacją polityczną, a zwłaszcza próbami zjednania Niemców ze strony państw zainteresowanych dla utrzymania niezależności Austrii, stwarzała bierność naszą i wyczekiwanie na lepsze czasy, które pozwolą na powiększenie budżetu obrony Państwa.

Polska traci swoje stanowisko militarne w Europie

Pod koniec okresu 1932-1935 Polska wychodzi osłabiona gospodarczo, społeczeństwo ogarnia powoli brak zaufania do waluty, co wyraża się w zaofiarowaniu złotego i wykupywaniem obcych walut. Zbrojenia rosyjskie i niemieckie od kilku lat forsownie prowadzone powodują, że Polska traci swoje militarne znaczenie w Europie, jakie miała do roku 1933. Ten stan rzeczy budzi powszechne zaniepokojenie, zwiększone po śmierci Marszałka, i przyczynia się do powstania kryzysu zarówno politycznego jak i doktrynalnego, któremu towarzyszy coraz gwałtowniejsza polemika prasowa o nowe zasady polityki gospodarczej Państwa. Już nikt nie broni polityki deflacyjnej. Powstają później pomysły zrewidowania jej zasady w kierunku dewaluacji. Przychodzi nowy Minister Skarbu, na razie bez sprecyzowanego programu. Pierwszym jego zadaniem będzie uporządkowanie zobowiązań skarbowych i znalezienie środków na zapłacenie weksli skarbowych, a niedługo potem na wypłatę poborów urzędniczych we właściwych terminach.

II. STOSUNEK MINISTRA SKARBU DO POSTULATÓW OBRONY PAŃSTWA

Niedostrzeżona rewolucja

Według mego przekonania opinia polska nie doceniła tej rewolucji politycznej, jaka powstała w Europie środkowej na skutek zbrojeń niemieckich. Należy to stwierdzenie odnieść przede wszystkim do kierujących sfer administracji cywilnej i wojskowej w Polsce. Było zaniepokojenie, nie było diagnozy. Również nowy rząd powołany w październiku 1935 r. nie zjawiał się z programem rewizji dotychczasowych zasad finansowych, zwłaszcza w odniesieniu do sprawy obrony Państwa. Przemówienia radiowe ministrów, zwołanie narad gospodarczych i finansowych, zorganizowanie komisji i ankiety w terenie, wprowadzenie podatku dochodowego, dodatkowego dla urzędników oraz próby uporządkowania stosunków w administracji publicznej stwarzało wrażenie, że Polska weszła w nowy okres poprawionego wydania polityki deflacyjnej.

Budżet M.S.Wojsk.

Budżet Ministerstwa Spraw Wojskowych pozostaje bez zmiany: 768 milionów złotych w roku 1935-36 i w latach następnych aż do roku 1938-39 kiedy podnosi się do 825 milionów. Budżet M.S.Wojsk. korzysta ze spadku cen i na zasadzie prawa ryczałtowania wydatków na żywienie poprawia stan pokojowej gospodarki taborowej w jednostkach administracyjnych, lub na skutek prawa przenoszenia oszczędności na zaopatrzenie uzyskuje pewne zwiększenie materiałowe. Z czasem budżet M.S.Wojsk. staje się anonimowym dla administracji cywilnej na skutek postanowienia o ogłaszaniu w budżecie Państwa tylko cyfr globalnych. Uzupełnieniem dla budżetu M.S.Wojsk. wobec ustalenia i opancerzenia kwoty globalnej stają się kwoty związane wprawdzie z gospodarką wojskową, a znajdujące się w budżetach innych Ministerstw. Kwoty te równie dobrze mogą się znaleźć w jednym jak i drugim budżecie ministerialnym. Nie są to jednak kwoty wielkie i trudno byłoby mówić o poważniejszym podwyższeniu budżetu M.S.Wojsk. w porównaniu ze zbrojeniami niemieckimi rozpoczętymi w 1935 r.

Kryzys strukturalny Polski

Polska przed wielką wojną była krajem o chorej strukturze społeczno-gospodarczej. Znamieniem tej choroby był nieproporcjonalny przyrost ludności w porównaniu do przyrostu kapitału pracującego w gospodarstwie narodowym. Silna emigracja zarobkowa i kolonizacyjna świadczyła o tym zjawisku dość jaskrawo, jakkolwiek łagodziła objawy pauperyzacji kraju. Polska eksportowała pracę ludzką i dochody z produkcji, w dużej mierze mającej charakter surowcowy.

Po wielkiej wojnie i utworzeniu Państwa Polskiego na całym świecie ograniczono możliwości emigracyjne, co stało się powodem kryzysu na wsi i ujawniło silne bezrobocie w miastach. Pomijam w tym miejscu szereg innych istniejących przyczyn, jak utrata rynków przemysłowych na Wschodzie. Nasuwała się więc konieczność przebudowy struktury gospodarczej Polski od pierwszego dnia po zawarciu pokoju w 1920 roku w celu stworzenia nowych warsztatów i podniesienia dochodu społecznego ludności. Punktem wyjściowym tego rozumowania był niski dochód społeczny na osobę w Polsce. To stwierdzenie miało usprawiedliwić fakt, że z dwu dróg stale wybieraliśmy anty-inwestycyjny kierunek w ustawodawstwie jak i w programach gospodarczych w odniesieniu do gospodarki prywatnej i publicznej. Mieliśmy pięć razy większy budżet wojskowy, niż wynosiła w budżecie obsługa długów, gdy Włochy na przykład nie obawiały się zaciągać długów wewnętrznych i utrzymywać stosunek budżetu wojskowego do obsługi jak 100:120.

Uświadomiłem więc sobie, że Polska nie wyjdzie z błędnego koła zamykania się swojej gospodarki w jednorocznych okresach budżetu publicznego, przeciążania istniejących przedsiębiorstw podatkami i życia gospodarczego opłatami ponad jego zdolność eksploatacyjną i rentowność wynikającą ze słabego tętna obrotów, że należy wyjść poza to koło i szukać rozwiązania w gospodarce okresowej, która dla życia produkcyjnego stanowi tyle co kredyt. Byłem przekonany, że celowość diety deflacyjnej wtedy może być realna, jeżeli obok diety będzie zastosowane poczucie pewności rentowności, a przynajmniej amortyzacji urządzeń produkcyjnych, wynikające ze stabilizacji polityki gospodarczej związanej z okresowymi programami produkcyjnymi.

Ceny a plan pięcioletni

Przeświadczenie to skłaniało mnie do wykorzystania okazji, jaką mi dała dyskusja nad obniżeniem cen na węgiel, koks i

żelazo w Komitecie Ekonomicznym Ministrów w związku z wnioskiem Ministra Przemysłu i Handlu, złożonym w porozumieniu z Ministrem Skarbu. W dniu 27 listopada 1935 r. zabrałem głos na Komitecie Ekonomicznym Ministrów jako wiceprezes Banku Gospodarstwa Krajowego: „Gdyby był pięcioletni program na konsumpcję zasadniczego żelaza i żelazo budowlane, wówczas koszt finansowy żelaza musiałby spaść. Zadanie uruchomienia wielkiego pieca w Starachowicach przez wojsko jest to dodatkowe zaryzykowanie miliona złotych na dwa lata. Dwadzieścia procent produkcji surówki idzie na remanenty na placu fabrycznym na 48.000 ton rocznej produkcji. Jak można w takich wypadkach tanio kalkulować cenę żelaza? Co może bank zrobić z kalkulacją kredytu, gdy wie, że uruchomienie pieca to milion złotych straty, a z powodu braku programu ze strony Państwa piec może być po 6-10 miesiącach wygaszony? Niech rząd opracuje pięcioletni program metalurgiczny, wtedy można będzie mówić o niskich cenach”. Jakkolwiek w listopadzie 1935 r. rząd nie podjął dyskusji na temat pięcioletniego programu produkcyjnego i uchwalił wprowadzenie zniżek na ryzyko producentów i instytucji finansowych, jednak nie wypowiedział się negatywnie. Na razie na naradach i ankietach rozważano dolegliwości i potrzeby gospodarze lokalne.

Zasadą planu inwestycyjnego winna być obrona Państwa

Pomimo rozumienia znaczenia lokalnych potrzeb terenu byłem przekonany, że decydującym dla kraju jest skoncentrowanie wysiłków Państwa i społeczeństwa wokoło realizacji obrony kraju. Sprawa Funduszu Obrony Narodowej dała mi w krótkim czasie okazję do rozmowy o tym zagadnieniu. W dniu 10 kwietnia 1936 r. odwiedził mnie wiceminister Spraw Wojskowych generał Składkowski w sprawie objęcia przez Bank Gospodarstwa Krajowego gestii interesów Funduszu Obrony Narodowej i otwarcia rachunku. Główny interes F.O.N-u to sprzedaż terenów budowlanych, będących w posiadaniu M.S. Wojsk. Zwróciłem uwagę memu rozmówcy, że sprzedaż tych terenów nie da się prędko zrealizować i nie da na pewno wojsku tych środków, których ono potrzebuje na dozbrojenie. Wyraziłem przypuszczenie, że według mego zdania wojsko potrzebuje 1.200 do 1.500 milionów złotych na swój program, że z tym programem należy przyjść do Skarbu. Generał mi odpowiedział, że niewiele pomyliłem się, ponieważ jego zdaniem na dozbrojenie potrzeba 1.800 milionów złotych, ale Skarb nie ma pieniędzy.

Według mego zdania w programie wojska leży zagadnienie finansowania obrony, a nie odwrotnie. Nie chcę przez to dawać ministrowi Spraw Wojskowych prawa obciążania narodu ponad miarę jego siły. Uważam za błąd ze strony czynników wojskowych, że ze sprawy obrony Państwa, a zwłaszcza braków tej obrony robi się tajemnicę ponad miarę tego, co stosuje się za granicą; tak samo jak uważam za pewną przesadę kredytowanie z budżetu M.S.Wojsk. budowy dużych hoteli wypoczynkowych przez fundusz kwaterunku wojskowego lub inne instytucje, ponieważ zaciera się granica pomiędzy potrzebą obrony, a potrzebą zawodu wojskowego.

Instynkt obrony, a program obrony

Nigdy żaden naród zdrowy nie powierzy swej obrony Ministrowi Skarbu, to znaczy się jego instynktom zasadniczym: oszczędzania, rozkładania wydatków i rozkładania ciężarów w czasie. Przeciwnie, zawsze w życiu narodu musi być prowadzony spór o hierarchię wydatków i nikt inny tylko czynnik wojskowy musi dążyć w tej walce dla uzyskania właściwego miejsca dla postulatów finansowych obrony Państwa. Na to jednak, aby wygrać w hierarchii potrzeb najwyższe miejsce, czynnik wojskowy musi mieć koncepcję tej obrony. Koncepcja ta winna być związana z ogólnym potencjałem kraju względnie winna dążyć do jego podniesienia, lub uzupełnienia przez odpowiednie zakupy zagraniczne, jeżeli stan rzeczy tego wymaga.

Autonomia celów i współdziałanie środków w realizacji

Jeżeli stwierdzimy, że istnieje zasadniczy i organiczny związek pomiędzy koncepcją obrony kraju i potencjałem gospodarczym i kulturalnym Państwa, jeżeli potrzeba materialnych środków obrony wymaga zwiększenia potencjału gospodarczego kraju, to równoległość tych zagadnień domaga się równoległości pracy czynnika wojskowego i cywilnego. Wystarczy przejrzeć sprawozdania różnych funduszy gospodarczych czy instytucji powołanych do walki z bezrobociem czy kryzysem, aby stwierdzić, że milczenie lub brak programu aktywnego ze strony wojska powodował, że realizowano obojętne z punktu widzenia obrony koncepcje wydatkowania pieniędzy, które mogły zupełnie inaczej być zadysponowane, uzgadniając interesy obrony z interesami społecznymi lub gospodarczymi kraju. Dzisiaj w obliczu żałoby powszechnej wiemy, że nawet nie uciekając się do metod dr. Schachta zamienilibyśmy hierarchię wydatków reali-

zowanych, np. na walkę z bezrobociem, gdybyśmy wzięli w swoim czasie pod uwagę program fortyfikowania kraju. Dzisiaj opinia polska na ogół zgodnie patrzy się na skutki tragiczne braku sprzętu wojskowego. Dzisiaj mamy wyryte w pamięci obrazy zniszczenia naszej piechoty, za mało ruchliwej na skutek braku motorowego sprzętu oraz niedozbrojonej, chociaż bohaterskiej w walce z dywizjami pancernymi niemieckimi. Dzisiaj mamy za sobą zniszczenie centrów żywotnych naszej obrony i naszej komunikacji, niebronionych lub słabo bronionych wobec sił lotniczych niemieckich. Dzisiaj wiemy, że przegraliśmy wojnę ze sprzętem niemieckim na lądzie i w powietrzu, a nie z żołnierzem niemieckim.

Na skrzyżowaniu polityki zbrojenia z polityką finansowania

Wielkich jednostek wojskowych i uzbrojenia wojska w sprzęt nie improwizuje się w ciągu miesięcy lub tygodni. O potrzebie tych jednostek, o konieczności wyposażenia w sprzęt armii, wreszcie o robotach ziemno-fortyfikacyjnych trzeba myśleć zawczasu. W tym twierdzeniu leży punkt skrzyżowania polityki finansowej z polityką uzbrojenia narodu.

Polityka uzbrojenia narodu (stworzenia potencjału obrony Państwa) składa się z szeregu elementów zasadniczych, jak: a) środki i system komunikacji, b) fortyfikacja, c) uzbrojenie wielkich jednostek istniejących, d) rezerwa zaopatrzenia, e) produkcja krajowa i rezerwa środków produkcji, f) materiał ludzki i jego przygotowanie zawodowe oraz zużytkowanie, g) współpraca materiałowa, techniczna i wojskowa z państwami sprzymierzonymi. Innymi słowy — program uzbrojenia dla Ministerstwa Spraw Wojskowych jest szeregiem powiązanych zagadnień technicznych i taktycznych, dla kraju jest programem gospodarczym i zawodowym, dla społeczeństwa jest poważnym zagadnieniem strukturalnym, ale dla rządu, dla Ministra Skarbu jest wielkim problemem finansowym. Dlatego wolno było oczekiwać, że nowy rząd, na czele którego stanął były wice-minister Spraw Wojskowych zwiąże politykę Ministra Spraw Zagranicznych z polityką Ministra Skarbu w imię nowej sytuacji militarnej Polski.

Sytuacja Skarbu w połowie 1936 roku

Stanowisko Ministra Skarbu nie było łatwe. Właśnie w kwietniu nacisk na Bank Polski doszedł do maksimum, przekraczając 5 milionów dziennej sprzedaży walut zagranicznych.

Według informacji Ministra Skarbu zapas złota w Banku Polskim nie przekraczał 60 milionów złotych złota za granicą. Równocześnie brak zapasów kasowych spowodował, że należało brać zaliczkowo w Banku Polskim środki na wypłaty poborów i bieżących zobowiązań Skarbu. 21 kwietnia 1936 r. przy udziale marszałka Smiętego-Rydzka, ministrów Kasprzyckiego, Składkowskiego, Kościałkowskiego, Kwiatkowskiego, Poniatowskiego, Góreckiego oraz przedstawicieli ze sfer bankowych, rozważano wytyczne dalszej polityki finansowej Państwa.

Czy od deflacji do dewaluacji

Zwolennicy niedawnej polityki deflacyjnej wysunęli projekt zastosowania manewru dewaluacyjnego. Co miało się stać po dokonaniu ustawowej zmiany wartości w złocie naszej waluty, tego nie analizowano. Zdewaluowany złoty miał być lekarstwem na panikę walutową, miał poprawić szanse eksportu, obniżyć koszty produkcji w kraju. Przede wszystkim oczekiwano, że zdewaluowany złoty stanie się podstawą dla współpracy gospodarczej z blokiem szterlingowym.

Niedawny udział Polski w bloku złotym nie dał realnej podstawy dla współpracy finansowej. Stąd nadzieje na współpracę z blokiem szterlingowym wydawały się przedwczesne dla osób sceptycznie usposobionych do dewaluacji. Następnie obawiano się, że zmiana ustroju walutowego w okresie wycofania wkładów, ataków ze strony niektórych organów periodycznej prasy oraz w okresie wielomiesięcznych zakupów obcych walut w Banku Polskim w celach tezauryzacyjnych nie da oczekiwanych rezultatów i nie uspokoi klienteli instytucji finansowych. Tutaj należy podnieść, że technicznie moment dla dokonania dewaluacji był wybrany źle.

Zabieg dewaluacyjny daje instytucji emisyjnej lub Skarbowi pewną kwotę manewrową złota i dewiz, która powstaje na skutek przeliczenia zapasu złota według nowego prawa o ilości złota w jednostce monetarnej. W chwili kiedy połowa zapasu złota była sprzedana dla opanowania paniki, a druga połowa po potrąceniu reszty znajdującej się w Banku Polskim była zastawiona za granicą i nie było środków finansowych dla wykupu, trudno było oczekiwać, że pozostanie jeszcze suma manewrowa, służąca bądź dla podtrzymania kursu, bądź dla ożywienia gospodarczego. Gdyby Ministerstwo Skarbu lub Bank Polski wystąpiło z tym projektem w końcu 1934 r., kiedy zapas złota był dość duży i dość było czasu dla uzyskania od bloku szterlingowego pomocy na przeprowadzenie planu dewaluacyjnego, wtedy

zabieg miałyby widoki realizacji i byłyby konsekwentnym rozwinięciem polityki deflacyjnej. Pewne zastrzeżenia nasuwały się ze stanowiska gospodarczego. Polska sprzedaje surowce w poważnej ilości, ale kupuje nie tylko wyroby gotowe, lecz surowce dla ich dalszej przeróbki. Obniżenie wartości złotego spowodowałoby podniesienie wartości pieniężnej naszego importu. Można było w pewnym stopniu oczekiwać podniesienia kosztów produkcji. Po odzyskaniu złota w roku 1937 i 1938 sytuacja o tyle zmieniła się, że w 1938 mieliśmy już techniczne warunki dla przeprowadzenia dewaluacji, mieliśmy czas aby przeprowadzić rozmowy o udzielenie nam współpracy ze strony zagranicznych instytucji finansowych, ale byliśmy skazani na rolę importera.

Odrzucenie koncepcji dewaluacyjnej na konferencji na Zamku, przy nieustającym nacisku na Bank Polski spowodowało w dniu 26 kwietnia 1936 roku ogłoszenie przepisów reglamentacyjnych obrotu dewizami i złotem.

Rząd generała Sławoj-Składkowskiego

W dniu 15 maja 1936 roku powstał rząd generała Składkowskiego, który miał już za sobą rozstrzygnięcie problemu polityki finansowej, a przed sobą trudne zagadnienie budżetowe.

Pomimo znanego oświadczenia marszałka Smigłego o potrzebie zbrojenia Polski, rząd gen. Składkowskiego nie wystąpił z programem skonkretyzowanym w tej sprawie. Uruchomiony w połowie 1936 r., na razie jeszcze, o ile pamiętam, bez egzekutywy, plan inwestycyjny Ministra Skarbu również nie zawierał pod tym względem przewodnich idei.

Prace nad planem inwestycyjnym w Min. Skarbu

Na posiedzeniu przedstawiciele ministerstw, banków i Sztabu Głównego w Ministerstwie Skarbu w dniu 26 czerwca 1936 roku pod przewodnictwem Ministra Skarbu rozpatrywano metodę organizowania prac nad planem inwestycyjnym. Minister Skarbu oświadczył, że od roku 1937 nastąpi oderwanie planów inwestycyjnych od okresów budżetowych, wyodrębnienie prac z tytułu planu inwestycyjnego dla wojska i uzależnienie tych prac jedynie od Ministerstwa Spraw Wojskowych, wykonywanie prac na odpowiedzialność poszczególnych resortów ministerialnych, koncentracja dyspozycji finansowych w Ministerstwie Skarbu, organizacja kontroli finansowej w Biurze Kontroli Ministerstwa Skarbu, powołanie Komitetu Doradczego do Spraw Inwestycji

przy Prezesie Komitetu Ekonomicznego Ministrów. W okresie deflacyjnym, zdaje się, nie została wypracowana linia postępowania co do finansowania i programu zbrojenia. Stąd Ministerstwo Spraw Wojskowych początkowo zachowuje się raczej biernie wobec komplikacji różnych postulatów ministerialnych cywilnych, które wchodzą do pierwszego planu inwestycyjnego i w którym wojsko partycypuje w 40% planu w miesiącach letnich. W każdym razie należy podkreślić dwie zalety, wynikające z polityki Ministra Skarbu: że wszystkie wydatki pozabudżetowe przeznaczone na zwalczanie bezrobocia lub na specjalne cele i dotąd rozproszone, zostały skoncentrowane w jednym miejscu pod nazwą planu inwestycyjnego, co podnosiło te wydatki w hierarchii i zmuszało administrację do celowego wydatkowania oraz, że Minister Skarbu przewidywał periodyczny czteroletni okres prac inwestycyjnych, co usuwało na drugi plan przypadkowe i doraźne roboty i pozwalało na przedsięwzięcie robót poważniejszych i wykonywanych w kilku sezonach.

Rozbudowa produkcji wojennej w programie M.S.W.

Jakkolwiek wspominałem wyżej, że Ministerstwo Spraw Wojsk. nie miało linii postępowania co do finansowania zbrojeń i nie ujawniało jasno zdecydowanego programu w sprawie obrony Państwa, to jednak należy podkreślić, że w biurach M.S. Wojsk. były szczegółowe i z wielką znajomością opracowane plany rozbudowy produkcji pracującej dla wojska. Część tego planu była wytyczona przed r. 1926 i zrealizowana na terenie okręgu staropolskiego górniczego, część większa to plany realizowane po 1936 r. na terenie przyszłego Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pojawienie się planu inwestycyjnego Ministra Skarbu o realizowaniu robót inwestycyjnych w okresie czteroletnim pozwalało Ministerstwu Spraw Wojskowych na wprowadzenie budowy fabryk na porządek dzienny. W związku z tym odwiedził mnie w Krynicy latem 1936 r. jeden z oficerów M.S. Wojsk. w celu wymiany myśli na temat organizacji finansowania budowy fabryk z dotacji M.S. Wojsk. i z funduszy własnych prywatnego przemysłu. Kiedy marszałek Śmigły-Rydz został zaproszony jesienią 1936 r. do Francji, powstał nowy problem zakupu gotowego sprzętu względnie surowców z pożyczki francuskiej. W Min. Spr. Wojsk. powstały obawy, aby zakupy nie zdeorganizowały programu produkcji krajowej. Zbyt ciężko Polska przeżywała kryzys bezrobocia w ciągu całego swego bytu niepodległego, a w szczególności po 1930 roku, aby można było w 1936 roku lekceważyć te obawy. Z drugiej strony było rzeczą

jasną, że nie każdy sprzęt nadaje się do produkcji w Polsce, ponieważ zapotrzebowanie na te towary w Polsce zawsze będzie małe. Należało więc być przygotowanym nie tylko technicznie, ale i wojskowo i gospodarczo do rozstrzygnięcia tego problemu. Problem ten sięgał głęboko w treść życia gospodarczego Polski. Nikt w Polsce w 1936 r. nie przypuszczał, że w razie wojny Polska może ulec w ciągu miesiąca.

Liczono się z wojną gdzieś na pograniczu, na wschodzie czy na zachodzie, gdy w centrum przemysł będzie pracować na potrzeby wojny przy wyrobie sprzętu i amunicji. Stąd program przeniesienia ośrodka przemysłowego, względnie stworzenia nowych fabryk wiązał się ze sprawą strukturalnej rozbudowy polskiej gospodarki, a ze stanowiska wojskowego miał się stać bazą produkcyjną na tyłach walczącej armii. Polska produkowała w 1937 r. 4% stali surowej łącznej kwoty produkowanej przez Niemcy i Rosję. Przy produkcji amunicji w czasie wojny należało obawiać się niebezpiecznych konsekwencji związanych z wyczerpaniem zapasów. Dlatego rozbudowa przemysłu żelaznego wysuwała się na pierwszy plan obok chemicznego, tym więcej, że przemysłu żelaznego nie można improwizować w ciągu kilku miesięcy ze względu na brak obrabiarek, technicznych instalacji, potrzebę planów i rachunków konstrukcyjnych, aparatu ludzkiego itp.

Równoległe idą rozwój przemysłu z rozwojem zbrojeń

Również w zakresie sprzętu rozwój przemysłu metalowego idzie równoległe z rozwojem zbrojeń, czego mieliśmy jaskrawy dowód w postaci pancernych dywizji niemieckich na terenie wojny w Polsce. Analiza jednostek z punktu widzenia przemysłowego, z których składa się dywizja pancerna wskazuje na konieczność współpracy kilkunastu gałęzi przemysłu i szeregu specjalności w dziedzinie organizacji pracy specjalistów. Jeżeli Niemcy potrzebowali dłuższego czasu na utworzenie takich jednostek, jak dywizja pancerna, to Polska posiadająca przemysł bardzo silnie poszkodowany przez politykę deflacyjną i materiał ludzki zawodowy rozproszony i zdemoralizowany na robotach publicznych o typie prymitywnym, specjalnie powinna była przejść przez okresowy program inwestycyjny, oparty przede wszystkim o program zbrojeń i rozbudowy kolei żelaznych. Wyjazd marszałka Smigłego nie przesądził zasadniczo problemu, w jakim kierunku pójdą zakupy, natomiast niewątpliwie ułatwił decyzję organów M.S.Wojsk. dotyczącą wykorzystania tangenty gotówkowej na rozbudowę fabryk w Centralnym Okręgu Prze-

mysłowym. Tangenta ta była wydatkowana w ramach planów inwestycyjnych tego ministerstwa.

Rozbudowę Centralnego Okręgu Przemysłowego Ministerstwo Spraw Wojskowych oparło na dotowaniu własnych przedsiębiorstw, na udzielaniu zwrotnych pożyczek przedsiębiorstwom współpracującym i ich zakładom oraz na udzielaniu poparcia i zamówień prywatnym i niezależnym zakładom. Struktura przedsiębiorstw w C.O.P. i program produkcyjny był uzgadniany z Ministerstwem Spraw Wojskowych i ministerstwami gospodarczymi. Program elektryfikacyjny, rozbudowa dróg i melioracja rzek oraz współpraca poszczególnych zakładów przemysłowych, jak również program zamówień dla wybudowanych fabryk merytorycznie był opracowywany w zainteresowanych ministerstwach, z wyjątkiem zagadnienia ulg celnych i podatkowych, które były uzgadniane z Ministerstwem Skarbu. Minister Skarbu i jego biura nie miały wpływu na kierunek i hierarchię tych wniosków. W latach 1937-1938 i nawet 1939 r. budowano nowe obiekty lub opracowywano program ich budowy w M.S.Wojsk. Tak na przykład w końcu 1938 r. postanowiono utworzyć fabryki masek gazowych dla ludności cywilnej i hutę aluminium oraz w 1939 roku budowę dwóch elektrowni w Centralnym Okręgu Przemysłowym i projektowano dwie nowe elektrownie na prawym brzegu Wisły i fabrykę mechaniczną dla dział przeciwpancernych w Lublinie (Oddział Stowarzyszenia Mechaników w Pruszkowie). Czy w tym okresie istniał problem zakupu sprzętu wojennego, nie wiem. Sądzę, że można wyeliminować cały rok 1937. Z uwagi jednak, że jeszcze jesienią 1938 r. M.S. Wojsk. prowadzi rozmowy z Bukaresztem w sprawie naszych dostaw sprzętu, można przypuszczać, że i w 1938 roku zakupy sprzętu wojskowego dla Polski nie były aktualne. Oczywiście zakupy sprzętu wojennego, lotniczego, samochodowego i sanitarnego w granicach umowy polsko-francuskiej mogły być dokonywane przez cały okres, wyjąwszy być może naprężenie polityczne w połowie 1939 r., które mogło mieć wpływ deprymujący na zakupy na rynku francuskim w granicach umowy polsko-francuskiej.

Działalność finansowa biur budżetowego M.S.Wojsk.

Wszystkie pozabudżetowe wpływy szły przez F.O.N. Gospodarzem rachunków F.O.N.-u było Ministerstwo Spraw Wojskowych, które poważne nadwyżki gotówkowe (pochodzące ze sprzedaży sprzętu lub z dotacji Ministerstwa Skarbu) lokowało w bankach, starając się w drodze licytacyjnej emulacji insty-

tucji finansowych osiągnąć wyższe oprocentowanie swoich wkładów. Powstała paradoksalna sytuacja, która być może przyczyniła się do zmniejszenia wzajemnego zaufania pomiędzy Ministerstwem Skarbu a M.S.Wojsk. Sytuacja ta polegała na tym, że biuro budżetowe M.S.Wojsk. lokowało swoje nadwyżki na rachunkach terminowych w bankach, trzymając tylko minimalną część *à vista* na pokrycie najpilniejszych zobowiązań i egzekwowało w Ministerstwie Skarbu nowe dotacje, na których mobilizację, jak i na mobilizację cywilnych tangent, ministerstwo musiało lokować w bankach oprocentowane bilety skarbowe. Z drugiej strony poszczególne departamenty M.S.Wojsk. znając dobrą sytuację F.O.N.-u, jak słyszałem powiększały zamówienia, na których wypłaty biuro budżetowe nie zawsze było przygotowane. Przemysłowcy, którym zaczęto wstrzymywać wypłaty za dostawę dla wojska zaczęli ściągać swoje salda na otwartych rachunkach w instytucjach finansowych na zapłatę za robociznę, co z kolei spowodowało pewne zaniepokojenie w bankach i banki zaczęły odrzucać bilety skarbowe, lub je redyskontować w Banku Polskim. W sprawie tej przyjąłem 12 czerwca 1937 r. komisarza do Banku Gospodarstwa Krajowego p. Rybałtowskiego, który remonstrował, B.G.K. odrzucił pakiet 3 1/2% biletów skarbowych. Odpowiedziałem mu, że od kilku miesięcy obserwuję skutki opóźniania przez wojsko wypłat z tytułu inwestycji i zaproponowałem, czy nie byłoby prostsze, aby pewną ilość dotacji wypłacić w biletach skarbowych M.S.Wojsk. Uważałem to za konsekwencję faktu, że wkłady F.O.N.-u są oprocentowane. Sprawa ta nie była jednak uzgodniona pomiędzy Ministrem Skarbu a Ministrem Spraw Wojskowych pomimo, że była przedstawiona Marszałkowi Śmigłemu przez Ministra Skarbu. Jeszcze jesienią 1937 r. szef biura budżetowego M.S.Wojsk. mógł przenieść w ciągu 10 dni 56 milionów złotych z Banku Gospodarstwa Krajowego do innej instytucji finansowej w celu uzyskania większego oprocentowania. Sądzę, że i 1939 r. należy zaliczyć do okresu gospodarki poprzednich lat M.S.Wojsk.

Finansowanie M.S.Wojsk. 1939-1940

Budżet M.S.Wojsk. 1939-1940 przewidywał 800 milionów złotych. Osobne miejsce zajmuje udział wojska w planie inwestycyjnym. O udział ten powstało poważne tarcie. Tym poważniejsze, że Minister Spraw Wojskowych nie uważał za możliwe powiadomić Ministra Skarbu, na jaki rodzaj wydatków potrzebna jest nadwyżka stanowiąca dużą różnicę w porównaniu z pro-

ponowaną tangenta przez Ministra Skarbu. Wyjaśnienie nie szczegółów, ale rodzaju wydatków ma znaczenie zasadnicze jak i moralne. Moralne dlatego, bo pewne zastrzeżenia budziły zbyt luksusowe zasady rozbudowy Stalowej Woli według informacji Ministra Skarbu. Natomiast zasadnicze znaczenie dla Ministra Skarbu sprawa mogła mieć dlatego, że chodziło o rodzaj pieniądza, który ma być zmobilizowany przez niego. Inaczej np. finansuje się wydatki, które mają charakter dotacji i nie wracają do życia gospodarczego, a inaczej na budowę zakładów, które mają określone przewidywania co do amortyzacji. Już 10 listopada 1938 r., gdy byłem na audyencji u Ministra Spraw Wojskowych z powodu mego wejścia do służby w Skarbie, powiedział do mnie: „Minister Skarbu nie chce i nie może dostarczyć wojsku potrzebnych środków. Będzie wojna — trzeba być gotowym”. Gdy zwróciłem uwagę na jego słowa, poprawił się i wyraził myśl w ten sposób: „Polska musi zrobić to wszystko co potrzeba, co wynika z jej roli między narodami, którą chce odgrywać. Tymczasem jest źle i jest coraz gorzej. Skarb musi coś poradzić, wszystko jedno co, ale to musi być załatwione”. Ponieważ budżet był wniesiony za wspólnym podpisem wszystkich ministrów, wyraziłem przypuszczenie, że są to zastrzeżenia wobec planu inwestycyjnego, wobec czego wyraziłem przekonanie, że po opanowaniu runu na banki można będzie stosunkowo łatwo znaleźć potrzebne środki. Bliższych jednak szczegółów Minister mi nie wyjaśnił, o jakie kwoty, względnie na jakie cele brak mu kredytów. Po powrocie do Ministerstwa zameldowałem w Ministerstwie Skarbu tę rozmowę.

Żądania M.S.Wojsk. wobec planu na 1939 rok

Dopiero w lutym 1939 r. dowiedziałem się, że żądania M.S. Wojsk. są wyższe o 400 milionów złotych od kwoty proponowanej przez Ministra Skarbu. Zastrzegam się jednak, że kwotę 400 milionów cytuję z pamięci. Równocześnie w tym samym czasie prowadzono ostre kampanie przeciw Ministrowi Skarbu ze strony rolników w parlamencie i w prasie z żądaniem oddłużenia nowego, co znowu stawiało pod znakiem zapytania pomoc ze strony niektórych instytucji finansowych przy wykonywaniu planu inwestycyjnego.

Banki wobec planu inwestycyjnego na 1939 r.

W związku z tą sytuacją została zwołana konferencja u Ministra Skarbu w dniu 26 lutego 1939 roku, w której wzięli

udział premier Składkowski, prezes Banku Polskiego dr Byrka i naczelny dyrektor dr Barański, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego dr Górecki, prezes Banku Rolnego dr Jaroszyński, prezes P.K.O. dr Gruber, wiceministrowie Skarbu Grodyński, Morawski i ja, oraz dyrektor D.O.P. Domaniewski. Minister Skarbu postawił następujące pytania:

- 1) jak oceniają przedstawiciele banków kapitalizację w 1939 r.;
- 2) maksymalny udział danego banku w kapitalizacji oraz w sfinansowaniu planu inwestycyjnego na 1939 r.;
- 3) czy dotychczasowe metody mogą być rozszerzone: a) przez pożyczkę wewnętrzną, b) przez kredyty krótkoterminowe, c) przez surogaty pieniądza, n.p. bony, d) przez zorganizowanie banku inwestycyjnego z gwarancją Skarbu, e) przez nowe podatki;
- 4) czy można zastosować nowe metody techniczne: a) dewaluację, b) bilon.

W odpowiedzi prezes Byrka wypowiedział się przeciw surogatom pieniądza i kredytom. To co Bank Polski może zaofiarować mieści się w projekcie zmiany statutu Banku. Naczelny dyrektor Barański określił zdolność kapitalizacyjną rynku polskiego w 1939 r. na 700 milionów złotych, a przypuszczalny udział banków w planie inwestycyjnym na 450 mln złotych. Prezes Gruber określił udział banków wszystkich w planie inwestycyjnym na 500 mln złotych. Dyr. Domaniewski ten udział podniósł do 500-550 mln zł. Dyr. Barański powołując się na inne pytania wicepremiera wypowiedział się przeciw wprowadzeniu dewaluacji, która jest korzystna dla eksportu, a może okazać się niekorzystną w innych wypadkach, przy czym powołał się na przykład Anglii, gdzie dewaluacja dała dobre rezultaty oraz na przykład Francji, gdzie tych rezultatów nie dała. Wszyscy uczestnicy wypowiedzieli się przeciw bankowi inwestycyjnemu. Prezes Gruber obliczał udział P.K.O. na 120 milionów złotych, w tym zakup biletów skarbowych na 20 milionów złotych. Prezes Górecki określił udział na 20 milionów złotych oraz wyraził gotowość zakredytowania 12 milionów złotych w drodze zapłaty za Skarb dopłat za fundusz budowlany. W tydzień później odbyło się drugie posiedzenie przy udziale Marszałka Śmigłego. Z powodu wyjazdu służbowego w posiedzeniu tym udziału nie wziąłem. Przedstawiciele banków zajęli podobne stanowiska.

Z powodu ciągłego nacisku na banki i kasy, co utrudniało realizację planu inwestycyjnego, wszystkie kredyty były z dużym

opóźnieniem otwierane dla ministerstw cywilnych. W związku z tym parokrotnie był u mnie wiceminister Piasecki, którego roboty na zlecenie wojska, jak budowa mostów na Wiśle lub roboty zalewowe, natychmiast uzgadniałem u wiceministra Grodyńskiego.

Przy tej okazji zaznaczam, że wykonanie planu inwestycyjnego do mnie nie należało i załatwiałem tego rodzaju sprawy w drodze osobistej interwencji.

Ponieważ plan inwestycyjny na odcinku wojskowym był realizowany wcześniej i bez ograniczeń, jakie stosowano na odcinku cywilnym dla M.S.Wojsk. był za mały i nie zadowalał władz wojskowych. Rząd postanowił rozpisać pożyczkę pod nazwą lotniczej. Równocześnie w połowie 1939 roku, w związku z układem politycznym, nawiązano rozmowy z Anglikami w sprawie pożyczki zagranicznej.

III. SPRZEDAŻ DEWIZ NA POTRZEBY OBRONY I GOSPODARKI NARODOWEJ

Po wielkiej wojnie zagadnienie zapłaty za towary i świadczenia różnego rodzaju stało się niezwykle uciążliwe z powodu koncentracji złota w kilku centrach finansowych. Złoto skoncentrowane i w większości wypadków zmagazynowane w skarbcach bankowych w dalszym ciągu przyciąga uwagę szerokich warstw gospodarczych i jest podstawą rachunków międzynarodowych dokonywanych w banknotach i wekslach. Tam, gdzie przedmiotem tych rozrachunków jest towar w danej koniunkturze potrzebny lub gdzie usługi są poszukiwane, tam rozrachunki nie nastroją trudności, bo towar w drodze konkurencji przyciąga banknoty najbardziej zbliżone swym kursem do złota lub inny towar, którego dany kraj potrzebuje.

Głód dewizowy w Polsce

Polska po krachu w 1929 r. znalazła się w trudnej sytuacji poza innymi komplikacjami dlatego, że miała do zafiarowania towary, które przodowały w ruchu zniżkowym, bądź dzięki specyficznym warunkom w basenie gospodarczym Morza Bałtyckiego, bądź na rynkach międzynarodowych dalszych. Skutkiem tego Polska zaczęła przeżywać coraz ostrzejsze zapotrzebowanie na zagraniczne dewizy. Zapotrzebowanie usprawiedliwione go-

spodarczo zamieniło się na jedną z form tezauryzacji, gdy w drugiej połowie 1935 r. powstał kryzys polityczny i w prasie wybuchł ostry spór o likwidację polityki deflacyjnej. Jak wspomniałem wyżej Polska musiała zastawić swoje złoto za granicą po sprzedaży poważnej części na pokrycie zapotrzebowania dewizowego. W rezultacie rząd zdecydował się na wprowadzenie Komisji Dewizowej 26 kwietnia 1936 roku dla reglamentacji obrotów.

Dewizy na potrzeby wojska

Z punktu widzenia obrony Państwa dewizy są potrzebne na zapłatę za import surowców, środków spożywczych i sanitariów, za przewóz tych towarów oraz na pokrycie specjalnych należności za świadczenia, ubezpieczenia przewozów, służbę zagraniczną, oraz obsługę długów co do których nie nastąpiło uzgodnienie dotyczące ich nie-wykonania w czasie wojny.

Bilans płatniczy

Dyspozycyjne środki instytucji emisyjnej, która regulowała do czasu powołania Komisji Dewizowej obrót dewizowy na potrzeby Państwa i życia gospodarczego i społecznego są dostatecznie opracowane i wykazane w sprawozdaniach instytucji oficjalnych. Poza tymi środkami istnieją pozycje rozrachunkowe pomiędzy wierzycielami i dłużnikami publicznymi i prywatnymi w obrocie rachunkowym międzynarodowym. Jeżeli pominiemy w naszych rozważaniach przychody z tytułu obrotu kapitałami zagranicznymi, pozostaje do rozważenia wymiana towarów i usług. Z tytułu usług mieliśmy przychody z obrotu kolejowego i morskiego oraz w dziale emigracji. Dysponowanie przychodami kolejowymi z powodu odmowy zapłaty za transporty niemieckie, a częściowo z powodu zwłoki za transporty sowieckie powodowało deficyt dla Polskich Kolei Państwowych. Zadłużenie niemieckie było regulowane dostawami materiałowymi, a zwłaszcza maszynowymi, nie dawało więc w ostatnich latach dochodu dewizowego. Przychód z tytułu usług morskich szedł na rzecz gospodarki dewizowej, jak również przychód z emigracji. Poza tymi trzema środkami na pierwsze miejsce wysuwa się obrót towarowy jako główne źródło pokrycia zapotrzebowania Państwa i życia gospodarczego na dewizy. Bilans handlowy Polski wykazuje stałe zwiększenie zapotrzebowania na dewizy z powodu rozwoju koniunktury, głównie z powodu rozbudowy przemysłu i ruchu inwestycyjnego w Polsce w okresie 1936-1939. W okresie deflacyjnej polityki przewóz towarów do Polski zmniejszył się

przeszło o 40%, w okresie po deflacyjnym przyrost wzrasta i zmniejsza się nadwyżka, aby dać deficyt w 1938 r., 115 mln zł. Ten deficyt ma przeważnie charakter książkowy, ponieważ należy pamiętać, że inaczej kształtują się rozrachunki z państwami, które reglamentują obroty i spłaty należności a inaczej z państwami wolnodewizowymi. Ta druga grupa państw poza wymaganiami spłaty efektywnej jest źródłem kredytów towarowych, co niewątpliwie w poważnym stopniu łagodzi trudności wynikające z rygorów płatniczych. Grupa państw reglamentacyjnych w niektórych wypadkach również jest źródłem kredytów często przymusowych z tytułu zamrożeń, oraz z powodu przeprowadzonych i zaciągających się wzajemnie rachunków. Poza tym i tutaj dostarczano towary na kilkuletnie kredyty płatne w rozrachunkach. W ten sposób źródłem materiału dewizowego są tylko państwa wolnodewizowe lub te operacje z innymi państwami, które zostały ustalone, że będą wykonane w dewizach. Stąd musi stać się zrozumiałe moje dążenie, aby przerwąć pewne zakupy z krajów wolnodewizowych na kraje rozrachunkowe. Natomiast sztywny charakter miały zobowiązania finansowe Skarbu i kontrakty prywatne oraz wszelkie zapotrzebowania z tytułu obrony Państwa.

Transfer dewiz 1936-1938

Od chwili wprowadzenia reglamentacji obrotu dewizowego aż do końca 1938 roku Komisja Dewizowa dostarczyła środków płatniczych na następujące cele:

- 1) na zakup surowców 673 mln zł.
- 2) na zakup gotowych towarów 220 mln zł.
- 3) na środki produkcji 64 mln zł.
- 4) na produkty spożywcze 45 mln zł.
- 5) na pokrycie kredytów finansowych prywatnych i przedsiębiorstw państwowych 155 mln zł.
- 6) na spłatę odsetek i dochodów z kapitałów 128 mln zł.
- 7) studia zagraniczne 13 mln zł.
- 8) ubezpieczenia 6 mln zł.
- 9) emigracja 7 mln zł.
- 10) licencje 11 mln zł.
- 11) różne 66 mln zł.

Ponadto z tytułu długów publicznych przekazano przez Bank Polski około 300 mln zł.

Jak widać z powyższego zestawienia materiał nadający się do pewnych ograniczeń na rzecz obrony Państwa znajdował się w następujących pozycjach:

- a) przestawienie zakupów surowców z grupy dewizowej do rozrachunkowej,
- b) pewne restrykcje w grupie produktów spożywczych na rzecz zakupu surowców i towarów gotowych,
- c) ograniczenie wydatków na studia zagranicznych,
- d) ograniczenie wydatków na emigrację (w przeważnej części pozycja ta uległa automatycznemu ograniczeniu z powodu trudności czynionych emigrantom żydowskim w Palestynie),
- e) ograniczenie wydatków w grupie „różne”.

Zaległości z 1938 r.

Reglamentacja dewiz uporządkowała zapotrzebowanie na środki płatnicze zagraniczne na dłuższy czas. Dopiero niepokoje polityczne w 1938 r. spowodowały ograniczenia kredytów towarowych ze strony zagranicy, co z kolei spowodowało podwyższenie zapotrzebowania na zagraniczne środki płatnicze. Ponadto zbliżające się niebezpieczeństwo wojenne powoli zaczęło oddziaływać na wzrost cen i skutkiem tego na zwiększenie wydatków gotówkowych. Ministerstwo Skarbu zaczęło wpływać na Komisję Dewizową w kierunku przewlekania transferów, co wywołało szereg zastrzeżeń ze strony ministerstw i życia gospodarczego. Nieporozumienia te skłoniły Ministra Skarbu do powołania mnie do Ministerstwa dla zanalizowania tych trudności, skoncentrowania dyspozycji w jednym miejscu i objęcia nadzoru nad Komisją Dewizową z ramienia Ministra Skarbu. Przedtem jednak Minister Skarbu wydał zarządzenie, zawieszające transfer dewizowy za import kilkudziesięciu towarów przeważnie konsumpcyjnych lub luksusowych. Po przyjeździe moim do Ministerstwa ograniczyłem ilość towarów zakazanych oraz wydałem polecenie, likwidujące zaległości z uprzednich miesięcy; dotyczyło to w pierwszym rzędzie Anglii, następnie Holandii i państw skandynawskich. Z powodu rozmów z Anglią w porozumieniu z Ministerstwem Przemysłu i Handlu ustaliłem, że Polska utrzymuje pewne dyskryminacje na te towary „czasowo gospodarczo niepotrzebne”, zamiast popularnego podziału na towary luksusowe i nieluksusowe. Mam wrażenie, że w ten sposób przyczyniłem się do pewnego uspokojenia na najważniejszych dla nas w tym czasie rynkach dewizowych (Francja i Belgia posiadały specjalne umowy finansowe, które w ciągu 1939 roku miały być negocjowane i rewidowane). Likwidowanie zaległych spraw z 1938 r. do 1 lutego 1939 r. nie nastęrczało moim zdaniem większych

trudności do zaległych zezwoleń na transfer, były to przede wszystkim następujące sprawy (tak jak pamiętam): uzgodnienie z Ministerstwem Spraw Wojskowych umowy na budowę fabryki aluminium i z Ministerstwem Komunikacji kupna 4 aparatów amerykańskich dla uruchomienia linii do Londynu i Rzymu. Poza tymi sprawami były normalne żądania rynku i kilka mniejszych zapotrzebowań M.S.Wojsk., pokrytych łącznie z potrzebami pierwszych tygodni 1939 r. bez wysiłku ze strony Komisji Dewizowej.

Zapotrzebowanie dewiz na drugi i trzeci kwartał 1939 r.

Dopiero plan drugiego, a zwłaszcza trzeciego kwartału nasuwał trudności, między innymi ponieważ i przemysł żelazny nie mógł pomieścić się we własnej autonomii dewizowej z powodu zamówień na zapasy i zwrócił się do Komisji Dewizowej o udzielenie mu przejściowego kilkumilionowego transferu. Pomimo tych niespodzianek pokrytych przez Komisję Dewizową nasuwała się konieczność przedyskutowania zmian dotychczasowych metod pracy na przyszłość.

Zapotrzebowanie na surowce

W związku z dyskusją nad pożyczką zagraniczną przewidywania sztabu co do zapotrzebowania rocznego na surowce zagraniczne wyraziło się kwotą 870 mln zł. (w dniu 30 kwietnia na konferencji u wicepremiera). Takiego zapotrzebowania nie można uważać za przesadzone, gdy w r. 1938 na ogólny przywóz do Polski wynoszący 1.300 mln zł. import towarów nieobrobionych i surowców nie przekraczał 950 mln zł. Zapotrzebowanie to było sfinansowane przez Komisję Dewizową względnie przez rozrachunkowe operacje lub pokryte w drodze automatycznego kredytu towarowego. Ten ostatni wzrastał poważnie i w r. 1937 przekroczył kwotę 434 mln zł. Skutkiem tego staje się zrozumiałe, że żaden organ Ministerstwa Skarbu nie mógłby lekceważyć sobie spłaty zobowiązań bieżących, co było przyczyną, że już w grudniu zacząłem likwidować zaległości w tej dziedzinie.

IV. ZAGADNIENIA DEWIZOWE ZE STANOWISKA POLITYKI MINISTERSTWA SKARBU

Na zagadnienie dewizowe nie wolno patrzeć się jako na problem kompetencji administracyjnej. Czy są dewizy w kraju,

czy ich nie ma, to nie jest tylko sprawa Ministerstwa Skarbu. Oczywiście za ich brak odpowiada przede wszystkim Minister Skarbu. Natomiast na ich brak może wpływać każdy inny minister. Na tym polega związanie problemu we współdziałaniu ministrów pomiędzy sobą.

Stosunek do zagadnienia dewizowego

Jeszcze w 1939 r. resorty gospodarcze zajmujące się sprawami przemysłu i rolnictwa pozostawały pod urokiem walki o bilans handlowy Polski — Minister Przemysłu i Handlu z punktu widzenia walki z bezrobociem, Minister Rolnictwa z punktu widzenia opłacalności gospodarki rolnej. Oba cele te, słuszne i uzasadnione w czasie pokojowym, nie prowadzą do żadnego praktycznego rezultatu w okresie naprężenia politycznego, grożącego wybuchem wojny. Poza tymi resortami jeszcze specjalną rolę odgrywało Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które nie miało żadnego związku gospodarczego z życiem producentów, posiadało natomiast bardzo poważne uprawnienia personalne, przy pomocy których od szeregu lat oddziaływało na bieg wypadków i negocjacji.

Nowe sugestie w sprawie dewaluacji

Ze strony Ministerstwa Przemysłu i Handlu i z pewnych kół działaczy finansowo-politycznych wysuwano projekt przeprowadzenia dewaluacji, która by miała dać lepsze warunki dla eksportu polskiego. Nie można zaprzeczyć, że dewaluacja przyniosłaby pewne ulgi dla eksportu. Eksport nasz, korzystający przeciętnie z premii około 20% w dużej ilości wypadków (artykuły rolnicze często powyżej 20%) składał się z dwóch stadiów: działalności producenta i sprzedaży. Produkcja była obciążona pewnymi podatkami (mowa o produkcji przetwórczej) które należało w wielu wypadkach uznać za uciążliwe z tytułu ich konstrukcji nie gospodarczej lecz fiskalnej, opartej na braku znajomości konkurencji międzynarodowej. Poza tym całe ryzyko produkcji obciążało producenta. Sprzedaż, skartelizowana lub nie, nie ponosiła ryzyka, które przerzucała na producenta, wyjąwszy wypadki finansowania produkcji. Ministerstwa gospodarcze dla popierania organizacji eksportu wprowadziły szereg opłat, najczęściej obciążających producenta. W tych warunkach projekt dewaluacji kosztu importu surowców i półfabrykatów przerzucał na producenta, a zyski eksportu w pierwszym rzędzie

pozostawały przy eksporterze, to znaczy najczęściej na rzecz organizacji handlowej. Popularność dewaluacji była również duża w kołach rolniczych, dla których oznaczała automatyczne oddłużenie oraz zwiększenie eksportu rolnego. Nawiasem dodam, że z tego powodu byłem również zwolennikiem dewaluacji w okresie polityki deflacyjnej, kiedy byliśmy zainteresowani w poparciu eksportu, kiedy dewaluacja mogła nam dać oszczędność na wielkich premiach zbożowych, kiedy mieliśmy poważną kwotę złota, a dewaluacja dałaby uzasadnioną tangentę na oddłużenie automatyczne rolników wszystkich kategorii. W r. 1939 dewaluacja powinna była być jeszcze raz rozważona przez rząd, ale z punktu widzenia nowej sytuacji politycznej i militarnej. W r. 1939 byliśmy krajem, który musiał przerzucić swoją wytyczną jak ster z eksportu na import. Kraj, któremu grozi wojna wszystkie zjawiska winien jest rozpatrywać z tego punktu widzenia. Tymczasem przeważnie Polska żyła w iluzji, że walczy z kryzysem i bezrobociem oraz że mamy na sprzedaż artykuły rolne ze względu na dobre ceny, przede wszystkim w Niemczech. Od samego początku mojej pracy w Ministerstwie Skarbu bronięm tylko jednego stanowiska: przerzucenia się na pozycję świadomego importu. Nie odrzucałem dyskusji na zagadnienia dewaluacji złotego, ale uważałem, że zabieg ten można wykonać w płaszczyźnie kolaboracji międzynarodowej. Tutaj jednak muszę przypomnieć, że kolaboracja gospodarcza międzynarodowa musi się opierać na podstawach współpracy politycznej oraz że ta współpraca na terenie międzynarodowym nie leżała w kompetencji Ministerstwa Skarbu. Kolaboracja finansowa z instytucjami finansowymi zagranicznymi mogła być dokonana tylko w określonych warunkach politycznych. Czy mógł te warunki spowodować Minister Skarbu, na to pytanie trudno odpowiedzieć pozytywnie i afirmatywnie. Z tego powodu aktualność dewaluacji niezależnie od analizy, którą by należało zrobić i decyzji Ministra Skarbu; na moje zapytanie, gdy mu referowałem sugestie Ministra Przemysłu i Handlu p. Sokołowskiego, odpowiedział mi, że projekt dewaluacji posiada na wypadek, gdyby było zagrożenie wojną. Ponieważ pożyczki zagraniczne i sprawy ustroju pieniężnego i Banku Polskiego Minister Skarbu zastrzegł do swojej wyłącznej dyspozycji, sprawę tę referowałem w granicach obserwacji Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Zastrzegam się również, że cały problem dewizowy według mego przekonania na przełomie 1938-39 r. leżał otwarty i z punktu widzenia eksportowego nie zanalizowany.

Podział kontrahentów

Z punktu widzenia polityki dewizowo-handlowej naszych kontrahentów należy podzielić na kraje, które posiadały wolność obrotów dewizowych i państwa, które reglamentowały obroty dewizowe i przeprowadzały wymianę na zasadach rozrachunkowych. Ta pierwsza grupa krajów posiadała dostateczną ilość surowców mających duże znaczenie dla nas oraz zdolność produkcyjną dla wyposażenia naszego przemysłu w maszyny oraz instalacje techniczne. Druga grupa obejmowała kraje uboższe w surowce, z wyjątkiem Rosji, mogącej nam dostarczyć sporo surowców, ale trudnej niestychanie w stosunkach handlowych oraz Niemiec, które miały maszyny i instalacje na sprzedaż w dostatecznej ilości, ale świadomie hamujących dostawy dla naszego przemysłu. Osobne stanowisko zajmowały Francja i Szwajcaria, które trudno zaliczyć do jednej z tych grup. Nasze ministerstwa gospodarcze chciały nabywać surowce w grupie pierwszej ze względu na niskie ceny, a artykuły krajowe sprzedawać w grupie drugiej odwrotnie, ze względu na wysokie ceny. Prowadziło to do zamrożenia lub do zaofiarowania nam towarów, których na pewno w roku 1939 Polska ze względu na zagrożenie wojenne nie potrzebowała.

Zadanie importera w roku 1939

Wobec takiej tendencji musiałem zainteresowanym urzędom przeciwstawić na konferencjach i w szeregu rozmów program przedstawienia się na kraj importujący i płacący rozrachunkiem lub dewizami. Przede wszystkim przystąpiłem do zorganizowania statystyki obrotów dewizowych na podstawie licznych polskich materiałów, ale nie skoncentrowanych i niedostatecznie zużytkowanych. Po rozejrzeniu się w tych materiałach utwierdziłem się w przekonaniu, że w krajach rozrachunkowych znajdziemy dla Polski potrzebny materiał importowy, że trzeba jednak zarzucić postawę kraju, który przede wszystkim chce lokować swoje towary w imię walki z bezrobociem, że dlatego musimy wypracować program zakupów (w tym kierunku parokrotnie zwracałem się w lipcu do generała Maciejowskiego z prośbą o danie mi sugestii do rozmów z Węgrami, potem z Jugosławią. W tym ostatnim wypadku telefonowano mi z M.S.Wojsk. w sierpniu r.b., że są opracowane postulaty). Powyższe tezy kontrolowane przez materiały, opracowane w myśl moich wskazówek wywołały naprzód niedowierzanie, a potem pewne zastrzeżenia ze strony zainteresowanych resortów, głównie podczas per-

traktacji o umowy kontyngentowe z obcymi państwami. Tłumaczono mi, że owoce są artykułem rolniczym, który winien być traktowany na równej stopie z naszymi artykułami (sprawa ta odbiła się echem w polemice senatora Kobyłańskiego podczas dyskusji nad budżetem Ministerstwa Przemysłu i Handlu), że na eksporcie do Niemiec uzyskuje się lepsze ceny, że odwrotnie kupowanie w krajach rozrachunkowych podnosi cenę importu do Polski, co wymaga dotacji z budżetu itd. Oczywiście były to argumenty słuszne, ale przy uznaniu istniejącego niebezpieczeństwa zagrożenia wojną, argumenty które musiałem w miarę możliwości odsunąć na drugi plan i prowadzić pracę w kierunku zmiany naszej postawy. Powoli myśl ta zaczęła dawać pewne rezultaty. Zgodnie z moim stanowiskiem sam zaofiarowałem transfer dewizowy na pokrycie zakupu statków handlowych w Holandii i Norwegii oraz zaakceptowałem nabycie aparatów lotniczych w Ameryce, o czym była mowa wyżej, czy statków w Anglii (turbin itp.). Natomiast sprzeciwiłem się na przyznanie kontyngentów przez Polskę na kwiaty, futra i owoce dla tych państw. Tak samo jak protestowałem przeciw opieraniu układów kontyngentowych z Włochami na olbrzymich ilościach owoców, starając się sugerować zwiększenie zamówienia dla marynarki wojennej lub zakupienia możliwych do znalezienia tam surowców. Akceptowałem bez najmniejszej zwłoki każdy wniosek M.S.Wojsk., o ile dochodził do Komisji Dewizowej, której prezes raz na tydzień referował mi sprawy, o ile budziły one jego wątpliwości. Ze strony M.S.Wojsk. (wiceminister gen. Litwinowicz) miałem kilka reklamacji w wypadku zakupów w Szwajcarii, gdzie ceny za towary nabywane w rozrachunku były powyżej 40% od cen gotówkowych. Interwencje te dotyczyły zakupów dla Stalowej Woli i przedsiębiorstw wojskowych. Ale i w tym wypadku Ministerstwo Skarbu uzyskało obniżkę w drodze osobistej interwencji naczelnika Wydziału dr. Mantla u władz „Zahanu” oraz obietnicę ze strony kierowników tej organizacji, że wszystkie zakupy wojskowe będą traktowane jak gotówkowe (w danym wypadku szło o dalmierze i o aparaty Velloxa).

Wbrew dewizowym interesom Ministerstwa Skarbu kategorycznie sprzeciwiłem się dwukrotnie interweniowaniu u Ministra Skarbu przeciw projektowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych zezwolenia na wyjazd robotników rolnych do Niemiec w liczbie 50.000 ludzi. Jakkolwiek decyzja moja utrudniała odmrożenie naszych wierzycielności w Niemczech, umówiłem się z wiceministrem Piaseckim o interwencyjne roboty publiczne

dla tych okolic, skąd miano brać robotników do Niemiec. W porozumieniu z generałem Litwinowiczem i wiceministrem Rose, które odbyło się podczas konferencji u mnie przeprowadziłem zakaz eksportu benzolu do Niemiec. W porozumieniu z wiceprezesem naczelnej organizacji hutnictwa inż. Zalewskim uzgodniłem wspólną taktykę ograniczania eksportu żelaza do Niemiec. Natomiast próbowałem przeforsować przywóz bawełny z Rosji sowieckiej i wydałem polecenie opóźnienia transferu dewiz do Ameryki w celu przyspieszenia zawarcia transakcji z Sowietami. Z powodu wielostronnych trudności akcji tej nie udało mi się doprowadzić do końca przed wybuchem wojny.

Koncentracja dyspozycji w sprawie premiowania eksportu

Opracowałem projekt instrukcji i szkic organizacyjny koncentracji wszystkich organów rządowych decydujący o premiach i kontyngentach towarów eksportowych z Polski w celu obniżenia kosztów, jakie wielostronna reglamentacja kładła na barki producenta. Projekt ten przedyskutowałem z dyr. Bobrowskim z Ministerstwa Rolnictwa i poleciłem mojemu sekretarzowi szczególnie opracować w oparciu o materiały i nomenklaturę celną polską. Cały ten materiał w postaci ostatecznej był przeze mnie referowany Ministrowi Skarbu.

Po uzyskaniu zgody ze strony ministra sekretariat otrzymał polecenie przedyskutowania go z zainteresowanymi resortami.

V. NABYWANIE SPRZĘTU I SUROWCÓW PRZEZ M.S.WOJSK. I PRZEMYSŁ PRACUJĄCY DLA OBRONY PAŃSTWA

Nie brak środków, ale inny program

Jeżeli okres do końca 1935 r. należy uważać za niewykorzystany dla robót fortyfikacyjnych, jako pozytywnego programu walki z bezrobociem (cement, żelazo, elektryfikacja i roboty ziemne) oraz dla przebudowy wyposażenia samochodowego w wojsku) przeciągający się od 10 lat program produkcji samochodowej w państwowych zakładach inżynierii) to okres 1936-1939 należy uważać jako poświęcony przez M.S.Wojsk. prawie wyłącznie zagadnieniom produkcji przemysłu wojennego. Trudno mi pisać bez materiałów, jednak wyłącznie narzuca się pamięci

ten fakt, że przez cały okres 1936-1939 dominowała sprawa nabywania urządzeń, maszyn dla fabryk oraz surowców dla ich przetworu.

Teren Polski w sferze działania lotnictwa niemieckiego

W rzeczywistości nie wiemy, ile sprzętu i amunicji było zużyte przez nasze wojsko, ponieważ dominującym czynnikiem w tej wojnie było lotnictwo niemieckie, które panując w powietrzu miało dominujący wpływ nad naszymi przewozami amunicji i sprzętu. Gdyby była przeprowadzona mobilizacja w takim czasie, który by pozwolił na uruchomienie przewidzianych przez mobilizację jednostek, moglibyśmy stosunkowo łatwo zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę reprezentowaliśmy w dziedzinie materiałowego wyposażenia naszej armii. Zdaję sobie sprawę z trudności politycznych, na jakie napotykało ogłoszenie mobilizacji powszechnej i używając słowa mobilizacja mam na myśli kontynuowanie systemu częściowej mobilizacji oraz powoływanie na ćwiczenia rozpoczęte na wiosnę 1939 r.

Czy były środki finansowe i na jakie cele

Stało się inaczej. Stoimy jeszcze przed pytaniem, czy były środki na zakupy sprzętu oraz jakie były wnioski dotyczące zakupu. Muszę podkreślić, że finansowanie zbrojeń wynika ze współpracy pomiędzy Skarbem a wojskiem, opartej na wspólnym programie. W latach 1936-1938 wspólnym programem było finansowanie budowy i produkcji przemysłu pracującego dla obrony Państwa. Żądania M.S.Wojsk. w 1939 r. nie były sprecyzowane (według opinii Ministra Skarbu) aby można było wyjaśnić, na co mają być przeznaczone. Ponieważ M.S.Wojsk. w 1939 r. budowało fabryki lub negocjowało budowę nowych zakładów, ponieważ do postulatów dotyczących pożyczki angielskiej, o ile wiem, na pierwszym miejscu postawiło postulat surowcowy, trudno jest domniemywać się, jak oceniało M.S.Wojsk. aktualność zakupów wynikających z niebezpieczeństwa wojny i braku sprzętu. Ze wszystkich danych, które mi są dostępne, nasuwa się analogia równoległości i współzależności polityki M.S.Wojsk. w 1939 r. z programem poprzednich lat. Przedmiotem różnicy była kwota podana do planu inwestycyjnego, a nie interpretacja celu wydatkowania tej kwoty. Ponieważ każda ze stron pozostała na swoim stanowisku i nie zostało ujawnione przez miarodajne i nadrzędne czynniki, jaka treść kryła się w żądaniach M.S.Wojsk. w planie inwestycyjnym, o ile mogę są-

dział, spór załatwiono przez zaofiarowanie wojsku pożyczki lotniczej. O ile wiem, dokonywane przez wojsko krajowe zakupy były ilościowym powiększeniem dotychczasowego programu krajowych fabryk z wyjątkiem produkcji Trzyńca (na potrzeby fortyfikacyjne). Zakupy zagraniczne poza pożyczką francuską dotyczyły rozbudowy produkcji krajowej w wykonaniu zamówień z poprzednich lat. Jak wykorzystano kredyty na plan inwestycyjny i jak zużyto tangenty pożyczki lotniczej w trzecim kwartale 1939 r., trudno mi mówić.

Za granicą i w Polsce

W ostatnich latach obserwowaliśmy, jak w szeregu państw, na skutek atmosfery niepewności i zaborczości, zrealizowano wielkie programy obrony w postaci fortyfikacji czy rozbudowy lotnictwa czy motoryzacji armii. Polska nie zdobyła się na wielki program fortyfikacyjny, natomiast do końca utrzymywała wielkie jednostki kawaleryjskie. Jedyna sprawa poważna to budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, zapowiedziana aktem ustawodawczym, odkładanym w ciągu paru lat, nad którego wznowieniem pracowałem łącznie z inż. Benedekiem w 1928 r. W Ministerstwie Przemysłu i Handlu o ulgach podatkowych dla przemysłu na terenie trójkąta bezpieczeństwa i czekała 8 lat niepotrzebnie na swoją realizację. Opóźnienie rozbudowy przemysłu pracującego dla obrony Państwa i fortyfikacji granic było jedną z przyczyn opóźnienia rozbudowy naszego programu zbrojeń.

C.O.P.

Uruchomienie rozbudowy tego okręgu po 1936 r. zdecydowało o charakterze zakupów zagranicznych, naprzód związanym z budową fabryk potem z ich uruchomieniem w latach 1937-1938. Finansowanie tego programu nie napotykało na trudności, przeciwnie, przez dłuższy czas F.O.N. posiadał ogromne salda w bankach. Finansowanie budowy przechodzi nawet na 1939 rok, o czym już wspominałem, względnie kredytowanie budowy przez kapitał zagraniczny, jak w danym wypadku nowych elektrowni przez grupę francuską Alsthom. W tym okresie jeżeli były jakie trudności, to raczej natury wewnętrznej, np. w sprawie huty aluminium, gdzie przez szereg miesięcy władze wojskowe uzgadniały sprawę odległości huty od elektrowni, lub w sprawie masek gazowych dla ludności cywilnej, gdzie również na szereg miesięcy odłożono budowę ze względu na zagadnienie

techniczne związane z samą maską. Rozbudowa elektryfikacji kraju leżała w kompetencji Ministerstwa Przemysłu i Handlu i Spraw Wojskowych.

Kupno z rozrachunku na Węgrzech

Z powodu rozrachunku z Węgrami oraz możliwości umieszczenia tam naszego drzewa interesowałem się możliwością zakupu bauksytów dla produkcji aluminium. Sprawę tę negocjował dr Mantel, który dodatkowo poruszył możliwość nabycia motorów lotniczych tam produkowanych. Opóźnienie budowy fabryki aluminium i negatywne stanowisko w sprawie motorów utrudniło realizację w obu wypadkach do końca sierpnia.

Kupno rozrachunkowe w Czechosłowacji

Z powodu wielkiej ilości zamrożeń naszych należności w Czechosłowacji, zwłaszcza po zajęciu Sudetów, Ministerstwo Skarbu kilkakrotnie interweniowało, chcąc zainteresować M.S. Wojsk. i Ministerstwo Przemysłu i Handlu możliwością rozrachunkowego nabycia w Czechosłowacji znajdującego się tam sprzętu lub towarów. Jeszcze w lutym 1939 r. zwrócił się do Skarbu jeden z pośredników handlujących bronią, który prosił o ułatwienie nabycia demobilu czeskiego. Według wykazu, który mi przedstawiono, można było w Czechosłowacji nabyć silniki i aparaty lotnicze, duży sprzęt artyleryjski i amunicję, karabiny maszynowe, sprzęt sanitarny itp. Wielostronicowy wykaz tego sprzętu posłałem do Ministerstwa Spraw Wojskowych z propozycją zainteresowania się tym, w celu nabycia na własny rachunek. Transakcja ta nie została dokonana aż do dnia zajęcia Pragi czeskiej.

Pożyczka francuska

Zakupy z tytułu pożyczki francuskiej oraz charakter tych zakupów leżał całkowicie w kompetencji władz wojskowych. Czy były jakie trudności na tym odcinku nie wiem i nigdy żadnych interwencji w tej sprawie nie miałem.

Curtissy

W dniu 22 lipca 1939 r. radca finansowy p. Żółtowski nadał mi propozycję nabycia partii 70 aparatów lotniczych Curtissa za kwotę 8 mln dolarów. Przedstawiłem ją panu Ministrowi Skarbu i przekazałem z jego polecenia do sztabu. Do zakupu

nie doszło. Czy aparaty doszłyby do Polski przed 1 września, gdyby je zakupiono, nie wiem i należy liczyć się z trudnościami dostawy.

Paryż, listopad 1939 r.

—
Londyn, dnia 12 lutego 1943 r.

KOMISJA
POWOŁANA W ZWIĄZKU Z WYNIKAMI
KAMPANJI WOJENNEJ 1939 R.

prot. nr ... — 12 marca 1943 r. (k. II)

Nr

ODPIS

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA

Obecni członkowie Komisji —

Sędzia upoważniony E. Liniewicz.

Na podstawie przepisów Dekretu Prezydenta Rzplitej z dnia 30 maja 1940 roku o powołaniu Komisji w związku z wynikiem kampanji wojennej 1939 roku (Dz.U. Nr 10 poz. 27) wezwany został

Józef Kożuchowski urodzony dnia 7. IV. 1886 r.

w Krakowie pow. —

imię ojca Aleksander imię i nazwisko rodowe matki

Halina z Mierzwińskich

imię i nazwisko rodowe małżonki Stefania z d. Różycka.

ew. poprzednie małżeństwa —

wyznanie rzym.-kat. narodowość polska

zawód albo zajęcie Urzędnik państwowy

wykształcenie magister praw

miejsce zamieszkania w Polsce Warszawa. zagranicą —

stan majątkowy —

stosunek pokrewieństwa do osoby, której dotyczą badania —

Pouczony o następstwach nieprawdziwego zeznania, zeznaje jak następuje:

Od 1919 do 1926 r. byłem naczelnikiem Wydziału statystyki strat wojennych w Głównym Urzędzie Likwidacyjnym w Warszawie.

Jesienią 1926 r. powołany zostałem na stanowisko dyrektora Departamentu Ogólnego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, pełniąc te funkcje do kwietnia 1930 r.

Od kwietnia 1930 r. do lipca 1932 byłem wiceministrem Przemysłu i Handlu, a od lipca 1932 r. do jesieni 1935 r. byłem dy-

rektorem departamentu przemysłowego w Banku Gospodarstwa Krajowego, a od jesieni 1935 do jesieni 1938 r. pełniłem funkcję wiceprezesa Banku Gospodarstwa Krajowego.

Od jesieni 1938 do dnia wybuchu wojny byłem wiceministrem w Ministerstwie Skarbu.

A. 1. W odpowiedzi na pytanie, jakimi możliwościami finansowymi własnymi dysponowało Państwo Polskie, muszę się zatrzymać na opinii sfer finansowych polskich, które oceniały zdolność kapitalizacyjną (ilość wkładów które w czasie roku wpłyną) w r. 1939 na mniej więcej 700 mln złotych. Część tej kwoty była zużywana przez życie gospodarcze, część mogła być wykorzystywana na ulokowanie na rynku kapitałów długoterminowych. Tę drugą część przedstawiciele banków obliczali na 450-550 milionów złotych. Na tej sumie opierała się akcja finansowania planu inwestycyjnego. Poza wspomnianą sumą 450-550 milionów złotych Minister Skarbu operował biletami skarbowymi. Zmiana statutu Banku Polskiego w 1939 r. pozwalała Bankowi Polskiemu na skup biletów skarbowych do wysokości 400 milionów złotych oraz na skup papierów procentowych do wysokości 200 milionów złotych (dotychczas kontyngent ten wynosił 150 milionów). Należy pamiętać, że część tych kontyngentów była już objęta operacjami w poprzednich okresach gospodarczych. Osobną grupę kapitałów stanowią kwoty kapitalizacyjne z przymusowych oszczędności tj. ubezpieczeń. Projekt rządowy planu ubezpieczeń na trzydziecie od 1. IV. 1939 r. przewidywał z tego źródła około 150 milionów rocznie. Ponadto należy liczyć się z operacjami krótkoterminowymi, których wysokość nie da się bliżej obliczyć.

Powyżej opisany stan możliwości finansowych na rynku wewnętrznym w r. 1939 był skutkiem pracy rządu i ministra Kwiatkowskiego w ciągu czterech lat, która spowodowała zwiększenie wkładów o blisko 800 milionów złotych w porównaniu do 1935 r.

W 1939 r. wkłady spadły na skutek wycofywania się spowodowanego przez niepokoje wojenne w Europie. Oprócz wyżej opisanych źródeł finansowych, Skarb emitował pożyczkę lotniczą w 1939 r., która dała przeszło 300 mln złotych. Emisja była wyższa, ale wpłaty były rozłożone na szereg miesięcy.

Możliwości uzyskania kredytów zagranicznych dla Polski były niewielkie. Jest to fakt powszechnie znany w Polsce i za granicą. Przyczyny tego faktu nie należy szukać w Polsce, lecz w stosunkach międzynarodowych finansowych. Finansowanie Polski i państw środkowo-wschodniej Europy jest dzisiaj omawiane w prasie międzynarodowej, zwłaszcza anglosaskiej, gdzie mówi się o finansowaniu Niemiec, co dało im możliwość uzbrojenia całkowitego.

Na pytanie, jakich kredytów żądało wojsko — odpowiedzieć nie mogę. W r. 1928/29 budżet wojskowy wg Małego Rocznika Statystycznego wynosił 30 %, w 1932/33 — 29 %, w 1936/37 — 34 %, w 1937/38 — 32 % i w 1938/39 — 33 % wydatków budżeto-

wych. Cyfry te nie obejmują Korp. Ochr. Pogr., znajdującego się w budżecie M.S.Wewn. W chwili wybuchu wojny K.O.P. dał 4 dywizje.

W budżetach ministerstw niewojennych były kwoty od szeregu lat przeznaczane na cele wojskowe i wydatkowane przez wojsko, podobnie, jak za granicą.

Kredyty wojskowe podlegały kontroli państwowej.

UZUPEŁNIAJĄCE PRZESŁUCHANIE 12 LUTEGO 1943

W związku z przedstawionym mi dzisiaj odpisem sprawozdania, napisanego przeze mnie w listopadzie 1939 r. w Paryżu, składając mój podpis na tym dokumencie, oświadczam:

1. Sprawozdanie moje opracowałem jako przyczynek historyczny w sprawie obrony państwa na tle polityki finansowej w okresie 1936-1939 i zależności od lat poprzedzających ten okres.

2. Wyrażone przeze mnie opinie, dotyczące zużytkowania funduszy na realizację programu M. S. Wojskowych, odnoszą się do dwóch zasadniczych zagadnień:

a. potrzeby wojska oceniane z punktu widzenia Min. Skarbu i b. ocena potrzeb wojska z punktu widzenia obrony państwa.

Z punktu widzenia Min. Skarbu (a), moim zdaniem, ten ostatni może finansować program normalny w granicach normalnego budżetu. Wielki program obrony państwa może być sfinansowany jedynie w skali długofalowej, w planach okresowych, opartych na znajomości rozmiarów materiałowych (rodzaj, czas i ilość materiałów) programu obrony przez Ministra Skarbu i zainteresowanych i powołanych do współdziałania ministrów cywilnych. Uwypuklenie tego poglądu było celem mego sprawozdania.

Ocena zagadnień obrony państwa (b) jakkolwiek pragnąłem tego uniknąć, nie czując się kompetentnym, dokonana była przeze mnie w czasie, kiedy dyspozycje charakteryzujące wojnę polsko-niemiecką nie były znane i zbadane. W szczególności nie były znane trudności dokonania zakupów sprzętu wojennego za granicą, czego dowodem był ujawniony brak sprzętu i jego jakość zarówno we Francji, jak i w państwach anglosaskich.

Z tym zastrzeżeniem sprawozdanie z listopada 1939 roku podtrzymuję jako przyczynek historyczny wg ówczesnej znajomości mojej i załączam do moich obecnych zeznań sądowych.

SPIS TREŚCI

ALFA: <i>Koppa</i>	3
Daniel Beauvois: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i>	20

WSPOMNIENIA

Stanisław Wachowiak: <i>Wojna i okupacja 1939-1945</i>	32
---	----

HISTORIA NA GORĄCO

Maria de Hernandez-Paluch: <i>Nie wiem co się z tym dzieje... (Rozmowa z przedstawicielem dyrekcji Huty im. Lenina)</i>	119
---	-----

RECENZJE

Michał Heller: <i>„Dekady” i dziesięciolecia</i>	135
Emanuel Halicz: <i>Narodziny systemu władzy</i>	143
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Na wschód od Bugu</i>	148
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	156
<i>Polacy i Ukraińcy</i>	160
Tadeusz Wyrwa: <i>Przewodnik po archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego</i>	166

OKRUCHY HISTORII

Hugh Gibson: <i>Powrót do Warszawy</i>	170
	239

LISTY DO REDAKCJI

- Adam Nasielski: *Na marginesie artykułu A. Sulimy Kamińskiego „Ludzie 'zniewolonego umysłu' a emigracja”* (Zeszyty Historyczne nr 75) 188
- Tadeusz Wyrwa: *Uzupełnienie danych o roli A. Ponińskiego w informowaniu rządu gen. Sikorskiego o min. Becku, w związku z artykułem D. Rogoyskiego „Pięć inicjatyw wydobywania Józefa Becka z pułapki rumuńskiej”* (Zeszyty Historyczne nr 76) 188
- Jerzy Szwece: *Uwagi nt. Adama Doboszyńskiego w związku z „Listem z Polski” A. Wrzeszcza* (Kultura nr 6/453 z czerwca 1985) 189

DOKUMENTY

- Wywiad z Władysławem Frasyniukiem* 191
- Sprawozdanie J. Kozuchowskiego — Wiceprezesa Banku Gospodarstwa Krajowego od listopada 1935 do listopada 1938 i Wiceministra Skarbu od listopada 1938 r. do października 1939 r. oraz Protokół z przestuchania z 12 lutego 1943 r.* 207

Achévé d'imprimer le 28 juillet 1986 sur les Presses de l'Imprimerie Richard
24, rue Stephenson, 75018 Paris.

Dépôt légal : 3^e trimestre 1986. — N° d'imprimeur 7824.

